

Ostrzeżenie

Jak zacząć opowieść o Indiach?

Kraju tak niezwykłym jak żaden inny na świecie. Kraju pełnym barw, smaków i woni. I pełnym kontrastów, gdzie bajeczne bogactwa graniczą z urągającą ludzkiej godności nędzą. A olśniewające piękno – z odrażającą szpetotą.

Jak zacząć tę opowieść?

Może od trzech wielkich rzek – Gangesu, Jamuny i niewidocznej Saraswati – przelewających swoje sennie rozmarzone wody z ośnieżonych gór w gorące i suche równiny?

Może od Trimurti – triady wielkich bóstw – Brahmy, Wisznu i Sziwy, stwórcy, zbawcy i niszczyciela? Tych trzech, którzy torowali sobie drogę mieczami mądrości, wiedzy i uczuć przez oszałamiającą i pogmatwaną historię ostatnich tysiącleci?

Może od tygrysa, który skrada się przez dżunglę na południu kraju? Od pokrytej prastarymi bliznami, spękanej ziemi pustyni na północy? Od zatęchłego powietrza świątyń lub ciemnego chłodu meczetów? Po wojskowemu wyprężonych brytyjskich kościołów? A może od sępów krążących wokół wież milczenia, gdzie Parsowie składają na marach swoich zmarłych – tylko niewiele dalej od pulsującego życiem, barwnego portu handlowego Bombaj?

Od czego zacząć opowieść o Indiach?

Od deszczu? Spiekoty? Śmierci? Świętych krów?

A może od kobiet, które na ulicach Madrasu wiją girlandy z białych kwiatów jaśminu? Lub od mężczyzn, którzy u brzegów najdalszego krańca Indii w Rameswaram wyciągają z sieci swój połyskujący srebrzyście połów?

A może od dzieci bawiących się w pył i błocie Kalkuty? Czy też od świętych sadhu, szukających drogi do absolutu mędrców, którzy ze spojrzeniem zwróconym do wewnątrz i chudymi rękami obróconymi na zewnątrz witają w Waranasi wznoszącą się nad horyzontem promienną – choć nieco tu przymgloną – słoneczną tarczę?

A może ta opowieść powinna się zacząć zupełnie inaczej? Nagle, niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia. Jak życie, które w Indiach jest tak niewiele warte. Skokiem w sam środek chaosu.

Tak, właśnie tak powinna się zacząć.

Safia i Raka

Indyjski wiatr ponad chmurami,
gnuśny i senny jak świątynny słoń,
niebo czarnymi zasnuwa dymami.
Święte i ciężkie te dymy są i mgliście złocista curry woń.

Indyjski wiatr wysoko w przestworzach
niesie żółtą piłkę słońca – czasem ją upuści.
W noc bezgwiezdną z demonami hula po bezdrożach,
karawanom sypnie piaskiem w oczy, gdy na pustynię się zapuści.

Indyjski wiatr w indyjskich uliczkach
szepce stare historie, zakłete w kamieniu i poszumie liści,
o szczęśliwych biedakach i chmurnych księżniczkach,
o czystej jak łza miłości i jądzie nienawiści.

A gdybyś za bazarzem tym, wietrznikiem chciał biec,
oczarowany pełnym magii szeptem,
to, uważaj, pragnę cię przestrzec:
baśnie indyjskiego wiatru bywają niebezpieczne.

Opowieść ta jest oczywiście zupełnie niedorzeczna.

Wszystkie opowieści w Indiach są niedorzeczne, a tylko niektóre bywają skończone.

Historia ta – jak życie – zaczyna się i kończy podróżą. Podróżą przez pustynię.

Do podróży, od której zaczyna się ta opowieść, szykował się pewnego gorącego czerwcowego dnia na początku dziewiętnastego stulecia kupiec Ahmed Mudhi razem ze swoimi ludźmi. Ahmed Mudhi był zamożnym człowiekiem, który lubił, kiedy tytułowano go radżą, i który miał w swoich stajniach wiele pięknych koni, w haremie zaś kilka urodziwych żon. Bujne włosy jego żon błyszcząły głęboką czernią nocy, ich oczy lśniły jak gwiazdy, a cicha muzyka srebrnych łańcuszków zdobiących kostki ich nóg cieszyła uszy Ahmeda Mudhiego. Jeszcze bardziej jednak radowało jego serce parskanie karych rumaków w stajniach.

Tak było do chwili, w której podczas podróży przez pustynię ujrzał najpiękniejszą kobietę, jaką widział w życiu. Natknął się na nią w małej wiosce, gdzie siedziała w cieniu palmy daktylowej i marzyła. Jej uroda jaśniała niczym księżyc w pełni, niczym najdrogocenniejsza perła. Kiedy dostrzegła jego spojrzenie, spuściła niezwykle jasne oczy, co Ahmed Mudhi wziął za oznakę skromności – i w tym momencie oddałby za nią wszystkie swoje czarnogrzywe konie.

Pertraktacje przedmałżeńskie nie trwały długo, a cena, którą miał zapłacić radża za tę olśniewającą perłę, okazała się śmiesznie niska, ponieważ ojciec dziewczyny był ubogim człowiekiem i nie posiadał się z radości, że ktoś wyłoży za niego zwyczajowy posag.

Dziewczyna miała na imię Safia, co znaczy niewinność, i radża pomyślał, że to imię jest dla niej najwłaściwsze. Nie odpowiedziała na jego spojrzenie nawet jeden jedyny raz, lecz

mlmo to - a może właśnie dlatego – krew zawrzała w jego żyłach i już wiedział, że się zakochał.

Nie była to jednak miłość, jaką opiewały romantyczne pieśni kobiet na pustyni. Ten bardzo praktyczny mężczyzna zakochał się tak, jak można się zakochać w pięknym pierścieniu, w parze wytwornych butów z miękkiej skóry, w srebrnym naszyjniku, w haftowanym wielbłądzim czapraku, w kryształowym zwierciadle. W czymś, co po prostu trzeba mieć – bez względu na cenę.

Ahmed Mudhi poślubił pięknooką dziewczynę jeszcze tego samego wieczoru.

Chociaż był muzułmaninem, podporządkował się obyczajom rodziny swojej młodziutkiej oblubienicy i wziął udział w ceremonii hinduistycznej, zawieszając na jej dziewiczej szyi wieniec białych kwiatów. Żadna z jego kobiet w haremie nie była hinduistką – do tego dnia. Jednak już w dawnych czasach, kiedy muzułmanie napływali falami do tego rozległego pustynnego kraju, żeby zdobywać go kawałek po kawałku, muzułmańscy książęta nierzadko poślubiali hinduskie księżniczki. Nie było więc przeszkód.

Rodzina dziewczyny należała do wysokiej kasty, nie zmieniło to jednak faktu, że była bardzo biedna. Oczywiście to jeszcze bardziej pogarszało sprawę, niepodobna bowiem było znaleźć dla którejś z córek narzeczonego, który dorównywałby jej kastą, a równocześnie zgodziłby się zrezygnować z posagu. Nieoczekiwana propozycja Ahmeda Mudhiego była więc dla rodziny Safii niczym znak bogów, a jeśli nawet nie znak bogów, to przecież równie obiecujący uśmiech fortuny.

Safia, czując chłód srebra weselnych ozdób na czole, patrzyła na radzę i wiedziała, co teraz nastąpi. Słyszała już wiele historii - zbyt wiele. Radża zabierze ją do swojego wspaniałego domu, daleko od jej marzeń, od palmy daktylowej i ojczyzny,

ponieważ od tego dnia ona należy tylko do niego. Jak misternej roboty srebrny naszyjnik lub złoty pierścion z rubinem. Pożyczone ozdoby ciążyły jej na głowie i ramionach tak bardzo, jakby chciały ją wgnieść w głębiny piasku, wciągnąć do samego środka ziemi, by tam udusić ją w ciemności.

Nie powiedziała nic.

Ahmed Mudhi nie dostał jednak natychmiast tego, czego chciał. Jeszcze tego samego wieczoru niecierpiące zwłoki interesy wezwały go do miasta. Nie było nocy poślubnej, po której tak wiele sobie obiecywał. Rad nierad pozostawił większość swoich ludzi w oazie, polecając im przetransportować z najwyższą ostrożnością nowy klejnot przez bezkresne piaszki pustyni, bez zbędnego pośpiechu, bezpiecznym i pewnym szlakiem, którym od wieków podążały karawany.

Sam spiał ostrogami wierzchowca pełnej krwi, ciesząc się, że już niebawem połączy się ze swoją oblubienicą.

Matka Safii i jej ośmioro młodszego rodzeństwa stali onieśmieleni, zbici w gromadkę nad pozostałościami uroczystości weselnej – porozrzucanymi na ziemi palmowymi wachlarzami i więdnącymi girlandami kwiatów – i zadzierając głowy, spoglądali na nią z cichym smutkiem, kiedy wsiadała na konia radży, który miał ją nieść przez pustynię w nowe życie.

Jej ojciec złożył ręce na piersiach i mruzczał pod nosem pożegnalne błogosławieństwo. Nie ronił łez. Ciemna skóra wokół jego oczu była pomarszczona i sucha jak piasek pustyni, który rządził jego życiem.

Ten chudy jak szczapa mężczyzna tylko dwa razy płakał: przy własnych narodzinach i gdy padł jego najlepszy wielbłąd. To były dawne, bardzo dawne czasy, kiedy miał wielbłądy. Przeciwności losu pozbawiły go całego mienia, zamieniając w nędzarza, jakich wielu na indyjskiej ziemi.

Gdy widział odjeżdżającą najstarszą córkę, z jego serca spadł jeden z wielu ciężkich kamieni. Nie kochał Safii, ale był bardzo odpowiedzialnym człowiekiem. W chłodnych cieniach ogrodów radży jej krnąbrne pustynne serce da się wreszcie okiełznać. A bogowie na pewno zrozumieją i wybaczą mu, że oddał ją muzułmaninowi.

Nie przeczuwał, nie mógł przeczuwać, że wydał na nią wyrok śmierci. Żaden mieszkaniec Indii nie lubi bowiem być oszukiwany. A o tym, że radża Ahmed Mudhi w szczególności tego nie lubi, mówiło się daleko poza granicami jego pustynnego miasta.

Radża Ahmed Mudhi kupował dziewczycę. I tylko Safia wiedziała, że został oszukany.

Trzy razy próbowała uciec w drodze. Ale mężczyźni, którzy ją eskortowali, byli czujni i uważali, by nie zgubić nowego klejnotu ich radży. Myśleli, że będą musieli bronić jej jak cennego nabytku przed bandytami pustyni, nie zaś walczyć z jej niezłomną wolą.

Z początku stroili sobie z niej żarty. Potem zaczęli sarkać i gniewnie pomrukiwać, ponieważ Safia była bardzo przebiegła i raz niemal udało się jej zbiec. W końcu, widząc, że to nie przelewki, i obawiając się straszliwego gniewu swojego pana, posadzili ją na konia z najsilniejszym z nich wszystkich.

Teraz skończą się wreszcie te bezsensowne próby ucieczki – powiedzieli mężczyźni w czarnych zawojach na głowach i rzeczywiście tak się stało.

Safia czuła na plecach gorący pot tego krępego mężczyzny, który przypominał jej buhaja, i czuła jego pożądanie, i nienawdziła go z całego serca. Siedem dni go nienawdziła, chociaż wleciała, że to jest niesprawiedliwe. Był tylko sługą, nikim innym jak posłusznym sługą. Jego umysł służył radży, lecz jego ciało służyło naturze.

Nie tknął jej – jakżeby śmiał! – i trzynastego dnia podróży dostarczył ją całą i zdrową do haveli, wspaniałej siedziby radży. Za jego szerokimi plecami tętniło życie miasta Dżajsalmer, kiedy jeszcze raz skłonił się w drzwiach, a potem cicho je zamknął.

Safia została sama na wykładanym wielkimi kamiennymi płytami wewnętrznym dziedzińcu, pośrodku którego biła fontanna, a woda spadała z pluskiem w marmurową nieckę, szemrząc swoje chłodne niekończące się fantazje.

W cieniu bugenwilli, tej urzekającej, płodnej rośliny, która pyszniła się na murach jaskrawym cyklamenem tak lubianym przez indyjskie kobiety, śpiewał żółty kanarek w klatce z cienkich drewnianych pręcików.

Palma daktylowa wznosiła ku niebu smukły pień pośrodku ogrodu, który był tylko jednym z wielu. Safia wdychała ciszę i chłonęła spokój unoszący się w powietrzu. Jej serce pragnęło wreszcie wypocząć, chciało się skryć w zielonych cieniach mangowców i zdumiewać się migotaniem słonecznego światła w fontannie. Ale nie pozwoliła sobie na słabość. Ujęła w karby swoje serce: musiała być czujna.

„Jeszcze dziś – szepnęła w duchu. – Jeszcze ten jeden raz – ostatni...”.

Potem – niech się dzieje, co chce. Podda się swojemu losowi, tak jak srebrne nitki, którymi kobiety pustyni haftują jedwabne tkaniny, poddają się plecionemu wzorowi. Z całych sił pragnęła, żeby się udało. Mur nie był zbyt wysoki. Och, jak gorąco, jak żarliwie pragnęła nie być żadną z tych postulanych, uległych nitek! W pierwszą noc, w którą radża wezwałby ją do siebie, byłoby po wszystkim. A nie, srebrna nieć jej życia, zerwałaby się nieodwracalnie. Safia wiedziała o tym, tylko ona jedna.

Na pustyni pogłoski biegną przez gorący piach szybciej niż wiatr.

Ptaki w oazach od dawna śpiewały o nieokiełznanym temperamentie Ahmeda Mudhiego podobnym burzy piaskowej, a w lusterkach na wielbłądzich czaprakach ukazywały się nocą twarze dwóch kobiet, które przed kilkoma laty uduśliły w ataku furii.

Safia słyszała skorpiony na pustyni świszczące wzniesionymi ku górze odwłokami pieśń o popędliwości radży i nawet srebrzystopióre gołębie gruchały na tym chłodnym dziedzińcu wersy o jego zazdrości.

Safia drżała, myśląc o tym.

Kiedy poczuła chłodną dłoń na ramieniu, drgnęła.

Chodź – powiedział głos.

Przyjemny, łagodny głos. Z początku pomyślała, że to głos kobiety. Potem odwróciła się i spojrzała w twarz młodego mężczyzny. Miękką i delikatną, niemal dziecięcą twarz.

Chodź – powtórzył cicho. – Przysłałi mnie, żebym ci pokazał twoje pokoje. Radża nie przyjmie cię tej nocy. Nie czuje się zbyt dobrze.

I niech tak zostanie... – szepnęła Safia, tak cicho jednak, że chłopak nie mógł tego usłyszeć.

Nie słyszał również ulgi, z którą zabiło jej serce.

Podłączyła za nim w ciemność tego wielkiego bogatego domu, powtarzając w myślach słowo „pokoje”. Było zimne, gładkie i czyste – jak szklana kulka. Jeszcze nigdy dotąd nie miała własnego pokoju. Na pustyni spała w szałasie, na gołej ziemi, razem z rodzicami i młodszym rodzeństwem.

Nazywam się Lagan – powiedział młodzieniec. – Zawsze, kiedy będziesz czegoś potrzebować, wystarczy, że zawołasz moje imię.

Lagan... – wyszeptwała. – Właściwy Czas. Dziwne imię.

Wzruszył ramionami.

– One i tak nazywają mnie inaczej. Zresztą każdego nazywają inaczej, niż się naprawdę nazywa. Kobiety w haremie mają ostre języki.

Safia spojrzała na niego spod oka.

– A jak ciebie nazywają?

– Lalit – odparł cicho i uśmiechnął się. – Piękny. Nie traktują mnie zbyt poważnie.

Zmierzyła go wzrokiem. Był naprawdę piękny. Piękny jak jedna z tych kamiennych figur, które zdobiły dziedziniec. Rysy jego twarzy były regularne, ale nic niemówiące. Zapewne nie było łatwo traktować go poważnie. Sprawiał wrażenie jeszcze bardzo dziecinnego, po dziecięcemu bezbronny, kruchego.

„On też jest sługą – pomyślała. – W jego pięknej twarzy nie ma niczego, co należałoby wyłącznie do niego samego”.

Wodziła dłonią po gładkiej balustradzie, podążając za nim po zimnych marmurowych stopniach, i wiedziała, że będzie tęsknić za gorącym chropawym piaskiem pustyni.

I tak zaczęło się jej krótkie życie w haremie.

Radża nie przyjmował jej przez dłuższy czas. Zaledwie uporał się z pilnymi interesami poza murami Dżajsalmeru, dopadła go silna gorączka, powalając na bogato zdobione łóżko. I teraz leżał tam, zagrzebany w miękkie poduszki, i płonął, i marzył, i złościł się, i gniewał, że wciąż nie może tknąć swojego klejnotu, który przywiózł z podróży.

Kiedy gorączka spadała i czuł się trochę lepiej, kazał się zawiązać w niezliczone miękkie derki, sadowił się w małej niszy swojej sypialni i patrzył przez okno na jeden z dziedzińców, gdzie piękna dziewczyna z pustyni przysiadła niekiedy na brzegu fontanny i marzyła. Tak samo jak pod palmą daktylową w tamtej oazie, gdzie ujrzał ją po raz pierwszy.

! gdy pożądał jej chłodnej bliskości, czuł prawdziwą gorączkę. Jednak jego osłabione, trawione chorobą ciało odmawiało współpracy i Ahmed Mudhi musiał ćwiczyć się w cierpliwości, czekając, aż gorączka minie.

Lalit od dwóch lat służył radży. Był bardzo posłuszny i każdego miesiąca oddawał swojej rodzinie wszystkie pieniądze, które u niego zarobił.

Ahmed Mudhi miał już siedem żon – dwie główne i pięć dalszych. Te piękne kobiety przeobraziły chłodne dziedzińce haremu w mieniący się wszystkimi barwami tęczy pejzaż przetykany jedwabiem i błyszczącymi ozdobami i rok po roku rodziły mu dzieci. Radża miał ich już całą gromadkę. Dzieci wzrastały na dziedzińcach haveli jak wonne krzewy jaśminu i w niektóre dni Ahmed Mudhi odwiedzał je, żeby się z nimi bawić pod zielonym listowiem mangowców.

Prócz samego Ahmeda Mudhiego o jego siedem żon troszczyła się mała armia krawców, kucharzy, strażników i służących, a ponieważ radża bardzo się cenił i miał o sobie wysokie mniemanie, podczas przedostatniej pory monsunowej zatrudnił również Lalita, młodego eunucha z piękną kobiecą twarzą, któremu powierzył gołębie i kurz na wewnętrznych dziedzińcach. Od tej pory nowy sługa radży dzielił sprawiedliwie swoją uwagę i czas między gołębie i kurz. Pracował sumiennie i cicho. A ponieważ wszystkie żony radży bardzo go lubiły, już niebawem stał się ich cichym powiernikiem i posłańcem, biegnącym z mnóstwem drobnych posyłek za stosownym wynagrodzeniem, a jedna lub druga żona dorzucała mu jeszcze co nieco, jeśli miała do niego jakąś szczególną prośbę. Zazwyczaj chodziło o potajemny liścik do sekretnego kochanka w mieście. Wtedy Lalit korzystał z usług swoich latających podopiecznych. Byli niezawodni. I bardzo dyskretni.

złość nic nie przychodziło mu do głowy. Przeształpował więc tylko z nogi na nogę, coraz bardziej speszony i onieśmiewony. Chcąc ukryć zmieszanie, przywarł wzrokiem do niewielkiego stolika stojącego w rogu pokoju.

Urządziła na nim coś w rodzaju ołtarzyka. Przypominał sobie, jak kobiety w haremie mówiły, że jest hinduistką, nie zaś muzulmanką jak one. Jego spojrzenie ślizgało się po maleńkich kolorowych figurkach bogów, które stały w szeregu na skromnej makatce. Byli tam wszyscy: Sziwa z lśniącym półksiężycem we włosach, jego małżonka Parwati, Brahma o czterech twarzach i jego mądra połowica Saraswati. Ganesza, przyjazny bóg z głową słonia, bogini zemsty Kali zwana też Durgą, Hanuman, męźny bóg o twarzy małpy, bogini dobrobytu Lakszmi w swoim ulubionym kwiecie lotosu – i wreszcie Kryszna z nieodłącznym fletem.

Musiała podążać za jego spojrzeniem, ponieważ popatrzyła na niego z uwagą i szepnęła:

– Ty też jesteś hinduistą, prawda?

Przytaknęła.

– Brakuje mi opowieści – powiedziała. – Baśni, legend... A przede wszystkim historii o bogach. Nie ma tu nikogo, kto mógłby je opowiadać. Brak mi *Ramajany*, *Mahabharaty* i wszystkich tych zagmatwanych opowieści o wielkiej, tajemniczej rodzinie bogów.

Skinęła głową w stronę figurek, a jemu wydało się dziwne, że tak o nich mówi. Nie był pewien, czy o bogach można mówić w tak swobodny sposób.

„Ciekawe, co by na to powiedzieli, gdyby mogli ją słyszeć. A może słyszą?” – przemknęło mu przez głowę. Spojrzał na nią niemal z podziwem, ale też z lękiem.

– Opowieści – ciągnęła dalej – są wspaniałymi drogami ucieczki.

Zamilkła na chwilę, a on zbliżył się ostrożnie do stolika, żeby przyrzeć się dokładniej jej kolekcji. Małe figurki wyglądały na podniszczone – jakby wiele, wiele razy ktoś trzymał je w rękę, by prosić o radę. W niektórych miejscach kolorowa farba odpadła, odsłaniając drewno.

„Opowieści są wspaniałymi drogami ucieczki”. To zdanie wciąż jeszcze unosiło się w pokoju, dźwięczało mu w uszach, szybując między figurkami bogów jak ciężki, duszny opar.

– Przed czym chcesz uciec? – spytał, nie patrząc na nią.

– Przed śmiercią – odparła z powagą i znów wyjrzała przez okno, gdzie kamienne mury pysznej siedziby Ahmeda Mudhiego ścisnęły czarną przestrzeń nocy w regularny czworobok.

– Przed śmiercią – powiedział Lalit – nie można uciec. Trzeba ją przyjąć, kiedy nadejdzie.

– To kwestia chwili.

– W każdym razie – dodał szybko – nie potrafimy tej chwili określić.

– Być może – zgodziła się z nim. – Ale wydaje się, że Ahmed Mudhi jest w mocy to zrobić.

Lalit spojrzał na nią zdumiony i chociaż nadal patrzyła w ciemność za oknem, musiała poczuć jego nieme pytanie w dusznym powietrzu.

Ta noc była zadziwiająco ciepła. Wiatr ustał, a Waju, jego boski zwierzchnik, najwyraźniej nie zachęcał go do pędu, pozwalając mu na chwilę wytchnienia po pracowitym dniu.

– Umrę – rzekła twardo. – Kiedy mnie do siebie wezwie, zabije mnie. Kupował dziewicę i został oszukany. Wiesz dobrze, co się robi z takimi kobietami.

Spojrzała na niego, a jej turkusowe oczy zapłonęły.

– W Indiach istnieje zbyt wiele imion mających zbyt wiele znaczeń. – Uśmiechnęła się lekko. – Większość z nich jest błędna. Mnie na przykład nazywają Safią, cnotą lub – jak wolisz –

niewinnością. Ale ja jestem Shamim, ogień. Chcą, żebym była Satyą, prawdą, Sadhaną, częścią, Saralą, uczciwą. Ale ja jestem Sandhyą, brzaskiem, Sanvali, zmrokiem, Sharvati, nocą. Jestem Sampą, błyskawicą, Shalmali, która mieszka na drzewie jedwabnym, i Shakuntalą, wychowanicą ptaków. Kiedy zaś mówię sama o sobie, jestem Raką, księżycem w pełni. Zawsze tak było, kiedy mieszkałam jeszcze na pustyni, kiedy zostawiali mnie samą. Jeśli będziesz chciał mnie kiedyś zawołać, wołaj mnie właśnie tym imieniem.

Lalit stał milczący. Wciąż czuł na sobie spojrzenie jej turkusowych oczu. Miał wrażenie, że ona na coś czeka. Że chce, by coś powiedział. Milczał jednak. Nie było niczego, co mógłby jej powiedzieć.

– Być może znajdzie się jednak coś, czego bym od ciebie chciała – powiedziała po chwili, spoglądając na niego spod oka. – Opowieść tylko wówczas jest dobrą opowieścią, kiedy ma dobrego słuchacza.

Musnęła palcem słoniową trąbę Ganeszy i ponownie się uśmiechnęła.

– Jeżeli obiecasz, że będziesz mnie słuchał, opowiem ci coś. Kawałek po kawałku. Noc po nocy. Czy będziesz mnie słuchał?

Lalit zawahał się. Tego się nie spodziewał. Co będzie, jeśli go tutaj znajdą? Czy to jest dozwolone – siedzieć nocą u jednej z żon Ahmeda Mudhiego i słuchać jej opowieści?

Nie, to nie było zabronione. Mrok między nimi miał w sobie niezwykły posmak. Posmak zakazanego owocu, słodki i niebezpieczny zarazem. Lalit zadrżał, czując na plecach dreszcz. Wciąż lękał się jej niesamowitych oczu. Równocześnie zaś na swój sposób go fascynowała.

Wstała, a Lalit znów podziwiał urok jej postaci. „Brak mi słów, by opisać jej doskonałość” – zacytował w myśli słowa

poety i uśmiechnął się. Nie był zdziwiony, że Ahmed Mudhi chciał posiadać tę piękną mieszkankę pustyni. Lecz to, co Lalit zobaczył w jej oczach, w żaden sposób nie pasowało do ujmującej, pełnej wdzięku i słodczy powierzchowności Raki. „Ahmed Mudhi – pomyślał Lalit – nie mógł widzieć jej oczu. Gdyby je zobaczył, nigdy nie odważyłby się jej poślubić”.

Zajęła miejsce w niszy okiennej, w najdalszym kącie marmurowego parapetu, skrzyżowała nogi i poleciła Lalitowi, żeby usiadł naprzeciwko niej.

– Nie zawadzi – powiedziała z uśmiechem – jeśli nie stracimy z oczu nocy. Jest taka piękna, czarny jedwab przetykany gwiazdami.

Lalit usiadł na parapecie, uważając, by jej nie dotknąć. Uzmysłował sobie nagle, że odpowiedział na jej pytanie. Nie słowami. Siedział teraz obok niej i sama jego obecność obiecywała ósmej żonie radzy, że on, Lalit, będzie jej słuchał. Tak długo i tak często, jak tylko ona zechce. Każdej nocy, kiedy będzie jeszcze na to czas. Gołębie wydrapały jego odpowiedź swoimi śniącymi pazurkami w drewnie gołębnika, cykady brzęczały ją w noc, a liście mangowca rosnącego pod oknem Raki szeleściły ją w aksamitnie zielonej ciemności.

A Safia – lub Raka – wiedziała aż nazbyt dobrze, jak tłumaczyć tego rodzaju odpowiedzi: tak samo jak tłumaczyła sobie pieśni skorpionów na pustyni, które wieszczyły jej śmierć. Spuściła oczy, żeby płonący w nich ogień nie osmalił delikatnej twarzy jej cierpliwego słuchacza, i zaczęła opowiadać.

Krwawy Kamień

Nie muszę ci chyba mówić, że w Indiach żyje się wiele razy. Nasz świat przypomina wielką kolorową szachownicę, na której gramy o życie. Człowiek idzie do przodu lub zatrzymuje się jak pionek w grze, w zależności od tego, ile punktów zebrał w ostatniej rundzie. W ostatnim życiu. Punkty za odwagę, punkty za wierność, punkty za uczciwość. Można by tak wyliczać bez końca. W niektórych rundach tej jedynej w swoim rodzaju i niepojętej dla nas gry przychodzimy na świat pod postacią szczura lub ropuchy, w niektórych jako mędrcy.

Również bogowie rodzą się po wielokroć. I nikogo to nie dziwi. Na przykład Wisznu pojawił się na ziemi siedem razy niektórzy twierdzą, że nawet więcej – i za każdym razem pod innym imieniem. W czasach kiedy wydarzyła się ta historia, nosił imię Kryszny i był bogiem miłości. Słodka muzyka jego fletu oczarowywała pasterki, które pilnowały krów na nędznych wyschniętych pastwiskach na skraju pustyni. To były niezwykle, cudowne czasy przepojone wonią białego jaśminu i odurzającym zmysły zapachem nocy. Kamienne figury w świątyniach opowiadają o tym mnóstwo historii. Wystarczy tylko dobrze się wsłuchać. Lecz jedno przemilcza ciosany

kamień: pewnego dnia, a może nocy, w gaju palmowym na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie Kryszna miał schadzkę miłosną z pewną wiotką jak trzcina pasterką.

Potem pięknołicy flecista przepadł bez wieści, a po dziewięciu miesiącach na świat przyszła jego córka. Dziewczynka dorastała jako zwyczajne dziecko w jakiejś ubogiej rodzinie, we wsi pełnej piasku, kurzu i glinianych lepianek, gdzie pustylny wiatr śpiewał jej do snu kołysanki. A jednak w głębi serca wiedziała, że jest księżniczką.

Pewnego dnia bawiła się na skraju pola ryżowego i karmiła ptaki, nie przeczuwając, że zza żywopłotu obserwuje ją król demonów Rawana. Był z nim jego pierwszy sługa, Suryakanta, którego imię znaczy ni mniej, ni więcej, tylko Drogi Kamień.

Na widok Rawany drzewa zamarały ze strachu, ustał wiatr. Ptaki wyczuły obecność demonów, stały się niespokojne i zaczepne, a jeden z nich dziobnął księżniczkę. Dziewczynka z głośnym okrzykiem cofnęła rękę, nie rozumiejąc, co się stało, a na jej palcu wskazującym ukazała się kropla krwi. Chcąc uniknąć dalszych ciosów, księżniczka odwróciła się w stronę żywopłotu, za którym przyczaili się Rawana i jego sługa. I załedwie król demonów ujrzał jej precudną twarzyczkę, był stracony. Natychmiast zakręciło mu się w głowie i zakochał się bez pamięci w małej księżniczce.

Ciepła krew spłynęła z jej palca na ziemię. Jednak zanim jej kropla tam dotarła, zamieniła się w szlachetny kamień wielkości gołębiego jaja o barwie głębokiej purpury, który zaczął intensywnie świecić. I tak jak uroda księżniczki oczarowała króla demonów, tak Suryakanta, chciwy sługa Rawany, z mięjsca zapalał miłością do tego niezwykłego kamienia, a żądza wypełniła po brzegi jego czarne serce.

Kamień pogrążył się jednak w zielonej toni pola ryżowego, na którego skraju bawiła się mała księżniczka, córka Kryszny.

Na ten widok Suryakanta zazgrzytał z wściekłości zębami i z trudem zdusił przekleństwo. W wodzie pomiędzy wiotkimi źdźbłami klejnot przeleżał wiele lat niewidziany przez nikogo, ani przez człowieka, ani przez demony. W końcu znalazł go pewien wieśniak, popatrzył, podumał, poszedł po rozum do głowy i wymienił błyszczący czerwony kamyk na białą mleczną krowę swojego przyjaciela, który z kolei odprzedał go podróżującemu po Indiach Francuzowi, ten zaś przegrał go później w Paryżu do jakiegoś Brytyjczyka, z którym od tygodnia toczył karciany pojedynek... ale to już całkiem inna historia. W tym miejscu pozostaje nam powiedzieć tylko tyle: kamień przepadł na wiele lat i pojawił się ponownie w Indiach mniej więcej w tym samym czasie, kiedy działa się już inna historia. Powróćmy jednak do naszej opowieści.

Mijały lata i córka Krysny wyrosła na młodą kobietę. Jej niezwykła uroda rozkwitała z każdym dniem, aż rozbłysła tak jasno jak słońce w zenicie, jak najdrogocenniejsza perła. Tymczasem król demonów Rawana, w którego sercu wciąż płonął ogień namiętności, dzień po dniu przemyśliwał w swoim zamczysku nad sposobem pozyskania względów tej czarującej istoty. A nie było to wcale takie łatwe nawet dla demona, bo choć księżniczka żyła tak jak zwykli ludzie, skrycie czuwał nad nią jej ojciec Krysna.

W końcu nadarzyła się tak długo wyczekiwana sposobność. Kiedy pewnego dnia księżniczka, niepilnowana przez swojego boskiego rodzica, zasnęła pod palmą daktylową i śniła o krainach daleko na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie, Rawana dopiął wreszcie swego. Jego sługa Suryakanta z pomocą trzech białych słoni porwał niczego nieprzeczuwającą młodą kobietę i przywiódł ją do Rawany, który powitał ją w swoich progach, nie posiadając się z radości.

W tym czasie podawał się za człowieka, zażywając dzięki temu mnóstwa przyjemności, które wzbronione są demonom. Nosił wykwintne szaty haftowane srebrem i złotem, w kąpeli odurzał go zniewalający zapach olejku migdałowego, pod stopami miał miękkie kobierce i otaczał go bezmiar poważania i szacunku. Kiedy akurat nie szpiegował księżniczki, udawał bogatego kupca, ukrywając swą mroczną tożsamość za potężnymi, dobrze strzeżonymi murami warownego grodu zagubionego wśród piasków pustyni.

Podobnie jak każdy mężczyzna w Indiach, który szykuje się do ożenku, również Rawana zamierzał zasięgnąć rady jakiegoś boga. Chciał, by wskazał mu najbardziej pomyślną chwilę na ceremonię zaślubin. Z przyczyn oczywistych nie mógł zapytać o to Kryszny, Brahma o kilku twarzach był akurat zajęty zupełnie gdzie indziej, i tak – pewnie z braku lepszego pomysłu – wybrał Śiwę. Ten spojrział na niego spod oka, zastanowił się krótko i wymienił datę, która była wystarczająco odległą, żeby dać Krysznie czas na uwolnienie córki.

Porwanie odbyło się w dzień po pełni księżyca. A Śiwa – widząc, co się święci – przepowiedział władcy demonów, że wróżącą najwięcej szczęścia porą na ceremonię zaślubin byłaby następna pełnia księżyca. Tak więc władca demonów Rawana musiał rad nierad czekać cały miesiąc, by móc pojąć za żonę piękną brankę i zabrać ją na zawsze do swego królestwa. A w ciągu miesiąca mogło się wiele wydarzyć. Wiedział to Śiwa, wiedziała również księżniczka.

Teraz mogłaby się zacząć po prostu jedna z tych pięknych, sławnych wojen, w które obfitowały wielkie dni hinduizmu, kiedy to armie bogów i bohaterów stawały do krwawej walki przeciwko armii demonów. Sam Kryszna walczył niegdyś w takiej armii jako doradca i powożący rydwanem.

Istniał jednak pewien problem: Brytyjczycy. W tym czasie Brytyjczycy, którzy od kilku już wieków panoszyli się na indyjskiej ziemi pod pozorem prowadzenia działalności handlowej, postanowili w końcu postawić sprawę jasno i ogłosili nią jej oficjalnymi zwierzchnikami, zamieniając Indie w swoją kolonię i przynosząc ze sobą nowe czasy. I przynieśli jeszcze coś, co sami nazywali postępem. Znaczyło to, że kraj odrywał się z wolna od swoich korzeni, zmierzając wprost ku niepewnej przyszłości. Ten, kto uważał się za nowoczesnego, usiłował zachowywać się tak jak Anglicy, przyjmując bezkrytycznie ich sposób bycia i europejski styl. A Anglicy, zupełnie inaczej niż Hindusi, wiedli swoje perfekcyjnie uporządkowane życie pełne ważnych pór, godzin i terminów.

Ludzie utracili wiarę w cuda i baśnie. Hinduscy bogowie z każdym rokiem stawali się coraz mniejsi. Nawet jeśli niechętnie tego słuchali. A ten, w kogo się nie wierzy, nie może ot tak, po prostu, pojawić się na ziemi.

Długo przemierzał Krysna zielone pastwiska na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie i dumiał, przygrywając sobie na flecie. Jego córka żyła na ziemi jako człowiek, a i Rawana podawał się za człowieka. Krysna zżymał się na Brahmę, który władzę demonów obdarzył umiejętnością przybierania dowolnej postaci. Zżymał się też na swój brak czujności. I w końcu musiał zrozumieć, że istnieje tylko jedno rozwiązanie: potrzebował bohatera. Jednak nie boga ani demona, ale człowieka.

Bohater ten musiał być wystarczająco przebiegły, by przechytrzyć króla demonów, wystarczająco silny, by mu dorównać w walce, i – co równie ważne – na tyle szlachetny, by oddać księżniczkę w ręce ojca nieskalaną na ciele i duszy. Lecz wraz z odchodzącą z wolna w przeszłość wiarą w baśnie i cuda również bohaterowie stali się w Indiach coraz rzadsi.

*

Kryszna udał się do najlepszego złotnika w Maduraju, słynącego z pięknych wyrobów, i polecił mu wykonać srebrny łańcuszek o drobnych ogniwach z małym amuletem, w którym ukrył podobiznę córki (była to jedna z owych nowoczesnych fotografii w odcieniach sepji i bieli). Z klejnotem tym zakradł się którejś nocy do świętego gaju i włożył go do kielicha jednego z kwiatów lotosu, które rosły tam w małej sadzawce. Klejnot pochwyił światło Raki, księżycy w pełni, wchłonął je niczym gąbka wodę i od tej chwili lśnił łagodnym srebrzystym blaskiem.

Plan Kryszny był prosty. Pierwszy człowiek, który odwiedzi gaj, żeby się w nim pomodlić do bogów, i który będzie miał oko wyczulone na rozmaite święte znaki, znajdzie amulet. Ten człowiek stanie się jego bohaterem. I kiedy tylko bohater zamknie dłoń na klejnocie, Kryszna zjawi się przed nim, aby go pouczyć o jego zadaniu.

Święty gaj należał do prastarych błogosławionych miejsc Indii, nic dziwnego zatem, że Kryszna rozgniewał się nie na żarty, kiedy następnego ranka w jasnym świetle dnia stwierdził, że ów święty gaj znajduje się w całkiem laickim ogrodzie pewnej angielskiej kolonialnej willi. Z lewej strony sadzawki ciągnął się równo przystrzyżony żywopłot oddzielający posesję od wielkiego pola ryżowego.

Kryszna pokiwał głową nad bezbożnością nowych czasów, ale usiadł pod krzewem tamaryszku i czekał cierpliwie na swojego bohatera.

Ten nadszedł koło południa.

Słońce paliło żarem pola i Kryszna wielce się zdziwił, że ów człowiek był w drodze właśnie o tej zabójczej porze dnia, kiedy kto żyw chowa się w cień. Wyglądało jednak na to, iż nieznajomy ma ważne powody, by opuścić pobliskie miasto Maduraj i wywędrować na niestrzeżone pola. I po prawdzie, było mu na rękę, że nikogo nie spotkał.

Nazywał się Farhad Kamal, liczył sobie mniej więcej sześćnaście lat (sam dokładnie nie umiałby określić swojego wieku) i wykonywał nader zacny zawód złodzieja i oszusta. Farhad oznacza szczęśliwość, a Kamal kwiat lotosu i aż do tej chwili nie zostało mu jeszcze objawione, co to jego marne życie mogłoby mieć wspólnego z pierwszym lub drugim.

Farhad Kamal wychował się na ulicach miasta świątyn Maduraju i nie był pewien nawet tego, do jakiej należy kasty, ponieważ nie miał najmniejszego pojęcia, kim byli jego rodzice. Swoje narodziny pamiętał jak przez mgłę – tak w każdym razie utrzymywał – a wszystko to, co wydarzyło się zaraz potem, wymykało się jego pamięci, choć od czasu do czasu, kiedy ogarniało go coś w rodzaju melancholii, grzebał w jej zakamarkach. I tak Farhad, wychowanek ulicy, mógł co najwyżej tylko domniemywać, w jakim otoczeniu został poczęty, a ponieważ był nader bystrym chłopcem, przeto nie bez racji przyjął założenie, że nie należało ono do najbardziej wytwornych.

Odkąd sięgał pamięcią, siedł samotnie przez życie, zbierając po drodze wiele guzów i siniaków. Nie umiał czytać ani pisać z wyjątkiem bezbłędnego odcyfrowywania liczb na banknotach, które wyciągał dobrym ludziom z ich toreb i kieszeni. O tak, tę umiejętność opanował do perfekcji.

Niekiedy odwiedzał tę lub tamtą wielką świątynię, jakich wiele w Maduraju, aby modlić się do bogów, przy czym zazwyczaj wychodził stamtąd z garścią monet, których dziwnym trafem zabrakło na jednej z tac ofiarnych. Odwiedziłby także nowy okazały kościół Anglików, ale ich metalowe skarbonki na datki były zamknięte na cztery spusty, postanowił zatem nie przyłączać się do zbyt rygorystycznych jak na jego gust chrześcijan. Muzułmanie byli sprytni i zaraz go przepędzili. I tak w pewnym sensie ze względów ekonomicznych Farhad

został hinduistą, z lepszym lub gorszym skutkiem przebijając się przez życie.

Jeśli ktoś chciałby się pokusić o opis fizjonomii Farhada Kamala, miałby z tym niejaki kłopot. I nic dziwnego, ponieważ ów równie zaradny co pomysłowy chłopak zawsze przykładął wielką wagę do odpowiednio częstej zmiany powierzchowności, dzięki czemu nikt nie mógł go dokładnie opisać. To – rzecz jasna – było ściśle związane z wykonywanym przez niego fachem.

Farhad był mistrzem przemiany zewnętrznej, kuglarzem stwarzającym najrozmaitsze ludzkie typy. Raz miał ciemną skórę, a raz płeć niemal tak jasną jak Brytyjczycy. Raz zdobyła go długa zmierzwiona grzywa ascety, innym razem zaś miał krótkie, starannie naoliwione włosy, raz czaszkę łysą jak mnich jałmużnik i gładko wygoloną twarz, którą już następnego dnia „wymieniał” na kruczoczną, niezaprzeczalnie muzułmańską brodę przywodzącą na myśl gęste zarośla. Raz miał byle jak zabandażowaną szpotawą stopę, to znów brakowało mu na pozór kilku zębów, a raz miał ich o kilka za dużo. Przez pewien czas przemieszczał się po bazarze na zaopatrzonej w kółka desce jako paralytyk, co – jak sam przyznawał – należało do jego najbardziej męczących wcieleń.

Dobrym przyjaciołom, za których uważał wszelkiej maści oszustów i łotrów fundujących mu akurat jakieś jedzenie, Farhad miał w zwyczaju mawiać: „Widzicie, moi kochani, jakim jestem wspaniałym hinduistą? Tak samo jak nasi bogowie mam całe tuziny awatarów, czyż to nie fantastyczne? A niekiedy miewam też tak wiele rąk jak oni”.

Tylko jeden drobiazg pozostawał zawsze taki sam bez względu na aktualne wcielenie Farhada Kamala: lekki grymas wokół oczu nadający im wyraz przebiegłości. Krył się w drobnymi zmarszczkach tuż obok zewnętrznego kącika oka, ale

I ten szczegół można było odkryć tylko wówczas, gdy się uważnie na niego patrzyło.

Tego dnia Farhad miał krótko przycięte, nieco nastroszone włosy i piękną oliwkową cerę. Zmierzał przez pola wprost do willi Arthura Shawa. W jej salonie znajdowała się uroczą kolekcja antycznych figurek z chińskiej porcelany, której Farhad jako rasowy esteta i entuzjasta sztuk pięknych chciał się bliżej przyjrzeć.

Dotarłszy do celu, rozejrzał się dookoła, by się raz jeszcze upewnić, że jest zupełnie sam, po czym zaczął skradać się wzdłuż żywopłotu, szukając w nim jakiejś dziury, przez którą mógłby się prześliznąć na drugą stronę – i wtedy dostrzegł srebrzyste lśnienie. Wydawało się bić z sadzawki. „A cóż to za dziwy? – zdumiał się Farhad i przystanął, żeby lepiej wytężyć oczy. – Nie, to nie wprost z sadzawki”.

Tajemniczy blask płynął ku niemu z jednego z kwiatów lotosu, które unosiły się spokojnie na wodzie muskane promieniami słońca. Farhad pomyślał o Lakszmi, bogini pomysłowości i dobrobytu, która sama pojawiała się zazwyczaj w kwiecie lotosu, i jego serce radośnie fiknęło koziółka.

Niedługo później znalazł zapomniany otwór i przecisnął przezeń swoje chude ciało jak kot włóczęga, który chadza własnymi ścieżkami i też zawsze znajdzie jakąś dziurę w płocie. Poruszał się bezszelestnie pod strzelistymi drzewami rosnącymi wokół sadzawki, a im bardziej się do niej zbliżał, tym jaśniej błyszczało owo zagadkowe srebrne coś z kwiatu lotosu i tym szybciej biło serce Farhada.

Wreszcie jego bose stopy dotknęły wody. Farhad przykucnął, pochylił się, wyciągając rękę, i poczuł pod palcami zimny i gładki kształt. Na sekundę zamarł, odetchnął głęboko i dopiero wtedy wyjął przedmiot z otuliny blad różowych płatków. Podniósł do światła. Lepiej nie mógł trafić.

– Dzięki ci, Lakszmi – szepnął uszczęśliwiony.

W dłoni Farhada spoczywał mały, misternie rzeźbiony amulet z czystego srebra, z którego zwisał srebrny łańcuszek. Było to prawdziwe arcydzieło sztuki jubilerskiej. Farhad fachowym okiem oszacował wartość tego uroczego cacka, a serce śpiewało mu z radości.

„Kto, u licha – pomyślał Farhad, kiedy już nacieszył się swoim znaleziskiem – chowa srebrny łańcuszek w kwiecie lotosu, pośrodku czyjegoś ogrodu? I po co?!”.

Zacisnął palce na amulecie, rozejrzał się czujnie dookoła, omiatając wzrokiem cały ogród, i szybko podniósł się z ziemi. Nieważne, kto i dlaczego przyniósł tutaj ten srebrny drobiazg, od tej chwili należy do niego. I tylko to się liczy. Kiedy indziej zatroszczy się o porcelanę pana Shawa, teraz musi przede wszystkim ukryć swój skarb w bezpiecznym miejscu. Ruszył przed siebie pełen najlepszych myśli.

Nie uszedł jednak daleko. W tej samej chwili, w której zachłanne palce Farhada zacisnęły się na srebrnym amulecie, zdarzyło się coś znacznie bardziej niezwykłego. Tuż przed nim w ziemię uderzył bezdźwięczny piorun i ktoś zagroził mu drogę.

Farhad, który nie był człowiekiem wielkiej odwagi, przeraził się niemal na śmierć i zatoczył do tyłu właśnie jak rażony gromem. Przysłonił dłonią oczy, ponieważ blask bijący od tej ani chybi nieziemskiej zjawy niemiłosiernie go oślepił. Skurczył się, przypadł bojaźliwie do ziemi jak pies, którego schwytano na wyjadaniu z pańskiego stołu. Łypnął ostrożnie przez palce i już wiedział. Nie mógł się pomylić. Jakże często stał w świątyni przed wizerunkiem grającego na flecie pastorza z delikatną twarzą i wyczekiwał, aż nie dość dobrze pilnowany datek znajdzie drogę do jego kieszeni!

– Pan... pan Kryszna – wyszeptał zdławionym głosem i na wszelki wypadek zrobił jeszcze jeden krok do tyłu.

Nie wypuszczał przy tym z ręki amuletu. Przez głowę przemknęło mu lotem błyskawicy pytanie, czy Kryszna zauważył jego kradzież. Być może był tutaj przypadkiem, tylko przypadkiem...

- Znalazłeś amulet – powiedział bóg głosem tak miękkim i łagodnym jak oczy białej jałówki, której strzegł według legendy. – Jesteś moim wybrańcem.

- J... j... jak proszę? – wybełkotał Farhad.

Bohaterem – ciągnął Kryszna – którego potrzebuję. Wojownikiem, jakiego wyszukałem spośród wszystkich wojowników, aby wypełnił zadanie, które musi zostać wypełnione.

Farhad potrząsnął głową z takim zapałem, aż zaboląta go szyja.

- N... n... nie – wyjąkał trwoźnie. – To musi być pomyłka! Straszna, fatalna pomyłka. Przysięgam na moją krew. Nie jestem żadnym bohaterem, a już na pewno nie wojownikiem! Nic z tych rzeczy, naprawdę. Nie umiem walczyć i w ogóle boję się wszystkiego! Węży, psów, myszy, nawet ryb w sadzawce skłamał na oczekaniu. – W żadnym razie nie mogę spełnić tego zadania. To... to po prostu niemożliwe! Błagam, tylko nie ja!

Mówiąc to, cofał się krok za krokiem, wciąż dalej i dalej od świetlistej postaci i teraz stał już jedną nogą w sadzawce.

Zatrzymaj się i wysłuchaj mnie – powiedział Kryszna dobrotniwie.

Farhad skinął bojaźliwie głową i upozorował korny ukłon. Lęk przed gniewem boga dopadł go teraz z całą mocą, a kolana drżały mu jak w febrze, co jeszcze bardziej pogarszało sprawę.

Rawana – powiedział Kryszna – porwał moją córkę. Przypominasz sobie, kim jest Rawana?

– Ch... chyba tak – wyjąkał Farhad. – T... to król demonów. Z dziesięcioma głowami, dwudziestoma ramionami. Po stokroć straszny demon. On to w *Ramajanie* uprowadził małżonkę Ramy, nadobną Sitę, do Cejlonu, nieprawdaż? Uwięził ją na wyspie, z dala od świata, gdzie biedaczka opłakiwała swój smutny los. Ale Rama przeprowił się przez morze na czele potężnej armii i pokonał Rawanę w krwawej bitwie. A wy... wy, panie, staliście u boku Ramy jako jego doradca, a nawet powoziliście jego rydwanem.

Kryszna skinął głową z zadowoleniem.

– Taaak... Widzę, że te sprawy nie są ci obce. Pięknie, bardzo pięknie, mój chłopcze. To było dawno temu. Teraz Rawana podaje się za bogatego kupca i żyje w warownym mieście w samym sercu pustyni Radżastanu.

Kryszna wsparł głowę na swoich czterech dłoniach i westchnął ciężko. A potem opowiedział Farhadowi Kamalowi całą historię – od początku do końca. O nieszczęściu księżniczki. O palmie daktylowej na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie, o namiętnej miłości Rawany i wreszcie o uprowadzeniu niewinnego dziewczęcia przez jego sługę Suryakantę.

– Teraz więzi księżniczkę w ponurym zamczysku pośród piasków pustyni – rzekł Kryszna. – I dokładnie za miesiąc, kiedy na niebie znów zabłyśnie księżyc w pełni, a znaki i wróżby będą pomyślne, pojmie ją za żonę i zabierze ze sobą na zawsze do swego mrocznego królestwa.

– Ba... bardzo mi przykro. N... naprawdę... – jęknął współczująco Farhad i zadzwonił zębami.

– Ale to się nie stanie! – Kryszna zrobił przeczący gest i spojrzał przenikliwie na drżącego złodziejaszka. – Ponieważ ty ją uwolnisz.

Farhad wpatrywał się w boga oczami pełnymi trwogi.

– J... j... ja?

– Tak – odparł Kryszna. – Ty. Ponieważ to ty znalazłeś amulet. Dostaniesz wierzchowca szybszego niż chmury na niebie, a ja będę czuwał, żebyś nie zgubił się gdzieś po drodze. O wszystko inne musisz zatroszczyć się sam. Masz cały miesiąc, aby dotrzeć do miasta w sercu pustyni i zmierzyć się z władcą demonów. Kiedy następny księżyc w pełni zaświeci nad wydymami, odbędzie się wesele Rawany i mojej córki. Runzaj więc bezzwłocznie. I uważaj dobrze na amulet. Strzeż go jak źrenicy oka. Będzie cię chronił.

– A co dostanę, jeśli... jeśli mi się uda? – zapytał Farhad, wbijając szybko wzrok w ziemię.

Chociaż w dalszym ciągu było mu ze strachu na przemian to zimno, to gorąco, znów obudziła się w nim żyłka handlowa.

– Jeśli zdołasz uwolnić księżniczkę przed następną pełnią księżyca, a wierzę, że tak się stanie – odpowiedział Kryszna z powagą – w następnym życiu wzniesiesz się na cudowny utopienie ziemskiego bytu, przeskakując za jednym zamachem parę kast, i urodzisz się powtórnie jako zamożny, mądry człowiek. Szanowany przez bogów i ludzi. A co za tym idzie, bliższy ostatecznemu wyzwoleniu. Jeśli zaś nie...

Przerwał, a palce Farhada bawiły się nerwowo amuletem.

Jeśli tego nie dokonasz – rzekł Kryszna i westchnął – odrodzisz się jako niktymna, budząca odrazę i wstręt istota. Robak, jeśli tak wolisz. Stonoga, glista albo karaluch, którego ludzie depczą nogami. A kołowrót twoich wcieleń tutaj, na ziemi, przedłuży się niemal w nieskończoność. Będziesz się rodził i umierał, rodził i umierał. Ciągłe i ciągłe, bez końca. Tłuk, chłopcze, miną wieki, bardzo wiele wieków, zanim wreszcie osiągniesz nirwanę.

Uśmiechnął się smutno.

Farhad zbladł jeszcze bardziej, choć i tak był już blady jak płótno.

– Życzę ci szczęścia, mój bohaterze – powiedział Kryszna, wyciągnął rękę i dotknął trzema palcami czoła Farhada.

Nieszczęsny wybraniec odczuł boski znak, którym naznaaczył go Kryszna, jak palące żywym ogniem piętno. Zagryzł wargi, żeby nie syknąć – raczej z przestachu aniżeli z bólu.

Zobaczył, jak bóg jeszcze raz posyła mu swój nieodgadniony uśmiech, a potem znika.

Farhad Kamal został sam w świętym gaju, w ogrodzie Arthura Shawa. Sam ze srebrnym amuletem, który miał w sobie cały łagodny blask księżyca w pełni.

Znajomość geografii Farhada była, mówiąc oględnie, dość mizerna i ograniczała się do najbliższego otoczenia jego rodzinnego miasta Maduraju, a jego wyobrażenia o tym, gdzie mogłaby się znajdować pustynia Radżastanu, były raczej mgliste. Z braku lepszego pomysłu wrócił więc do miasta, by zasięgnąć języka w tej palącej kwestii. Jego wybór padł na sprzedawcę parot – wyglądał mu na człowieka światowego, co to z niejednego pieca jadł chleb.

Sprzedawca parot, który zwijał właśnie jeden ze swoich cieniutkich jak bibułka naleśników, zastanowił się krótko.

– Pustynia Radżastanu, pustynia Thar, jest bardzo stara i leży bardzo daleko stąd – powiedział w końcu, nie przerywając swojego zajęcia. – O ile mi wiadomo, na południe od Maduraju kraj gdzieś się kończy, a na jego krańcu znajduje się morze, wobec tego nie może tam być pustyni Radżastanu. Zatem musi to być gdzieś na północy.

– Jak daleko na północy? – spytał Farhad bez tchu.

– Tuzin i jeszcze raz tuzin dni na koniu – pospieszył z wyjaśnieniem człowiek w czerwonym turbanie, który właśnie odbierał z rąk sprzedawcy tackę z piętrzącym się na niej stosem naleśników. – Może nawet więcej.

Farhad westchnął ciężko, śledząc głodnymi oczami mężczyzną, który usiadł teraz przy jednym ze starych niskich stolików i z błogim uśmiechem na twarzy maczał swój naleśnik w ogniste czerwonym sosie. Nie musiał nawet wyobrazić sobie, jak ostry jest ten sos. Wystarczyło tylko nań popatrzeć, a już palił w oczy.

– Nie mam konia – powiedział Farhad i przysiadł się do mężczyzny przy stoliku.

– A na piechotę to będzie na pewno jakieś dwa miesiące. Jeśli nie dłużej – orzekł mężczyzna i ugryzł kawałek paroty.

Małeńkie okruszki ciasta przywarły do kąćków jego ust, a kiedy przełykał, Farhad przełknął razem z nim.

– Dwa miesiące! Nie mam aż tyle czasu. – Westchnął ciężko. – Nie mam nawet dość pieniędzy, żeby sobie kupić choć jedną parotę...

Spojrzał wymownie na tackę z naleśnikami.

– Jeśli myślisz, że cię zaproszę – mężczyzna w turbanie uśmiechnął się ironicznie – to trafiłeś pod zły adres, przyjacielu. Poszukaj sobie czym prędzej jakiegoś przyzwoitego zajęcia, a wtedy będziesz mógł jeść, ile dusza zapagnie. Nie tylko parotę.

– Niestety, nie mam czasu, żeby szukać przyzwoitego zajęcia – odparł Farhad zaskoczony tym, że dla odmiany powiedział prawdę. – Może kiedyś. Teraz co innego mi w głowie. Szukam miasta na pustyni Thar. I muszę tam dotrzeć najpóźniej za miesiąc. Choćby nie wiem co.

Mężczyzna wybuchnął przeciągłym, dźwięcznym śmiechem. Farhad poderwał się od niskiego stolika jak smagnięty błaznem i bez pożegnania opuścił sklep. Tak się jakoś złożyło, że jedna parota ze stosu układanego od rana przez sprzedawcę znalazła drogę do jego kieszeni. Uszedłszy kilka kroków, zaczął gryźć ją ze złością. Do tej pory nie udało mu się jeszcze

obmyślić chytrego sposobu zaopatrywania się również w ostry sos, bez którego wyborne potrawy kuchni indyjskiej smakują tylko połowicznie, musiał więc na razie, chcąc nie chcąc, zadowalać się wyłącznie suchym wiktem.

Tego wieczoru Farhad zorganizował sobie butelkę gorzałki, którą pędzono tutaj z wszelkiego rodzaju odpadków. Przez jakiś czas wałęsał się bez celu po ciemnych uliczkach. W końcu usiadł z nią na kamiennych stopniach jakiejś świątynki na skraju ulicy. Hanuman, małpi bóg o pomarańczowej twarzy, której charakterystycznym szczegółem była krzywa broda, pamiętka po spotkaniu z piorunem Indry, patrzył na niego dobrotniwie. Nad nim wysoko na bezchmurnym niebie wisiał nieruchomo księżyc w pełni.

Farhad wyciągnął amulet i przyglądał się w zamyśleniu jego blaskowi – drugi, mniejszy księżyc w jego dłoni. Co miał robić? Do tej pory nie był pewien, jak to naprawdę jest z karmą, reinkarnacją i czym tam jeszcze. A teraz Kryszna, pojawiając się w świętym gaju, nie tylko udowodnił mu istnienie wszystkich tych rzeczy, ale równocześnie powierzył absolutnie niewykonalne zadanie. Co gorsza, zagroził, iż w razie niepowodzenia on, Farhad Kamal, w gruncie rzeczy dobry człowiek, nigdy nie wyzwoli się z tego wiecznego kołowrotu egzystencji – narodzin, cierpienia i śmierci. Czy to aby nie za dużo jak na jeden raz? W jaki sposób bowiem miałoby mu się udać wyrwać księżniczkę ze szponów władcy demonów, jeśli nie zdoła nawet dotrzeć do niej na czas? Jeden miesiąc, na wszystkich hinduskich bogów! Cóż to znaczy jeden miesiąc? Toż to śmiesznie krótko!

Kryszna obiecał mu wierzchowca szybszego niż chmury na niebie. Pewnie, wszyscy bohaterowie w hinduskim świecie legend i sag mieli takiego wierzchowca. Ale jak go znaleźć? I gdzie?! Może powinien zwrócić się do Wisznu, żeby mu wypożyczył swojego niedościgniętego Garudę?

Kryszna przyrzekł mu wskazać drogę, ale jak ktoś taki jak on, zwykły oszust i nieuk, miał odczytać znaki boga?

Nie znał się na tym, nie był wszak braminem i nie miał najmniejszego pojęcia o znakach bogów. Nie był nawet pewien, czy chmury na niebie są rzeczywiście szybkie. I tak sięgnął raz za razem po butelkę i pił łyk po łyku, żaląc się na swój przeklęty los małpiemu bogowi Hanumanowi w jego małej świątyni. Otworzył przed nim serce, zawierając swoje rozterki i bezmierny smutek.

Moje życie jest stracone – szeptał Hanumanowi – a nawet gorzej: wszystkie moje życia są stracone. Będę robakiem, monogą, którą ludzie depczą. Może nawet karaluchem. Nędznym, po stokroć nędznym, plugawym robakiem.

Załkał bezgłośnie, wstrząsany czkawką. Potem wsparł głowę o żelazne kraty świątyni, a kropla wódki wypłynęła mu z kącika ust i podążyła w dół po podbródku. Świat wirował przed jego zasnutymi mgłą oczami, gdy odpływał w niebyt, kołysząc się na falach pijackiego odurzenia. Lecz zanim zapadł w mroczny, pełen rozpacz i koszmarów sen, wydało mu się, że Hanuman mrugnął do niego lewym okiem, jakby chciał mu coś powiedzieć. Ale mógł się mylić. Kiedy człowiek wypije za dużo wódki, czasem zwidują mu się różne dziwne rzeczy.

W owym czasie istniała zaledwie jedna droga wiodąca z Maduraju na północ. Towarzystwem Farhada na tej drodze był tylko jego własny cień, który oślepiające słońce przedpołudnia zawiesiło u bosych stóp wędrowca.

Na szyi miał srebrny amulet.

Zaraz za Madurajem natknął się na punkt kontrolny brytyjskiej policji. Od kiedy Anglicy proklamowali swoją królową cesarzową Indii, zastępując tą bogobojną niewiastą Kompanię Wschodnioindyjską, która wcześniej panowała nad

Indiami, nie wiedzieć czemu uroili sobie, że muszą wszędzie ustawiać posterunki. A ponieważ policja zwykle miała w ręku tę lub inną sprawę przeciwko Farhadowi, przeto czym prędzej opuścił on gościniec i skręcił w lewo na rozległe pola, gdzie pośród zieleni ryżu i czerwieni ziemi wiła się wąska ścieżka.

Zzymał się na Anglików, że właśnie tutaj ustawili swój posterunek, równocześnie jednak w pewien sposób ich podziwiał. Ich osławiona kompania handlowa rok po roku, krok po kroku, przejmowała niepostrzeżenie cały kraj, nie widząc potrzeby zdobywania go orężem. Skupując od radzów coraz to nowe tereny – najczęściej za bezcen! – kompania opanowywała prowincję po prowincji. Farhad słyszał, że tu i tam toczyły się jakieś walki. Ale ogólnie rzecz biorąc, były to raczej sprawy uboczne, bez większego wpływu na bieg wydarzeń. Pewnego dnia okazało się nagle, że niemal całe Indie należą do angielskiego towarzystwa handlowego, a ponieważ żaden kraj nie może być własnością jakiegoś towarzystwa, choćby najpotężniejszego, korona brytyjska powodowana szczytną ideą „sprawiedliwości dziejowej”, nadto zaś czując się zobligowana do większej poprawności politycznej, po prostu je przejęła.

„No, no, żeby tak bezczelnie kraść, i to w całym majestacie prawa! – myślał Farhad, kręcąc głową. – Nie każdy potrafiłby coś takiego!”.

Chętnie poszedłby na naukę do Brytyjczyków, przecucie mówiło mu bowiem, że mógłby się od nich wiele nauczyć.

Teraz jednak szedł bez Brytyjczyków na manowce. A ściśle mówiąc, w dzikie pustkowię po drugiej stronie pól pod Madurajem. Miał niedobre przecucie, że panowie mundurowi pełniący dyżur na swoim posterunku zdążyli go już dostrzec. Niewykluczone, że obserwowali go od dłuższego czasu, za-

dając sobie pytanie, dokąd też tym razem się wybiera. A ponieważ Farhad nigdy nie lekcewał wewnętrznego głosu, wybierał coraz mniejsze i mniejsze ścieżki, które zaprowadziły go w końcu daleko poza posterunek. Od tej chwili uważał wyłącznie na to, żeby wybrany przezeń kierunek zgadzał się w grubszych zarysach. Na północ!

Czy Krysna nie obiecał mu wszak wskazać właściwej drogi? Farhad był tak zajęty swoimi myślami, iż nawet nie przejął się zbyt, kiedy droga zaczęła piąć się lekko pod górę. Zdziwił się dopiero wówczas, gdy skonstatował, że od dłuższego już czasu wędruje po stopniach starych kamiennych schodów prowadzących coraz wyżej. A schody ze stopnia na stopień stają się coraz bardziej strome.

Droga była jednak wyraźna i bez cienia wątpliwości wiodła na północ. Farhad nie miał ochoty zawracać i szukać innej ścieżki wśród gęstych kolczastych chaszczki i rumowisk skalnych, które zdominowały tutejszy dziki i posępny krajobraz. W końcu, uszedłszy jeszcze może z pół mili, pojął, że wspina się na jakąś górę. Pola leżały już dobry kawałek pod nim, kiedy dotarł do pierwszego punktu widokowego.

-- To raczej dość głupi pomysł -- powiedział głośno sam do siebie -- iść gdzieś tam, wszystko jedno, na północ czy na południe, przez jakąś górę.

Stawiając bosą stopę na następnym stopniu, dodał:

Po prawdzie, to najgłupszy pomysł na świecie!

A po dwóch kolejnych stopniach:

Ale... jeśli się nad tym dobrze zastanowić, jest w tym jednak jakaś logika. Brytyjczykom nigdy nie przyszłoby do głowy robić coś równie głupiego. Ich logika jest wszak całkowicie odmienna od naszej. Wniosek: nie będą deptać mi po płętach i w ten sposób się ich pozbędę. Może więc warto nadłożyć drogi.

I tak oto, rozmawiając sam ze sobą, wdrapywał się dalej pod górę po kamiennych stopniach, które wyglądały na tak stare, jakby sami bogowie zbudowali je w czasach, kiedy jeszcze nawet im nie była znana sztuka budowania porządných schodów.

U stóp góry dwóch mężczyzn w mundurach brytyjskiej policji przysłaniało oczy dłońmi, śledząc służbowymi spojrzeniami szczupłą postać, która pięła się po stromej, wijącej się jak wąż serpentynie drogi.

– To nie on – powiedział jeden do drugiego, a w jego głosie zabrzmiała bardzo brytyjska pewność. – Ten, którego szukamy, przebiera się wyłącznie za Hindusa. W rzeczywistości pochodzi z Anglii tak samo jak my. Spójrz tylko na niego! Kompletny wariat! Tylko Hindus może być tak szalony, żeby w ten nieludzki skwar wdrapywać się pod taką stromiznę. I jeśli się nie mylę, nie ma przy sobie nawet żadnego jedzenia. Mówię ci, to pewnie jeden z tych pielgrzymów, którzy od czasu do czasu odwiedzają świętego męża tam na górze. Słyszałeś, co o nim opowiadają? Podobno od wielu lat obywa się bez jedzenia i wody i żywi się tylko rosą, która nad ranem osiada na liściach.

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Kto chce w to wierzyć, bardzo proszę. Nasz szalony chłopczek może go sobie pięknie pozdrowić. Co nas to w ogóle obchodzi. A ten tutaj i tak nie ma kamienia.

– Racja, kolego – zgodził się z nim pierwszy. – Zwłaszcza że upłynęło już zbyt wiele czasu od jego zniknięcia. A tego, kto teraz położył na nim łapę, pewnie już tutaj nie znajdziemy. Jeśli jest dość sprytny, dawno wziął nogi za pas. Chociaż powiem ci w zaufaniu, że chętnie rzuciłbym okiem na tę błyskotkę. Podobno ma kształt ogromnej kropli i błyszczący jaśniej

niż słońce! Wiedziałaś, że Hindusi opowiadają sobie najdziałwniejsze historie o tym klejnocie? Nazywają go Krwawym Kamieniem...

- Bajki – drugi policjant uśmiechnął się pogardliwie, po czym wsadził sobie w usta kawałek tytoniu i jął go żuć. – Hindusi uwielbiają takie historie. Naród obiboków i fantastów. Bardzo możliwe, że ten, jak powiadasz, Krwawy Kamień w ogóle nie istnieje. Hinduski kupiec, któremu rzekomo go ukradziono, po prostu wymyślił sobie całą tę bajeczkę, żeby nam wziąć do galopu.

Hm – mruknął pierwszy. – Mów, co chcesz. Nie byłbym wcale taki pewien.

Farhadowi tymczasem pot spływał strumieniami po plecach. Stał z minuty na minutę, a przecież to był dopiero początek. Coraz częściej przystawał, klnąc cicho pod nosem, ponieważ nie wziął ze sobą na drogę nawet butelki z wodą, nie wspominając już o najskromniejszym suchym prowiancie. Cóż za niewybaczalny brak przezorności! Jego pusty żołądek obijał się o kiszki i czekał, by go napełnić ryżem. A chude nogi drżały ze zmęczenia od mozołu wspinaczki, do której nie był przyzwyczajony.

W pewnym miejscu, tam gdzie schody zakręcały obok zadziwiająco stromej ściany skalnej przywodzącej na myśl strzelistą wieżycę, z jego pięknych marzeń o chłodnej źródlanej wodzie i białym ryżu wyrwały go naraz jakieś piski i skrzeczenia. Każdemu, kto urodził się w Indiach, są one dobrze znane. Były to głosy małp. Farhad przystanął na chwilę, żeby na nie popatrzeć. Goniły się po skałach i robiąc przy tym wielki hałas, próbowały łapać się nawzajem za długie ogony. Najwyraźniej świetnie się bawiły. Farhad z trudem chwycił powletrze, spoglądając z zazdrością na małpy.

Gdybyż tylko mógł być tak zwinny jak one! Gdybyż mógł śmigać pod górę z taką łatwością, jakby to była gładka niczym stół powierzchnia! Z jaką radością skróciłyby sobie drogę przez skalną ścianę, zamiast pokonywać z mazołem serpentyne. Jeden kamienny stopień po drugim! O tak, w tej chwili dałby wiele za zręczność ich długich palców, którymi chwytają się niewidocznych szczelin i pęknięć w załomach skał. Jeszcze jedno marzenie, niestety absolutnie nieziszczalne! Westchnął i znów ruszył przed siebie.

Nagle jedna z małp odłączyła się od stada i bez żadnego ostrzeżenia podbiegła do Farhada. Chłopak przystanął zdziwiony.

„A tej co znowu? Jeśli myśli, że ją czymś poczęstuję, to bardzo, ale to bardzo się myli!”

Zanim zdołał cokolwiek zrobić, małpa wyciągnęła do niego swoją długą, chudą łapę i w następnej chwili zerwała mu z szyi srebrny łańcuszek! Farhad nie zdążył nawet mrugnąć, gdy zwierzę zapisało triumfalnie i wystrzeliło jak z procy ze swoją zdobyczą, pędząc w kierunku zbitych w gromadkę pobratymców.

– Stój! – krzyknął Farhad, wymachując wściekle rękami. – Neeeeee! Oddaj mi łańcuszek! Słyszysz, co mówię?! Natychmiast oddaj mi moją własność!

Ale psotna małpa ani myślała go usłuchać. Zerknęła na niego jednym okiem, po czym skoczyła na sam wierzchołek skały, gdzie wydała z siebie odgłos przypominający ni to śmiech, ni to rzenie i – jakby tego jej jeszcze było mało – pokazała długie żółte zęby.

Farhad zbliżył się do podnóża skały, na której usadowiła się małpa złodziejka, i zadartszy do góry głowę, wrzeszczał do niej coś niezrozumiałego, ale bestia nic sobie nie robiła z jego rozpaczliwych krzyków. Dała jeszcze jednego susa i wyła-

dowała w grupie swoich towarzyszek, które wyraźnie pod-
oksyctowane zaczęły obwąchiwać dziwny błyszczący przed-
miot w jej łapie. Oszołomiony Farhad próbował za wszelką
cenę przedostać się do małp, nie spadając przy tym ze skalnej
półki, co wcale nie było łatwe. Przeciwnie, najmniejsze po-
tknięcie groziło skręceniem karku. A tymczasem wśród małp
rozgorzał spór, którego przyczyna była aż nadto oczywista –
kłóczyli się o łańcuszek. Najwidoczniej zbiór zasad i reguł po-
stępowania, którymi rządziła się ta gromadka, nie przewidy-
wał takiej ewentualności. Wyglądało na to, że nie bardzo wie-
dzia, komu ma przypaść w udziale srebrny amulet. Ale jedno
było pewne – wszystkie bez wyjątku, i te stare, i te młode,
mluły nań chrapkę.

Farhad patrzył z rosnącą z sekundy na sekundę rozpaczą,
jak rozsierzone zwierzęta, wściekle skrzecząc i piszcząc,
wydzierają sobie klejnot. Szala zwycięstwa przechylała się
to na tę, to na inną stronę. Żądza posiadania ogarnęła całą
gromadę. Awantura stawała się coraz głośniejsza. Na ten
włdok Farhadowi omal serce nie pękło. Nie, tego było już
za wiele!

Na skraju drogi znalazł długi sękaty kij i podniósł go, po-
mintując na bezczelność małp i własną głupotę.

Nie macie pojęcia – zawołał tylko po to, żeby cokolwiek
krzyknąć – że *Ramajana* opowiada o armii małp, która po-
mogła Ramie uwolnić jego małżonkę Sitę! Ale wy... wy
głupie, podłe stworzenia nie wiecie nawet nic o męznym,
obdarzonym niezwykłą siłą Hanumanie, który pochodził
z waszego rodu i który jednym skokiem dotarł do Lanki!
A tak, właśnie tak! I to z jego pomocą Rama zdołał pokonać
tego przeklętego zbrojnego Rawanę. I co wy na to? Nie wstyd
wam? Wy... wy nikomu nie pomożecie, o nie! Potraficie tyl-
ko skakać jak szalone i kraść, nic poza tym! Nic, nic, nic!

Małpy patrzyły na niego wyraźnie rozbawione. Niektóre z nich stroiły małpie miny, inne podkreślały swoje długie ogony. Nie do wiary! Wcale nie przejęły się jego gniewnymi wymówkami. Ani trochę się nie zawstydziły! Farhad miał nawet wrażenie, że jedna z nich mrugnęła do niego okiem – dokładnie tak, jak to zrobił poprzedniej nocy Hanuman ukryty w małej pomarańczowej statuetce. Dziwne.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Coś strasznego! Jedna z małp wykorzystała moment, kiedy wszystkie jej towarzyszki wpatrywały się w Farhada zasłuchane w jego porywający wywód, i pochwyciła amulet – który pękł przy tym na dwie części.

Farhad krzyknął z rozpacz.

Ujął mocniej kij, skoczył bez wahania na następną skałę, nie bacząc, że w tym wcieleniu jest tylko mało sprawnym człowiekiem, nie zaś diablo zwinnym czworonogiem, i w przyływie desperacji zaczął wywijać na wszystkie strony swoją mizerną bronią, jakby to była potężna maczuga. Tym razem udało mu się dosięgnąć małp.

Przestraszone jego niespodziewanym atakiem rzuciły się do ucieczki, głośno złorzecząc i urągając, przy czym ta, która jako ostatnia dobrała się do błyszczącego cacka, upuściła je na ziemię. Farhad schylił się błyskawicznie i – niemal w ostatniej sekundzie – zdążył jeszcze pochwycić amulet, zanim ten zsunął się w przepaść. I wtedy zobaczył, że wcale nie był rozbity.

Był otwarty jak książka. Niebywałe!

Farhad patrzył ze zdumieniem na ten dziw. Do tej pory był zbyt zajęty innymi rzeczami, żeby zwrócić uwagę na maleńki zatrzask znajdujący się z boku amuletu. Pod misternie rzeźbionym srebrnym wieczkiem znajdowała się miniaturowa fotografia. Farhad musiał wytężyć wzrok, żeby coś na niej rozpoznać, ponieważ obraz był niewyraźny, jakby okryty

mgiełką. Mimo to od razu odgadł, kogo przedstawia. Dziewczyna na fotografii miała długie, gładkie, czarne jak heban włosy i wielkie ciemne oczy jak gazela. Farhad nie mógł się oprzeć uczuciu, że odwzajemnia jego spojrzenie.

„A więc to jest księżniczka, córka Kryszny. Szkoda, że tak trudno ją widzieć” – pomyślał z żalem, muskając leciutko fotografię. Wyobraził sobie, jak właśnie w tej chwili błąka się po mrocznych komnatach króla demonów i uwięziona tęskni za światłem dnia. Widział ją przed sobą, widział jak na dłoni, jak podchodzi do zakratowanego okna i rozgląda się po pustyni, wypatrując bohatera, który ma się niebawem zjawić, by ją uwolnić z rąk okrutnego prześladowcy. Musiała o tym wiedzieć, na pewno musiała. Cicha muzyka sitara zadźwięczała mu w uszach, a błyszcząca tarcza księżycy w pełni podniosła się na bezkresnym szafirze nieba, by zanurzyć tę nastrojową scenę w odpowiednim świetle.

Farhad pomyślał, że ta historia nie będzie miała pomyślnego zakończenia. Żaden bohater nie nadejdzie, żeby ocalić księżniczkę. Nieszczęsna, będzie czekać aż do ostatniej chwili. Do samego końca. Na próżno. Zamknął powoli srebrne wleczko. Jego serce przepełnił bezgraniczny smutek. Stało się ono naraz ciężkie jak ołowiana kula. I tak samo ciężkie były jego utrudzone wspinaczką nogi, kiedy włókł się dalej krok za krokiem po kamiennych stopniach, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Wprawdzie jako dziecko ulicy mógł nie rozpoznać prawdziwego dobra i często nie odróżniał go od zła, o czym zaświadczał dobitnie sposób jego zarobkowania, ale jak wszyscy Hindusi ulegał niekiedy czarowi romantycznych historii.

Przez chwilę zapomniał nawet o tym, iż w gruncie rzeczy zamierzał ocalić księżniczkę tylko z jednego powodu – żeby ratować własną skórę przed gniewem Kryszny. Westchnął

ciężko, z głębi serca. Potem podniósł powoli wzrok i wtedy zauważył, że małpy obserwują go z pewnego oddalenia.

Po raz kolejny wydało mu się, że jedna z nich do niego mrugnęła.

Kiedy zapadł wieczór, Farhad dotarł na szczyt góry.

Nad ziemią leżał już błękitny opar wilgotnego, ciepłego zmięzchu, spowijając ją delikatną, drżącą leciutko mgiełką, i po raz pierwszy w życiu Farhad mógł ujrzeć na własne oczy, jak nieskończenie daleki, jak bezkresny jest jego kraj. W oddali błyszczało ciemnym granatem jezioro i jakiś człowiek pędził dwie białe krowy do zagrody. W resztkach dziennego światła Farhad odkrył pradawne ruiny i wszystko to połączyło się w piękną alegorię przemijania.

Potem słońce zniknęło za horyzontem, zabierając ostatnie promienie światła, i zapadła noc. W jednej chwili na szczycie góry zapanował dotkliwy chłód. Farhad wstrząsnął się, nie-miłe dotknięty tą nagłą zmianą. Zaczął przytupywać, bił rękami o swoje chude ciało, żeby się nieco rozgrzać. Niewiele to pomogło, postanowił więc się rozejrzeć i poszukać sobie wśród ruin jakiegoś zaciszniejszego miejsca, gdzie mógłby się przespać. Głodny i zmarznięty złorzeczył wiatrowi, który tutaj, na górze, był tak bezlitośnie przenikliwy i z taką perfidią pędził po trawach i kamieniach. Świstał, gwizdał, wył jak potępieniec, a co najgorsze, przenikał do kości. A przecież jeszcze nie tak dawno był sprzymierzeńcem, niosąc zbawienną ochłodę i orzeźwienie strudzonemu ciału. Jak szybko zmienia się wszystko w podróży!

Podczas swojego mniej więcej szesnastoletniego życia Farhad Kamal jeszcze nigdy nie podróżował. A teraz, po jednym zaledwie dniu, padał z nóg i czuł się tak znużony, jakby wędrował przez cały rok. To zadanie po prostu go przerastało.

„Dlaczego właśnie ja? – pomyślał z goryczą. – Ani ze mnie bohater, ani podróżnik!”.

Błądząc wśród ruin, ujrzał w nich nieoczekiwanie jakiegoś człowieka. Był zbyt zmęczony i głodny, żeby się przestraszyć. Ten ktoś siedział w pozbawionym sufitu pomieszczeniu, które wyścielał kobierzec wysokich traw, i karmił małe ognisko suchymi patyczkami.

Był to stary mężczyzna, chudy jak szczapa, o skórze tak pomarszczonej jak święte słonie świątynne, które za parę rupii błogosławiły wiernych długimi trąbami. Poza pomarańczową chustą, którą opasał niedbale kościste biodra, nie miał na sobie żadnego przyodziewku, a dziko splątane i szare od pyłu włosy otulały mu ramiona i plecy niczym dziwaczna oponcza.

Vanakam. Witaj – powiedział starzec i skierował na Farhada zadziwiająco jasne i przejrzyste oczy, które w migotliwym blasku ognia lśniły jak dwa rzeczne kamyki. – Przysiądź obok do ognia.

Farhad złożył dłonie w geście powitania, pozdrawiając starca z należyтым szacunkiem, i dopiero potem przykucnął naprzeciw niego.

Stokrotne dzięki, święty ojciec – powiedział onieśmielony, od razu bowiem zrozumiał, że ma przed sobą świętego.

Co cię tutaj sprowadza? – spytał stary i dmuchnął w płomienie.

Farhad wyciągnął do ognia zziębnięte ręce, które wnet owłoneło przyjemne ciepło rozchodzące się stopniowo po całym ciele.

Spotkałem Krysznę – odparł po prostu – i jestem bardzo głodny. A poza tym umieram z pragnienia.

Starzec uśmiechnął się i sięgnął do tłumoczek z grubo tkanej bawełny, który leżał obok niego. Ku wielkiemu zaskoczeniu Farhada wyciągnął zeń bukłak z wodą i trzy banany.

– Ludzie, którzy przychodzą tutaj, by szukać mojej rady – wyjaśnił z uśmiechem, widząc zdziwienie malujące się na twarzy młodego przybysza – mają w zwyczaju przynosić mi rozmaite rzeczy, których wcale nie potrzebuję.

Przyglądał się, jak Farhad rzuca się łapczywie na banany, jak je pałaszuje z apetytem jeden po drugim, popijając wodą z bukłaka, i w końcu zapytał:

– Co ci powiedział Krysna?

Farhad zdumiał się, że święty mąż nie podaje w wątpliwość jego słów. Że nie wiedząc nawet, kim jest jego młody gość, od razu mu uwierzył. Dziwne. Zachowywał się tak, jakby każdego wieczoru przechodziło tędy kilkoro ludzi, żeby mu wyznać, iż rozmawiali z Krysną.

– Rawana porwał jego córkę – powiedział Farhad. – Ten nikkzemnik mieszka teraz na ziemi jako człowiek w mieście, które... które jak na złość leży na pustyni Thar. – Urwał i przełknął ostatni kęs. – Ale nie to jest najgorsze. Uparł się poślubić córkę Krysny w następną pełnię księżyca. Czyli dokładnie za miesiąc.

Brzmiało to nieco absurdalnie.

Ale starzec tylko skinął głową.

– Oczywiście – powiedział.

– Oczywiście? – spytał Farhad z irytacją i aż podskoczył. – Wcale nie myślę, żeby akurat to było takie oczywiste. A jeżeli chcecie znać moje zdanie, to uważam, że... że Krysna mógłby trochę lepiej pilnować swojej córki! W końcu jest bogiem, a nie jakimś tam zwykłym ojcem. A teraz ja muszę ją uwolnić.

– Ty? – mruknął starzec i wrzucił do ognia jeszcze jeden patyczek.

Farhad poczuł się trochę urażony i przez chwilę nic nie mówił.

- Ostatniej nocy – rzekł sędziwy gospodarz – miałem dziwny sen. Pojawił się w nim Kryszna. – Spojrzał przelotnie na Farhada. – Powiedział, że Rawana porwał jego córkę. Pokazał mi wizerunek straszliwego oblicza króla demonów, a moje serce zadrżało z wielkiego strachu. Potem wszystko zniknęło, i Kryszna, i obraz. Kiedy się obudziłem, zadałem sobie pytanie, dlaczego miałem ten sen. – Uśmiechnął się bezzębnymi ustami. – Teraz już wiem. Kryszna chciał mi powiedzieć, że przyjdiesz.

Hmm – mruknął Farhad, który po pierwsze, nie wierzył w sny, a po drugie, w to, że starzec mówi prawdę.

Ale co innego myśleć, a co innego robić. On sam mówił często o dziwnych, proroczych snach, kiedy próbował wyłudzić od jakiegoś naiwnego poczciwca trochę grosza. Była to stara jak świat sztuczka, szeroko rozpowszechniona wśród różnej maści oszustów i naciągaczy.

Jeszcze bardziej rozpowszechniony – powiedział starzec i pokiwał głową – jest dar czytania w myślach. Nawet jeśli większość mędrców, którzy dar ten posiadli, nie przyznaje się do tego.

Farhad zadrżał i poczuł, że się czerwieni.

A co wy robicie tutaj... tak wysoko? Z dala od świata i ludzi? – zapytał szybko, żeby zmienić temat.

Ja? Żyję. Po prostu żyję – wyjaśnił starzec. – Medytuję, przypatruję się wędrownym chmurom na niebie i rozmawiam z bogami. Kiedyś usłyszałem ich głos i wyrzekłem się świata. Minęło siedem razy po siedem lat, jak siedzę na tej górze bez wody i pożywienia. O świecie pijam świeżą rosę z liści.

Jak długo będziecie jeszcze tu siedzieć, wiodąc żywot pustelnika? – spytał Farhad tylko po to, żeby coś powiedzieć.

W świetle dogasającego ogniska ujrzał, jak na spaloną młótcem twarz starca wypląnął cichy uśmiech.

– Tak długo, aż wypełni się przepowiednia – odparł święty mąż, a w jego głosie zabrzmiała duma.

– A... jaka jest ta przepowiednia? – spytał Farhad niepewnie.

– Tego nie wiem.

– Hm – mruknął młodzieniec. – Ale jesteście tutaj właśnie z powodu przepowiedni?

– Tak. Otrzymałem ją przed laty w świątyni u stóp tej góry. Ci, którzy do mnie przychodzą, powiadają, że teraz nie ma tam już żadnej świątyni, tylko punkt kontrolny Brytyjczyków. Ruiny, które tutaj widzisz, były niegdyś potężną, niezdobytą twierdzą. Dawno, dawno temu, kiedy Brytyjczycy nie wiedzieli jeszcze nawet, jak pisze się słowo „herbata”, ten warowny gród służył obronie królestwa, które od wieków już nie istnieje. Kiedy wypełnię tutaj, u góry, moje zadanie, mury starożytnego grodu, którego świetność przeminęła razem ze złotym wiekiem Indii, ostatecznie się zawalą. Tak, mój chłopcze. Nie pozostanie kamień na kamieniu. To wszystko, co wiem.

– Podział zadań na tym świecie nie wydaje mi się całkiem sprawiedliwy – stwierdził z lekkim przekąsem Farhad. – Na mój gust, o ileż prościej jest siedzieć tutaj i przyglądać się paru zmurszałym, porośniętym mchem i trawą murom, niż podróżować w samo serce pustyni, żeby stracić życie w nierównej walce z potężnym królem demonów. A może się mylę?

– To zależy od punktu widzenia. I obserwatora – odparł z powagą starzec. – Istnieją zadania cierpliwości i zadania czynu. Do zadań cierpliwości potrzeba niezłomnej woli. Bez wielkiej siły ducha nic tutaj nie wskórasz. Ty, mój drogi chłopcze, nigdy nie potrafiłbyś nakazać swojemu ciału, żeby dzień po dniu zadowalało się rosą osiadającą rankiem na liściach. A wiesz dlaczego? Ponieważ twoja wola jest słaba jak zetłala nic bawełny, a twoje ciało młode i pożądliwe. Do zadań czynu potrzeba zaufania.

- Zaufania? – spytał Farhad z powątpiewaniem. – Czemu **właśnie** zaufania? Nie pojmuję. Czy nie potrzeba tutaj raczej **dobrej**, sprawdzonej broni i rączego konia? Albo nadludzkiej siły? **Święty** mąż przekrzywił głowę i wybuchnął osobliwym **trzenzczącym** śmiechem, który był tak suchy jak jego spękana **starcza** skóra.

- Wszystko to na nic się zda – powiedział, spoglądając na **Farhada** swoimi przejrzystymi oczami – jeśli brakuje ci **zaufania**. Nawet z najbardziej niezawodnym orężem w dłoni **możesz** skulić się ze strachu za straganem z melonami. A i **najodcięjszy** rumak może cię zrzucić, a ty wylądujesz w cuchnącej **kałuży** za szaletami, które Brytyjczycy ustawiają na swoich **dworcach** kolejowych. I nawet jeśli bogowie obdarzyli cię **nadludzką** siłą, może się tak stać, iż skacząc do rzeki, wpadniesz **w wir** i wypłyniesz na brzeg jako topielec. Nie, tym, czego **potrzebujesz** najbardziej, jest zaufanie.

Farhad poczuł się nieswojo.

Filozofia była jednym z tematów, które dotychczas omijał **w miarę** możliwości jak najszerszym łukiem, co w Indiach, **kraju** mędrców i ascetów, nie było wcale łatwe. Już w dzieciń-
stwie nauczył się kalkulować na zimno i zapewne dlatego **zaliczał** filozofię do nauk, których zgłębianie nie idzie w parze **z finansową** satysfakcją. Zbyt wiele zastanawiania się nad **zwłazkami** i zależnościami, nieustanne rozważanie istoty by-
tu, źródeł ludzkiego poznania i sensu życia nikomu jeszcze **nie** przysporzyło bogactwa. Natomiast tego i owego **doprowadziło** do szaleństwa albo do więzienia.

Zaufanie do czego? – zdziwił się.

Spytaj raczej, do kogo – odparł święty mąż. – Zaufanie do **samego** siebie.

Farhad chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy starzec **pochwycił** jego ręce swoimi zimnymi, szorstkimi dłońmi i przez

chwilę mocno je trzymał – milczący i skupiony, jakby wsłuchiwał się w swoje wnętrze.

– Przed tobą daleka droga – wyszeptał. – Będiesz szedł przez ogień, przez wodę i przez wiatr. Na końcu wszakże czeka śmierć.

– Śmierć? – spytał Farhad przestraszony. – I... i narodzę się ponownie jako coś dobrego czy złego?

– Zaufanie – zaszemrał święty mąż. Zabrzmiało to niemal jak modlitwa. – Zaufanie.

I jeszcze ciszej dodał:

– Jeśli uda ci się dotrzeć do pustynnego bastionu Rawany, musisz przede wszystkim wkraść się w łaski Suryakanty, jego pierwszego sługi i strażnika.

– Słyszałem o nim – bąknął Farhad, czując zimny dreszcz wzdłuż krzyża.

– Istnieje pewna stara historia – zaczął święty mąż, patrząc przenikliwie na Farhada – która opowiada o tym, jak Rawana dawno, dawno temu zakochał się w księżniczce. Dziś mało kto zna tę historię, ale ja dowiedziałem się o niej w świątyni od mojego nauczyciela i mistrza, na długo zanim przyszedłem na tę górę. W dniu, w którym Rawana ujrzał po raz pierwszy księżniczkę, z kropli jej krwi zrodził się szlachetny kamień wielkości gołębiego jaja i tak urzekająco piękny jak słońce w zenicie. I począwszy od tego dnia Suryakanta, który, jak się zapewne domyślasz, wart jest swojego pana, poluje niestrudzenie na ów niezwykły klejnot. Nosi on nazwę Krwawego Kamienia i od dawna wędruje po świecie, lecz Suryakancie po dziś dzień nie udało się go wytropić, choć gotów by wydostać tę zaklętą w minerał kroplę krwi nawet spod ziemi. Od czasu do czasu kamień pojawia się nieoczekiwanie u jakiegoś radzy lub awanturnika, a potem znów słuch o nim ginie. Jest to zaiste przedziwny klejnot, drugiego takiego nie znajdziesz na

patym świecie. Ma on w sobie jakąś tajemną magnetyczną moc i każdy, kto go ujrzy, wnet staje się jego niewolnikiem. Powiadają, że nie sposób oprzeć się jego czarowi. O tak, było już wielu chciwych ludzi, którzy go posiadli i znów utracili. Ten, kto przyniesie Suryakancie Krwawy Kamień, będzie miał wstęp do wszystkich komnat i lochów pałacu króla demonów. Święty mąż uśmiechnął się lekko.

Żaden strażnik w tym kraju nie jest do końca uczciwy – powiedział. – Nawet demon.

Gdzie... gdzie znajduje się teraz kamień, o którym mówicie? – spytał Farhad, wstrzymując oddech.

Nie dalej niż przed tygodniem dwóch wędrowców, którzy u mnie gościli, opowiadało mi, że zniknął jakiś czas temu w Maduraju – wyjaśnił starzec.

Maduraj! – wykrzyknął Farhad i podskoczył jak oparzony. Właśnie stamtąd idę! A niech to! Można zatem powiedzieć, że się rozminęliśmy! Czyż to nie ironia losu, czcigodny ojcze? – Usiądź. I daj mi trochę czasu.

Święty mąż zamknął oczy i znów nasłuchiwał głosu płynącego ze swojego wnętrza.

Farhad ledwie mógł usiedzieć w miejscu, ale nie chciał przerywać starcowi, więc tylko gryzł palce z niecierpliwością. Gdybyż choć wiedział, gdzie szukać kamienia! Czyż nie byłoby prościej przekupić strażnika Rawany, aniżeli zmierzyć się z królem demonów, który – jak mówi legenda – walczył niegdyś z samym bogiem śmierci? Być może zadanie, które powierzył mu Kryszna, nie było tak absolutnie niewykonalne, jak początkowo sądził. I być może on, Farhad Kamal, był rzeczywiście właściwym człowiekiem. Uśmiechnął się do tej kręplącej myśli. Po raz pierwszy od pamiętnego spotkania w świętym gaju w jego sercu zatliła się iskierka nadziei.

Święty mąż otworzył wreszcie oczy.

– Gaja – powiedział. – Idź do Gai, na wschód od Waranasi, miasta nad świętą rzeką Gangesem. Tam go znajdziesz.

– Jak daleko stąd do świętej rzeki? – spytał Farhad.

– Daleko – odparł starzec krótko i pokiwał głową. – Zbyt daleko, żeby jeszcze dziś wieczór się nad tym zastanawiać. Niemal całe Indie dzielą tę górę i Gaję. I mnóstwo niebezpieczeństw. Ale teraz chodźmy już spać. Zrobiło się późno. Jest czas na gawędę i czas na odpoczynek.

Zadeptał bosymi stopami resztki żaru ogniska, po czym zawinął się w swoją pomarańczową chustę.

Farhad umościł się na nagiej ziemi, ręce założył pod głowę i spoglądał z troską na nocne niebo, po którym wędrowały miliony gwiazd. „Cóż za niebywała rozrzutność! Nasi bogowie nie mają pojęcia o oszczędności” – pomyślał z żalem i westchnął cicho. Gdyby wszystkie te iskrzące się srebrzystym blaskiem gwiazdy zamieniły się w klejnoty i gdyby udało mu się skraść niebu choćby tylko jeden z nich, miałby na jakiś czas spokój, to pewne. Tymczasem jednak musiał wyruszyć do Gai i odnaleźć zupełnie inny kamień. Nadal nie wiedział, w jaki sposób zdoła tam dotrzeć odpowiednio szybko.

„Zaufać... – pomyślał jeszcze, zanim zapadł w sen – zaufać samemu sobie?”.

Noc szczurów

Tę nocy góra zadrżała.

I choć nie był to wulkan, a tutejsza okolica nie znała dotychczas trzęsień ziemi, góra zadrżała. Było to przejmujące drżenie z głębi ziemi, głuchy pomruk, jakby góra przeciągała się, wstrząsała po krzepiącym śnie, chcąc pozbyć się czegoś, co zbyt długo już na niej mieszkowało.

Małpy, które spały wysoko na skałach, obudziły się pełne niepokoju i zaczęły dreptać bez wytchnienia na swoich długich kończynach tu i tam, tu i tam, tu i tam, nie wiedząc, co im nie pozwala im spać. Świerszcze cykały inaczej niż zwykle i nawet szum drzew wydawał się jakby trochę wypadać z rytmu. A Farhad Kamal, który od dawna przyzwyczał się rozpoznawać rozmaite niebezpieczeństwa, obudził się zlany zimnym potem i poczuł, jak drgają mu niespokojnie nozdrza.

Z początku zdawało mu się, że leży gdzieś na skraju ulicy w Maduraju i właśnie ktoś się do niego zbliża, żeby przetrząsnąć mu kieszenie. Zaraz potem przemknęło mu przez głowę, że to ani chybi brytyjski policjant, a on wyszukał sobie akurat takie legowisko, które z jakiegoś powodu nie podoba się przedstawicielowi władzy. W końcu usiadł i stwierdził, że znajduje się nie w Maduraju, lecz na trawiastym kobiercu

wśród prastarych ruin. Obok niego leżał zwinięty w kłębek święty mąż, chroniąc się przed zimnem nocy. Farhad też zmarzł, ale obudziło go coś innego. Coś, co wisało w powietrzu. I Farhad czuł to wyraźnie przez skórę.

Nie mógł dłużej usiedzieć. Rzucił okiem na śpiącego starca, wstał i wyszedł na zewnątrz. Dziwna cisza panowała na górze. Wszystkie żywe istoty wokół Farhada zdawały się wstrzymywać oddech. Co się stanie?

Farhad oddalił się kilka kroków od ruiny, podchodząc na sam skraj przepaści. Wyciągnął ostrożnie szyję i spojrzał szybko w dół. W czarnej otchłani ujrzał jednak tylko noc. Na jej brzegach już coś się rozświetlało i zaczynał się powoli, z ociąganiem, rodzić poranek – ale jeszcze potrwa chwilę, nim ukażą się pierwsze promienie słońca.

Farhad stał bez ruchu, czuł chłodny wiatr na policzkach i wciągał głęboko do płuc rześkie powietrze nocy, a potem powoli je wypuszczał. Miał nadzieję, że dzięki temu wewnętrzne napięcie ustąpi, ale tak się nie stało. Przeciwnie: uczucie zagrożenia jeszcze się wzmogło. Pęczniało, nabrzmiewało z wolna, aż wezbrało wreszcie jak rwały potok i wprowadziło zamęt w duszy Farhada, ponieważ wokół niego – jak okiem sięgnąć – nie było doprawdy niczego, co jego głowie, jego rozsądkowi mogło się wydawać niebezpieczne. Tylko struchlałe serce kurczyło mu się w piersi ze strachu.

Krótko potem góra zaczęła się ruszać. Z początku ledwie zauważalnie, tak iż Farhad powiedział sobie, że tylko mu się wydaje. Miał za sobą ciężki dzień, a potem jeszcze ta długa osobliwa rozmowa ze świętym mężem. Lecz wibrowanie pod jego stopami stawało się z każdą sekundą coraz silniejsze. Ziemia stanęła dęba i zaraz potem przypląszczyła się niczym przekorny osioł. Farhad musiał się przytrzymać jakiegoś drzewa, żeby nie upaść. Jednocześnie zerwał się gwałtowny wiatr,

który świstał mu koło uszu, jakby chciał towarzyszyć temu niecodziennemu spektaklowi.

– Obudźcie się! – krzyknął Farhad w stronę ruin do śpiącego starca, a wiatr porывał jego słowa i unosił w przestworza. – Obudźcie się, na wszystkich bogów! Mamy trzęsienie ziemi!

Góra wydała teraz z siebie głęboki pomruk przywodzący na myśl daleki grzmot. Drzewo, którego uchwycił się Farhad, gięło się na wietrze niczym liche źdźbło trawy, a on wczepiał się w nie z całych sił, raniąc palce do krwi – przed nim była tylko przepaść.

Święty mąż wydawał się nie słyszeć alarmujących krzyków Farhada, a może wolał po prostu pozostać w ruinach, które od pół wieku były mu domem. W każdym razie nie pokazał się.

Kiedy Farhad się odwrócił, zobaczył, jak wysoki, pozabawiony dachu mur zaczyna powoli acz nieubłaganie pochyłać się ku ziemi. Było zbyt późno, żeby uratować starca. Pojedyncze kamienie odłączały się od potężnej struktury i spadały, a potem cały mur po prostu runął. Farhad widział, jak sunie na niego z zawrotną prędkością.

Ogarnięty śmiertelnym strachem rozejrzał się błyskawicznie dookoła, lecz nie znalazł miejsca, w które mógłby uskoczyć. Za nim była tylko przepaść, przed nim wiekowa ruina zamieniająca się na jego oczach w wielkie rumowisko. Lawina kamieni, która w kilka sekund go pogrzebie. Nie mógł nic zrobić.

„Zaufanie – usłyszał szept świętego męża. – Zaufanie do samego siebie”.

Odwrócił się i na trwanie jednej myśli spojrzął w bezdenną otchłań, w której wirowały unoszone podmuchem wiatru pojedyncze liście.

„Będziesz szedł przez ogień – usłyszał znowu głos świętego męża. – Przez wodę i przez wiatr”.

Farhad zamknął oczy. Kolana drżały mu jak w febrze – dokładnie tak samo jak podczas spotkania z Kryszną. Pierwszy kamień trafił go w ramię. Krzyknął i w tej samej chwili poddał się wiatrowi.

To był tylko jeden krok. Na dnie wąwozu roztrzaska się na kawałki. To już koniec.

„Nie – powiedział sobie Farhad, spadając na łeb na szyję. – A właśnie, że się nie roztrzaskam!”.

Odwaga nie była wprawdzie jego mocną stroną, ale też nie miał innego wyjścia i wiedział o tym aż nadto dobrze. Musiał więc przynajmniej zachowywać się tak, jakby był wzorem męstwa. Postanowił więc posłuchać słów świętego męża i zaufać wiatrowi. Zamknął mocno oczy i rozpostarł ramiona szeroko, jak najszerzej – jakby szukał pomocy. Cała wiara Farhada, cała ufność zjednoczyły się teraz w jego niemej modlitwie do wiatru.

I wiatr mu pomógł. Wziął go na swoje szerokie bezcielesne skrzydła i niósł coraz dalej i dalej, niósł go, bez wysiłku, o nic nie pytając.

Nagle Farhad usłyszał za sobą straszliwy łoskot. Nie musiał się nawet odwracać, by zrozumieć, co się stało. To waliły się, odchodząc definitywnie w przeszłość, ostatnie pozostałości prastarych murów wspaniałej niegdyś twierdzy. Ostatnie ślady czasów, kiedy mieszkańcy Indii byli silnym i potężnym ludem, a angielski nic nieznaczącym językiem.

Przepowiednia się spełniła: starzec na szczycie góry doprowadził do końca swoje zadanie. I dopiero w tej chwili Farhad Kamal zaczął się domyślać, że to on był zadaniem świętego męża. Tak, to właśnie jemu ów stary mędrzec o przejrzystych oczach miał mówić o zaufaniu. Jemu dać wodę. Jemu opowiadać o ogniu, o wodzie i o wietrze. I o magicznym kamieniu, który otworzy przed nim wrota do pałacu władcy demonów.

Wiatr niósł Farhada, jakby ten był liściem betelu, nie zaś człowiekiem z krwi i kości. Lekko i szybko. Lecz dokąd go zaniesie? Świt otoczył Farhada mglistymi palcami i po chwili podróżnik ujrzał pod sobą pola ryżowe, które mrugały doń ogromnymi wodnistymi oczami. Pierwsze kobiety były już w drodze do pracy. Ubrane w kolorowe sari, które lśniły pięknie w budzącej się zieleni, wyglądały jak małe figurki na szachownicy. „Planszy do wielkiej, wiecznej i nieobliczalnej gry” – pomyślał Farhad. On sam był częścią tej gry – dzokerem, którego nie obowiązują zwykłe reguły. Ponieważ nie był zwyczajnym śmiertelnikiem, o nie. Był tym, który rozmawiał z mędracami i podróżował na skrzydłach wiatru.

Roześmiał się w głos, kiedy o tym pomyślał, bo w żaden sposób nie pasowało to do Farhada Kamala, którym był jeszcze wczoraj. Chociaż uchodził za mistrza przemiany, w głębi serca pozostawał zawsze taki sam. Teraz, po raz pierwszy w życiu, miał sposobność naprawdę się zmienić, nie tylko zewnętrznie. To było jak przepustka do innego życia. Wciąż nie był jednak pewien, czy naprawdę tego chce. Przeczucie mówiło mu, że rola bohatera wcale nie należy do najwdzięczniejszych.

Wiatr nie spieszył się z Farhadem. Czasem zniżał lot, opadał raptownie ku ziemi, a wtedy Farhad umierał ze strachu, do runie w dół, i drżał, i modlił się, i lękał, i obiecywał, że od teraz będzie już dobrym człowiekiem, że będzie pomagał biedakom i bezdomnym.

Potem wiatr śmiał się figlarnie i znów go podchwytował długimi niewidzialnymi palcami i unosił jeszcze wyżej niż przedtem. A Farhad czuł ulgę jak ciepłą falę pulsującą w żyłach i zapominał wnet o biedakach i bezdomnych, którym jeszcze nie tak dawno gotów był nieba przychylić. Aż do chwili, gdy wiatr figlarz znów rozpoczął zabawę i drwiąc sobie

w najlepsze ze swojego pasażera, sunął na łeb na szyję w dół, jakby chciał go upuścić.

Farhad sam nie wiedział, kiedy znużony i oszołomiony nadmiarem wrażeń zasnął na skrzydłach wiatru. Spał dobrym, lekkim snem, błękitnym jak powietrze. I – aż trudno w to uwierzyć – nic mu się nie śniło. Kiedy się wreszcie ocknął, przeraził się nie na żarty, ponieważ ziemia była teraz całkiem blisko. W oddali na tle jaśniejszego nieba ujrzał kopulaste wieże wspaniałego pałacu, które otaczała brunatna mozaika ubogich domostw. Wiatr pędził go jednak wprost na niewielkie wzgórze, na którym Farhad mógł rozpoznać kwadratowe zarysy świątyni.

Po chwili szybował między wysokimi drzewami, które rosły wzdłuż wiodącej do niej drogi. Tego dnia musiało przypadać jakieś święto, ponieważ droga była pełna ludzi, którzy płynęli strumieniem do przybytku bogów. Mały chłopiec zadarł głowę i pomachał mu radośnie, a Farhad mu odpowiedział. Żaden z dorosłych go nie zauważył.

Niedługo potem wiatr posadził zawodowego złodzieja i oszusta pośrodku barwnego tłumu. Farhad potknął się raz, potem drugi i wreszcie stanął twardo na ziemi. Potrzebował jednak dobrej chwili, by znów przyzwyczaić się do używania nóg. Zanim zdążył się zastanowić, w którą stronę powinien się zwrócić, tłum porwał go ze sobą. Farhad nie stawiał oporu, pozwalał się prowadzić, pędził razem z rzeszą pielgrzymów, przez cały czas zadając sobie pytanie, gdzie się znajduje. Jedyłą rzeczą, co do której nie miał wątpliwości, był głód. Tymczasem nadszedł poranek, a wkrótce słońce stało już wysoko na firmamencie. W żołądku Farhada ziała wielka czarna dziura – pusta i czczy jak nirwana.

Tłum wniósł Farhada przez wysoką bramę pokrytą nieprzeliczoną masą pomalowanych jaskrawo płaskorzeźb wyobraża-

jących bóstwa i herosów hinduskiego panteonu i zanim mógł rozpoznać choćby jednego z nich, zaniósł go do pierwszego z licznych dziedzińców rozległej budowli, gdzie go wreszcie puścił wolno. Farhad rozejrzał się dookoła i zobaczył kilka straganów z ofiarami, przy których uwijali się sprzedawcy. Były tam brunatne czarki z prasowanych liści nerkowca wypełnione po brzegi kwiatami, gotowanym ryżem i świętym proszkiem.

Farhad wciągnął w nozdrza tę cudowną mieszaninę zapachów, usłyszał burczenie w brzuchu i zdecydowanym krokiem podszedł do jednego ze straganów. Stał przy nim chwilę, po czym wśliznął się niepostrzeżenie pod sklecony byle jak stół. Niebawem dwie z czarek ofiarnych znalazły się w jego rękach i nawet jeśli nie bardzo wiedział, co począć ze świętym proszkiem, to gotowany ryż nappełnił mu żołądek.

Przy swoich stopach zauważył drewnianą skrzynię pełną odlanych z brązu małych figurek rozmaitych bóstw. Jedna z nich poruszyła się nagle i rozprostowała liczne ramiona, jakby budziła się ze snu. Farhad zamrugał zdumiony: to był Kryszna z nieodłącznym pasterskim fletem!

- Zjadasz moje ofiary - powiedział z wyrzutem mały bóg z brązu. - Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

- Byłem głodny - usprawiedliwił się szybko Farhad.

Wziął figurkę do ręki i przyjrzał się jej dokładnie. Kryszna wymachiwał zagniewany dwiema ze swych czterech rąk.

- Respekt, mój chłopcze - syknął z oburzeniem. - Brakuje ci respektu. Czy wiesz przynajmniej, dokąd zmierzasz?

- Do Gai - odpowiedział Farhad najciszej, jak tylko mógł, żeby sprzedawca ofiar, który uwijał się tuż nad nim, nie usłyszał tego „boskiego dialogu”. - Muszę zdobyć Krwawy Kamień, którym zamierzam przekupić strażnika Rawany.

- Pięknie - pochwalił go Kryszna. - Bardzo pięknie. Widzę, że nie tracisz czasu! A czy znalazłeś już swego wierzchowca?

Farhad potrząsnął bezradnie głową.

– Wciąż nie wiem, gdzie mam go szukać.

W tym samym momencie spostrzegł rękę, która sięgnęła z góry i zaczęła grzebać po omacku w skrzyni z figurkami bogów.

– Zaraz, zaraz, mógłbym przysiąc, że miałem tutaj jeszcze gdzieś jednego Krysznę – usłyszał Farhad tubalny głos, który bez wątpienia należał do sprzedawcy. – Gdzie on mi się zapodział?

Farhad szybko odłożył małą figurkę z brązu z powrotem do pudełka i zanim Kryszna zdążył jeszcze coś powiedzieć, jego metalowe wyobrażenie zostało sprzedane.

Ręka chłopca natychmiast powędrowała w górę ku blatowi stołu niczym zaniepokojona żmija. W pewnym sensie było to całkiem uzasadnione, że utarg za Krysznę (a przy okazji jeszcze kilka innych drobnych monet) zabłąkał się do jego kieszeni. Bądź co bądź, to on, Farhad Kamal, a nie jakiś tam zwykły odpustowy sprzedawca, pomagał Krysznie, czemu więc Kryszna nie miałaby pomóc jemu?

Chciał się właśnie oddalić, kiedy naraz usłyszał nad sobą jakieś kobiece głosy i coś głęboko w jego wnętrzu kazało mu wytrwać jeszcze trochę w tej niewygodnej pozycji. Trwał więc nadal schowany pod stołem, zapominając o zdrętwiałych nogach, i słuchał.

– Nie cierpię tych wstrętnych szczurów na wschodnim dziedzińcu – powiedziała jedna z kobiet. – Nieważne, czy są święte, czy nie. Po prostu ich nie znoszę i już! Nawet dziś, podczas tego wspaniałego święta naszej świątyni, nie mogę na nie patrzeć. Ale tygrysa, który skrada się na wyspie pośrodku jeziora, bardzo chętnie zobaczę. Czyż to nie ekscytujące wiedzieć, że ten niebezpieczny drapieźnik jest tak blisko, a mimo to nie może nam wyrządzić najmniejszej krzywdy?

- Ja tam się go boję. I wcale nie byłabym taka pewna, że **jest** całkowicie nieszkodliwy – powiedziała druga kobieta. – **A co będzie**, jeśli któregoś dnia przepłynie zbiornik z wodą i **rozszarpie** któregoś z pielgrzymów? W jego oczach mieszka **głód**, a w jego białym sercu nienawiść. On nienawidzi strażników i nienawidzi pielgrzymów, i nienawidzi wszystkich ludzi, ponieważ to ludzie uwięzili go przed laty na tej wysepce.

- Ma podobno tysiąc dwa lata – powiedziała pierwsza kobieta. – Nawet słoń nie sięga tak daleko pamięcią. I przestań wreszcie krakać jak wrona. Przecież dobrze wiesz, że ten wielki, groźny kot nie może się do nas przeprawić. Czyżbyś zapomniała o słowach, które wyryto przed wiekami na ścianie świątyni? „Kiedy słony sok życia dotknie białego tygrysa, krystalicznie przejrzysta krew ziemi, kropla śmierci, wtedy tygrys zamieni się w kamień, twardy, zimny kamień”. Jak tylko **wukoczy** do wody, skamienieje.

- Naprawdę w to wierzysz? – spytała druga kobieta z powątpiewaniem.

- Oczywiście. Jakżeby inaczej! – odparła pierwsza zdecydowanym głosem. – W końcu to zwierzę od wielu lat obywatel również bez wody do picia. Czy to cię nie dziwi? W bogów **trzeba** wierzyć, moja droga. I w to, co nam przepowiadają, też.

- Dobrze, już dobrze – odrzekła jej towarzyszka pojednawczym tonem. – Chodźmy ofiarować szczerom miseczkę **mleka**. Bóg Ganesza, którego wierzchowcem był szczur, pewnego dnia przyniesie nam szczęście. A może nawet pewnej **nocy**...

Farhad usłyszał, jak kobiety porozumiewawczo zachichotały, zanim zniknęły w falującej ciżbie.

W głowie mu huczało. Gdzie on, u licha, wylądował? Znał **wprawdzie** słonia ze smutnym spojrzeniem przykutego łańcuchami do kamiennej płyty, który w wielkiej świątyni

w Maduraju od świtu do nocy przestępował nieustannie z nogi na nogę. Ale święte szczury? I tygrys...?

„Czy znalazłeś już swojego wierzchowca?” – usłyszał naraź w duchu głos Kryszny. Serce Farhada struchlało ze strachu. Nieszczęsny bohater poczuł, jak jeżą mu się wszystkie włosy na głowie. Jego wierzchowiec. Teraz już wiedział.

– Znalazłem – wyszeptał zdławionym głosem – ale w jaki sposób mam go okiełznać?

Biały tygrys! Kryszna równie dobrze mógł dać mu za towarzysza podróży worek materiału wybuchowego albo brytyjskiego oficera.

Drżąc z wściekłości i strachu, Farhad wyczołgał się wreszcie ze swojej kryjówki.

– Co to wszystko ma znaczyć, Kryszno? – szepnął ukradkiem. – Jeszcze jedna próba? Taka sama jak droga przez wiatr? A może znacznie bardziej karkołomna?

Wąłęsając się po wielkim dziedzińcu świątyni, Farhad próbował uspokoić rozdygotane serce, przez cały czas miał jednak oczy i uszy szeroko otwarte. I dobrze wiedział, co robi, ponieważ ten, kto zawsze i wszędzie ma oczy i uszy otwarte, nie potrzebuje ani mapy, ani przewodnika. Nie upłynął nawet kwadrans, kiedy stwierdził ze zdumieniem, że wiatr zaniósł go aż do Mysore. Niewiarygodne, a jednak! Wprawdzie i tego zakątka Indii jeszcze nigdy nie widział na mapie, lecz jeśli w Maduraju ma się oczy i uszy szeroko otwarte, można się dowiedzieć, że oba te miasta są oddalone od siebie o co najmniej kilka dni drogi.

Świątynia, do której wiatr zaniósł Farhada, była poświęcona Durdze: owej szalonej, krwiożerczej bogini i pogromczyni demonów, która dzierżąc w dłoni śmiercionośny łuk, jechała na grzbiecie lwa i wystawiała długi krwistoczerwony język, żeby przerazić swych wrogów.

- To właśnie tutaj – powiedział do Farhada jakiś usłużny chłopiec, który zjawił się przed nim niespodziewanie – Durga pokonała demona Mahiszę. Nie mam pewności, czy wszystko to wydarzyło się akurat w tej świątyni. Strażnicy przy bramie na pewno nie wpuściliby tu ani demona, ani Durgi. Wycieranie krwi ze ścian i posadzki to nie jest szczególnie miłe zajęcie.

Farhad skinął głową, uśmiechnął się do malca i czym prędzej się ulotnił, zanim ten zdążył zażądać od niego kilku rupii za swoje informacje.

Nie przepadał za Durgą. Była niesamowita, chociaż niektórzy twierdzili, że jest piękna. Jego przejmowała grozą ze swoim pasem ozdobionym ludzkimi czaszkami i gniewnie wykrzywioną twarzą. W głębi duszy miał nadzieję, że nigdy jej nie spotka. Wizja, że mógłby nagle stanąć oko w oko z jakimś bogiem lub boginią, niekoniecznie Durgą, tak jak to już przeżył z Kryszną w świętym gaju, wcale nie dodawała mu odwagi. Farhad czym prędzej odsunął od siebie tę myśl, podobnie jak kilka korpulentnych kobiet, które stały mu na drodze do dalszej części tej niebywale rozległej świątyni.

Poruszał się w gęstym mroku świątyni jak pływak w wodzie. Ten, kto urodził się w Maduraju, nigdy nie gubi się w świątyni, choćby najbardziej zasnutej oparami kadzideł i mrocznej. Przez chwilę Farhad poczuł się jak w domu. Gdzieś niedługo migotały w ciemnościach maleńkie lampki oliwne i ten widok napełnił ciepłem jego serce. Pozdrowiał je z radością jako opiekunów i stróżów swojego dzieciństwa. Skłaniał z czcią głowę przed barwnymi malowidłami, które opowiadały legendy o bogach. Maczał palec w białym, żółtym i czerwonym proszku czekającym na wiernych w małych miseczkach stojących u podnóża kolumn, i malował sobie znaki bogów na czole – i w końcu z tego półmroku wnętrza świątyni wy dostał

się na dziedziniec, pośrodku którego lśnił prostokątny zbiornik wody. Świątynna sadzawka.

Farhad przystanął i zamrugał oczami. Na kilka sekund zapomniał, dlaczego w ogóle się tu znalazł. Ale po chwili już wiedział. I ta wiedza spadła nań z taką porażającą raptownością, jak grom z jasnego nieba, jak cios obuchem w głowę. Wściekłe parskanie, które targnęło naraz powietrzem, w okamgnieniu sprowadziło go na ziemię.

Pośrodku sadzawki, na maleńkiej, obmurowanej wysepce, pod kamiennym daszkiem stał tygrys. Położył uszy, mięśnie naprężył do skoku, a jego ogon chłostał ziemię.

Farhad zamarł ze strachu, ale zaraz cofnął się odruchowo o krok. I wtedy zauważył, że inni odwiedzający świątynię z całym spokojem spacerują wokół sadzawki, gawędząc i żartując. Niektórzy stali nawet na okalających ją płaskich kamiennych stopniach i spryskiwali głowy świętą wodą.

Farhad oddychał gwałtownie, serce łomotało mu w piersi. Kiedy już nieco ochłonął, zobaczył również, co tak bardzo rozwścieczyło tygrysa: jakiś mały chłopiec stojący na brzegu rzucał kamyki w jego stronę.

Czy to prawda, że tygrys zamieni się w kamień, jak tylko wskoczy do wody? Czy istotnie nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy? Farhad pokręcił głową z powątpiewaniem. Nigdy dotąd nie słyszał o łagodnym jak baranek drapieźniku. A ten tutaj... Spojrzał ponownie na tygrysa i dopiero wtedy uświadomił sobie, jak żałośnie wyglądał. Jego sierść była wprawdzie biała jak śniegi Himalajów, lecz jakże zmierzwiona i bez połysku! Jak matowe były jego oczy! Farhad pomyślał, że ten smutny tygrys nie byłby w stanie przepłynąć sadzawki, nawet gdyby bardzo tego chciał.

Chłopca ogarnęła fala ulgi, ale w tym samym momencie zadał sobie pytanie, na co to stare wyniszczone zwierzę

mogłoby mu się w ogóle przydać. Być może dawno, dawno temu biały tygrys został istotnie wyznaczony przez bogów, by służyć jakiemuś bohaterowi za wierzchowca, ale teraz... Zbyt długo był więziony na tej wysepce. Utracił całą swą siłę, to pewne.

Farhad ruszył wzdłuż brzegu miarowym krokiem i przez chwilę obserwował tygrysa. Zrobił dwa czy trzy okrążenia i wtedy coś rzuciło mu się w oczy.

Jeszcze raz okrążył sadzawkę, żeby się upewnić. Teraz nie miał już żadnej wątpliwości: tygrys bacznie go obserwował. Ze wszystkich ludzi, którzy kręcili się w pobliżu wody, wybrał właśnie jego!

Chłopiec zbliżył się do wody i odwzajemnił spojrzenie. I wtedy dostrzegł, że zwierzę ma błękitne oczy! Niesamowite oczy. I tymi oczami mówiło do niego.

- To ty!

Farhad zadrżał.

- Ty jesteś bohaterem.

Farhad rozejrzał się dookoła. Czyżby tygrys naprawdę mówił do niego? A jeśli tak – czy ktoś inny to słyszał? Nie, wszystko było tak jak przedtem. Ludzie moczyli nogi w wodzie, a mały urwis, któremu najwidoczniej znudziło się rzuć kamyczkami, gdzieś sobie poszedł.

Nie jestem żadnym bohaterem – powiedział cicho Farhad, bardziej do siebie niż do tygrysa.

Zobaczył, że zwierzę ledwie zauważalnie zmrużyło oczy.

Nie? – spytał tygrys. – Wobec tego musiałeś ukraść amulet. Masz go na szyi.

Farhad dotknął mimowolnie srebrnego łańcuszka, który po ataku małp znów włożył na szyję.

To prawda, ukradłem łańcuszek... – szepnął. – Jestem złodziejem, nie bohaterem. Ale to mnie Kryszna wysłał w tę

piekielną podróż. Podróż na pustynię Thar. I... i – machnął ze złością ręką – nie mam zbyt dużo czasu.

– A więc to jednak ty – zamruczał tygrys. – Tak właśnie myślałem...

Jego głos miał dziwne łagodne, miękkie brzmienie, zupełnie nietygrysie. „O wiele bardziej przypomina głos wielkiego, grubego domowego kota, który wygrzewa się na słońcu” – przemknęło Farhadowi przez głowę.

– Jesteś tym, na którego czekam już tak długo. Tym, którego będę niósł na swoim grzbiecie. O tak, to właśnie ty uwolnisz mnie z tej po trzykroć przeklętej wyspy.

– Naprawdę to zrobię? – spytał Farhad z powątpiewaniem. – Ale jak?

– Czy to ja jestem bohaterem? – Tygrys bił niecierpliwie zmierzwionym ogonem. – Wymyśl coś – i to szybko. Przecież sam powiedziałaś, że ci się spieszy. Więc na co jeszcze czekasz?! Ja...

Odwrócił się i gdy tylko Farhad stracił kontakt z jego niesamowitymi błękitnymi oczami, urwał się także potok słów tygrysa. Chłopcu wydało się, że nigdy z nim nie rozmawiał. Zdumiony i oszołomiony wpatrywał się w biały grzbiet z długimi czarnymi pręgami, który teraz zwrócił ku niemu tygrys. Zwierz położył się na swojej kamiennej platformie, umieścił wielki łeb na łapach i ziewnął. Najwyraźniej układał się do snu.

Farhad zamrugał oczami. Czyżby zwariował? Przeklęte słońce! Wypala człowiekowi dziury w mózgu. Pręgi na tygrysim futrze falowały mu przed oczami, a świat wydawał się zataczać. Odurzony i oszołomiony Farhad wstrząsał się raz za razem. Musi jak najszybciej się stąd wydostać. Musi ochłonić, żeby znów jasno myśleć. W głowie miał straszliwy zamęt.

Powoli powędrował z powrotem przez długie korytarze, skupiając się przez chwilę na własnych krokach, które odbi-

Jały się echem od ścian, i w końcu chaos jego myśli uspokoił się. Przypadek chciał, że w pewnej chwili przechodził obok małej świątyni, która stała nieco na uboczu, na tyłach dziedzińca. I najwyraźniej nie była poświęcona mścicielce Durdze. Ganesza, słoniogłowy bóg, spoglądał na niego z dachu świątyni, jakby zapraszając go do środka. Farhad podszedł bliżej. Pomyślał, że Ganesza jest bogiem mądrości i pomysłowości, więc może nie od rzeczy byłoby się do niego pomodlić. Poza tym, w przeciwieństwie do krwiożerczej Durgi, syn Sziwy i Parwati był niezwykle łaskawym bogiem, przyjaznym i życzliwym ludziom.

Pokrzepiony tą myślą Farhad wszedł do małej świątyni przez wysoki do kolan próg, który go zdumiał. Stał na kamiennej posadzce i już miał się zapuścić w głąb, gdy coś małego, coś z zimnymi, wilgotnymi stópkami przemknęło po jego bosych palcach, i próg już przestał go dziwić. Stłumił okrzyk przestachu i rozejrzał się szybko dookoła.

Ależ tak, oczywiście! To była świątynia szczurów, o której mówiły tamte kobiety. Zawsze się dziwił, że spośród tak licznej czworonożnej braci bóg z trąbą słonia wybrał sobie właśnie szczura, by mu służył za wierzchowca. Czemuz jednak słon nie miałby dosiadać szczura, jeśli tchórzliwy złodziej i młoty zmierzwiony tygrys wyruszają razem przeciwko władcy demonów, żeby uwolnić więzioną przezeń księżniczkę? W Indiach od niepamiętnych czasów wszystko było możliwe i Farhad czuł teraz gorzką radość, że urodził się w tym najdziwniejszym z krajów świata.

Przykucnął, żeby lepiej przyjrzeć się progowi – z perspektywy szczurów. Dopiero teraz spostrzegł, że u samej góry był nabity maleńkimi, żelaznymi kolcami. I jak woda stanowiła dla tygrysa przeszkodę nie do pokonania, tak samo kolczasty próg był przeszkodą dla szczurów. Żył się im dobrze w świątyni,

w której biegały swobodnie od świtu do nocy, miały zawsze pełną miskę i towarzystwo pobratymców, lecz nigdy nie mogły się z niej wydostać. „Jakie to dziwne – pomyślał Farhad – że musimy więzić naszych bogów...”.

I wtedy zaświtała mu w głowie jeszcze jedna myśl. Przez chwilę stał bez ruchu, obserwując w skupieniu szczury, i podążał dalej za swoją myślą.

Święte gryzonie piły mleko z miseczek, chłęcząc je pośpiesznie maleńkimi różowymi języczkami, wdrapywały się na posągi bogów i goniły nawzajem po całej świątyni. Na małym posągu Ganeszy w bocznej nawie spoczywały dwa dorosłe szczury niczym dziwaczna futrzana czapka.

Przez krótką chwilę ogarnęło Farhada uczucie, że Ganesza go obserwuje. Czy tylko tak mu się zdawało, czy też słoniogłowy bóg naprawdę lekko przekrzywił głowę?

Bóg stał znów nieporuszony. Czyżby Farhad tylko sobie uroił ten ledwie zauważalny gest? Na wszelki wypadek skinął do Ganeszy i uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Znalazłem drogę – szepnął – drogę dla tygrysa, drogę dla szczurów, drogę dla siebie. Stokrotne dzięki, boski pomysłodawco. Nie zawiodę cię. Możesz na mnie polegać!

Potem opuścił świątynię Ganeszy i cały rozległy teren świątyni i ruszył do miasta, żeby nappełnić swoją sakwę podróżną. I znaleźć sprzedawcę trzciny cukrowej.

Farhad powrócił do świątyni dopiero pod wieczór, kiedy strumień wiernych z wolna wysychał. Na dziedzińcach walały się barwne pozostałości święta, które przyciągnęły tu dzisiaj rzesze pielgrzymów.

Zmierzchało już wokół drzew na wzgórzu. Złote iglice wieńczące kopuły wspaniałego pałacu w Mysore, które Farhad miał teraz za plecami, połyskiwały słabo w gęstniejącym mro-

ku. Wkrótce indyjska noc rozpostrze swoje sari z czarnego jak skrzydło kruka jedwabiu nad całym krajem i jego mieszkańcami, a wtedy nadejdzie dla Farhada czas działania.

Czekając na dogodny moment, ukrył się w pobliżu bramy rozległego kompleksu świątynnego, który o tej porze był już zamknięty. I kiedy stojący przed nią strażnicy zapadli w czujny sen, Farhad przerzucił przez mur wiązkę trzciny cukrowej przewiazaną sznurem. Potem wspiął się na drzewo i stamtąd na mur. Jeszcze raz się rozejrzał i niczym kot zeskoczył na drugą stronę. Rozejrzał się, po czym otworzył bramę od wewnątrz, pozostawiając tylko wąską szparę. Wstrzymał oddech w obawie, że zaskrzypi... nie, posłuchała go i pozostała niema.

Bogini zemsty Durga i wszyscy jej kamienni towarzysze wydawali się pogrążeni w głębokim śnie.

Farhad przemknął przez dziedziniec świątyni z wiązką trzciny cukrowej pod pachą tak bezszelestnie, jakby sam był tylko marą senną.

Szczury były najwyraźniej zdziwione, że ktoś składa im wizytę o tak późnej porze. Niektóre z nich spały już u stóp kamiennych posągów bogów i Farhad widział, jak ich małe noski drgną leciutko we śnie. Te, które jeszcze nie spały, rozbiegły się w popłochu, kiedy tylko wszedł do ich świątyni.

- Spokojnie – szepnął do nich Farhad przymilnym głosem - tylko spokojnie. Na dworze księżyc świeci wprost przecudownie. Założę się, że jeszcze nigdy nie widziałyście tak jasno świecącego księżycy.

Przykłęknął, wydobyl z pazuchy nóż i zajął się przycinaniem na odpowiednią długość dwóch kawałków trzciny cukrowej i ich dalszą obróbką, a kiedy skończył, przyjrzał się z zadowoleniem swojemu dziełu. Było to coś w rodzaju pomonu lub raczej pochylni: z jednej strony kawałek trzciny

prowadził teraz w górę, na sam szczyt wysokiego, kolczastego progu, a stamtąd druga łodyga schodziła w dół – na dziedzińiec. Wygodniejszej drogi na zewnątrz szczury nie mogły sobie wymarzyć.

Najwidoczniej jednak szczury wcale nie pragnęły porzucić swojego bezpiecznego domostwa i nie zależało im na żadnej – choćby najbardziej wygodnej – drodze na zewnątrz. Łyptały podejrzliwie na konstrukcję Farhada małymi chytrymi oczkami, po czym zbiły się w mniejsze i większe grupki, jakby zamierzały przedyskutować sens całego przedsięwzięcia.

Farhad mógł sobie wyobrazić, jak najstarszy szczur mówi z przyganą w głosie: „Co to wszystko ma znaczyć? Jak na mój gust – ani to ładne, ani mądre, ani nawet zabawne. I na święte też nie wygląda. Więc o co, do licha, tutaj chodzi? Czego on od nas chce?”.

„A może to coś nadaje się do jedzenia?! – zauważył rezerwowanie inny szczur. – Szkoda tylko, że ten głupek ulokował to tak nieprrrrraktycznie. Czy nie dałoby się tego jakoś ściągnąć w dół?”.

„Przymocował to na stałe. Złośliwy młokos – powiedział trzeci z oburzeniem. – To denerwujące”.

Farhad zachichotał cicho i czym prędzej wypłoszył myśli o rozmowie szczurów, która – w przeciwieństwie do tej z białym tygrysem – była tylko tworem jego wyobraźni. A poza tym czas naglił.

Wyjął z torby kawałeczek pieczonego mięsa i umieścił go na progu, tam gdzie stykały się oba kawałki trzciny cukrowej. Znów sięgnął do torby i położył jeszcze jeden smakowity kasek na dziedzińcu, po zewnętrznej stronie progu. Widział drgające niespokojnie nosy szczurów, widział, jak się zmagają ze sobą, jak rozważają wszystkie za i przeciw: czy to nie jest

aby zabronione, na dodatek bardzo niebezpieczne, takie samowolne oddalanie się ze świątyni.

Wstał z posadzki, pozostawiając zainteresowanych sam na sam z ich decyzją. Podczas gdy podekscytowane szczury naradzały się – jak mniemał – za jego plecami, Farhad przystąpił do kolejnego punktu operacji i zaczął układać z maleńkich kawałków mięsa długą, prostą drogę prowadzącą przez dziedziniec świątyni aż do głównej bramy. Pracował zawzięcie i w wielkim pośpiechu. Ale jego trud się opłacił: kiedy w końcu się odwrócił, zobaczył pierwsze szczury. Z początku poruszały się nieśmiało, w pojedynkę, dwójkami, trójkami, a potem już całą gromadą.

Farhad uśmiechnął się szeroko, rzucił jeszcze kilka garści ryżu na dziedziniec, zabrał z ziemi wiązkę trzciny i resztę sznurka, po czym przekradł się dalej, zmierzając do środka rozległego terenu świątyni, do sanktuarium zagubionego wśród labiryntu budynków, pawilonów, krużganków, bram i bramek. Było już tak ciemno, że idąc, chwycił się po omacku ramion i nóg stojących przy ścianach posągów. W pewnej chwili poczuł pod palcami coś miękkiego i oślizłego – i przestraszony cofnął rękę. Jego palce powędrowały do nosa, skrzywił się lekko – pachniały zjełczalym tłuszczem.

Oczywiście! Powinien był od razu się domyślić! Dotknął jednego z wizerunków Durgi, owej pałającej żądzą mordy, wojowniczej bogini, której straszliwy gniew dobrzy ludzie starali się nieco obłaskawić, rzucając ochładzające kuleczki ghee na jej rozpalone ciało, a tłuszcz natychmiast doń przywierał. Farhad wstrząsnął się z obrzydzeniem i wytarł pospiesznie rękę o swoje stare dhoti.

Wkrótce dotarł już bez przygód do znanego mu czworobocznego dziedzińca z sadzawką pośrodku. Księżyc pływał po niebie oczekiwania na cichych falach, które marszczył wiatr.

Tygrys przykucnął czujny i nieporuszony na brzegu swojej platformy i obserwował Farhada. Farhad zaś zachowywał się tak, jakby nie czuł na sobie jego przenikliwego, przeszywającego na wylot spojrzenia. I wcale nie dlatego, że był taki niebywale odważny, ale po prostu nie miał czasu, żeby się bać.

Rozwiązał tłumok, z którego wysypały się na ziemię długie łądygi trzciny cukrowej, po czym ułożył je jedna obok drugiej i zaczął przeplatać przez nie mocną linkę. Tego popołudnia znalazł jakieś ustronne miejsce na przedmieściach i długo ćwiczył robienie plecionki, aż udało mu się opanować tę trudną sztukę. Teraz chodziło o to, by jego tratwa utrzymała się na wodzie.

Ręce drżały mu ze zmęczenia i emocji. Przede wszystkim zaś bardzo się spieszył, więc wciąż popełniał błędy i musiał na nowo rozplątywać linkę i zaczynać wszystko od początku. Co pewien czas oglądał się i nasłuchiwał. Czy strażnicy już się obudzili? Nie, dookoła wciąż panowała niczym niezłamana cisza.

Kiedy tylko coś zauważą, pozostanie mu zaledwie kilka chwil. Szczury odwrócą na jakiś czas uwagę strażników, którzy w pierwszej kolejności będą próbowali połapać święte gryzonie, a potem odstawić je z powrotem do świątyni. Ale prędzej czy później bramy świątyni znów zostaną zaryglowane. A wtedy rozpocznie się polowanie na nieproszonego gościa, który wdarł się podstępem do świętego przybytku.

Chociaż noc była zimna, strugi potu spływały Farhadowi po plecach. W końcu udało mu się powiązać łądygi. Nareszcie! Wstał z ziemi, otarł wierzchem dłoni mokre od potu czoło i przypatrywał się przez chwilę tratwie, nad którą się tak napracował. Lecz zamiast dumy poczuł zwątpienie. Tratwa nie sprawiała wrażenia solidnej i stabilnej i niestety nie bu-

działa zaufania, lecz wyglądała jak wiązka łydyg trzciny cukrowej, które czekały tylko na to, żeby – zgodnie z ich przeznaczeniem – wycisnąć z nich gęsty, lepki sok.

Farhad ujął tratwę obiema rękami i zaczął wlec ją po ziemi **na** brzeg sadzawki, a potem puścił ją na wodę. Leżała dziwnie **krzywo**. Kiedy na niej przykląkł, był tak zaskoczony, że nie **zatonęła** natychmiast, iż z nagłego zdumienia o mało nie wpadł **do** wody.

Wziął do ręki ostatnią długą i sprężystą łydygę, zanurzył ją w wodzie i ją popychać tratwę, kierując się do kamiennej wysepki z białym tygrysem. Dopiero gdy był już prawie u celu, przypomniał sobie, że pasażerem, którego ma wziąć na **pokład**, jest tygrys! Prawdziwy, żywy tygrys. Wprawdzie stary, zmierzwiony i pełen parchów, lecz mimo to tygrys z krwi i kości, z ostrymi jak brzytwa pazurami i kłami.

Skąd mógł mieć pewność, że tygrys naprawdę boi się wody? A jeśli ów strach będzie większy niż pragnienie spałaszowania tak smakowitego kąska jak Farhad Kamal? Przez cały dzień biedził się nad tratwą, konstruując równocześnie w myślach drogę dla szczurów, lecz nawet przez ułamek sekundy nie pomyślał o zasadniczym celu swojej akcji.

Przód tratwy dotknął kamiennej platformy, plecionka Farhada zakołysała się lekko. Wciąż jednak trzymała się na wodzie. Farhad podniósł wzrok i spojrzał w błękitne oczy tygrysa. W tym samym momencie usłyszał przenikliwy krzyk dobiegający od głównej bramy świątyni – to strażnicy się przebudzili.

Później Farhad zadawał sobie pytanie, czy to właśnie w tej sekundzie rozstrzygnęły się dalsze losy jego podróży. A może całe jego dalsze życie. Mógł przecież odepchnąć tratwę i po prostu zawrócić do brzegu. Mógł się wycofać i uciec. Jeszcze miał czas. Jeszcze nie było za późno. Strażnicy byli

zajęci chwytaniem świętych szczurów. Zwierzę nie postawiło jeszcze swoich olbrzymich łap na tratwie.

Ale Farhad nie odbił od wyspy. Spojrzał tygrysowi prosto w oczy – i wtedy usłyszał jego słowa.

– Wspaniale, po prostu świetnie – powiedział tygrys. – Złodziej jako bohater, stary zmierzwiony tygrys jako jego wierzchowiec i wiązka trzciny cukrowej jako łódź.

Wyciągnął łapy zaopatrzone u spodu w różowe poduszeczki i z największą ostrożnością dotknął tratwy. Zakołysała się lekko.

– Możesz o tym zapomnieć – mruknął tygrys. Był to bardzo stanowczy pomruk i Farhad zobaczył, jak jego oczy się rozszerzyły. Wyglądały teraz niczym dwa błękitne spodki. – Nigdzie z tobą nie płynę, nie jestem samobójcą! Może ci tego nie powiedzieli, więc ja ci powiem: „Kiedy słony sok życia dotknie białego tygrysa, krystalicznie przejrzysta krew ziemi, kropla śmierci – wtedy zamieni się w kamień, twardy, zimny kamień”. Tak mówi przepowiednia.

Zamilkł i dalej patrzył na Farhada ogromnymi ślepiami, które lśniły w mroku. I wtedy chłopiec pojął: biały tygrys się bał! Tak samo jak on.

– Wskakuj! – rozkazał, starając się, by jego głos zabrzmiał twardo i stanowczo. – Wskakuj na moją tratwę. Uniosła mnie, więc i ciebie uniesie. Musimy się pospieszyć! Strażnicy mogą być tutaj lada chwila, a wtedy żegnaj, wolności! Wolę nie myśleć, co z nami zrobią.

Tygrys zamruczał gniewnie, ale Farhad się nie przestraszył, wiedział bowiem, że ten gniew nie odnosi się do niego, tylko do decyzji, którą musiało podjąć to wielkie zwierzę. Przez całe życie czekało na tę chwilę, kiedy nadejdzie bohater, którego ma nieść na grzbiecie, kiedy będzie mogło wreszcie opuścić swoje ciasne, niegodne więzienie i znów cieszyć się wolnością,

przemierzając indyjskie dżungle. Farhad wsłuchiwał się z napięciem w ciemność. Cisza. Nie było słyhać żadnych kroków. Jeszcze nie.

– No, dobrze – powiedział tygrys. – Ale przesun się jak najdalej, na sam koniec tej swojej tratwy. Jak będziemy stać zbyt blisko siebie, wywrócimy się i koniec z nami. To znaczy ze mną...

Farhad zaśmiał się nerwowo.

– Wolnego! Myślisz, że mam zamiar się do ciebie przytułać? Ani mi to w głowie – rzekł z przekąsem. – Nie jestem taki głupi, na jakiego być może wyglądam. Wprawdzie nie grozi mi zamiana w kamień, ale jestem śmiertelny. Zwłaszcza w towarzystwie tygrysów.

– Cha, cha, cha – mruknął tygrys, naprężając mięśnie.

I zanim Farhad się obejrzał, jednym aksamitnie miękkim nusem wylądował na tratwie obok niego. Ale – zgodnie z umową – nie za blisko...

Tratwa znów się zakołysała. Farhad zamknął oczy, czekając na wielki plusk. Zupełnie niepotrzebnie, jak się okazało, ponieważ wiązka trzciny cukrowej nie zamierzała zmieniać pozycji na wodzie. Tygrys bojaźliwie obserwował małe figlarne fale, które podbiegały do tratwy. Żadna z nich jednak nie dotknęła jego wielkich białych łap.

Farhad ścisnął w dłoni srebrny amulet, ujął mocniej prowlzoryczne wiosło, po czym zdecydowanym ruchem zanurzył je w wodzie i zaczął kierować chwiejącą się na wszystkie strony tratwę z powrotem do brzegu.

– Widzisz wodę? – pytał raz za razem tygrys, kiedy Farhad obrzucał go spojrzeniem. – Podchodzi do góry? No powiedz! Czy mnie ugryzie?

A Farhad zapewniał go bezustannie, że woda na pewno nic mu nie zrobi, że pozostanie grzecznie pod tratwą, ponieważ

słucha się siły ciężkości. Tygrys powątpiewał, czy siła ciężkości działa również nocą, na co Farhad tylko wzdychał i robił co w jego mocy, by nie stracić zimnej krwi i nie popełnić jakiegoś głupstwa. A ponieważ w sukurs przyszły mu umiejętności aktorskie szlifowane przez wiele lat na ulicach Maduraju, zachowywał się tak, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko prowadził dziwne pojazdy z jeszcze dziwniejszymi pasażerami. W głębi duszy żywił nadzieję, że tygrys nie widzi, jak trzęsą mu się ręce. Ile to jeszcze może potrwać, nim strażnicy wyłapią zbiegłe szczury i ruszą na poszukiwanie ich oswobodziciela i wybawcy? Dziesięć minut? Dwie? Kiedy dotarli wreszcie do kamiennych stopni na brzegu sadzawki, Farhad był tak mokry z wysiłku, jakby przepłynął ją w pław. Wskoczył do wody, która tutaj była na szczęście dość płytka, a tygrys dygotał ze strachu.

– Nie bój się – powiedział Farhad. – Przytrzymam mocno tratwę, a ty wyskoczysz na brzeg. I na wszystkich bogów, pospiesz się! Nie mamy czasu do stracenia! Ale nie myśl sobie, że na łodzi ty jesteś panem. Widzisz moje dhoti? No właśnie. Jest kompletnie przemoczone, zgadza się? Zdejmę je i rzucę w ciebie, jeśli będziesz chciał uciec. A musisz wiedzieć, że nikt nie rzuca tak celnie jak ja. Jestem prawdziwym mistrzem w tej konkurencji!

Było to kłamstwo, ale Farhad widział, że tygrys ma teraz w swoim wielkim łbie zgoła inne rzeczy niż sprawdzanie człowieka, który przynosił mu wolność. Zamruczał wprawdzie gniewnie i parsknął, ale potem z największą ostrożnością, podnosząc wysoko łapy, wyszedł na brzeg.

Farhad zdjął przemoczone dhoti, wyjął je pospiesznie i zwinął w niewielki tłumok. Potem skinął na tygrysa, który stał obok sadzawki, bijąc niecierpliwie ogonem, i czekał na niego.

– No to jazda! – szepnął Farhad. – Strażnicy mają teraz pełne ręce roboty przy wielkiej bramie. I bardzo dobrze! A my nie będziemy im przeszkadzać. Wyjdziemy boczną bramą. Jak tylko trochę przeschnę, będziesz mnie nieść na swoim grzbiecie. Tak brzmi przecież przepowiednia, nieprawdaż? Będziesz wierzchowcem bohatera.

– Przestań się popisywać, ty chełpliwy młokosie – mruknął tygrys. – Bo jeszcze gotowym uwierzyć, że naprawdę jesteś taki wspaniały. Prawda jest taka, że masz więcej szczęścia niż rozumu.

Farhad udał, że nie słyszy. Machnął tylko niecierpliwie ręką i zaczął się skradać w kierunku wyjścia, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Ku jego zdumieniu tygrys drepotał grzecznie obok niego.

– A tak w ogóle to dokąd się wybieramy? Czy mógłbyś mi zdradzić, co jest celem naszej podróży? – dopytywał się.

– Później ci wszystko powiem – syknął Farhad. – Teraz musimy stąd zniknąć. To jest najważniejsze!

Na wielkim dziedzińcu ich oczom ukazał się niecodzienny spektakl. Sierść tysięcy biegających dookoła szczurów lśniła metalicznie w świetle księżyca. Wyglądało to tak, jakby między szacownymi budowlami starej świątyni grasowała horda ogromnych chrabąszczy. Strażnicy zdążyli już zamknąć główną bramę i byli właśnie w trakcie opanowywania sytuacji, ale szczury ani myślały wracać do swojej siedziby, która najwyraźniej przestała im się podobać. Wdrapywały się teraz na chropowate mury okalające teren świątyni i znikły tą samą drogą, którą przyszedł Farhad. Tego nie przewidział, więc zatrzymawszy się na moment, złożył dłonie i lekko się ukłonił, okładając hołd ich pomysłowości.

Obaj strażnicy ściągnęli tymczasem posiłki i teraz we trzech krążyli po dziedzińcu z wielkimi płachtami, w które usiłowali

chwycić zbiegłe szczury. Niestety, święte gryzonie zdążyły zasmakować nie tylko w pieczystym, ale też w wolności.

Farhad chciał już zatriumfować, kiedy naraz tygrys przemknął obok niego jak biała trąba powietrzna. Chłopak pomyślał, że idąc za przykładem szczurów, też chce przeskoczyć przez mur i dać drapak, lecz tygrys nie miał wcale takiego zamiaru. Po dwóch susach usiadł na ziemi i zwiesiwszy uszy, rozglądał się dookoła z dość podejrzaną miną. Ku swemu zdumieniu Farhad dostrzegł w wyrazie jego pyska szczerą skruchę.

– Wybacz – powiedziały błękitne oczy tygrysa. – Tak się jakoś stało... To instynkt łowiecki. Szczury – ja tylko... ach, po prostu nie potrafię inaczej.

Farhad widział, jak przednie łapy wielkiego drapieznika drgają niespokojnie, a jego ogon chłoszcze ziemię z większą niż zazwyczaj gwałtownością. Uśmiechnął się, ale nagle zamarł.

– Tam, z przodu! – krzyknął jeden z mężczyzn i rzucił na ziemię płachtę, z którą właśnie nacierał na gromadę pierzchających na wszystkie strony szczurów.

Teraz również dwaj pozostali mężczyźni dostrzegli parę zbiegów. Jeden z nich szybkim ruchem sięgnął do zacienionej niszy, gdzie najwidoczniej coś wcześniej zostawił – coś, co było mało przydatne do wyłapywania szczurów, ale teraz mogło oddać cenne usługi: dubeltówkę.

Farhad w jednej chwili upuścił na ziemię mokry tłumoczek, rzucił się w stronę tygrysa i wskoczył na jego grzbiet z taką zwinnością, jakby robił to przez całe życie. Zwierzę wydało z siebie pomruk przestachu, który przypominał dość nieudane parsknięcie. Wstało jednak posłusznie i ruszyło jak burza do przodu. Farhad wczepił się kurczowo w jego skołtonioną sierść i patrzył zdjęty przerażeniem, jak mężczyzna ła-

duje dubeltówkę. Tygrys pędził wprost na niego. Lecz nim go otaranował swoim potężnym cielskiem, spał się do skoku.

Farhad aż oniemiał z wrażenia – nigdy, przenigdy nie spodziewałby się takiej siły po tym starym i wynędzniałym zwierzęciu. Tylne łapy tygrysa odbiły się od ziemi jak dwie grube metalowe sprężyny, które od wielu lat trwały w najwyższym napięciu – i być może właśnie tak było. Farhad przywarł całym ciałem do przegowanego grzbietu i zamknął oczy. Słyszał za sobą wściekłe okrzyki mężczyzn, a potem huk wystrzału. Śmiertelna kula nie dosięgła go jednak, świsnęła mu tylko koło ucha. Tygrys wylądował zadziwiająco miękko po drugiej stronie muru i popędził dalej długimi susami.

To była brawurowa jazda. Świat przemykał obok Farhada w niezłomnym pędzie, na wszelki wypadek zamknął więc znowu oczy. Po pewnym czasie, kiedy już nieco oprzytomniał, poczuł, że susy tygrysa spowolniały, stając się równocześnie bardziej rytmiczne.

Otworzył oczy i wtedy zobaczył, że tygrys odwrócił ku niemu głowę, co musiało być dość trudne w pełnym biegu. Najbardziej jednak Farhad mógł go słyszeć tylko wówczas, kiedy patrzyli na siebie.

– Czy mógłbyś z łaski swojej zwolnić nieco ten zabójczy chwyt? – spytał tygrys. – Okropnie gniesz mi lewe ucho.

– Ojej, nie wiedziałem – usprawiedliwił się szybko chłopiec. – Wybacz. A tak w ogóle nazywam się Farhad Kamal.

– Ach, ty szczęśliwy lotosie! – mruknął tygrys.

– A ty? Jak ciebie nazywają? – spytał Farhad nieco poirytowany.

Nitish – odparł tygrys z godnością. – Pan Właściwej Drogi.

Ach tak – burknął Farhad. – Ale na szczury polujesz.

Stół hinduskiego rzeźnika

Biały tygrys zwolnił nieco tempo, ale jego susy wciąż jeszcze były długie jak zakola rzek i wysokie niczym drzewa bambusowe.

Tam gdzie łapy zwierzęcia dotknęły gruntu, Farhad widział rozżarzoną ziemię, a kiedy jego potężny ogon zamiatał po polach, trzaskał ryż, łamała się kukurydza, a bananowce nachylały się niczym źdźbła trawy.

Z każdym kolejnym susem tygrys wydawał się zmieniać. Farhad wprost nie mógł się nadziwić, widząc, jak w jego białą sierść z wolna powraca życie. Wygładziła się, stała się grubsza, bardziej puszysta i świetlista, aż w końcu była tak olśniewająco biała jak śnieg w dalekich górach, które Farhad znał tylko z obrazków.

To prawda, Nitish zmienił się nie do poznania. Było tak, jakby w świątyni w Mysore trwał tylko marny, podobny do cienia, nierzeczywisty wizerunek tygrysa. Teraz, wraz z odzyskaną wolnością, stał się tym, kim musiał być niechybnie przed uwięzieniem na kamiennej wysepce: młodym i silnym drapieżnym kotem z zabójczymi pazurami i potężnym uzębieniem – magiczną istotą, która tylko prawdziwemu bohaterowi mogła służyć za wierzchowca.

Farhad z całych sił trzymał się tygrysięgo futra, dziękując niebiosom, że nie poznał Nitisha jako zatrważającego drapieżnego kota. Gdyby wtedy, w świątyni ujrzał tę niezmierną istotę, nie miałby odwagi zbliżyć się do sadzawki nawet na dziesięć metrów.

Tylko jedno się nie zmieniło – odmieniony w tak cudowny sposób Nitish nadal panicznie bał się wody. Czasami przekraczali jakąś na pół wyschniętą rzekę i nawet najmniejsze, prawie niewidoczne strużki toczące się leniwie na dnie brunatnego łożyska białe tygrysy przesadzały tak wielkimi suszami, że Farhad od razu czuł się uspokojony. Bo choć jego magiczny wierzchowiec był teraz tak nieskazitelny, tak silny i po tygrysiem piękny i tak pewnie niósł bohatera przez noc, w jego sercu wciąż czaił się strach, że nawet jedna najmniejsza kropelka wody może go zamienić w kamień.

O świcie zatrzymali się w spokojnej okolicy, robiąc popas pod ogromnym, sędziwym drzewem banianu z rozłożystymi konarami, które rosło nieopodal zbiornika wody należącego do jakiejś wioski.

Nitish zmrużył oczy, zmarszczył leciutko nos, po czym bręcznym ruchem łapy porwał z najniższej gałęzi drzewa nieostrożnego ptaka, aby zaspokoić głód. Była to jedna z gadatliwych czarnych majn o jasnych oczach. Nim ją pożarł, łypnął podejrzliwie na wodę i przysunął się odrobinę do Farhada.

– Z tego tam nic się nie wynurzy, prawda? – zapytał z niepokojem.

– Ależ nie. Skąd ten pomysł? – powiedział Farhad i zaśmiał się głośno.

– Czy ona... pożera ptaki? – nie odpuszczał Nitish.

Pomiędzy jego potężnymi łapami leżał wciąż nietknięty mały czarny ptaszek.

– Woda? Nic mi nie wiadomo na ten temat.

– Tak sobie tylko pomyślałem... – mruknął tygrys. – Przyszło mi do głowy, że... że mogłaby być zazdrosna. Jesteś piewien, że woda nie pożera ptaków?

– Najzupełniej – przytaknął Farhad. – Woda pożera ludzi, ale nie ptaki.

– Ludzi?

– Tylko zmarłych – poprawił się szybko chłopiec. – Karmimy ją ich prochami. Kiedy już znajdziemy kamień i pozostawimy za sobą Gaję, udamy się do Waranasi. Tam zobaczysz, jak woda pożera ludzi. Lub raczej to, co z nich pozostało.

Nitish wstrząsnął się z obrzydzeniem.

– Prochy... Też mi coś! – fuknął pogardliwie, po czym z niezwykłą zręcznością obdarł z piór czarnego ptaszka, żeby zaraz potem schrupać go ze smakiem. – Woda musi być bardzo głupia, jeśli pożera prochy. Powiedz mi, przyjacielu, jak to się właściwie stało, że akurat tobie powierzono tę trudną misję?

– Wpadłem w to tak jakoś – Farhad zawahał się lekko – zupełnie przypadkowo. To znaczy wszedłem do pewnego brytyjskiego ogrodu.

– I co? Mów jaśniej, bo nic a nic nie rozumiem. – Nitish mrugał zdziwiony.

– Próbowałem ukraść srebrny amulet – wyjaśnił Farhad. – Ale okazało się, że to wcale nie jest zwyczajny amulet.

Westchnął ciężko nad swoim losem, a potem opowiedział tygrysowi o wszystkim, co się wydarzyło od chwili, gdy on, Farhad Kamal, złodziej wirtuoz i zawodowy oszust, spotkał Krysznę nad sadzawką z lotosami.

Nitish ziewał od czasu do czasu i czyścił sobie łapy.

– Jeśli pozwolisz – zauważył w końcu – krótko podsumuję: masz, bracie, cztery problemy. Po pierwsze, księżniczka, którą musisz uwolnić, siedzi uwięziona na pustyni Thar, a ta jest

Bardzo daleko stąd. Po drugie, szlachetny kamień, który jest ci **do** tego niezbędny, leży ukryty gdzieś w mieście Gaja, więc – **chcesz** czy nie – musisz jeszcze dotrzeć i tam. A po trzecie... – **Wstał** i wyprężył się z takim rozmachem, jak to tylko potrafią **loty**. – Po trzecie, masz słabe i krótkie nogi jak wszyscy ludzie. **Waladaj**, człowieku. Z wierzchowcem takim jak ja masz już **trzy** problemy rozwiązane.

– A czwarty? – spytał Farhad, kiedy już siedział na grzbiecie **cie** tygrysa.

– Czwartym problemem – odparł Nitish, odwracając do **Niego** swój wielki czarno-biały łeb – jesteś ty sam. Żeby uwolnić księżniczkę, musisz być bohaterem. A do tego jeszcze **daleka** droga, znacznie dłuższa niż jak trzy razy stąd do pustyni **Thar** i z powrotem.

Gdyby Farhad Kamal chodził do szkoły i znał się choć trochę na geografii, nie posiadałby się ze zdumienia, jak szybko **przesuwa** się pod nimi mapa Indii. Było tak, jakby biały tygrys **musiał** tylko unieść do góry potężne łapy, a wtedy ktoś dawał **niemi** za każdym razem takiego kukuśniaka, że z miejsca zaczynała się obracać w zawrotnym tempie niczym gigantyczna **marmurowa** kulka do gry.

I rzeczywiście, tygrys biegł tak niewiarygodnie szybko, że **nikt** nie zdążył ich nawet zauważyć. Było to zdumiewające **njawisko** i Farhad musiał przyznać, że czegoś takiego jak żyje **nie** widział. Prześcigali wszystkie ruchome obiekty – wozy **zaprzężone** w woły i ludzi, tańczące na polach gazele, przelatywali **wali** ponad chatami i mostami, coraz dalej i dalej od świątyni **w** Mysore. Pewnego razu Nitish wbiegł w tłum ludzi, który **obrat** się na drodze, i nikt nie zwrócił na nich najmniejszej **uwagi**. I nie mógł, ponieważ wszędzie tam, gdzie biegli, **znajdowali** się tak nieprawdopodobnie krótko, że już sekundę

później ich nie było. I Farhad Kamal, który w rzeczy samej był spryciarzem, jakich mało, i w swojej długiej karierze niejednego już wywiódł w pole, uznał nie bez racji, że to najlepsze oszustwo, jakie tylko można było sobie wymyślić: zwodzić ludzi za pomocą ich własnej ślepoty. Mącić im w głowach i tumanić najczystsza prawdą!

Zbliżało się południe, kiedy na następnym postoju Farhad namówił pewne dhoti w brązowo-niebieską kratkę, które suszyło się na słońcu, żeby z nim poszło. Od chwili gdy porzucił swój stary przyodziewek w świątyni, podróżował nago. Bawełniana materia sama owinęła się wokół jego bioder, nie sposób więc było mówić o kradzieży. Nocą spali jeden obok drugiego na gołej ziemi, a ponieważ żaden z nich nigdy nie posiadał na własność sprzętu tak luksusowego jak łóżko, ani Farhadowi, ani tygrysowi wcale to nie przeszkadzało.

Drugiej nocy po ucieczce ze świątyni Farhad zerwał się nagle z jakiegoś koszmarne snu, zobaczył obok siebie ogromną oddychającą masę i przeraził się niemal na śmierć. To, że tygrys robi susy szybkie jak chmury i że mówi oczami, jeszcze wcale nie znaczyło, iż nie wpadnie nagle na pomysł, żeby skonsumować na śniadanie lub późną kolację swojego jeźdźca.

Farhad wstał najciszej, jak potrafił, i oddalając się na palcach krok za krokiem, dotarł w końcu do pobliskiej wsi. Pokręcił się tam trochę, powęszył, pomyszkował swoim zwyczajem i w końcu ukradł okazałych rozmiarów bukłak z kozłej skóry, który wisiał na koślawym płocie, po czym nappełnił go wodą u jakiegoś źródła. Kiedy powrócił do obozowiska ze swoją zdobyczą, tygrys przebudził się ze snu i spoglądał zaspany na Farhada błękitnymi oczami. Migotało w nich światło gwiazd, a chłopakowi wydało się ono tej nocy tak samo ostre jak zęby tygrysa. Objął mocniej bukłak, przycisnął go obiema rękami do brzucha i dopiero wtedy odwzajemnił spojrzenie Nitisha.

- Tchórzliwy człowiek – szepnął tygrys swoimi niesamowitymi oczami, a z jego krtani wydobyło się ciche, groźne parsknięcie – po trzykroć tchórzliwy mały człowiek.

Farhad Kamal dobrze wiedział, że jest tchórzem.

- Lepiej być tchórzem niż trupem – odparł.

- Tssss – syknął Nitish. – I to właśnie ciebie niosę na swoim grzbiecie przez cały kraj, żeby ratować księżniczkę.

- Ach, bądź cicho, ty wielki niebieskooki kocurze! – ofuknął go Farhad, zwinął się w kłębek i odwrócił plecami do tygrysa. Ale dawał baczenie, żeby bukłak z wodą mieć zawsze w pogotowiu.

Znalazł po drodze długą, mocną taśmę, przywiązał ją do bukłaka i od tego czasu nosił go zawsze na ramieniu niczym osobliwą broń, a kiedy nadchodziła noc, zasypiał z nim w ramionach. Nitish pomrukiwał za każdym razem, kiedy słyszał chlupot wody w worku z kozłej skóry, ale nic już nie wspominał o tchórzliwości Farhada.

Im dalej zapuszczali się na północ, tym bardziej robiło się sucho. Monsun wydawał się opóźniać w tej części kraju. Rzeki dawno wyschły i Nitish przekraczał ich brunatne, żałośnie suche koryta, parskając triumfalnie.

- Woda sobie poszła – mówił zadowolony. – Jest zbyt głupiu, żeby znieść słońce.

- Bez wody nie ma także zielonych krzewów i drzew, w których ćwierka twój obiad – upomniał go Farhad. – Woda to życie. Wszystkie żywe istoty muszą pić.

- Nawet inne tygrysy? – spytał Nitish od niechcienia.

Farhad przytaknął.

Tej nocy jego towarzysz wstrząsał się raz za razem, jego wielkie łapy drgały niespokojnie przez sen, a z przepastnej gardzieli wydobywało się żałosne kwilenie. Kiedy się obudził, spojrzął w szczególny sposób na Farhada.

– Nie uwierzysz, co mi się śniło – zaczął tajemniczo. – Wyobraź sobie, że w moim śnie byłem zupełnie zwyczajnym tygrysem. Brudnożółtym i okropnie spragnionym. I rozmawiałem z innymi tygrysami. To było całkiem przyjemne.

W jego słowach brzmiało zdumienie i jakby cichy smutek i Farhad przez chwilę odczuł coś na kształt sympatii do tego wielkiego zwierzęcia. Jednak ponieważ ulicznik jeszcze nigdy nie odczuwał do kogoś sympatii, nie rozpoznał przeto tego uczucia w swoim sercu i wytłumaczył je sobie błędnie jako głód.

– Ale ty nie jesteś przecież zwykłym tygrysem – powiedział. – Zapomniałeś, przyjacielu? Jesteś boskim Nitishem, Panem Właściwej Drogi.

Wstał z ziemi, otrzepał swój nowy przyodziewek i zakomenderował:

– Dość już gadania. Pora ruszać w drogę i poszukać czegoś do jedzenia. Słyszysz, jak mi burczy w brzuchu?

Piątego dnia pod wieczór dotarli wreszcie do miasta. Farhad od dawna już do niego tęsknił. Oczy miał suche od wiatru, który chłostał go bezlitośnie na grzbiecie tygrysa, a jego dusza była wyschnięta na pył od brunatnej jednostajności nędznych, łaknących wody pól.

A poza tym odczuwał już wielką tęsknotę, by jak najrychlej powrócić do swojego rzemiosła i wziąć się do roboty. Jak każdy, kto jest dobry w swoim fachu, był bez niego niczym, małym, tchórzliwym człowiekiem, jak powiedział tygrys. Farhad poczuł, jak zadrżały mu palce, kiedy zobaczył pierwsze obłoki kurzu, które wytwarzało miasto. Jego złodziejska wyobraźnia już teraz szukała dróg i sposobów zdobycia dóbr, których jego oczy jeszcze nawet nie ujrzały. Jakie obce bogactwa zaoferuje mu Gaja? Jakie mieniające się wszystkimi bar-

wami tęczy klejnoty? I jakie wspaniałe sposobności – miasto, w którym nie musiał nawet się zmieniać, przeobrażać, kamuflować, by pozostać nierozpoznany? Czyż to nie piękne? Ta wizja napełniła radością jego złodziejskie serce. Tak czy inaczej, jeden klejnot już czekał w Gai na Farhada Kamala.

– Tam – powiedział do Nitisha – widzisz, przyjacielu? Gdzieś tam na dole, pod tym wielkim szaroburym kloszem kurzu leży ukryty ów niezrównany klejnot, Krwawy Kamień.

Poczuł dziwnie podniecające łaskotanie w karku, kiedy wymówił te dwa słowa. Jakby już tylko te dwa słowa miały w sobie magiczną moc.

– Słyszałem o nim – powiedział Nitish. – Podobno ciąży na nim jakaś straszna klątwa.

– A jeśli nawet, to co? – powiedział Farhad zuchowato. – Nie boję się żadnych klątw. Choćby najstraszniejszych. Co mi w końcu może zrobić kawałek błyszczącego kamyka?

– Chodzą słuchy – zamruczał ostrzegawczo tygrys – że ten, kto go dotknie, rozstanie się z życiem, zanim ziemia zrobi jedno okrążenie wokół księżyca.

– Wierutne bzdury – zaśmiał się Farhad szyderczo. – A wiesz, mądralo, dlaczego? Ponieważ wokół księżyca obraca się słońce, a ziemia stoi w miejscu, ot co!

Zarówno edukacja Farhada, jak i tygrysa pozostawiała wiele do życzenia.

– W każdym razie ten kamień przynosi śmierć – upierał się przy swoim tygrys – najpóźniej po miesiącu. Tak mówią.

– Gdybym wierzył we wszystko, co gadają ludzie – rzekł Farhad – miałbym masę roboty przez dwadzieścia trzy godziny, które daje mi dzień.

Przez dwadzieścia sześć – sprostował tygrys tonem znającego się na rzeczy. I gniewnie parskając, wyładował z impetem przed pierwszymi chatami Gai.

Sklecone z desek i wzmocnione glinianą zaprawą domy wyrosły ponad mury miasta jak pnącza porastające płoty i mury, powiększając znacząco obszar dawnego grodu, i teraz to właśnie te ubogie domostwa witały młodego przybysza i jego białego tygrysa. Po raz pierwszy, odkąd wyruszyli razem w tę podróż, szybki jak chmury na niebie Nitish raczył być na tyle powolny, by wreszcie mogli zostać zauważeni. Farhad wjechał na nim do miasta tak dumnie jak król na swoim rumaku.

Zewsząd zbiegły się dzieciaki, zbijając w coraz to większą gromadę, która podążała za nimi, głośno wiwatując. A dorośli uskakiwali przezornie na bok, kiedy przejeżdżał ulicami z wysoko podniesioną głową.

– To musi być prawdziwy bohater – mówili starcy, którzy siedzieli w kucki w ulicznym pyłe przed drzwiami swoich domostw. – Ten, kto jedzie na białym tygrysie, jest bohaterem, nie inaczej. Oto powraca czas podań i legend, a ci przekłęci Anglicy nie zagrzeją już tutaj długo miejsca.

– Przecież on wcale nie wygląda jak bohater – szeptały jedna do drugiej młode kobiety, naciągając pospiesznie na twarze barwne chusty i szale, kiedy obcy przybysz przejeżdżał obok nich. I nie robiły tego bynajmniej z powodu kurzu ani nie po to, by ukrywać swą urodę.

Farhad wiedział, że chowały się za tymi zastłonami, żeby zyskać na urodzie. Wszystkie krzywe nosy i krzywe zęby, wszystkie dziobate policzki i niekształtne podbródki, których nie widział, mógł sobie wyobrażać jako doskonałe. Od dawna znał tę starą jak świat sztuczkę kobiet. Żadna z nich nie zdobyła jednak serca bohatera, choć ich ukradkowe, powłóczyście spojrzenia zza długich rzęs mogłyby zbałamucić niejednego mężczyznę z krwi i kości. Serce bohatera biło dla Krwawego Kamienia. Podobnie jak wiele innych rzeczy na tym świecie

również miłość była mu dotychczas obca. Ten, kto musi dzień po dniu walczyć o przetrwanie, nie może sobie pozwolić na miłość.

Farhad przejechał przez całe miasto, rozkoszując się swoją popularnością, i gdy dotarł wreszcie do przedmieść na jego drugim krańcu, zajął tam kwaterę wraz z tygrysem, nie uchodziło bowiem, by bohater spał na gołej ziemi. Nie bohater w mieście. Gospodarzowi przyrzekł, że zapłaci za nocleg następnego dnia, postanawiając tłumaczyć na własny użytek termin „następny” tyleż elastycznie, co długofalowo.

Po obfitym posiłku, za który zamierzał zapłacić, rzecz jasna, również następnego dnia, uciął sobie drzemkę, po czym wyruszył na poszukiwanie Krwawego Kamienia.

Jak się miało okazać już niebawem, trafił na jego ślad tam, gdzie się najmniej tego spodziewał.

Farhad wyszedł ze słusznego skądinąd założenia, że wszystkie pogłoski, wieści i plotki każdego miasta spływają do jednego określonego miejsca. Jeśli zatem czegoś się szukało, należało przede wszystkim znaleźć to miejsce – a wtedy sprawa była już wygrana.

Przez jakiś czas wahał się bez celu po ulicach Gai, mając u swego boku tygrysa jak wielkiego psa, którego wyprowadzał na spacer. W głębi duszy życzył sobie, żeby Nitish był niewidzialny.

Przechadzka z białym tygrysem po indyjskim mieście jest mniej więcej tak samo dyskretnym przedsięwzięciem jak stanąć na głowie z palmą daktylową pod pachą pośrodku miejskiego placu. Farhadowi towarzyszyła przez cały czas czereda dzieciaków rosnąca z minuty na minutę. W końcu miał dość ciekawskich spojrzeń. Poirytowany przysiadł na jakimś murku w nadziei, że pogłoski same znajdą do niego drogę.

Gdyby się lepiej zastanowił nad tym, gdzie siada, nie stałoby się to, co się stało. Lecz wówczas nigdy nie wpadłby na ślad Krwawego Kamienia.

Niski brunatny murek, na którym usiadł Farhad lub raczej na którym kazało mu usiąść przeznaczenie, należał bowiem do wielkiego terenu targowego, a Farhad trafił właśnie tam, gdzie rzeźnicy mieli swoje ociekające krwią stragany.

Wypatroszone tusze zwierząt wisały na olbrzymich hakach, bezgłowe kury leżały na długich stołach, małe i duże nogi odrąbane od mniejszych i większych tułowi piętrzyły się w równiutko ułożonych w stosach, a ponad tym wszystkim unosiła się brzęcząca chmara żarłocznych much.

Farhad miał nadzieję, że dzieciarnia zostawi go teraz w spokoju, ale srodze się zawiódł. Hinduskich dzieci nie odstraszą ani krew, ani muchy. Tkwiły dalej w bezpiecznej odległości, nic sobie nie robiąc z martwych baranów i kogutów, i najwyraźniej oczekiwały, iż Farhad wraz ze swoim białym tygrysem zaprezentują im jakiś niezrównany spektakl. Co w rzeczy samej stało się już niebawem. Wszelako – w tym miejscu trzeba bezwzględnie oddać sprawiedliwość naszemu bohaterowi – nie z jego woli.

Nitish zwietrzył mięso. A był straszliwie głodny. Tego dnia nie upolował jeszcze żadnego ptaka, a wegetariański posiłek Farhada, złożony z ryżu i warzyw, wcale go nie kusił.

Teraz jednak jego nozdrza drgały niespokojnie. I kiedy Farhad próbował przeczekać na murku ciekawość czeready umorusanych dzieciaków, przysłuchując się równocześnie głosom przechodzących obok ludzi, długi tygrysi ogon zaczął uderzać z impetem o splamioną krwią ziemię na skraju targowiska. Coraz mocniej i mocniej.

Niektórzy handlarze mięsem zerkali na niego podejrzliwie, szepcząc coś do siebie ukradkiem.

– Nie bójcie się! – zawołał do nich Farhad, próbując załęgnać wiszącą w powietrzu awanturę. – On wam nic nie zrobił! A waszych zwierząt przecież i tak nie zabije, ponieważ wiążą już martwe na hakach.

Handlarze mięsem roześmiali się.

– Krew na kamiennych stopniach waszego targu – zwrócił się do nich Farhad, pocierając czoło, jakby się nad czymś zastanawiał z natężeniem – coś mi przypomina.... Tylko co też to było...

Jeden z mężczyzn obtarł ręce w uwalane krwią lunghi, którym opasał gruby brzuch.

– Naprawdę sobie nie przypominasz? – zapytał, podchodząc do niego.

– Ani trochę – powiedział Farhad, ciesząc się w głębi duszy, że tak szybko znalazł naiwnego, który dał się złapać na tę bardzo prostą w gruncie rzeczy sztuczkę. – Krew... kamień... czyżbyś wiedział, co by mi to mogło przypominać?

Grubas pochylił się do Farhada i rozejrzał czujnie na wszystkie strony.

Potem uśmiechnął się chytrze, a Farhad już wiedział, że rybka połknęła haczyk. Zawsze tak było. Im chytrzej się uśmiechali, tym łatwiej ich było podejść.

– Krwawy Kamień – wyszeptał z nabożeństwem handlarz mięsem. – Klejnot. Istny cud. Drugiego takiego nie znajdziesz, choćbyś przewędrował cały świat. Ale ten przynosi tylko nieszczęście. Powiadają, że sługa króla demonów Rawany poluje na niego od wielu lat, odkąd ujrzał go po raz pierwszy.

-- No nie! Naprawdę? Gdzieś już chyba słyszałem o tym kamieniu. Tylko gdzie to było? Powiedz mi lepiej, jak wygląda ten istny cud.

-- Świecący – wyszeptał mężczyzna – świecący jak słońce w zenicie i purpurowy jak krew księżniczki, z której powstał.

I mogę przysiąc na moją brodę, że jest co najmniej tak duży jak mój kciuk! O, widzisz?

Farhad udał, że nie posiada się ze zdumienia, żywiąc w głębi duszy nadzieję, że ów drogi kamień nie jest tak krzywy i szpetny jak kciuk, który grubas podetknął mu pod sam nos.

– Wydajesz się obeznany z tą sprawą – szepnął tonem spiskowca. – Może ukryłeś go w swoim lunghi? Bo jeśli nie, to skąd, u licha, wiesz to wszystko tak dokładnie?

Mężczyzna aż jęknął, wyciągając ręce w obronnym geście.

– Za nic w świecie bym go nie tknął! Nigdy, przenigdy. Nawet gdyby mi go podarowano! Kamień, który zrodził się z krwi i na który dybie jakiś demon! O nie! Nie jestem taki głupi! Ale chodzą słuchy, że od niedawna ów klejnot jest tutaj, w tym mieście. Przybył z Maduraju, gdzie przez długi czas leżał uśpiony, aż w końcu dobrał się do niego jakiś złodziejaszek i przywiózł do naszego miasta. Obito mi się o uszy, że kupił go za niezłą sumkę... ale, ale – gdzie jest tygrys?!

Farhad, który nie mógł się już doczekać tej ostatniej, najbardziej cennej, najbardziej poufnej informacji, z najwyższą niechęcią oderwał wzrok od gadatliwego handlarza i spojrzał ponad jego ramieniem. Miejsce, na którym jeszcze przed chwilą leżał Nitish, było teraz puste.

– O, do diabła! – mruknął tylko.

Wskoczył na murek, stanął na palcach i zaczął się rozglądać po całym targu, szukając wielkiej białej plamy z czarnymi pręgami.

– Tam! – krzyknął handlarz mięsem. – Jest tam! Spójrz tylko!

Farhad spojrzał we wskazanym kierunku.

Nitish pędził wprost na niego jak burza, zamiatając ogniem ziemię, i nie był sam. Z jego potężnej paszczy zwisała połowa kozy.

- O nie! – jęknął Farhad.

Handlarz mięsem uskokzył na bok, kiedy wielki kot wylądował tuż obok Farhada, składając u jego stóp kozę.

- Masz rację, przyjacielu – mówiły do chłopca błękitne oczy, podczas gdy ich właściciel zlizywał z warg gęstą i lepką posokę. – To wcale nie jest takie trudne. Capnąłem ją raz-dwa, nawet nikt nie zauważył. Gdzie ci ludzie mają oczy? Wreszcie znów będzie uczta... I wiesz co? Ona nie ma piór jak wszystkie te głupie ptaszyska, które już bokiem mi wychodzą! Pomyśl tylko, ktoś musiał ją oskubać!

- Kozy – powiedział Farhad, cedząc słowa – nie mają piór.

- Aaa, prawda – natychmiast zgodził się z nim tygrys. – Kiedy żyło się tak długo w niewoli, można zapomnieć o takich rzeczach. Zaraz przyniosę drugą połówkę.

- Stój! – wrzasnął Farhad. – Nitish! Nigdzie nie pójdziesz!

Ale tygrys ani myślał go słuchać. Najwyraźniej zdążył już zasmakować w zabawie, którą Farhad znał od paru ładnych lat... Czarno-biały ogon wśliznął się pod stół jak wielka żmija – i tyle go było widać. Farhad westchnął.

- Odniosę kozę z powrotem – bąknął skruszony, a handlarz mięsem skinął głową.

- Cokolwiek jest twoim zwierzęciem domowym – powiedział z uśmiechem – powinieneś je lepiej wychować.

Farhad chwycił za nogi połowę kozy i skierował się z nią w uliczkę, z której wynurzył się Nitish. Co innego ukraść drogocenny kamień wielkości gołębiego jaja, a co innego dać się przyłapać ze skradzioną połową kozy. Zwierzę było piekielnie ciężkie i oślizgłe. Farhad sapał z wysiłku i złości, zzymając się na złośliwość losu. A tylko chwila dzieliła go od informacji, której tak bardzo potrzebował.

Spojrzał w zastygłe oczy martwej kozy i pokręcił głową. „Może ty mi powiesz, gdzie mam szukać tego przekłętego

kamienia?” – pomyślał z goryczą. Ale koza milczała uparcie. Farhad nie uszedł jeszcze daleko, kiedy nagle zobaczył dwóch ludzi torujących sobie energicznie drogę wśród kłębiącej się na targu ciżby. Szli wprost na niego.

– Tam! – krzyknął drżącym z oburzenia głosem jakiś miżernej postury mężczyzna z mocno przerzedzoną czupryną i wskazał palcem na Farhada. – To jest moja połowa kozy, przysięgam! A ten – zaczął wymachiwać rękami jak szalony – to człowiek, do którego należy tygrys!

Drugim mężczyzną, który zbliżał się do chłopaka, był wysoki jak topola Anglik. Ku wielkiemu niezadowoleniu Farhada miał on na sobie mundur, który budził w nim najgorsze wspomnienia: policjant.

W jednej chwili wypuścił z rąk nogi skradzionej kozy i zanurkował w tłum. Był mniejszy i bardziej zwinny niż każdy Anglik, o czym dobrze wiedział z doświadczenia. Wśliznął się pod jakiś stół, z którego gapił się na niego rząd martwych baranich głów.

Mózg Farhada pracował na najwyższych obrotach i w trzy sekundy miał już gotowy plan działania: zamierzał wyjść z drugiej strony stołu i uciekać dalej. I wszystko skończyłoby się przypuszczalnie zgodnie z jego błyskawicznym planem, gdyby nie pewien drobny szczegół. Otóż, kiedy Farhad szykował się do skoku, pośliznął się na leżącym na ziemi kawałku tłuszczu i runął na wznak.

Ziemia pod stołem indyjskiego rzeźnika jest bez wątpienia najmniej przydatnym miejscem na całej kuli ziemskiej do robienia wywrotki z dwóch powodów: po pierwsze, nie można zawczasu wiedzieć, na co się upadnie, po drugie, otoczenie odznacza się zazwyczaj tak wysokim stopniem śliskości, że właściwie nie ma się żadnych, ale to żadnych szans, by w stosownym, to znaczy jak najkrótszym czasie stanąć znów na nogi.

Ogarnięty paniką Farhad próbował rozpaczliwie znaleźć oparcie na śliskim podłożu, pomagając sobie przy tym wszystkimi kończynami. Wtedy pochwyciła go nagle jakaś silna dłoń i nim się zorientował, co się dzieje, patrzył wprost w spąsowiąłą z wściekłości twarz brytyjskiego policjanta. Pomyślał o skradzionej połowie kozy i już wiedział, że nie będzie lekko. Przez chwilę walczyli zażarcie, szamocząc się pośród śluzu, krwi i błota. Przeciwnik był jednak zdecydowanie większy, zdecydowanie silniejszy i stał pewniej na nogach. Wyciągnął więc spod stołu wierzgającego dziko Farhada. Rzeźnik, do którego należał stół, oraz właściciel połowy kozy pomagali mu skwapliwie.

– Nie mam wprawdzie pojęcia – powiedział Anglik, kiedy postawił wreszcie Farhada na nogi – dlaczego ten człowiek tutaj bredzi coś o biegających na wolności tygrysach, ale mniejsza z tym... Ty, bratku, ukradłeś jego towar.

Trzymany w żelaznym uścisku Farhad odwrócił się do policjanta i zadzierając głowę, spojrzał mu hardo w oczy.

– Nie zrobiłem tego! – krzyknął. – Sam pan słyszał, panie władzo! To był biały tygrys! Ale ja... ja w ogóle go nie znam!

– Tak, tak, oczywiście – powiedział sucho policjant, przekazując Farhada właścicielowi kozy.

Z tłumu gapiów otaczających ciasnym pierścieniem miejsce zdarzenia wysunął się jakiś krzywonogi człeczyna i wręczył policjantowi czystą chustkę, którą ten przyjął bez słowa i z pełną obrzydzenia miną wycierał sobie ręce.

– Aaa... To teraz mamy jeszcze do kompletu białego tygrysa. Interesujące. A może on potrafi nawet latać? – spytał.

Coś w tym rodzaju – mruknął Farhad, jednak na tyle cicho, żeby policjant go nie usłyszał.

Zawsze to mówię. I zdania nie zmienię, Bóg mi świadkiem. Cały ten kraj jest kompletnie zbrukowany – zauważył markustycznie Anglik. – Ale nie widzę tu żadnego tygrysa.

Skinął do obu rzeźników.

– Prowadźcie go za mną.

– Dokąd? – krzyknął w rozpaczy Farhad i po raz kolejny próbował się oswobodzić. Na próżno. Walka nie była wszak nigdy jego żywiołem. – Dokąd mnie prowadzicie?

– Najpierw do naszego nowego, pięknego więzienia – powiedział policjant, wzruszając ramionami. – Znajdziemy ci tam jakąś przytulną celę, gdzie będziesz mógł zastanowić się w spokoju, jak zapłacisz za skradzioną kozę.

– Nie! – krzyknął Farhad. – Nie możecie mi tego zrobić! Nie mam czasu! Czeka na mnie córka Kryszy. Ja muszę...

– Coś takiego! Słyszeliście, ludzie? – zadrwił handlarz baraniny i zaśmiał się. – Spójrzcie tylko na niego. Córka Kryszy! Biedactwo. Zdaje się, że będzie musiała jeszcze trochę poczekać. A teraz zamknij się wreszcie i przestań ryczeć jak zarzynany baran!

Mówiąc to, uśmiechnął się złośliwie, po czym wsadził w usta bezbronnemu chłopakowi, którego ręce nadal przytrzymywali obaj mężczyźni, brudną chustkę. Farhad, który – jak większość hinduistów – był wegetarianinem, po raz pierwszy w życiu posmakował zwierzęcej krwi, i przeklinał z głębi serca Kryszy i całą tę nieszczęsną podróż.

Cela, do której trafił, była mała i ciemna. Na domiar złego panował w niej nieznośny zaduch. Nie było tutaj niczego godnego wzmianki prócz dwóch wąskich piętrowych prycz i zakratowanego okienka, które wychodziło na podwórko znajdujące się na tyłach więzienia.

– Widoczek wcale, wcale. Właściwie nie można mu nic zarzucić – zauważył Farhad, podchodząc do okna.

Oprócz niego w celi był jeszcze jeden lokator. Siedział na swojej pryczy i obserwował nowo przybyłego spod oka.

– Co takiego podoba ci się w tym widoku? – spytał.

– Nie zabiera zbyt dużo miejsca – wyjaśnił Farhad. – I nie kusi człowieka na wolność. Nienawidzę patrzeć na zielone łąki, kiedy siedzę za kratkami.

– Czy często ci się to zdarza? – spytał mężczyzna.

– Oczywiście. Jestem recydywistą – odparł Farhad i opadł z westchnieniem na wolną pryczę. Była twarda jak kamień.

Jego współlokator odwrócił się bez słowa do ściany. Wydawało się, iż uznał rozmowę za skończoną.

Farhad natomiast nie spuszczał z niego wzroku. Mężczyzna miał na głowie brudny turban i był ubrany w długą szatę. Największe zainteresowanie Farhada wzbudziły jednak jego wąsy z kunsztownie podkreślonymi do góry końcami. Widział je tylko przez chwilę, ale ogarnęło go uczucie, że coś tutaj nie gra. A może mu się tylko wydawało.

Tak czy inaczej wszystko wskazywało na to, że ten obcy jest muzułmaninem, dzięki czemu Farhad mógł sobie zaoszczędzić opowiadania mu historii o Krysznie. Pewnie i tak nic by z tego nie zrozumiał, więc po co strzępić sobie język po próżnicy. Kiedy upewnił się, że jego współtowarzysz zasnął, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wąskiej pryczy i wyciągnął srebrny amulet.

Dotknął lekko palcem maleńkiego zatrzasku, otworzył wleczek i przyglądał się z uwagą fotografii. I ku swemu zdumieniu od razu poczuł się trochę mniej samotny. Również młodej dziewczynie z fotografii nie wiodło się lepiej. Ona też siedziała w jakimś więzieniu, czekając na ratunek. Kiedy tak przyglądał się w zamyśleniu jej wizerunkowi, ogarnęło go uczucie, że brunatna zaślona spowijająca jej twarz uniosła się odrobinę, jak mgła, która u latuje ledwie zauważalnie nad łąkami. Obraz był wprawdzie wciąż jeszcze lekko rozmyty, Farhad rozpoznawał jednak teraz wyraźnie rysy twarzy

dziewczyny. Była piękna jak gwiazda wieczorna. Może nawet piękniejsza.

Cóż, piękna córka Kryszny będzie musiała cierpliwie czekać. Ale czy jej cierpliwość zostanie w końcu wynagrodzona? Czy jej wybawca zdąży dotrzeć do miasta w samym sercu pustyni przed następną pełnią księżyca? Teraz, gdy stracił również swojego wierzchowca?

Nitish usłyszał jakiś zgiełk na targu mięsnym i tknięty złym przeczuciem przycupnął z drugą połową kozy pod jednym z długich rzeźniczych stołów, których stały tutaj całe tuziny. Nasłuchiwał przez chwilę wzburzonych głosów handlarzy i kupujących, które docierały do jego uszu, i wtedy pojął – zabrali Farhada. W wielkim pośpiechu pożarł skradzioną kozę, po czym udał się na poszukiwanie więzienia, o którym mówili ludzie na targu. Choć trudno mu było się do tego przyznać, czuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ponieważ to właśnie on – Pan Właściwej Drogi – zawiódł swojego bohatera za kratki. Pocieszał się jednak, że zaraz go stamtąd wydostanie. Niestety, już niebawem okazało się to znacznie trudniejsze, niż myślał.

Zbliżył się do masywnej bryły więzienia od strony głównej bramy i ku swojemu zdumieniu zobaczył tam wielką zieloną plamę. Brytyjczycy urządzili przed swoim reprezentacyjnym budynkiem wspaniałą trawnik, który pysznił się teraz w słońcu. Pomiędzy soczyste zielonymi gazonami bieleła się równa, wysypana żwirem alejka prowadząca wprost do dwuskrzydłowych drzwi więzienia. Nitish zamierzał właśnie iść tą drogą, żeby wypłoszyć wartowników stojących przed drzwiami, kiedy cofnął się, drżąc na całym ciele. Mało brakowało, a trafiłby go piekielnie silny strumień wody z węża ogrodowego.

Zatoczył się do tyłu i usiadł oszołomiony na żwirze. I wtedy ich zobaczył: stali na obu trawnikach, po trzech na każdym, trzymając w dłoniach długie gumowe węże, którymi równomiernie zataczali koła: sześciu dobrze zbudowanych mężczyzn odzianych w odświętną biel, z pięknymi czerwonymi czapkami na głowach. Nitish wstrząsnął się z obrzydzeniem. Wszystkie węże prowadziły do pompy stojącej na środku trawnika.

– No, nie! – powiedział sam do siebie Nitish. – Czy można uciekać na widok zwykłej pompy?

Odczekał, aż mężczyźni skierowali węże w inną stronę, i po raz drugi podjął próbę przedostania się na żwirową alejkę. W tej samej chwili zauważył go jeden z mężczyzn. Zawołał do pozostałych coś, czego tygrys wprawdzie nie zrozumiał, domyślił się jednak, że o nim mowa, ponieważ wszyscy spojrzeli w jego kierunku. Prychnął głośno, żeby zmusić ich do ucieczki. Ale mężczyźni spokojnie wrócili do swojego zajęcia. Ten, kto miał wówczas w Indiach dobrze płatną pracę, nie pozwalał sobie na jej porzucenie, nawet z powodu białego tygrysa.

Zdezorientowany i coraz bardziej rozeźlony Nitish podjął kolejną rozpaczliwą próbę sforsowania żwirowej alejki. Nie udało się. Jeden z mężczyzn z zadziwiającym uporem polewał wodą trawnik. Nitish nie dawał jednak za wygraną. Kilka razy skakał do przodu, by już w następnym momencie odskakiwać w tył. W końcu zmienił taktykę, próbując dotrzeć do głównej bramy więzienia okrężną drogą – również bez skutku. Poddał się wreszcie i usiadł zrezygnowany na skraju trawnika, żeby się zastanowić, co robić dalej. W powietrzu wirował pył, który sam wzbił, skacząc jak szalenciec, i który teraz owiadał z wolna cienką warstewką na jego sierści, zabarwiając ją na szaro. Po chwili u słyszał cieniutki dziewczęcy głosik.

– Mamo, zobacz! Brytyjczycy postawili przed więzieniem kamiennego tygrysa!

Z początku Nitish przestraszył się tak bardzo, iż nie mógł się nawet ruszyć. Czyżby trafiła go jakaś podstępna kropla? Czyżby naprawdę zamienił się w kamień? Łypnął ukradkiem na podlewających trawnik. Nie, stali w bezpiecznej odległości.

„Zatem – pomyślał – jeśli mogę poruszać oczami, to chyba jednak nie skamieniałem. Zaraz się o tym przekonamy”.

Wciągnął na próbę pazury, a potem znów je wysunął. To prawda, były twarde jak kamień, ale nie skamieniałe. Uśmiech zadowolenia rozlał się na jego szerokim pysku w czarno-białe pręgi. „To wcale nie jest głupi pomysł – udawać kamienny posąg. Muszę to sobie zapamiętać na przyszłość”.

– Jestem kamiennym posągiem – powiedział sam do siebie i zachichotał cicho w swoje szare futro.

Nadszedł wieczór i Farhad stał znów przy maleńkim zakratowanym okienku. Biały tygrys był już na pewno wiele mil stąd. Teraz, gdy już nikt nie groził mu skórzanym bukłakiem napełnionym wodą... To przekłete zwierzę musiało ukryć się gdzieś pod którymś z rzeźniczych stołów na targowisku. Farhad oczami wyobraźni ujrzał, jak Nitish przyczaja się i mrużąc błękitne ślepie, zrywa z gałęzi jakąś nie dość czujną gadatliwą majnę z żółtymi oczami i spożywa ją z całym spokojem pod na wpół uschniętym drzewem. Ale co dalej? Czy Kryszna przywoła go do porządku, ponieważ lęka się o swoją córkę? Farhad zamyślił się. Czy mógł liczyć na pomoc Kryszny, gdy w grę wchodzili Brytyjczycy? Trudna sprawa. Zdrowy rozsądek podpowiadał Farhadowi, że biały tygrys jest dla niego bezpowrotnie stracony.

Muzułmanin z pięknymi wąsami spał od dobrej godziny na swojej pryczy, ale Farhad nie mógł zasnąć. Wyglądał przez

okrąglone okienko, wpatrując się w tonące w mroku podwórze tak długo, aż rozboleły go oczy.

Na niebie wisiał księżyc w kształcie wąskiego sierpa. Wkrótce znów zacznie przybierać, pęcznieć noc po nocy, naję się do syta światłem, a kiedy będzie znów okrągły jak wielka błyszcząca piłka, odbędą się zaślubiny Rawany z księżniczką. Czas umykał Farhadowi nieubłagane, a on nic nie mógł zrobić. Nagle wydało mu się, że na dachach coś się poruszyło... coś jasnego, właśnie tak, jakby księżyc postanowił rozruszać trochę stare kości, zsunął się z nieba i teraz przekakiwał z dachu na dach.

Biała sylwetka od czasu do czasu przystawała, jak gdyby rozważała następny skok, a potem znów ruszała dalej, sunąc wprost na Farhada. Labirynt zapadniętych balkonów i występów muru wyglądał w ciemnościach jak demoniczna paszcza, po której groźnie wyszczerzonych zębiskach tajemniczy biały cień balansował z wielką ostrożnością. Trudne zadanie! A potem Farhad zobaczył wielkie łapy i długi ogon tajemniczego cienia.

– Nitish! – wyszeptał zdumiony.

Tygrys przyczał się do ostatniego długiego skoku między dwoma dachami, po czym opadł na brudne podwórze. Wciąż przypłaszczony do ziemi okrążył dwie góry gruzu i śmieci i podkraść się bezszelestnie do zakratowanego okienka, za którym stał Farhad. Jego błękitne oczy lśniły w mroku, a wąsy drżały z wyczerpania.

– Ale się namęczyłem! Dwoma susami pokonuję każde, nawet najbardziej poplątane miasto – oznajmiły oczy tygrysa – ale połapać się w tych ich przeklętych podwórkach to jest dopiero sztuka.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytał Farhad.

Tygrys zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Myślisz, że tylko ty masz ważną misję do spełnienia?

- Co on ci obiecał?
- Kto? – spytał Nitish.
- Wiesz dobrze, o kim myślę. Nasz miłujący grę na flecie przyjaciel... Krysna.
- Krysna? – Z przepastnej tygryziej gardzieli wydobył się cichy, mrużący odgłos, jakby Nitish się śmiał.
- Wolność. Jakies dziesięć ludzkich pokoleń wstecz. Może jeszcze dawniej. Zbyt długo czekałem na spełnienie jego obietnicy.
- Wolność? Przecież jesteś wolny!
- Wolność od moich darów – wyjaśnił Nitish. – Kiedy księżniczka powróci cała i zdrowa do ojca, będę taki jak wszystkie inne tygrysy. Będę pił wodę i przeprawiał się przez rzeki.
- Pomóż mi, Nitish. Ja też muszę się wydostać na wolność. Zaczynam się dusić w tych murach.
- Właśnie dlatego tutaj jestem, mój mały sprytny złodziejzku. Żeby cię zapytać, co mam robić.
- Czy nie mógłbyś na początek przegonić wartowników sprzed wielkich drzwi?
- Ach... no... szczerze mówiąc... nie bardzo. – Tygrys spojrział zakłopotany na swoje łapy. Potem przeciągając się i pomrukując z cicha, podniósł wzrok i spojrzał Farhadowi prosto w oczy. – Podlewają trawniki. Wystarczy?
- Farhad popatrzył na niego pytająco.
- No co się tak gapisz? – parsknął Nitish rozdrażniony. – Nie wiesz, co to jest podlewanie? No, stoją tacy na tej przekłetej zielonej łące i mają w rękach okropnie długie węże z wodą i obracają się wokół siebie. I wszystko, wszystko z miejsca robi się mokre: trawa, żwirowa droga i każdy, kto tamtędy przechodzi. Nawet teraz, w nocy, trawa jest jeszcze mokra od tego ich kręcenia się w kółko, a kamyki żwiru błyszczą tak, jakby też opily się wody jak jakieś gąbki. Więc co miałem robić?

– Nie unos się, bardzo cię proszę! – szepnął Farhad. – Muślimy po prostu poszukać innej drogi.

Milczeli przez chwilę, zatopieni w myślach. Chłopak wyślęgnął rękę przez kraty i dotknął białego tygrysięgo futra. Było przyjemnie miękkie i odrobinę wilgotne od nocnej rosy. Zdziwił się i zaniepokoił zarazem. „Najwyraźniej jednak rosa nie wystarcza, żeby zamienić tygrysa w kamień” – pomyślał Farhad i odetchnął z ulgą.

– Chciałem się tylko upewnić – wyjaśnił – że to naprawdę ty. Bo widzisz... cała ta historia wydaje mi się czasem trochę niedorzeczna, więc może lepiej byłoby się dowiedzieć zawczasu, czy to przypadkiem nie jest sen. Wtedy przynajmniej nie musiałbym łamać sobie głowy, jak i kiedy stąd wyjdę. Budzę się, a tu nie ma żadnego gadającego tygrysa, żadnego Kryszy, żadnego więzienia.

Westchnął ciężko.

– Przeczenie mówi mi jednak, że to niestety, nie jest sen.

– Bo nie jest – usłyszał głos mówiący z ciemności – tylko przeklęte prawdziwe więzienie.

Farhad odwrócił się szybko. Muzułmanin z pięknymi wąsami siedział wyprostowany na swoim łóżku. Podwinął nogi i obserwował go spod oka.

– Lustro! – powiedział.

– Co proszę? – spytał Farhad skonfundowany.

– Potrzebujemy lustro – powtórzył mężczyzna. – Czy twój przyjaciel, ten tam za oknem, mógłby wystarać się o jakieś lustro?

Farhad spojrzał na Nitisha.

– Wiesz, o czym mówi ten człowiek?

Pewnie, że wiem – odparł tygrys chętnie.

– W porządku. Zrobi to – powiedział Farhad do muzulmanina z pięknymi wąsami, ponieważ tygrys przemawiał tylko

spojrzeniem, a ów obcy mężczyzna nie potrafił czytać z jego oczu tego wszystkiego, co widział w nich Farhad.

Nitish łypnął jeszcze raz na szczupłą postać chłopca mającą za kratami, po czym odwrócił się i zniknął w ciemnościach, skacząc bezszelestnie z muru na mur.

Kiedy nastał poranek i przyniesiono im talerz pełen gęstej papki ryżowej, tygrys jeszcze nie powrócił.

Muzułmanin z pięknymi wąsami jadł w milczeniu i swoim zwyczajem obserwował Farhada. Ten zaś nie pozostawał mu dłużny i też co chwila zerkał na niego spod oka. W nocy nie zamienili już ani słowa. Farhad czekał. Jego towarzysz zdążył go jeszcze poinformować, co zamierza zrobić z lustrem. Słońce pięło się coraz wyżej, a jego promienie błędzące po murach więzienia wpadały przez kraty do celi, zalewając ją jasnym blaskiem. Korzystając z tej zmiany oświetlenia, Farhad przypatrywał się bacznie obcemu mężczyźnie, a jego podejrzliwość rosła z minuty na minutę.

Światło go zmieniło. Wczoraj przez cały dzień leżał na swojej pryczy odwrócony plecami do nowego więźnia, ale dzisiaj siedział na łóżku tak jak w nocy i wydawał się nad czymś rozmyślać – i wtedy Farhad dostrzegł jego skórę. Była śniada jak skóra każdego Hindusa, ale w niektórych miejscach przeświecała jasno, jakby była poprzecierana niczym skórzany kaftan. Turban zsunął mu się nieco na bok, i wtedy chłopak zobaczył, że tuż za uszami była niemal biała.

Za dnia Farhad mógł również przyjrzeć się lepiej jego twarzy i jej rysy z każdą minutą wydawały mu się coraz bardziej podejrzane. Oczy mężczyzny, zwykle ukryte w cieniu turbanu, miały dość szczególny kolor – wodnisty błękit. Nie turkusowe jak oczy mieszkańców pustyni, ale po prostu niebieskie jak bezchmurne niebo.

Podczas gdy Farhad zastanawiał się w pocie czoła, czy nie na przypadku do czynienia z takim samym jak on kuglarzem i mistrzem przemiany, mężczyzna sięgnął do torby i wyjął z niej garść małych, okrągłych przedmiotów. Spojrzał przelotnie na swojego młodego sąsiada i położył je na łóżku. Farhad pochylił się ku niemu.

– Kadzidelka – wyjaśnił mężczyzna. – Jestem tutaj już od kilku dni. A to wystarczy, żeby nawiązać kilka przydatnych znajomości i trochę pohandlować.

Farhad znał więzienny handel. I nie było w tym nic dziwnego, gdyż grube mury nierzadko służyły mu za sypialnię, a kiedy znajdował się akurat po ich drugiej stronie, odwiedzał czasem tych, którzy chwilowo mieli trochę mniej szczęścia, żeby ubić z nimi jakiś interes.

– Nie udało mi się tylko zdobyć lustra – mówił dalej mężczyzna.

– Co zamierzacie?

– Potrzebujemy wody, którą dają nam tutaj do picia... i naszych ubrań. Przyłączysz się?

– Jasne.

– Będzie dużo dymu i mgła – oznajmił mężczyzna i uśmiechnął się chytrze. – Tak samo jak w świątyni. Na krótko, zanim wejdzie strażnik. Taka oszałamiająca ilość mgły może doprowadzić do zbiegania z tropu. Niewykluczone, że zapali się również słoma z materaców, musimy więc bardzo uważać, żeby nie przedobrzyć. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi? A potem panika: Pożar, pożar! Piękna, cudowna panika! Mgła wypchnie nas na zewnątrz. A my wtedy – w nogi. Jak nie będziemy wystarczająco szybcy, nici z naszego planu.

– A jeśli się nie uda?

– Wtedy nic nie jest jeszcze stracone.

Farhad skinął powoli głową.

– Co taki Brytyjczyk jak wy stracił w więzieniu? – spytał po chwili.

Mężczyzna jeszcze bardziej podkreślił końce wąsów, które teraz sterczały całkiem do góry.

– Szansę – odparł powoli. – Wielką szansę. Ale bez obaw, będzie jeszcze jedna. Zawsze jest jeszcze jedna szansa.

Spojrzał badawczo na Farhada.

– A tak na marginesie, jestem Francuzem.

– Ach tak? Mówicie pięknym hindi.

– Wiem. A co ty straciłeś?

– Czas – powiedział krótko Farhad.

– Czas na co?

Młodzieniec uśmiechnął się.

– Szansę na co? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, po czym poklepał Farhada po ramieniu.

– Widzę, że się rozumiemy – powiedział. – Niewykluczone, że moglibyśmy zostać współnikami.

– Raczej nie... – odparł Farhad lakonicznie. – To znaczy – poprawił się szybko – wszystko zależy od ceny.

– *Un prix tres haut*. Cena bardzo wysoka – powiedział Francuz. – Wyższa niż wszystkie ceny świata razem wzięte. Kamień szlachetny tak wielki, jakiego jeszcze nie widziałeś.

– Czerwony.

– Tak. Czerwony jak krew. Słyszałeś o nim?

– Owszem. Na targu... – powiedział Farhad. – Myślałem, że to tylko pogłoska.

– Słuchaj więc. Moją pierwszą szansę, żeby dobrać się do tej – jak mówisz – pogłoski, po prostu straciłem. Ty będziesz moją drugą szansą. Rozumiesz?

– Ja?

– Oczywiście. Dlaczegoż by nie? Pokażę ci dom, w którym opoczywa klejnot, a ty wywiesz się, gdzie dokładnie drzemie. Ja sam nie mogę się tam już, niestety, pokazać. Nawet jako Francuz. Jestem spalony. Tego człowieka, to znaczy właściciela domu, ostrzeżono, że od czasu do czasu lubię zmieniać wygląd. Więc sam rozumiesz.

Farhad skinął głową. O tak, doskonale to rozumiał. Czuł, jak serce wali mu młotem, czuł je nawet pod czaszką. Schował za plecami dłoń, zaciskając ją z całych sił. Że też właśnie tutaj, w tej obskurnej celi, spotkał człowieka, który zaprowadził go do Krwawego Kamienia! W środku niemal eksplodował. Ale na zewnątrz Farhad Kamal prezentował kamienne oblicze. Był spokojny, opanowany, powątpiewający. Niemal obojętny.

– Skąd mam wiedzieć, że mówicie prawdę? Skąd pewność, że ten Krwawy Kamień w ogóle istnieje?

Mężczyzna wyciągnął rękę i pokazał Farhadowi wewnętrzną stronę dłoni, przez którą ciągnęła się długa ogniście czerwona smuga.

– W tej dłoni go trzymałem – szepnął i rozejrzał się dookoła, jakby w celi mógł być jeszcze ktoś, kto go podsłuchuje. – Byłem już przy drzwiach, kiedy mnie dopadli. Kamień ma piekielnie ostrą krawędź. A to jest ślad, który mi pozostawił na pamiętkę, żebym mógł go znów odnaleźć.

Przejechał paznokciem po jeszcze niezabliźnionej ranie, w której wypłynęła kropelka krwi, i lekko się skrzywił.

Krwawy Kamień – wyszeptał, a jego wodniste oczy załdniały dziwnym blaskiem. – Zawsze rodzi krew, gdziekolwiek się znajduje.

Farhad wstrząsnął się mimowolnie. Nie z powodu rany, w której prawdziwość wątpił. Zatrwożyło go niesamowite łdnienie w oczach Francuza. Było w nich coś niepokojącego,

coś opętańczego, coś, co budziło grozę i lęk – jakaś obsesja, która wydała się Farhadowi niebezpieczna. Podobna do tej chorej żądz, która kazała demonowi, słudze Rawany, od tyłu lat ścigać kamień.

– Wieść niesie, że ten klejnot jest przeklęty, że przynosi śmierć – powiedział Farhad. – Jakiś demon od dawna chce się do niego dostać. Jestem wierzącym hinduistą. Jeśli mam wam pomóc w tego rodzaju przedsięwzięciu, musicie mi dobrze zapłacić.

Francuz zagryzł wargi i wydawał się zastanawiać.

– Przetniemy go na dwie równe części – powiedział w końcu. – Każdy z nas zatrzyma połowę kamienia.

– Zgoda – odparł Farhad, ani przez sekundę nie wierząc w jego słowa. Ten człowiek musiałby być naprawdę kompletnie szalony, gdyby ot tak, po prostu, chciał się z nim podzielić klejnotem wielkości gołębiego jaja. – Więc gdzie go znaleźć?

– Przede wszystkim musisz się dostać do domu Edwina Parkera – szepnęła Francuz. – A kiedy już tam będziesz, weź na spytki jego córkę. Jest ładną, ale dość naiwną dziewczyną. Łatwo na nią wpłynąć. I bardzo dobrze, bo to znacząco ułatwi nam sprawę. Taki młody chłopak jak ty nie powinien mieć z tym żadnych problemów. Ja będę cały czas w pobliżu, więc niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły. O świcie, kiedy już się wydostaniemy z tego przeklętego więzienia, będę czekał przy drzwiach. Wtedy omówimy wszystko w spokoju.

Złożył dłonie i wykonał coś na kształt ukłonu.

– Nazywam się Morbus – przedstawił się. – Morbus Me nière.

– Matsya – powiedział Farhad i również się skłonił.

Matsya był pierwszą inkarnacją boga Wisznu, rybą, i Farhad pogratulował sobie wyboru tego imienia, ponieważ on

również, kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił być śliski i zwinny jak ryba. Prześliźnie się temu cudacznemu Francu-
likowi przez palce, jak tylko będą na zewnątrz.

- Życzymy sobie miłej i owocnej współpracy przy uwalnianiu Krwawego Kamienia – najwspanialszego klejnotu świata.

„Niech bogowie cię oślepią i połamią ci ręce – odwzajemnił mu się w duchu Farhad – żebyś już nigdy nie mógł otoczyć go swoimi chciwymi palcami, by podziwiać jego niezwykłą urodę. Ponieważ ja potrzebuję go całego, a nie jakiejś tam marnej połówki. Muszę przekupić sługę Rawany, choćby nie wiem co!”.

Noc już nadeszła i Farhad stał od dłuższego czasu przy zakratowanym okienku, wyczekując z niecierpliwością na Nitisha, kiedy ujrzał naraz bielejącą w mroku sylwetkę. Odechnął z ulgą. Nitish nie zawiódł.

Kiedy podkradł się bliżej, jak zawsze bezszelestnie, Farhad zobaczył, że niesie w pysku coś okrągłego i błyszczącego. Nocne niebo było szczelnie pokryte chmurami – monsun wreszcie szykował się do drogi, ale wciąż nie padało. Mimo to noc była ciemna i wyglądało, jakby biały tygrys skradł księżyc i teraz niósł go ostrożnie w swoich śmiercionośnych kłach.

Farhad wyciągnął rękę przez kraty i odebrał małe okrągłe lusterko, uważając, by go nie upuścić.

- Nie myśl sobie, że to było takie łatwe – powiedziały do niego oczy Nitisha. – Takie coś strasznie trudno znaleźć. Przeszukałem cały targ, stragan po straganie. Co najmniej dziesięć razy musiałem udawać kamienny posąg, a siedem razy, o ile dobrze pamiętam, byłem zmuszony wśliznąć się pod stół i rozpląszczyć na ziemi jak jakaś głupia żaba, żeby mnie nikt nie zauważył.

- Żeby dobrze kraść – odparł Farhad z uśmiechem – trzeba przedtem dużo ćwiczyć.

Nitish sapnął ze zrozumieniem.

– Co będzie robić lustro? – spytał z zaciekawiony.

– Roznieci ogień – powiedział Farhad.

Tygrys przekrzywił głowę.

– Czy to znaczy, że w lustrze śpi ogień?

– Śpi bardzo mocno – wyjaśnił chłopiec. – Czekaj na mnie jutro o świcie przed trawnikiem.

– W porządku. Znow będę udawał kamienny posąg – powiedział Nitish.

O brzasku ogień obudził się w lustrze.

Menière, używając lusterka, które przyniósł Nitish, skupił zręcznie pierwsze promienie słońca, a następnie skierował je na ułożone jedno przy drugim kadzidełka, czekając, aż zaczną się tlić. Potem zdjął z ramion długą pelerynę i również ją podpalił, a Farhad tylko westchnął ciężko i dołożył jeszcze do tego „ofiarnego stosu” własne dhoti.

Francuz zrobił dziury w swoim materacu, który podobnie jak materac Farhada był wypchany słomą, i naszpikował je kulczkami kadzideł niczym wielką pieczeń. Cofnął się o dwa kroki i przypatrywał z zadowoleniem swojemu dziełu. Ciężki, słodkawy dym, który uniósł się z tłęcej się słomy, zwijał się w malownicze błękitne precle przy ścianach celi. Farhad przyglądał się bez słowa dymowi, czując, że ogarnia go pewna nerwowość. Bądź co bądź, byli zamknięci. Bądź co bądź, nie mieli klucza do celi, więc raczej nie mogli się z niej wydostać. Bądź co bądź, jeśli będą mieli wyjątkowego pecha – bo i taką ewentualność należało brać pod uwagę – nikt nie zauważy ognia.

– Myślisz... myślisz, że to naprawdę dobry pomysł? – spytał, patrząc z rosnącym niepokojem na unoszący się w powietrzu dym. – Jeszcze zdążylibyśmy ugasić to świństwo.

Menière rzucił mu spod oka nieprzychylnie spojrzenie.

- Bzdura — odparł szorstko. - Mam ogień w garści, rozumiesz?

- Aaa... to co innego — bąknął niepewnie Farhad. — Tak sobie tylko pomyślałem. Na wszelki wypadek. — Jeśli twój plan spali na panewce... to znaczy, jeśli nikt nie przyjdzie...

Mała cęła była teraz pełna ciężkiego, duszącego dymu. Poprzez jego gęstniejące z każdą sekundą kłęby Farhad widział twarz Francuza, na której odmalował się dość szczególny uśmiech.

- Wtedy się spalimy — powiedział krótko.

Farhad przeraził się nie na żarty, słysząc satysfakcję w jego głosie. Powinien był przyrzeć się dokładniej temu człowiekowi, zanim wdał się z nim w całą tę piromańską hecę. Być może z jego głową nie wszystko było w porządku. Być może zamiast w więzieniu powinien być siedzieć w zakładzie dla obłąkanych, co w końcu na jedno wychodziło...

- Jeśli mam być szczery, to nie uśmiecha mi się spalić żywcem — powiedział spokojnie, ale stanowczo, z naciskiem, próbując stłumić kaszel. — Jeśli pozwolisz.

- Dlaczego? — spytał Menière i zaśmiał się głośno. — Podobno to wcale nie jest najgorsza śmierć. W każdym razie zdecydowanie lepsza niż powolne dogorywanie w tym parszywym angielskim więzieniu. A poza tym, mój drogi współniku, to nasza jedyna szansa, żeby zdobyć Krwawy Kamień. Człowiek musi ryzykować. A śmierć w ogniu jest interesującym ryzykiem.

Zamknął oczy i wciągnął dym głęboko do płuc z tak błogą miną, jakby zaciągał się wybornym kubańskim cygarem, i wypuścił go z powrotem.

- Lubię ogień — wyjaśnił z uśmiechem. — Fascynuje mnie jak mało co na tym świecie. A ciebie nie?

- Nie! — wrzasnął Farhad, ale zaraz umilkł wstrząsany ponownym atakiem kaszlu.

W gęstych oparach dymu nie było już widać materaców. Chłopak czuł, jak w jego płucach zbiera się czarna, lepka sadza, a słodki zapach osiada podstępnie w głowie. Krótco potem zrobiło mu się słabo, tak że musiał się oprzeć o ścianę.

Menière schwycił go za ramiona i przycisnął do podłogi, gdzie oddychanie było nieco łatwiejsze.

– Fascynujące – powtórzył. – Fascynujące, nieprawdaż? Ale tutaj, na podłodze, człowiek ma z tego jeszcze więcej. Zabawa trwa dłużej...

Farhad odepchnął go z wściekłością

– Jesteś... jesteś obłąkany – wydyszał.

Posuwał się po omacku do przodu, rozgarniając rękami kłęby dymu i próbując zdeptać ogień. Ale żar słomianych materaców był tak nieznośny, że krzyknął z bólu i zrezygnował z tego zamiaru. Kiedy ponowny atak kaszlu wstrząsnął całym jego ciałem, Farhad ujrzał, jak Francuz tańczy pośród ognistej mgły. Niesłychane, on naprawdę tańczył z kłębami dymu przed załzawionymi oczami chłopca. Szalenciec. Sprzymierzył się z szaleńcem!

Zrozpaczony i odurzony Farhad miotał w duchu najstraszniejsze przekleństwa. Przeklinał tego szalonego Francuza i własną bezdenną głupotę. Jeśli umrze teraz w tej zadymionej celi, już nikt nie uwolni księżniczki. A poza tym nie miał ochoty umierać. Tam, na podłodze, pod białymi i wciąż gęstniejącymi kłębami, które kradły mu oddech, grożąc uduszeniem, Farhad Kamal uświadomił sobie naraz, jak bardzo w gruncie rzeczy kocha życie. Krztusząc się i dławiąc, zanosił modły do Kryszny i całego panteonu bogów, żeby jeszcze raz mu pomogli.

Francuz śpiewał teraz w języku, którego Farhad nie rozumiał. Naraz urwał, przykucnął obok Farhada i szarpnął go za ramię.

- Teraz! – szepnął. – Słyszysz?
- Co? – spytał Farhad, z trudem chwytając powietrze.
- Idą! Zaraz tutaj będą! – w głosie Menière’a słychać było podniecenie. – Miałeś szczęście, mój lękliwy przyjacielu!
Wtedy i Farhad przez trzask ognia usłyszał kroki na korytarzu.

Niedługo potem otworzyły się drzwi i do celi wpadł ciąg powietrza. Z tłącej się słomy buchnęły płomienie. Przez złośliwy deszcz iskier sypiący się ze wszystkich stron Farhad ujrzał przerażoną twarz strażnika. Więc jednak...

- Co się tutaj dzieje, na litość boską?! – krzyknął strażnik.
- Pali się! Pali się! Pali...

Farhad naprężył wszystkie mięśnie, zebrał resztki powietrza, które jeszcze pozostały mu w płucach, i mając przed oczami długie susy białego tygrysa, skoczył desperacko do przodu, przewracając mężczyznę w mundurze. Potem dał susa przez leżącą na posadzce nieruchomą postać i już po sekundzie pędził jak wiatr długim, wąskim korytarzem. Kiedy odwrócił się w pewnej chwili, zobaczył, że Francuz biegnie za nim, podskakując jak pajacyk. „To dopiero musi być pyszny widok – pomyślał Farhad, uśmiechając się w duchu – dwie nagie, brudne postacie, skóra czarna od sadzy – jak para demonów”. Nad dwójką uciekinierów unosiły się kłęby dymu, ponieważ Menière chwycił jedną z wilgotnych, tłących się chust i wymachiwał nią w biegu niczym sztandarem. „Co on wyprawia? Czy nie czuje żaru tkaniny? Czyżby nie znał bólu...?”.

Wkrótce wszystkie korytarze wypełniły przeraźliwe krzyki uwieczonych i strażników. I wszyscy wołali zgodnym chórem: „Pożar, pożar”. Farhadowi i jego współnikowi było to tylko na rękę. Korzystając z zamieszania, wymknęli się niepostrzeżenie przez główną bramę na wolność i świeże powietrze i pobiegli świrową drogą.

Farhad wyrwał do przodu i już niebawem udało mu się zgubić swojego towarzysza w plątaniu starych uliczek i zaułków. Wiedział dość. Wiedział, kto ma Krwawy Kamień i gdzie go musi szukać. Już nie potrzebował obłąkanego Francuza z wodnistymi oczami i oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru dotrzymać danej mu obietnicy. Menière może sobie tylko pomarzyć o Krwawym Kamieniu, a właściwie o jego połowie.

Ale kiedy się w końcu zatrzymał w jakimś ustronnym zakątku, ciężko dysząc i sapiąc z wysiłku, nie miał dobrych przeczuć. Jego „wspólnik” nie da się tak łatwo oszukać. Nawet jeśli naprawdę jest szalony. Od tej chwili będzie musiał wzmóc czujność.

Święte drzewo bodhi

Było jeszcze wcześniej i ptaki w ogrodzie zaczynały swoje pierwsze trele, kiedy Eleanor Parker otworzyła drzwi i odebrała gazetę.

Kiedy żyje się tak daleko od ojczyzny, otrzymywanie codziennej gazety jest bardzo ważne. Eleanor zawsze czytała w pierwszej kolejności wiadomości o rodzinie królewskiej, potem studiowała przepisy kulinarne zamieszczone na ostatniej stronie, a jeśli po śniadaniu pozostało jej jeszcze trochę czasu na lekturę, także wiadomości polityczne.

Eleanor Parker była nowoczesną angielską dziewczyną o szerokich zainteresowaniach. Z najlepszego domu. Ten najlepszy dom stał przy ulicy Gajasura, w cichym i spokojnym zakątku na obrzeżach małego miasta Gaja, i doprawdy było to najlepsze z najlepszych miejsce, gdzie mógł stać najlepszy angielski dom.

Gajasura. Takie imię nosił pewien święty olbrzym, który według legendy żył niegdyś tam, gdzie wiele lat później zbudowano miasto Gaja. Znaczący temat twierdzili, że ów mityczny olbrzym miał jakoby dysponować potężniejszą mocą czynną niż wszystkie place ofiarne Indii razem wzięte. Eleanor życzyła sobie niekiedy, by ten olbrzym jeszcze żył,

podejrzewając, że miał on również więcej oczyszczającej mocy niż wszystkie kawałki angielskiego mydła, które jej służące zdążyły już zużyć na spranie z jej śnieżnobiałych sukienek czerwonego pyłu indyjskiej ziemi. Znamienita większość Anglików nie wierzyła jednak w hinduskie legendy i dlatego ulica Gajasura została pewnego dnia przemianowana na Queen Street – ulicę Królowej.

Eleanor przybyła tutaj przed rokiem wraz ze swoim ojcem, wysokim urzędnikiem administracji państwowej, i była urzeczona obyczajami, wiarą i sposobem życia Hindusów, które tak krańcowo różniły się od brytyjskich. Wiedziała jednak, że zarówno obyczaje, jak i wiara oraz sposób życia mogą kiedyś zniknąć.

Wielość religii istniejących jedna obok drugiej w tym niebywale urozmaiconym kraju budziła w jej głowie zamęt. Pewnego razu napisała w liście do jednej ze swoich przyjaciółek w Anglii, że w Indiach można spotkać tyle religii co w Wielkiej Brytanii rodzajów deszczu. Na przykład hindusi z ich niepokojącą liczbą bogów o niepokojącej liczbie rąk. Muzułmanie, którzy w najbardziej niemożliwych porach dnia rzucali się na ziemię, żeby zanosić modły do Allaha. Albo Parsowie, którzy składali swoich zmarłych na marach w wysokich wieżach, wokół których krążyły dniem i nocą stada sępów. I jeszcze – dżiniści, czciciele życia w każdym jego przejawie, których święta księga musiała być odczytywana dwadzieścia cztery godziny na dobę. A także buddyści z ich stoickim spokojem, a na koniec chrześcijanie, którzy przed wielu laty przybyli na swoich statkach do Indii z Portugalii i Holandii.

Tego ranka ów osobliwy kraj i jego wszechobecny chaos wdarty się z całą mocą do domu Eleanor. Zaledwie bowiem zdążyła przeczytać artykuł, w którym książę Windsoru pod

dawał ostrej krytyce stan pól golfowych w Brighton, ktoś znów zapukał niespodziewanie do drzwi.

– Ojczy! – krzyknęła Eleanor niezbyt głośno w kierunku pokojów na piętrze.

O tej porze zwykł był tam urzędować Edwin Parker – gdzieś między swoimi niezwykle ważnymi papierami a poranną kawą. Eleanor odczekała chwilę, po czym sama otworzyła drzwi. I odskoczyła w tył.

Przed drzwiami stał młody Hindus ze zmierzwionymi włosami i wielką biało-czerwoną kropką na czole oznaczającą błogosławieństwo. W jednej ręce ścisnął prosty kij pielgrzymi, drugą podsuwał Eleanor drewnianą miseczkę, uśmiechając się nieśmiało. Jego chude i śniade ciało było częściowo pomazane białym wapnem. Prócz srebrnego łańcuszka miał na szyi czerwony sznurek z nanizanym nań świętym orzechem. Jeszcze jeden sznur nosił wokół bioder.

– Proszę – powiedział nieznajomy młodzieniec łamaną angielszczyzną. – Żyjemy z tego, co zechcą nam ofiarować dobrzy ludzie. Od wielu dni jestem w drodze, zmierzając do świętego miejsca, gdzie pragnę pokłonić się naszym bogom. Wiele mil już uszedłem, a jeszcze wiele przede mną. Może ma pani garstkę ryżu dla ubogiego mnicha?

Eleanor rozejrzała się szybko dookoła. Ogrody przed dwoma brytyjskimi domami w sąsiedztwie były puste, wciągnęła więc szybko mnicha do domu. I wiedziała, co robi. Jej sąsiedzi uchodzili za stróżów moralności, a ten młodzieńcy mnich był nie tylko rozczochrany i wysmarowany wapnem. Przede wszystkim nie miał na sobie nic. Poza jednym srebrnym łańcuszkiem i dwoma sznurkami.

Parhad spostrzegł, że młoda kobieta przy drzwiach wejściowych ma błękitne oczy, tak samo jak Nitish. Lecz był to

zgoła inny błękit, błękit kwiatów kołyszących się na wietrze na polu. Zobaczył też, że się przestraszyła, i ucieszył się w głębi duszy. Zadał sobie wiele trudu, by jego najnowsze wcielenie było doskonałe. Dobrze wiedział, że powodzenie całego przedsięwzięcia zależy jak nigdy dotąd od jego wiarygodności, i musiał się zaopatrzyć w wapno i oprzeć pokusie wystarania się o nowe dhoti. Ta mała Angielka, powiedział Menière, już zadbaj o to, żeby dostał przyodziewek. Najgorszy ze wszystkiego był jednak sznur. Gruby i szorstki, wrzynał mu się boleśnie w ciało w okolicy kości biodrowych. Po raz pierwszy w życiu Farhad odczuł coś na kształt litości dla żebraków, którzy przemierzali kraj jak długi i szeroki ze swoimi miseczkami i kijami, chodząc od drzwi do drzwi.

– Proszę za mną – poleciła mu młoda Angielka.

Właściwie była jeszcze niemal dziewczynką. Ale w linii jej ust – bystre oczy Farhada od razu to wypatrzyły – rysowały się pewność siebie i upór.

„Zdaje się, że ta młoda dama – uśmiechnęła się w duchu – bardzo lubi decydować o tym, co się wydarzy. Niech więc decyduje. Ani mi w głowie się jej sprzeciwiać”. Pomyślał o Nitishu i o Francuzie, którzy teraz, każdy gdzie indziej, przyczaili się w Gai, czekając na rozwój wypadków.

– Zaraz dam wam jeść – mówiła dalej. – W kuchni zostało jeszcze coś z jedzenia, które wczoraj wieczorem ugotowali dla siebie nasi służący. Na pewno będzie wam smakować, ponieważ wszystko jest od początku do końca indyjskie. – Uśmiechnęła się radośnie. – Jest tak ostre, takie pikantne, że po skosztowaniu nawet odrobiny tych smakołyków można zionąć ogniem. Jak smok! – zachichotała. – Skąd przybywacie?

– Z daleka – odparł Farhad i stwierdził ze zdziwieniem, że dla odmiany powiedział prawdę. – Z bardzo daleka. Moje sto-

py są zmęczone i obolałe od trudów wędrówki. Ale tak chcą bogowie.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, a Farhad natychmiast wiedział, co pomyślała o nim i o jego bogach. W domu jej ojca indyjskie bóstwa były egzotycznymi, dziwaczными gośćmi. Farhad odkrył w hallu wejściowym kilka małych posążków słońcogłowego Ganeszy, dzielnego Hanumana o małpiej twarzy i Durgi, mścicielki z wywieszonym czerwonym językiem. Ale w jednym z ciemnych pokoi, do których mógł zerknąć przez obszerny westybul, stał na fortepianie Kryszna, słuchający jako przycisk do nut. W cieniu ciemnozielonych zasłon z ciężkiego aksamitu ten radosny bóg wyglądał tak smutno, tak chmurnie, jakby tęsknił za indyjskim słońcem. Wszystko w tym domu wydawało się Farhadowi dziwnie ciężkie i przytłumione. Tak jakby ktoś z całym rozmysłem odfiltrował barwy i odgłosy z indyjskiego powietrza, zanim wpuścił je tutaj do środka.

Eleanor poprowadziła go do przestronnej, ale również mrocznej kuchni, gdzie przysiadł nieśmiało na pięknie rzeźbionym krześle z czarnego drewna. Potem zjadł wszystko do ostatniego okruszka pod czujnym spojrzeniem jej modrych jak polne kwiaty oczu: ryż zabarwiony na żółto szafranem, marynowane strąki chilli i płaskie ciapati, kuleczki z ciecierzycy i biały kwaśny jogurt – rzadko miał okazję jeść tyle smakowitych rzeczy. Jedyne półmisek z mięsem odsunął zdecydowanym ruchem.

– To nie wieprzowina – powiedziała.

– Nie jestem muzułmaninem – odparł Farhad – tylko hindusem. Większość z nas w ogóle nie jada mięsa. Jesteśmy wegetarianami. A poza tym jestem już syty. Bardzo dziękuję.

I to nie było kłamstwem. Przybył tutaj wprawdzie z powodu Krwawego Kamienia, ale już tylko dla samej tej uczy po

stokroć się to opłacało. Być może ten niewygodny sznur był jednak czegoś wart.

– Dziękuję wam z całego serca – powiedział Farhad i skłonił się lekko. – A teraz pójdę już sobie. Pora poszukać jakiegoś miejsca do spania. Przez całą noc wędrowałem i jestem śmiertelnie znużony. Zdaje mi się jednak, że w tym mieście nie będzie łatwo znaleźć spokojny kątek.

Mówiąc to, bacznie obserwował młodą Angielkę. Połknęła haczyk.

– Nie sądzę, by mój ojciec miał coś przeciwko temu, żebyście tu przenocowali – powiedziała z ociąganiem. – W naszym domu jest dość wolnych pokoi. Każę przygotować dla was jeden z nich.

– Zacienione miejsce na gołej ziemi w zupełności mi wystarczy – powiedział skromnie Farhad i ujął swój kij, podnosząc się z krzesła. – Lepiej będzie, jeśli się pożegnam.

– Nie, nie! – krzyknęła Angielka, wymachując białymi ramiionami otulonymi zwiewną tkaniną. – Zostańcie! Tutaj znajdziecie więcej spokoju niż na ulicy! Tylko o jedno was proszę. Zanim przedstawię was mojemu ojcu, musicie koniecznie coś na siebie włożyć.

Farhad triumfował w milczeniu.

Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy stał naprzeciw Edwina Parkera w białej koszuli i czystym dhoti. To ostatnie było piękne – ciemnobłękitne z seledynowym szlakiem u dołu. Farhad opuścił je do samej ziemi, żeby Edwin Parker nie narobił obrzydzenia do jego chudych, pokrytych bliznami nóg.

Edwin Parker spojrział sponad okularów i pokiwał głową.

– Widzę – powiedział do swojej córki – że znów ratujesz jakiegoś nieszczęśnika.

– Ojczy, proszę cię! – szepnęła Eleanor, zerkając speszona na Farhada. – Ciszej! Przecież on cię słyszy.

- Zna angielski?

Eleanor przytaknęła pospiesznie, a Farhad podziękował wszystkim tym Brytyjczykom z ulic Maduraju, którzy przez wiele lat uczyli go swojego języka, kiedy wyciągał im pieniądze z kieszeni.

- Jutro wyjeżdżam na kilka dni – oznajmił Edwin Parker poprawił sobie okulary. – Zostawiam cię pod opieką ciotki Barbary.

Farhad fiknął w duchu koziołka z radości.

- Oczywiście, ojcze.

- Odstaw go na ulicę, jeśli będzie chciał być wypuszczony – zadysponował pan Parker, skinąwszy nieznacznie głową w stronę Farhada, po czym odwrócił się do swojego biurka.

- Ojcze! Zachowujesz się tak, jakbym nieustannie więziła tutaj Bogu ducha winnych ludzi! Ten chłopiec szuka tylko miejsca do spania na jedną noc! – zaprotestowała Eleanor. – Jest wędrownym mnichem i...

- Eleanor, posłuchaj! – rzucił pan Parker przez ramię. – Nie interesuje mnie, ani jaki numer buta mają twoje sieroty, ani jaki zawód wykonuje ten osobnik. Wiesz, że kocham cię ponad wszystko, ale bardzo cię proszę, nie przesadzaj.

Potem potrząsnął małym dzwonkiem i do gabinetu natychmiast wpadł starszy Hindus; nie było najmniejszej wątpliwości, że gorliwie podsłuchiwał pod drzwiami.

- Pokaż naszemu gościowi, gdzie może spać – rzekł Edwin Parker znużonym głosem.

I to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział w obecności Farhada.

Następnego ranka Edwin Parker wyjechał, a przez kolejne trzy dni towarzystwa Farhadowi miała dotrzymać jedynie Eleanor. Ciotka Barbara miała zaburzenia krążenia i leżała w łóżku.

I tak jakoś wyszło, że Farhad pozostał na dłużej.

Eleanor pozwoliła mu się nieco wzbraniać i była potem bardzo z siebie zadowolona, kiedy udało się jej wreszcie namówić gościa do przedłużenia wizyty.

– Ten krótki postój nie rozgniewa waszych bogów – powiedziała i zaśmiała się. – Czy wy, hinduiści, nie robicie sobie od czasu do czasu przerwy? Bóg chrześcijan odpoczywa raz w tygodniu przez cały długi dzień!

Śniadanie spożył Farhad z trzema służącymi, wśród których był również stary ciekawski Hindus, ten sam, który poprzedniego dnia podsłuchiwał pod drzwiami. Potem spacerował z Eleanor po jej pięknym ogrodzie i przysłuchiwał się z uwagą, kiedy opowiadała mu o swoich sierotach.

– Robię z nich zupełnie nowych ludzi – wyjaśniła z błyszczącymi oczami. – Gdybyście tylko mogli widzieć, z jakim zapałem uczą się pisać i czytać! Daję im również lekcje historii i geografii. Dawniej, zanim przybyłam z ojcem do Indii, chciałam zostać nauczycielką historii i geografii. Tutaj nie potrzebuję nawet stosownego wykształcenia, żeby wprowadzać w czyn moje marzenia.

Klasnęła z uciechą w dłonie.

– Czyż to nie cudowne? Właśnie w ostatnim tygodniu omawialiśmy przebieg Tamizy...

Farhad skinął uprzejmie głową. Nie miał pojęcia, co to takiego Tamiza. Przypuszczał, że chodzi o jakąś bitwę. Indyjskie sieroty wiedziały to teraz lepiej niż on. Tylko czy nauka angielskiej historii i geografii mogła je naprawdę uszczęśliwić?

– Ach tak, dzieci, dzieci. Są jak klejnoty – powiedział, uśmiechając się. Musiał wreszcie przejść do rzeczy! – Jak klejnoty, każde z nich.

Eleanor rzuciła mu dziwne spojrzenie.

– Tak... zapewne, zapewne – powiedziała tylko.

Czyżby się czegoś domyślała? Ale nie, w następnym momencie uniosła ramiona, jakby chciała przytulić do serca cały świat.

– Po długim namyśle zdecydowałam się jednak towarzyszyć ojcu w podróży do Indii. I wcale nie żałuję. Indie są tak duchowionym krajem! – wykrzyknęła. – Właśnie tutaj, gdzie Bodh Gaja jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki! Czuję się tak bardzo zainspirowana duchowością Indii.

Farhad nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi, więc znów skinął uprzejmie głową. Wtedy ku jego przerażeniu Eleanor pochwyciła jego dłoń, by je uściskać.

– Co za szczęście – wyszeptała – co za radość, że zostaniecie u nas jeszcze przez jakiś czas! Może będziecie mogli mnie uczyć...

– Ależ naturalnie – wymamrotał, przebiegając równocześnie w myślach wszystko to, co wiedział o świętych mężach, którzy przemierzali kraj jako żebrzący mnisi. Jak na złość niewiele tego było. Czego od niego chciała ta angielska dziewczyna z błękitnymi oczami?

Czego chciała od Indii?

– Cóż za piękny łańcuszek – powiedział, spoglądając nieśmiało na dekolt Eleanor, gdzie spoczywał bardzo gustowny srebrny łańcuszek z delikatnym żółtawym kamieniem. – Przeliczy kamień. Lśni jak gwiazda wieczorna. W naszej religii jest pewna historia o kamieniu, który błyszczy jaśniej niż słońce. Nikt nie wie jednak, gdzie kryje się ów niezwykły klejnot...

Ja także medytuję – powiedziała naraz Eleanor. – Niekiedy. Choć skłaniam się raczej ku buddyzmowi.

Spojrzała przeciągle na Farhada, a on poczuł się jeszcze gorzej. Teraz to już całkiem zbiła go z pantałyku.

– Być może – powiedziała cicho Eleanor – moglibyście mnie nauczyć hiduistycznej medytacji. Wyznam szczerze, że jestem kompletną nowicjuską, ale szybko się uczę.

– Hm – bąknął niepewnie Farhad.

„Jak wygląda hinduistyczna medytacja?” – pomyślał.

Był coraz bardziej zakłopotany przebiegiem rozmowy i wy-
tężał umysł, żeby wreszcie naprowadzić ją na właściwe tory.
W jaki sposób mógłby zagadnąć o ten przeklęty kamień? Jed-
nak zanim wpadło mu do głowy coś naprawdę błyskotliwego
i skutecznego zarazem, z okna na piętrze wychyliła się ciotka
Barbara, wzywając Eleanor. Mimo swego słabego krążenia
przypomniała sobie, że jej siostrzenica nie może w żadnym
razie opuścić codziennych lekcji literatury i sztuk pięknych,
które pobierała u sąsiadki, mającej zamiłowanie do sosu mię-
towego z puszek.

Farhad został sam w ogrodzie. Westchnął ciężko i usiadł
na kamiennej ławce.

Tuż obok ławki, w cieniu usychającego krzewu różanego,
leżała wielka figura z szarego kamienia. Kiedy Farhad przy-
jrzał się jej bliżej, stwierdził, że jest to tygrys, i przejechał pal-
cem wskazującym po jego szerokim łbie. Palec pozostawił
biały ślad w szarym pyłe.

– No tak – powiedział na przywitanie Farhad. – Od razu
sobie pomyślałem, że to ty!

Wtedy kamienny tygrys otworzył oczy i spojrzał na niego.

– W istocie – przyznał z zadowoleniem. – A któż by inny?
Nie bój się, nie opuszczę cię w biedzie. Rozstaniemy się do-
piero wówczas, gdy już razem oswobodzimy księżniczkę!

Farhad westchnął jeszcze głośniej.

– Łatwo ci mówić. Coś mi się zdaje, że jestem w niezłych
tarapatkach. Siedzę w łajnie po same uszy! – szepnął. (Tak na
wszelki wypadek, gdyby uszy ciotki Barbary były w lepszym
stanie niż jej układ krążenia). – Wiele dałbym za to, żeby tyl-
ko znaleźć wreszcie ten przeklęty kamień! A w ogóle to nie
mogę zrozumieć tej małej Angielki.

– Nie? – spytał Nitish i zamruczał zadowolony.

Farhad spojrział na niego ostro.

– Ejże! Co to ma znaczyć? Wiesz, do czego ona zmierza?

– Trudno to wyjaśnić – odparł tygrys.

Ale Farhad widział po jego minie, że nie posiada się z radości, mogąc jeszcze przez chwileczkę go pomęczyć.

– Wiesz, co ci powiem? Najlepiej będzie, jak sam się w tym połapiesz. Będę w pobliżu, nawet jeśli nie zawsze uda ci się mnie zobaczyć. Ale dam ci jedną radę: Jeśli naprawdę chcesz mieć ten swój drogi kamień, rób wszystko, czego ona od ciebie zażąda. Opowiedz jej coś o naszych bogach. W miarę możliwości coś bardzo niejasnego, pogmatwanego.

– Akurat z tym... – powiedział Farhad i pomyślał o niemożliwym żądaniu Kryszny – nie będę miał większych trudności.

Tego dnia wszakże Farhad nie miał już ujrzeć Eleanor Parker. Spał na podłodze obok wskazanego mu łóżka. Było tak miękkie, że zaledwie się w nim położył, natychmiast wyskoczył w obawie, że ugrzęźnie w tych nieprawdopodobnych miękkościach lub co gorsza, udusi się.

„Ach, ci Anglicy – pomyślał. – Cóż to za dziwny naród”.

Dotychczas Farhad uważał ich za osobników zupełnie przewidywalnych, łatwych zatem do rozpracowania, ale z Eleanor sprawy miały się całkiem inaczej.

W środku nocy wstał i wymknął się bezszelestnie na korytarz. Miał nadzieję, iż mimo wszystko szczęście się do niego uśmiechnie i opuści ten wielki mroczny dom z kamieniem w kieszeni, nawet bez pomocy niebieskookiej dziewczyny. Może kamień leży gdzieś tutaj, w jakiejś szufladzie lub szklanej witrynie, a on musi tylko sięgnąć ręką, by go dostać. Jak pokazuje życie, najbardziej nieprawdopodobne rozwiązania

okazują się zwykle trafne. Farhad uśmiechnął się mimo woli, postanawiając, że jutro z samego rana nie omieszka zacytować tej złotej myśli Eleanor.

Przekradł się korytarzem do gabinetu Edwina Parkera, w którym niedawno po raz pierwszy i zapewne ostatni raz w swoim życiu miał zaszczyt stanąć oko w oko z ojcem Eleanor. Wielki pokój oświetlał teraz chudy księżyc, przeobrażając stojące w nim ciemne meble w dziwaczne czworonogie demony. „Jeszcze dwa tygodnie” – powiedział księżyc niemo do Farhada. Ten zaklął pod nosem, pogroził palcem niecierpliwemu ciału niebieskiemu i jął otwierać pospiesznie szufladę za szufladą, szafę za szafą, lecz prócz grubych stosów jakichś papierów i kopert oraz kilku porcelanowych figurek nie znalazł tam niczego godnego uwagi.

„Zaraz, zaraz – pomyślał Farhad i podrapał się w głowę. – Edwin Parker miał rzekomo podarować ów klejnot swojej ukochanej córce na jej ostatnie urodziny”. I nagle doznał olśnienia. Powód, dla którego pan Parker nie miał go w swoim gabinecie, mógł być tylko jeden. Mianowicie taki, że w ogóle go nie miał.

Miała go Eleanor!

Po obchodzie zwiadowczym przez wysokie i wspaniałe pokoje rezydencji wiedział już, gdzie znajdowała się jej sypialnia. Dobrze to sobie zapamiętał, dopóki jednak po całym domu kręciła się służba, nie odważył się jej przeszukać. O tej porze nie było już jednak służących. Była za to Eleanor.

Farhad poczuł ulgę, zobaczywszy, że drzwi do jej sypialni są tylko lekko przymknięte.

Eleanor leżała w szerokim łóżu pod moskitierą i spała. Farhad przez chwilę nasłuchiwał jej miarowego oddechu i kiedy uznał, że śpi jak suseł, zabrał się do przeszukiwania jej ubieralni w rogu pokoju. Znalazł tam mnóstwo najrozmaitszych

rzeczy, których przeznaczenie było dlań zagadką, ale żadnego drogiego kamienia.

Z największą ostrożnością wysunął górną szufladę komody. Zaskrzypiała cicho. Farhad zamarł przerażony, nie cofając jednak ręki... Eleanor westchnęła przez sen i przewróciła się na drugi bok, ale dalej oddychała spokojnie. Z ulgą sięgnął jedną ręką do szuflady i zaczął pospiesznie obmacywać jej zawartość. Czuł pod palcami chłodny gładki jedwab i delikatnie tuskoczące koronki i zadawał sobie pytanie, gdzie dokładnie angielskie kobiety noszą wszystkie te bardzo przyjemne w dotyku rzeczy. Z pewnym niepokojem skonstatował, że nie ma najmniejszego pojęcia o angielskich kobietach.

Pod warstwami aksamitnych tasemek, lekko szeleszczącej tafty i śliskiego jedwabiu nie skrywał się żaden drogi kamień.

Farhad westchnął ciężko, zamknął szufladę i podszedł jeszcze raz do łóżka, żeby się upewnić, czy Eleanor śpi tak mocno jak przedtem.

Przez gęstą siatkę moskitiery widział zarysy jej twarzy jak przez mgłę. Była ładna, nawet przez ten nieprzejrzysty welon. Pod lekką kołdrą rysowała się reszta Eleanor Parker – miłe dla oka, bardzo, bardzo kobiece zaokrąglenia, od których płynął delikatny zapach wonnego mydła. Farhad zamknął oczy i wdychał głęboko tę rozkoszną woń.

W tym samym momencie usłyszał jakiś szelest, a w następnym zaspane:

Ojczy?

Farhad zamarł z przerażenia, na ułamek sekundy otworzył oczy, ale natychmiast zamknął je na powrót i zatoczył się dwa kroki do tyłu.

Chwilę później rozległ się cichy szelest odłanianej moskitiery.

– Mnich jałmużnik. Nie do wiary! – powiedziała Eleanor sennym głosem. – To przecież mój mnich. Wędrujący we śnie mnich. No proszę, kto by pomyślał!

Zaśmiała się cicho, a Farhad poczuł, jak ten jej perlisty śmiech musuje w jego kręgosłupie. Zapach mydła był teraz jeszcze bardziej intensywny.

Zadrzał, czując dotyk chłodnej dziewczęcej dłoni na swoich nagich ramionach.

– Obudźcie się! – szepnęła mu do ucha Eleanor, a jej pachnący miętą oddech połaskotał szyję Farhada. – Zabłądziliście we śnie!

Otworzył nagle oczy, jakby przebudził się z głębokiego snu, i wpatrywał się w młodą Angielkę z miną wyrażającą bezgraniczne osłupienie. Światło księżycy zalewało pokój Eleanor jasną poświatą. Stała przed nim w długiej śnieżnobiałej koszuli nocnej obszytej koronką i uśmiechała się. Jasne włosy opadały jej w nieładzie na twarz, a koszula nocna zsunęła się odrobinę, ukazując nagie ramię.

– Gdzie... jak... co? – wybełkotał Farhad.

– Trafiliście do mojego pokoju, panie lunatyku – szepnęła Eleanor i popchnęła go lekko do tyłu. – Lepiej będzie, jak zaraz wrócicie do siebie. Jeśli ciotka Barbara was tutaj nakryje, nie ręczę za to, co się może stać.

– Błagam o wybaczenie – jęknął Farhad. – Od czasu do czasu zdarza mi się istotnie błąkać we śnie... Sam nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje. To straszne, kiedy człowiek budzi się o świcie i widzi, że znajduje w zupełnie innym miejscu... na całkiem nieznanym mu ulicy. Ale żeby w cudzym domu... Nigdy nic takiego jeszcze mi się nie przytrafiło...

Eleanor położyła mu palec na ustach, a on znów poczuł fałd ciepła przenikającą całe ciało.

Skłonił się lekko, po czym odwrócił na pięcie i opuścił bez słowa jej sypialnię. Ale tej nocy nagie ramię Eleanor wkradło się do jego snów i Farhad nie myślał już wyłącznie o Krwawym Kamieniu...

Następnego ranka zaraz po śniadaniu zszedł do ogrodu, usiadł w pozycji lotosu i próbował wyglądać tak, jakby medytował.

Nie przeliczył się. Już niebawem usłyszał kroki i Eleanor usiadła obok niego. Poznał ją po zapachu, ale zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył.

Kiedy raz zamrugnął oczami, omal się nie roześmiał, widząc, jak siedzi obok niego ze śmiertelnie poważną miną. Idąc za jego przykładem, skrzyżowała nogi, zamknęła oczy, a na jej gładkim czole pojawiły się pionowe zmarszczki wyrażające koncentrację. Jak bardzo starała się dorównać mu w medytacji!

Nie siedzieli zbyt długo, kiedy w ogrodzie zjawił się naraz jeden ze służących.

– Nie śmiem przeszkadzać, jaśnie panienko – powiedział i upadł na kolana przed dwoma zatopionymi w medytacji postaciami – ale ktoś dobija się do drzwi. Koniecznie chce rozmawiać z mnichem, który u nas bawi. Twierdzi, że gość jaśnie panienki ma na imię Matsya.

Eleanor i Farhad otworzyli równocześnie oczy.

– Tak się nazywacie? – zapytała ona. – Matsya?

Farhad, który do tej pory nie wyjawiał swojego imienia, przedstawiając się jedynie jako wędrowny mnich, udał szczerze zdziwionego.

– Ależ nie – wyjaśnił bez mrugnięcia okiem. – Moje imię brzmi Kurma.

Kurma był następną inkarnacją Wisznu, zaraz po Matsyi, i Farhad uznał nie bez racji, że tymczasem posunął się o jeden

krok do przodu. Kurma miał postać żółwia i choć Farhad ani trochę go nie przypominał, to z pewnością mu dorównywał. Obaj mieli podobne strategie ucieczki: w razie niebezpieczeństwa wciągnąć głowę i stać się niewidocznym. Na przykład teraz.

– Sądzę, że zaszła tutaj jakaś pomyłka. Jak wygląda ten mężczyzna?

– Jest wysoki i szczupły – odpowiedział służący z lekkim ukłonem. – Ma jasne włosy i francuski akcent. Przedstawił się jako Menière.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – powiedział Farhad zdecydowanym głosem. Ale niedobre przeczucie wkradło się w jego serce. Menière to twardy zawodnik, tak łatwo nie da się wykluczyć z gry. – Powiedz temu dżentelmenowi, że pomylił adresy. Matsya musiał znaleźć kwaterę gdzieś indziej.

Tego popołudnia Eleanor zadziwiająco szybko uwinęła się z lekcjami. Wróciła od sąsiadki cała rozpromieniona i oznajmiła Farhadowi, że na resztę dnia zaplanowała małą wycieczkę, na którą wybiera się z nim! Wie, że jej gość jest hinduistą, ale czy miałby coś przeciwko temu, aby wraz z nią odwiedzić najświętsze miejsce buddyzmu?

Farhad widział prośbę w jej błękitnych oczach, w których było coś dziecięcego, i przez chwilę udawał wahanie.

– Bogowie będą się na mnie gniewać – powiedział w końcu z westchnieniem. – Już i tak pewnie się dziwią, dlaczego tak długo zwlekam z dalszą podróżą do świętego miejsca.

– Och, proszę! – zawołała Eleanor i złożyła dłonie. – Musicie tam ze mną jechać! Bezwarunkowo. Zaręczam wam, że Bodh Gaja to niezwykle miejsce! Drzewo figowe jest okropnie stare i wszędzie są pielgrzymi i... Czy nie moglibyście po prostu wytłumaczyć waszym bogom, że robicie to tylko ze względu na mnie? Na pewno to zrozumieją. Być może – do-

dała z błyskiem w oku – któregoś dnia nawrócę się na hinduizm. Jeśli się bardzo postaracie.

I uśmiechnęła się do niego tak konspiracyjnie, jakby **wszyscy hinduistyczni bogowie bez wyjątku już czekali przed drzwiami jej domu, żeby Farhad złożył niezwłocznie stosowne oświadczenie.**

„Czemu nie? – pomyślał. – Takie cudowne nawrócenia się **przecież zdarzają**”.

Chciał już wygłosić zgrabną mowę, kiedy usłyszał naraz **w duchu głos Kryszny. „Ależ ty się guzdrzesz. Czy przeszkąca już resztę pokoi? Piwnicę? A jeśli chodzi o Bodh Gaję, to kamienia i tak tam nie znajdziesz”.**

Farhad czym prędzej odsunął od siebie tę nieprzyjemną **myśl. Czy wszystko, co robił w tym domu, nie służyło wyłącznie jednemu celowi – odnalezieniu Krwawego Kamienia?**

- A więc dobrze – powiedział z westchnieniem – **niech i tak będzie. Ale proszę nie wymagać ode mnie, żebym paradował z chorągiewką pielgrzyma w sanktuarium Buddy.**

Jechali jedną z wielu riks, które czatowały na pasażerów **wokół rynku. Farhad czuł się dość dziwnie, siedząc ramie w ramie z Eleanor. W Maduraju znał wielu mężczyzn, którzy ciągnęli rikse, i za stosownym wynagrodzeniem czasem im pomagał, ale jeszcze nigdy w życiu nie był pasażerem. Raz za razem odwracał się nieznacznie, lustrując teren, ale Francuza nigdzie nie było widać.**

Ku jego wielkiemu zdumieniu Bodh Gaja składała się z **jednego drzewa.**

Wszystko inne, co się tutaj znajdowało, miało ścisły związek **właśnie z owym drzewem: świątynia, kolorowe stragany z herbatą, sprzedawcy chorągiewek, nawet niewielki domek, w którym mieszkał człowiek pilnujący nocą świętego figowca.**

– Nazywają je drzewem bodhi, Drzewem Przebudzenia. I to właśnie tutaj, pod jego rozłożystymi konarami – wyjaśniła Eleanor, podnosząc palec wskazujący – Budda doznał oświecenia.

– Jestem wprawdzie hinduistą – powiedział z uśmiechem Farhad – ale to akurat wiem.

Wytrzymał spojrzenie jej błękitnych oczu, a Eleanor zaczerwieniła się lekko i przeprosiła go. Farhad nie miał oczywiście najmniejszego pojęcia, gdzie, kiedy i dlaczego Budda doznał oświecenia. I właściwie było mu to również całkowicie obojętne. Jak dotąd Budda nie pomagał mu zarabiać na życie, czemu więc miałby zaprzętać sobie nim głowę?

Eleanor kupiła na jednym ze straganów małą żółtą chorągiewkę, po czym uklękła przed niskim ogrodzeniem z metalowych prętów, które otaczało kwadrat ziemi ze świętym figowcem. Farhad przyglądał się grubym jak ramię sękatym korzeniom. I przyglądał się Eleanor, która klęczała tuż przed nim. Z góry mógł widzieć, jak podnoszą się jasne delikatne włoski na jej karku.

Ukląkł obok i pomógł jej przywiązać żółtą chorągiewkę obok setek innych, które zdobiły już ogrodzenie. Jego kolano dotykało jej kolana i Farhad znów poczuł to rozkoszne ciepło ostatniej nocy. Eleanor popatrzyła na niego przeciągle. W oczach miała dziwne iskierki.

– Zerwiesz mi jeden liść? – poprosiła, krygując się odrobinię. – Jeden liść z drzewa bodhi? Jestem za niska, a poza tym nikt oprócz ciebie tego dla mnie nie zrobi.

Farhad stwierdził z niejakim zdziwieniem, że nagle zaczęła zwracać się do niego per ty, jakby ta wycieczka do Bodh Gai sprawiła, że stali się sprzymierzeńcami. A może byli nimi już od chwili nocnego spotkania w sypialni?

- Nie sędę – szepnęła Farhad – żeby to było dozwolone.

Eleanor wydeła usta jak mała dęająca się dziewczynka.

- Przecież jesteś hindusem! – Na dodatek mnichem! Czy naprawdę coś się stanie, jeśli skradniesz jeden listek buddyjskiemu drzewu?

- My, hindusi... – odparł Farhad, starając się ubrać swoje słowa w tyle godności, na ile mógł się zdobyć w obecności Eleanor Parker i jej lewego kolana – my, hindusi, szanujemy inne religie.

„Nie mogę sobie pozwolić na żadne awantury” – pomyślał.

- Proszę – błagała dalej Eleanor. – Przecież nikt tego nie uważa. Przypominasz sobie drogi kamień, o którym opowiadał mi wczoraj w ogrodzie? Ten, który błyszczy jaśniej niż słońce?

Farhad nadstawił ucha, ale milczał uparcie.

- Mówi się tutaj, że liście drzewa bodhi też błyszczą jaśniej niż słońce. Kto wie – powiedziała w rozmarzeniu i spojrzała w górę na stare konary – być może ten niezwykły klejnot jest gdzieś całkiem blisko. A jeśli skrywa się wśród listowia świętego drzewa?

- Skąd taka myśl? – spytał Farhad. – Sądzisz, że ten kamień naprawdę istnieje?

Zachichotała. Potem przysunęła się jeszcze bliżej, szturchnęła go lekko łokciem, a on poczuł jej oddech na swoim policzku, kiedy szepnęła:

- Ja to wiem. Zdziwiłbyś się. Tylko jeden jedyny liść!

- Dobrze – powiedział Farhad z westchnieniem i wstał z ziemi. – Ale obiecaj mi, że potem zostawisz mnie w spokoju razem ze swoim Buddą.

Eleanor znów się zaśmiała i wyciągnęła rękę, żeby Farhad pomógł jej wstać. Jej palce były przyjemnie chłodne, smukłe i gładkie.

Rozejrzał się dookoła, lustrując bacznie otoczenie, i kiedy uznał, że nikt ich nie obserwuje, wyciągnął rękę do najniższej gałęzi drzewa bodhi i zerwał jeden liść. Jeszcze raz się rozejrzał, stwierdzając z zadowoleniem, że nikt niczego nie zauważył. Ale spostrzegł, że przy wejściu do świątyni znajduje się kamienna figura wyobrażająca wielkiego tygrysa. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą jej tam nie było.

Odeszli wolnym krokiem od świętego drzewa, jakby byli parą pielgrzymów, i mijając bramę, przeszli tuż obok tygrysa.

– Nie trać głowy, Farhadzie Kamalu – powiedziały oczy Nitisha.

– Co ty tutaj robisz? – syknął Farhad ze złością.

– Mówiłeś coś? – spytała Eleanor.

Farhad potrząsnął energicznie głową, nadal jednak patrzył tygrysowi prosto w oczy, by czytać w jego niebezpiecznym spojrzeniu.

– Zapomniałeś już...? – spytał tygrys – zapomniałeś, że mogę być wszędzie, gdzie tylko zechcę. Że jestem szybki jak chmury na niebie i piasek na wietrze? Obserwuję cię, Farhadzie, obserwuję przez cały czas. Nie zapominaj: nie jesteś mnichem, tylko małym oszustem i złodziejem. Nawet jeśli ta panna dała się nabrać. I jesteś tutaj tylko po to, żeby coś ukraść. Pamiętaj o naszej misji! Na razie przepędziłem twojego francuskiego przyjaciela. Ale i bez tego problemu na głowie mamy mało czasu.

Farhad poczuł ulgę wstępującą w jego serce na wieść, że chwilowo nie musi obawiać się Francuza, który od paru ładnych dni spędzał mu sen z powiek. Ale więcej nie chciał słuchać. Odwrócił się na pięcie i nawet jeśli Nitish wciążył do niego mowę, teraz nie mógł go słyszeć.

– Chodźmy – szepnęła Eleanor.

Znów wzięła Farhada za rękę i wspólnie torowali sobie drogę przez tłum pielgrzymów. Kiedy oddalili się od zgiełku

świętego miejsca, zaczęli biec przed siebie jak dwoje swawolnych, rozbrykanych dzieci. Farhad czuł twardy, okrągły liść w jednej dłoni, palce Eleanor w drugiej, a serce śpiewało mu w piersi radośnie jak ptak, którego wypuszczono z klatki i który po raz pierwszy od długiego czasu może wreszcie swobodnie szybować w przestworzach.

Na pierwszym zakręcie zatrzymali się, dysząc i śmiejąc się na przemian.

- Daj mi liść - zażądała Eleanor i wetknęła go sobie w dekolt. - Tutaj nikt nie będzie szukać skradzionego liścia - zażądała się głośno. - Zresztą i tak mam zamiar zostać budystką. Może już niebawem.

- Ach tak? Czyżby? - spytał Farhad. - A co powie na to twój ojciec?

- Mój ojciec? - Zamyśliła się. - Sądzisz, że powinnam go o tym poinformować?

Popatrzyła na niego spod oka i uśmiechnęła się filuternie.

Farhad przebudził się w środku nocy, marznąc pod cienkim prześcieradłem. Zdziwiony wstał i podszedł do okna. Gwiazdy były niewidoczne i nawet księżyc się nie pokazał, ukryty za czarną, nieprzeniknioną powłoką chmur. Chłodny wiatr muskał nagą skórę Farhada i szeptał słowa nadziei: monsun jest już niedaleko. Ziemia usychała z pragnienia i wkrótce będzie pić do woli.

Patrzył w ciemność - i przypomniał sobie czasy dzieciństwa. Te krótkie chwile beztroski, kiedy wraz z innymi dziećmi tańczył w błocie ulic, gdy spadł deszcz. I nagle oczami wyobraźni ujrzał przed sobą Eleanor tańczącą razem z nim w deszczu. Uniosła ramiona swoim ulubionym gestem i wydawała radosne okrzyki, a jej suknia była tak bardzo przemoczona, iż niemal przezroczysta...

– Jestem lunatykiem – szepnął Farhad i zdecydowanym ruchem pchnął drzwi swojego pokoiku. – Nic na to nie poradzę, że wędruję nocą po domu. To nie moja wina.

Tym razem Eleanor nie spała, kiedy wszedł do jej pokoju. Czekwała na niego.

Farhad cały czas uważał, by nie wypaść ze swojej roli. Szedł więc przed siebie niczym ślepiec – twarz skupiona, oczy zamknięte, żeby uwierzyła, iż naprawdę wędruje w głębokim śnie. Przez wąską szczelinę między powiekami zobaczył, jak za majaczącą w mroku zasłoną moskitiery podniosła się spowita w biel postać, i kiedy przechodził obok jej łóżka, poczuł chłodną dłoń na swoim ramieniu – tak samo jak poprzedniej nocy.

– Kurma – szepnęła Eleanor, a on w tej samej chwili przypomniał sobie o imieniu, które wybrał tym razem. – Mój mnich. Mnich jałmużnik. Dokąd to dziś wędrujesz?

Farhad zamrugnął oczami i odwrócił się w stronę jej głosu.

– Wybacz – szepnął skruszony. – Musiałem znów błąkać się we śnie.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu z czoła niesforny loczek.

– Zostań – szepnęła.

Przyglądał się jej długim rozpuszczonym włosom, czuł jej dziewczęcą dłoń na swojej twarzy i wtedy usłyszał dobiegające z ogrodu ostrzegawcze parsknięcia. Odwrócił się w stronę okna i nasłuchiwał przez chwilę.

– To na pewno dzikie koty – szepnęła Eleanor, a jej oczy zaślniły dziwnym blaskiem. – Kocury walczą o swoje samice.

– Naprawdę to robią? – spytał Farhad.

W odpowiedzi przyciągnęła go do siebie i w następnej chwili znalazł się w miękkiej pościeli jej łóżka. Tym razem już się nie bał, że w nim ugrzęźnie.

– Czy wam, mnichom, jest także dozwolone – szepnęła, **baw**iąc się amuletem na jego szyi – walczyć o kobiety?

Farhad delikatnie, ale stanowczo wyjął amulet z jej palców.

– Walka – odparł z godnością, nie mając najmniejszego po**ję**cia, jak mnisi jałmużnicy postępują z kobietami – nie jest **maszą** bronią. Naszą bronią jest wiedza.

Rozpiął guziki z masy perłowej jej białej koszuli nocnej i **dotkn**ął skóry, która tej nocy wydała mu się jeszcze bielsza.

– Czy przypominasz sobie – szepnęła – jak wtedy w ogro**dzie** mówiłam ci o medytacji?

Farhad skinął głową. O nie! Teraz naprawdę nie zamierzał **roz**mawiać z nią o medytacji.

– Powiedziałam wtedy: Jestem kompletną nowicjuszką **w** tej materii, ale szybko się uczę... – szepnęła i zrzuciła z sie**bie** nocną koszulę.

Farhad nawet specjalnie się nie zdziwił.

– Jesteś doskonała – szepnął wreszcie – tak cudownie do**sko**nała jak drogi kamień, o którym ci opowiadałem...

Wybrał to porównanie wcale nie dlatego, by kuć żelazo pó**ki** gorące. W tej chwili niemal zapomniał o celu swojej wizy**ty**. Tym bardziej więc zdumiało go to, co mu odpowiedziała.

– On naprawdę istnieje. Należy do mnie!

– Co takiego? – spytał nieprzytomnie.

Wtedy zaśmiała się cicho i objęła go białymi ramionami. **Far**had czuł jej pożądanie i nie miał nic przeciwko temu. **W** pewnej chwili usłyszał za oknem dalekie parskanie i sma**ku**jąc perfumowane mydło na ciele Eleanor, pomyślał o ty**gry**sie.

Nitish od samego początku wiedział, czego dziewczyna **ch**ciała od Farhada. W tej chwili jednak Nitish i nawet sam **Kry**szna byli mu całkowicie obojętni. Eleanor i on byli jedy**ny**mi żywymi istotami, które istniały na ziemi. Czas zagubił

się gdzieś między nimi, powietrze wypełniła dziwna słodycz. A Eleanor była tak uprzejma, iż zaniechała nawet konwersacji, wdychając tylko od czasu do czasu.

Kiedy wreszcie słodko znużona i mokra od potu leżała w jego ramionach, spojrzała na niego i ziewając ukradkiem, szepnęła:

– Kamień, no wiesz... Zakopałam go. Jeszcze tej samej nocy, kiedy tamten podejrzany muzułmanin z dziwnymi wąsami chciał go ukraść. Teraz nikt już go nie znajdzie.

Zaśmiała się cicho i całym ciałem przywarła do Farhada, który wciąż jeszcze dyszał ciężko, z trudem chwytając powietrze. Skóra dziewczyny nie pachniała teraz perfumowanym mydłem, ale życiem. Na jej twarzy malował się błogi uśmiech.

– Leży pod drzewem bodhi! – szepnęła z dumą.

Zajrzała mu w oczy i pogłaskała lekko po policzku.

– Zostań ze mną, mój słodki mnichu!

Sekundę później zasnęła w jego ramionach.

Farhad długo przyglądał się ślicznej twarzy Eleanor. Czując zmęczenie i z jakiegoś powodu ogarnęło go coś na kształt melancholii.

„Co by się stało – pomyślał – gdybym po prostu tutaj został?”.

Eleanor nie wierzyła w reinkarnację. Co by się stało, gdyby i on odrzucił wiarę w wędrówkę dusz, ot tak, po prostu, jak się wyrzuca pustą łupinę owocu mango? Co będzie, jeśli nie narodzi się ponownie? Ani jako bramin, ani jako robak? A gdyby pozostał tutaj i rozpoczął nowe, zupełnie nowe życie, z Eleanor? Mógłby stać się chrześcijaninem lub nawet buddystą, jeśli ona koniecznie by tego chciała, i zapomnieć o Krysznie. Zapomnieć o groźbach. Zapomnieć o przyrzeczeniu. Zapomnieć o Nitishu.

Zamknął oczy, czuł na twarzy delikatny oddech śpiącej Eleanor i chciał wreszcie odpocząć. Nikogo więcej nie oszukiwać. Nigdy więcej nie kraść. Skończyć raz na zawsze z maskaradą i bez względu na okoliczności nosić zawsze to samo imię.

Wreszcie odsunął Eleanor od swojego ramienia, wysliznął się bezszelestnie z łóżka i podszedł do okna. Spojrzał w dół. Ogród tonął w ciemnościach. Czarne jak sadza monsunowe chmury nadal nie przepuszczały światła. Być może Nitish był gdzieś tam na dole. Być może nie.

Farhad przycisnął czoło do chłodnej szyby. Wtedy coś uderzyło z cichym brzękiem o szklaną taflę. Zaczął szukać po omacku, jego niespokojne palce znalazły amulet, który wciąż miał na szyi. Nacisnął maleńki zatrzask i otworzył medalion. Właściwie sam nie rozumiał, dlaczego to robił, wiedząc, że i tak nic nie zobaczy w tych ciemnościach. Tak samo jak spragnionego deszczu ogrodu.

Ku swemu bezmiernemu zdumieniu zauważył jednak, że wizerunek w srebrnej oprawie otoczyło słabe światło. I znów wydał mu się nieco wyraźniejszy niż ostatnim razem, kiedy zaglądał do wnętrza medalionu. Było tak, jakby rysy księżniczki za każdym razem coraz bardziej wyłaniały się z mglistej zasłony, która spowijała fotografię.

Farhada ogarnęło niemiłe uczucie, że jej ciemne oczy spoglądają na niego z leciutkim wyrzutem. Czuł na sobie jej wzrok przenikający go do głębi. Oczy księżniczki były tak odmiennie od błękitnych jak kwiaty oczu Eleanor. Patrzący na niego o wiele bardziej poważnie i dorośle niż oczy Angielki emanował z nich wielki spokój.

Umrę, wydawały się mówić te oczy. Tej nocy, kiedy władca demonów Rawana zabierze mnie ze sobą do swojego królestwa, umrę, ponieważ nie mogę żyć bez światła i piękna, i dobra na tym świecie. Mój los jest w twoich rękach.

Oczy księżniczki nie błagały jak błękitne oczy Eleanor. Były zbyt dumne, by błagać.

Wtedy Farhad – albo Matsya, albo Kurma – otworzył okno i chwytając się pnączy klematisu, zsunął się bezszelestnie w ciemność ogrodu. Był pewien, że jego nowe piękne stroje już niebawem oddadzą swoje usługi następnemu gościowi w domu Eleanor.

Pod krzewem róż czekał na niego Nitish.

Raka i Lalit

Indyjski deszcz, choć tak gwałtowny,
rzadko odwiedza krainę Sziwy.
Unosi duszę w świat czarowny
niczym aromat kawy zdradliwy.

Indyjski deszcz jest pełen magii,
jak sztukmistrz zonglujący snami.
Uzdrowia ziemię, ale zgadnij,
jak popiół staje się drzewami.

Indyjski deszcz w indyjskich miastach
zmienia ulice w rzeki rwące
i jak zaklinacz słowa szepczą,
kielzna żywioły szalejące.

Bogiem jest zatem czy demonem?
O, moje dziecko, próżno pytasz.
Kto z śmiertelników wie coś o nim?
Kto duszę deszczu może schwycić?

Oliwa w małej mosiężnej lampce dopalała się z wolna i w pokoju Raki robiło się coraz ciemniej. Lalit z ledwością widział sylwetkę dziewczyny, która siedziała przed nim na parapecie z podciągniętymi nogami.

Patrzył oszołomiony w noc za oknem. Jak długo opowiadała? Godzinę? Dwie? Trzy? A może cztery?

– Tam – powiedziała cicho Raka. – Widzisz? To zorza poranna. Niedługo zacznie świtać.

Lalit przeraził się.

– Na pewno będą mnie pytać, co robiłem u ciebie przez całą noc, jeśli oczywiście ktoś odkryje, że tu byłem.

– Nie żartuj! A co takiego miałeś robić? – spytała. – W haremie pozwalają pracować tylko mężczyznom, którzy nie mogą wyrządzić najmniejszej krzywdy kobietom, nieprawdaż? Takim, którym natura wzbrania miłości.

Lalit poczuł, że się czerwieni, i ucieszył się, że jest tak ciemno.

– Oczywiście – powiedział cicho.

– No więc co miałbyś tutaj robić? Czy nie wolno rozmawiać? – spytała.

– Rozmawiać... – mruknął Lalit i pokręcił głową.

Miał wrażenie, że w ciągu tych kilku godzin wydarzyło się znacznie więcej. Drżał z zimna, lecąc z wiatrem, był zmordowany przygodą ze świątynnymi szczurami, chwycił z trudem gęste od dymu powietrze w ciasnych korytarzach więzienia i czuł ciepło nagiego ciała Eleanor. Nic nie wydawało mu się już takie jak na początku tej nocy. On, Lalit, cwałował razem z Farhadem na grzbiecie białego tygrysa z południa kraju aż do Gai i zatykał żółtą chorągiewkę na ogrodzeniu drzewa bodhi.

– I co będzie dalej? – szepnął z przejęciem. – Czy Farhad znajdzie Krwawy Kamień? Czy uda mu się dotrzeć w końcu

Do dalekiego miasta na pustyni i uwolnić księżniczkę, zanim Rawana zdąży ją poślubić?

Raka wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Kto wie – powiedziała.

- Jutro... czy jutro będziesz dalej opowiadać?

- Jeśli bogowie подарują mi jeszcze jeden dzień życia – powiedziała – będę dalej opowiadać. Ale przyjdź trochę wcześniej niż dziś. Ty też potrzebujesz snu, przecież musisz pracować.

- Przyjdę, przyjdę na pewno – powiedział Lalit i zsunął się z parapetu.

W drzwiach zatrzymał się i jeszcze raz odwrócił.

- Wybacz, że cię o to pytam – powiedział zakłopotany – ale jak to się stało, że nie jesteś już dziewicą?

- Akurat ta historia nie jest romantyczna – odparła Raka i zdmuchnęła pełzający na dnie lampy płomynek. – Obiecał, że się ze mną ożeni – powiedziała w ciemnościach. – Myślę, że naprawdę tego chciał. Był starszy ode mnie i mieszkał tuż obok nas. Dzieliliśmy wszystko: cień na podwórzu, sznury do wieszania bielizny, nasze beztroskie dziecięce zabawy, wszystko. Ale potem jego rodzice wybrali mu na żonę pewną kobietę z innej wsi oddalonej wiele mil od naszej, jego daleką krewną. Z odpowiedniej kasty. Moja była nie taka, jak trzeba. Nie za niska, wprost przeciwnie, za wysoka. Również i w takim przypadku zawarcie małżeństwa nie jest możliwe, jak wiesz. I mimo swojej wysokiej kasty mój biedny ojciec nie miał nigdy choćby jednej pajsy, żeby zapłacić za mój posag. Mężczyzna, który obiecał mnie poślubić, nie walczył. Odszedł bez słowa i ożenił się z inną, nie sprzeciwiając się woli rodziców. Wiedział oczywiście, że zostawia mnie nie tylko ze smutkiem rozłąki, ale też z pewnym problemem. Całe szczęście, że nie byłam w ciąży, więc z początku nie musiał się niczego obawiać.

– I co dalej? – spytał Lalit. – Gdzie on teraz jest?

– Nigdzie – odparła Raka. – Na południe od Nie-Wiadomo-
-Gdzie. Nigdy więcej o nim nie słyszałam.

Podobnie jak Farhad z jej opowieści Raka też spała na podłodze obok zbyt miękkiego dla niej łóżka i podobnie jak on spała źle. Ale z zupełnie innego powodu. Przez wiele godzin przewracała się niespokojnie z boku na bok. W końcu wstała, zesza cicho po schodach i zanurzyła się w labirynt wewnętrznych dziedzińców. W gałązkach klematisu pnących się po ścianach świergotała czereda małych, niewidocznych ptaków. Raca wydawało się jednak, że ich cieniutkie głosiki brzmią ostrzegawczo.

Dzień był błękitny. Błękitny jak melancholia. Jakiś nieokreślony smutek unosił się w powietrzu i ciążył na szczupłych ramionach Raki. Gdzieś koło południa dowiedziała się, że radza wciąż nie jest zdrow. Odetchnęła głęboko i czekała, by ulga odnalazła drogę z jej uszu do serca.

– Zatem tej nocy nie umrę – szepnęła ptakom i pogładziła zielone liście klematisu. – I mam jeszcze jedną noc do opowiadania. Ale czy to wystarczy? I co to w końcu za różnica, pod jakim księżycem zakończę życie?

Gołębie gruchały w gołębnikach, a Raka widziała z oddali, jak Lalit, młody eunuch, karmi je. Wabił je, przywoływał do siebie tak cicho, że Raka nie rozumiała jego słów, musiały to być jednak magiczne słowa, ponieważ gołębie przylatywały do Lalita jak dzieci do matki. Siadały na jego rękach, ramionach i plecach, przytulały srebrzystoszare główki do jego szyi i mówiły do niego w swoim dziwnym ptasim języku.

Obserwowała Lalita. Czy coś się w nim zmieniło od ostatniej nocy? Czy jego uroda stała się trochę mniej posągowa?

Jego śmiech mniej pusty? Raka nie była pewna, czy tak jest w istocie. Ile nocy pozostało jej jeszcze, by opowiadać dalej swoją baśń?

Odwróciła się i poszła wolnym krokiem przez pachnące krzewy róż. Piękny eunuch radzy nie domyślał się, że opowiadała, by ocalić swoje życie.

Zbliżał się wieczór i Raka siedziała samotnie na brzegu fontanny, obracając w dłoniach mały posążek bogini Kali. Mrok kładł się już na dziedzińcach i murach, a ptaki w pokrytych kwiatami gałązkach umilkły. Tylko woda wciąż szemrała cicho w fontannie swoje niekończące się srebrzyste fantazje.

Raka widziała sylwetki innych kobiet za rozświetlonymi oknami. Wiedziała, że pozostałe żony radzy uważają ją za niepełną rozumu. Tego popołudnia spostrzegły ją na owiewanym podmuchami wiatru wierzchołku nerkowca i poszły po pierwszego strażnika haremu, żeby ją sprowadził na dół. Kiedy wróciły razem z nim, gałęzie nerkowca były puste, a Raka stała przy oknie i obserwowała ich z ukrycia. Nie uszła jej uwadze złość i niezrozumiałość dla niej wrogość brzmiąca w ich wysokich, podniesionych głosach. Jakże niemelodyjne były te głosy w porównaniu z głosami ptaków.

Raka miała nadzieję, że z wierzchołka nerkowca zobaczy pustynię. Ale nerkowiec zawiódł jej nadzieje. Jutro wypróbuje strzelistą wieżę ciśnień.

– Więc tutaj jesteś – usłyszała miękki głos Lalita i wyczuła, że usiadł za nią na kamiennym brzegu fontanny.

– O tej porze pustynia jest fioletowa – powiedziała Raka westchnieniem. – Właśnie przed chwilą zmieniła barwę. Długie cienie zjednoczyły się z nocą, a zamyślane wielbłądy przeczują ostatni raz, nim zasną.

Odwróciła się do Lalita.

– Widzę to, naprawdę widzę – szepnęła. – Wszystko, jak na dłoni. Wcześniej o tym nie wiedziałam. Ale w każdej sekundzie pustynia bije we mnie jak moje drugie serce. Czy to nie dziwne?

Lalit skinął głową, a ona zwróciła uwagę, iż w dalszym ciągu boi się do niej zbliżyć.

– Przyszedłem trochę wcześniej niż wczoraj, tak jak mówiłaś... – powiedział. – Nie wiem, czy to jest dozwolone, że cię słucham, ale...

Zmieszany obracał w palcach gołębie piórko, które przyniósł wieczorny wiatr.

– Nie pytałem...

Raka uśmiechnęła się.

– To dobrze. Wszystko, co nie jest zabronione, jest dozwolone.

– Na pewno słyszałaś już, że radża wciąż leży w gorączce – powiedział Lalit. – Mówią, że dziś wieczór miotał się jak szaleniec po swojej komnacie, ponieważ lekarz zabronił mu wstawać z łóżka i kazał tylko spać. Podobno cisnął w niego lusterkami. – Ma wiele lusterek, gdyż uwielbia się w nich przeglądać.

– Lusterkiem? – spytała Raka. – A co zrobił lekarz?

– Zamknął za sobą drzwi, jak sądzę – powiedział Lalit i zaśmiał się cicho. – Zna radżę Ahmeda od dawna. Leczył go już wtedy, gdy mój pan był nieznośnym, rozkapryszonym dzieckiem.

Raka ścisnęła mocniej mały posążek bogini Kali, przeczuwając, iż nawet gniew Kali nie pomoże jej ostudzić gniewu radży. Wtedy poczuła rękę Lalita na swoim ramieniu.

– Drżysz – powiedział cicho. – Zrobiło się chłodno. Monsoon już niedaleko. Wejdziemy do środka?

– Tak, chodźmy. To dobry pomysł. Tam przynajmniej nikt nas nie będzie obserwować – powiedziała Raka i wstała. – Ale drzę nie dlatego, że jest mi zimno.

Podążył za nią przez wspaniałe korytarze i dalej schodami na górę do jej pokoju.

– Nie mów nikomu – szepnęła, kiedy już usiadła na szerokim parapecie, tak samo jak poprzedniej nocy. – Nie mów o tym nikomu, ale boję się. Naprawdę. Prędzej czy później Ahmed Mudhi wyzdrowieje, żeby mnie zabić. Za dnia moja duma jest większa, lecz nocą bierze górę lęk.

– Jesteś bardzo dzielna – powiedział Lalit.

– Nie – odparła Raka i uśmiechnęła się leciutko. – Niestety nie.

– Opowiadaj dalej – poprosił. – Czy Farhad znalazł Krwawy Kamień pod świętym drzewem bodhi?

– Właśnie się do tego zabiera... – powiedziała Raka i rozpoczęła opowieść drugiej nocy.

Pozdrowienie monsunu

Drzewo bodhi wyglądało na tle nocnego nieba niczym upiorna demoniczna istota z tysiącami wyciągniętych ramion i dłońmi pełnymi liści. Człowiek, który pilnował świętego miejsca buddystów, spał w najlepszym na składanym krześle przy wejściu do świątyni.

– Jeśli się obudzi – szepnął Farhad w okrągłe i ciepłe ucho tygrysa – wtedy ty zatroszczysz się o to, żeby nie wchodził mi w paradę. Ale nie rób mu krzywdy, rozumiano? On nie jest połową kozy, a my nie potrzebujemy kolejnych kłopotów.

Nitish parsknął cicho, usiadł jednak posłusznie obok śpiącego mężczyzny.

– Nie jadam świątynnych strażników – odparł z powagą swoimi magicznymi oczami, które błyszczały w ciemności jak lampki oliwne. – Mają posmak kadzidła. Ohyda!

Farhad stłumił śmiech. Przemknął bezszelestnie do grubego pnia świętego figowca, przeskoczył wysokie do kolan ogrodzenie z żelaznych prętów, po czym ukląkł, żeby pięć po pięć zbadać ziemię. Mimo ciemności od razu dostrzegł nową łótkę chorągiewkę, którą razem z Eleanor zatknęli tutaj jeszcze tego popołudnia. Nagle wydało mu się, że od tego czasu minęły całe wieki! Pomyślał o jej białych ramionach i o tym,

końce, robiąc wielki supeł. Potem wziął jeszcze jedną chorągiewkę, ułokował w niej zawiniątko z klejnotem i omotał całość wokół ramienia. Nitish przyjrzał się temu dziwnemu opatrunkowi.

– I bardzo dobrze! – pochwalił Farhada. – Teraz przynajmniej jego krwawe lśnienie jest milczące. Przedtem mogłem je nawet słyszeć. Brzmiało w moich uszach jak stara pieśń. Pieśń demonów. Nie jest to doprawdy piękny ton dla tygrysa, którego stworzyli bogowie.

Farhad zaśmiał się cicho. Potem zakopał na powrót drewnianą skrzyneczkę między korzeniami drzewa bodhi i starannie uklepał ziemię.

Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że księżyc powędrował tymczasem dobry kawałek dalej. W konarach prastarego figowca czaiły się głębokie czarne cienie. Nagle usłyszał jakiś rytmiczny odgłos i zobaczył, że tygrys bije nerwowo ogonem, który z niezwykłą nawet jak na Nitisha gwałtownością zamiatł ziemię.

– Tam... tam coś jest – powiedziało jego spojrzenie. – Popatrz tylko. Na drzewie.

Farhad wytężył oczy. Nitish miał rację. W czarnym cieniu siedziała jakaś postać. A teraz wstała i schodziła w dół po konarach świętego drzewa z taką łatwością, jakby to były wygodne schody. Farhad cofnął się o krok, a tygrys próbował ukryć się za nim.

– Budda – mówiły oczy Nitisha bezgłośnie i z lękiem. – Kopaliśmy u stóp świętego drzewa Buddy. Być może nie powinniśmy byli tego robić. To bardzo niebezpieczne rozgniewać kogoś takiego jak Budda...

– Ty... ty naprawdę myślisz...? – szepnął Farhad.

Z Buddą sprawy miały się tak: buddyści mówili, że jest tym, który doznał oświecenia, oświeconym. Natomiast hin

duiści twierdzili, że jest jedną z inkarnacji Wisznu. Tak czy inaczej był znaczącą osobą.

Tajemnicza postać dotarła tymczasem do najniższego konaru drzewa bodhi i stamtąd zeskoczyła zwinnie na ziemię. Farhad cofnął się jeszcze o krok. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Mógł się odwrócić, a potem razem z Nitishem wziąć nogi za pas, co byłoby najprostszym rozwiązaniem. Gdyby jednak rzeczywiście miał tutaj do czynienia z nadziemską zjawą, którą rozgniewał, wówczas każda próba ucieczki zostałaaby rychło udaremniona.

– Kim jesteś? – spytała postać gniewnym głosem. – Kim jesteś, że odważasz się zakradać tutaj w środku nocy i kopać przy korzeniach świętego drzewa?

– My... bo my właśnie... mieliśmy swoje powody – odparł Farhad drżącym głosem. – To... to było... konieczne.

– Takie rzeczy są zabronione! – ryknęła postać, trzęsąc się z oburzenia. – Tak było, jest i będzie! Na każdej tabliczce z osobną, którą tu widzicie, można to przeczytać. Jestem zmuszony was arestować.

Farhad usłyszał metaliczny szcęk i w ręku tajemniczej postaci pojawiła się nagle broń.

„Budda – pomyślał w popłochu. – Budda z karabinem?”

– A kim... kim wy jesteście? – wyjąkał oszołomiony. – Co robicie nocą na świętym drzewie bodhi?

– Radzę ci, żebyś zwracał się do mnie uprzejmie. Masz przed sobą strażnika świętego drzewa – odparła z dumą i godnością postać. – Mój przyjaciel... o ten tam, przy wejściu, lubi czasem wciąć sobie drzemkę, ale ja mam niezawodne oczy i uszy.

Nie wiedział, iż nie powinien był tego mówić.

Farhad odwrócił się do Nitisha, który w dalszym ciągu siedział za nim. Usłyszawszy to prozaiczne wyjaśnienie, wstał niepiesznie i wyprężył się po swojemu.

– Strażnik! – przeczytał Farhad w oczach Nitisha. – Zwykły strażnik. A to dobre!

I zanim domniemany Budda zdążył pojąć, co się stało, biały tygrys jednym susem wyminął Farhada i skoczył do przodu. Sekundę później strażnik leżał jak długi na wilgotnej od rosy ziemi. Karabin wypadł mu z ręki, a ogromna biała tygrysią łapa przygwoździła mu pierś. W świetle połowy księżyca widać było przerażenie malujące się w jego oczach.

– Niechaj Budda pobłogosławi twoje uszy i oczy – powiedział szybko Farhad – ale teraz pozwól nam odejść, dobry człowieku. Podróżuję w imieniu Kryszny i tak się składa, że potrzebuję twoich szat. Obiecuję, że nie zrobimy ci najmniejszej krzywdy, jeśli dasz mi swoje lunghi.

Nitish zabrał łapę, nadal jednak warował z obnażonymi kłami obok mężczyzny. Nieszczęśnik bełkotał coś o duchach i zjawach i trzęsąc się ze strachu, zdjął ubranie. Farhad narzucił je na siebie. Potem złożył dłonie i lekko się skłonił.

– Bogowie dziękują ci za ten piękny uczynek – powiedział. – Kiedyś na pewno to zrozumiesz.

Wskoczył na grzbiet tygrysa, a Nitish jednym wspaniałym susem przeleciał ponad świątynią, ponad wierzchołkiem przestarłego drzewa bodhi i domkiem strażników. Wkrótce Bodhi Gaja leżała za nimi, a oni zdążyli co tchu drogą na zachód, wprost na pustynię Thar.

Farhad raz za razem odwracał się niespokojnie za siebie, spodziewając się, że Francuz ruszy za nim w pogoń, ale nigdzie go nie było widać.

– W jaki sposób miałyby to zrobić? – spytał Nitish, odwracając się w pełnym biegu do Farhada i patrząc na niego lśnięcymi oczami. – Czy ma się zawiesić na chmurze i lecieć razem z nią? Albo usiąść na ziarnku piasku i dać się nieść przez

wiatr? Jego kroki są ciężkie i powolne. A my jesteśmy szybsi **nawet** niż pogłoski krążące w miastach. Następnym godnym **uwagi** miejscem, które dzieli nas od pustyni Radżastanu, jest **Waranasi**, gdzie święta rzeka Ganges unosi szczątki waszych **zmarłych**. Dowiedziałem się o tym w Gai, podczas gdy ty...

- Dobrze, już dobrze - powiedział szybko Farhad. - Skoro **jesteś** taki zmyślny, to może mi powiesz, czy dowiedziałeś się **również** tego, jak daleko jeszcze do Waranasi?

Nitish chciał tam dotrzeć w dwa dni.

- Najwyżej - powiedział.

Mylił się jednak potężnie. Ponieważ spadło na nich coś, na **co** zanosilo się już od dawna. A chłopak przez cały czas o tym **wiedział**, ale nie przywiązywał do tego wagi: monsun.

Byli zaledwie pół dnia w drodze, gdy Nitish - trzymając **nos** pod wiatr, odwrócił się do swojego jeźdźca i powiedział **z troską** w oczach:

- Zmienił kierunek.

- Kto? - spytał Farhad, zrywając się przerażony ze snu.

Po obfitującej w wydarzenia nocy zasnął twardym snem na **grzbiecie** Nitisha.

- Wiatr, mój przebiegły bohaterze - odparł Nitish.

Farhad fuknął rozzłoszczony i stwierdził przy tym ze **zdu- mieniem**, że zabrzmiało to niemal jak prawdziwe tygrysie **fuknięcie**. „Im dłużej razem się podróżuje - pomyślał - tym **wlęcej** nawyków przejmuje się od siebie nawzajem. Czy to **znaczy**, że w następnej kolejności zacznę prychać?”.

Spojrzeli równocześnie w niebo.

Nitish zatrzymał się pośrodku wielkiego wyschniętego **po- la**. Brunatna ziemia była spękana i zaskorupała jak usta **cho- rego** na febrę. Pociemniałe niebo obiecywało polu rychłe **ozdrowienie**. Potężne góry chmur spiętrzyły się wysoko nad **blemią**, przesuwaly jedna nad drugą, skłębajac się w coraz

większe masy. Były granatowe, niemal czarne, i wydawały się więzić bezbronne słońce.

– Monsun – powiedział Farhad. – W każdej chwili może zacząć padać.

– Woda – parsknął z obrzydzeniem Nitish.

Farhad czuł, jak boki białego tygrysa dygoczą. Nitish rozglądał się gorączkowo dookoła, a Farhad rejestrował z bijącym sercem jego strach.

– I co teraz zrobimy? – pytały go przerażone błękitne oczy.

Farhadowi udzieliła się jego panika. Przejęty nagłą trwogą zastanawiał się w pośpiechu, co robić. Jeśli Nitisha zmoczy deszcz, on na zawsze straci wierzchowca.

– Tam! Po drugiej stronie pola! – zawołał wreszcie. – Widzisz te chaty? To nasza jedyna szansa...

Nie dokończył, ponieważ daleki huk grzmotu wydarł mu z gardła resztę słów, by użyć ich do swoich własnych celów.

Ale tygrys zrozumiał. Zanim nad ziemią przetoczył się następny grzmot, wyrwał jak strzała do przodu, sadząc potężnymi susami przez pole, które wydawało się z tęsknotą wznosić ku niebu. Ubogie domostwa na skraju piaszczys tej drogi wyglądały jak kupa starych desek. Ich dachy były pokryte wielkimi liśćmi palmowymi i obciążone kamieniami. W głębi duszy Farhad miał cichą nadzieję, że owe nędzne chaty mimo wszystko zdołają się oprzeć monsunowej ulewie.

– Hej, hej?! – krzyknął, gładząc boki w dalszym ciągu drżącego Nitisha. – Czy jest tam kto? Szukamy schronienia przed deszczem...

Ledwie wymówił te słowa, kiedy wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, ze wszystkich tych nędznych chat wybiegli ludzie, mali i duzi, w różnym wieku, bardzo wiele starych jak świat kobiet, jedna bardzo młoda, chuda i wielkooka, trzech

mężczyzn i cała gromada nieprawdopodobnie brudnych dzieci z wysmarowanymi twarzami, które wielkimi oczami spoglądały do góry na dziwnego jeźdźcę. Ta umorusana dziatwa wydawała się w niezwykle roztropny i poważny sposób zadawać sobie pytanie, dlaczego ten obcy przybysz siedzi na tygrysie i dlaczego ten tygrys jest biały.

Po drugie, wydarzyło się coś, co wywołało równie wielkie wrażenie: spadła pierwsza kropla deszczu. Upadła w pył obok lewej przedniej łapy białego tygrysa i Nitish uskokzył przerażony na bok. Potem skoczył jeszcze raz, tym razem do przodu, i wylądował z impetem w jednej z chat. Farhad stracił równowagę i potoczył się po ziemi jak piłka. Tam zastygł w bezruchu, leżąc na plecach, i zobaczył wpatrzony w siebie mnóstwo zdziwionych twarzy.

– Mój tygrys – wyjaśnił, rozcierając stłuczony łokieć – boi się wody.

– Właśnie to widzimy – powiedział z dobrodusznym uśmiechem najwyższy mężczyzna.

A potem nadszedł monsun. Uderzył żywiołowo, jak to miał w zwyczaju. Do pierwszej kropli dołączyły miliony dalszych i sekundę później z czarnych nabrzmiąłych chmur runęła woda, jakby jakiś olbrzym przekręcił do góry nogami ocean i teraz wylewał go na ziemię.

Dzieci biegały po zakurzonym placu między chatami, krzycząc radośnie i wymachując chudymi rączkami, a chwilę później przyłączyli się do nich dorośli. Mężczyzna z dobrodusznym uśmiechem chwycił Farhada za rękę i pociągnął go za sobą i zanim ten się spostrzegł, tańczył w deszczu z zupełnie obcymi sobie ludźmi. Zadarł do góry głowę, otworzył usta i pozwalał, żeby woda spływała mu do gardła – zmywała pot i kurz z ciała, wnikała we wszystkie pory, a on czuł się jak spragniona indyjska ziemia. Wsysał, wchłaniał z jakąś dziką

rozkoszą wodę i czuł, jak ten najcudowniejszy eliksir życia napełnia go nowymi siłami.

Miał drogi kamień, pozbył się wreszcie Francuza i przyprowadził tygrysa w bezpieczne miejsce, a na dodatek pozostawało mu jeszcze dość czasu, żeby dotrzeć do miasta w sercu pustyni. Przez chwilę był naprawdę szczęśliwy. Nic złego nie mogło mu się już więcej przydarzyć.

Podniósł do góry jakiegoś małego chłopczyka i kręcił się z nim dookoła w mokrym powietrzu, pokrzykując radośnie, a deszcz spływał cienkimi strużkami po jego nagim ciele. Wtedy pozostałe dzieci, które najwidoczniej pozazdrościły koledze, zgromadziły się wokół nóg Farhada i tak długo go prosiły, aż podnosił je wszystkie po kolei, jedno, drugie, trzecie, dziesiąte... I w końcu padł wyczerpany w lepkie błoto. A cała dzieciarnia bez namysłu upadła na niego, zanosząc się od śmiechu.

Farhad leżał w błocie i patrzył na niebo, z którego lały się nieprzerwanie potoki deszczu, i pomyślał o ryżu, który teraz znów się zazieleni, i o bananowcach, które podniosą swoje zmęczone liście i wydadzą jeszcze owoce. I uśmiechnął się do siebie.

To nie był jego ryż i nie były to jego banany, i Farhad zadał sobie pytanie, dlaczego tak się cieszy, że będą rosnać, dojrzewać i owocować. I zadawał sobie też pytanie, dlaczego leży w błocie z czeredą obcych dzieciaków.

To go zaniepokoiło. To nie było zgodne z jego naturą. Usiadł, strząsnął z siebie dzieci, po czym wczołgał się na czworakach do chaty, żeby zobaczyć, co się dzieje z Nitishem, o którym niemal zapomniał.

Tygrys leżał zwinięty w kłębek na stosie worków z ryżem. Gospodarze uszczelnili nad nim dach, łatając go wielką statwą płachtą. Miejsce wydawało się najbardziej suche w całej chatce, ale Nitish ledwie się tam mieścił.

Farhad wyciągnął do niego rękę, a tygrys parsknął i machnął łapą w jego stronę. Wysunął pazury, uważał jednak, by nie dotknąć Farhada. I wcale nie dlatego, że nie chciał zranić swojego jeźdźca.

– Nie zbliżaj się do mnie! – zamruczał ostrzegawczo. – Jesteś cały mokry!

Brzmiało to tak, jak gdyby Farhad cierpiał na jakąś zakaźną chorobę.

– Ojej – powiedział skruszony i natychmiast opuścił rękę. – Wybacz. Wygodnie ci tam?

– Cudownie – parsknęły wściekle oczy Nitisha. – Naprawdę nie widzisz, jakie mam tutaj wygody? Nie mogę po prostu wyobrazić sobie nic wspanialszego niż tkwienie między starymi workami z ryżem i jakąś śmierdzącą płachtą. Czuję się jak jaszczurka pod końskim kopytem.

Farhad usłyszał za sobą kroki i chwilę później starszy mężczyzna z wielkimi jak łopaty dłońmi zajrzał mu przez ramię.

– Coś mi się wydaje, że twój przyjaciel musi naprawdę mieć wielkiego stracha przed wodą – powiedział z uśmiechem. – Jak to się stało, że podróżujesz z białym tygrysem, który nie ma odwagi wyjść na deszcz?

– To bardzo długa historia – odpowiedział Farhad. – Jeśli pozwolicie nam przeczekać ulewę w waszej chacie, chętnie ją opowiem.

– Czemu nie? Możecie się u nas zatrzymać, jak długo zechcecie. – Mężczyzna zrobił zapraszający gest ręką. – Sam widzisz, jak tutaj żyjemy. Susza była długa i nudna. Nasze pola usychały z pragnienia, tęskniąc za deszczem, ale nasze serca trawiła nuda. A my usychaliśmy z tęsknoty za opowieściami. Usiądź przy ogniu i opowiadaj.

– Pewnie i tak mi nie uwierzycie – powiedział niedługo później Farhad, siadając na klepisku ze skrzyżowanymi nogami.

Strach przed wodą sparaliżował białego tygrysa, odbierając mu całą jego szybkość. Raz za razem zadzierał łeb i spoglądał w niebo, wypatrując z trwogą choćby najmniejszej oznaki kolejnej nawałnicy.

Wtedy Farhad wołał:

– Ostrożnie, drzewo! – albo: – Uważaj! Biegiesz prosto na wóz zaprzężony w woły!

I tygrys skręcał niemal w ostatnim momencie. Co gorsza, uparł się okrążyć większe kałuże w obawie, że jeśli w nie wskoczy, woda może go ochłapać. Posuwali się więc zyganiem i Farhad zaczął się w pewnej chwili zastanawiać, czy nie posuwaliby się szybciej, gdyby to on niósł tygrysa.

Przypadek sprawił, że następna wielka ulewa przyłapała ich na ulicy, na której nie było nic poza gładkim białym murem. Farhad już od rana z niepokojem popatrywał w niebo i kiedy na skraju jakiejś niewielkiej mieściny skręcili w ciasną uliczkę, wyczuł następny deszcz. Rozglądał się nerwowo dookoła, lecz mur ciągnął się i po prawej, i po lewej stronie, gładki i prosty, bez drzwi ani bram. Wysokie drzewa wyciągały ku nim konary niczym ciekawskie kobiety ukryte za oknami.

Na pociemniałym niebie chmury skłębiły się złowieszczo, zgęstniały i teraz wydawały się wciągać powietrze, żeby w najmniej oczekiwanym momencie wypluć swoją zawartość na obu podróżników. Wiatr pędził śmieci ulicą, a w powietrzu wirowały rzadkie, nieśmiałe krople.

– Szybko! – zawołał Farhad. – Musimy znaleźć jakąś kryjówkę! Skacz przez mur!

Nitish odwrócił się do niego gwałtownie.

– Nie! – odpowiedziały z niezwykłą stanowczością błękitne oczy.

– Dlaczego? – krzyknął Farhad i pokazał na niebo. – Czy na prawdę tego nie widzisz? Czy nie czujesz? Deszcz powrócił!

- Pewnie, że wi dzę i czuję, co się święci – mruknął Nitish.
- Ale ogród za tym murem należy do meczetu.

- Tak? I co z tego? – spytał Farhad coraz bardziej zirytowany.

W tym samym momencie kropla wody trafiła go w czoło, dokładnie między oczy, niczym boskie ostrzeżenie.

- Nie mogę szukać schronienia przed deszczem w ogrodzie mużułmańskiego meczetu! – wyjaśnił Nitish z dość niewyraźną miną. – Nawet jeśli listowie ich drzew jest wystarczająco gęste. Jestem hinduistycznym świętym tygrysem.

- Skacz! – zakomenderował Farhad.

Chciał przydać swojemu głosowi tyle surowości, na ile to było możliwe, ale choć bardzo się starał, nic z tego nie wyszło.

Nitish pokiwał głową i zatrzymał się.

- Skacz! Bo inaczej zamienisz się w kamień!

Chłopak uderzył go piętami w boki, jakby jego magiczny wierzchowiec był narowistym koniem. Tygrys warknął. Nadal jednak stał w miejscu, szurając przednią łapą w piachu. Tuż obok niego upadła na ziemię jeszcze jedna, większa kropla i Nitish dał susa w bok.

Wiatr przybrał na sile. Obok nich przemknął liść palmy i w tej samej chwili zamglony obraz księżniczki pojawił się w umyśle Farhada. Czy na palmę daktylową, pod którą kiedyś sła, też już niebawem spadnie deszcz? Być może to miejsce na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie było niedaleko? Być może liść, który niósł wiatr, rósł na tej właśnie palmie?

Spoglądał w zamyśleniu za liściem, a wtedy wiatr poderwał go wysoko w górę, okręcił dookoła i unióśł przez mur.

- Skacz! – powiedział Farhad po raz ostatni.

Wtedy Nitish wziął wreszcie rozbieg i wspaniałym susem przesadził mur za liściem palmy. Po drugiej stronie muru skinęły im na powitanie krzewy hibiskusa ustrojone w delikatne

kwiaty. Liść palmy niesiony podmuchem wiatru przeleciał tuż przed łapami Nitisha wzdłuż wybrukowanej alejki, a tygrys jakby nagle zapomniał, że znajduje się na świętej ziemi islamu. Po dązał trop w trop za liściem jak kot za kulką papieru. Liść poszybował prosto do dwuskrzydłowych, kutek w metalu drzwi, które były lekko uchylone. Nitish skoczył za liściem przez drzwi – i w tej samej chwili otuliła ich ciemność meczetu. W tym samym momencie niebo na zewnątrz pękło z ogłuszającym hukiem. Farhad usłyszał, jak deszcz z całą potęgą spada na ogród na hibiskus, na mury i na ulicę, na której stali jeszcze przed chwilą. Rozglądał się dookoła, szukając liścia palmy, ale już go nie ujrzał. Odetchnął powoli.

Podłoga między kolumnami małego meczetu była wyłożona czerwonym wzorzystym dywanem, a u sufitu wisały tu i tam wielkie mosiężne lampy oliwne, których knoty żarzyły się w półmroku.

Oprócz nich w meczecie nie było żywej duszy.

– Wydaje mi się, że jest tu zupełnie sucho – stwierdził Farhad z zadowoleniem, przyglądając się uważnie zdobionej ornamentami kopule nad ich głowami. – I jak przestrońnie. Moglibyśmy zatrzymać się tutaj przez chwilę.

– Nie wiem – odparł Nitish.

Farhad przypatrywał się, jak biały tygrys biega niespokojnie po czerwonym dywanie. Kłusował wzdłuż ścian, tu i tam przystawał, węszył, nasłuchiwał, bił nerwowo długim ogonem, po czym znów ruszał z miejsca i biegł dalej. W końcu wrócił do Farhada, a w jego oczach migotały ogniki.

– Mam ponad tysiąc lat – powiedział szczerze zatroskany – I niemal całe życie spędziłem w świątyni hinduistycznej. Stworzyli mnie hinduistyczni bogowie. Ale muzułmanie nie wierzą w takie cuda jak ja! Stracę całą swoją moc!

Usiadł na dywanie i zwiesił uszy.

– Przecież wiesz, dlaczego tutaj jesteśmy – przypomniał mu Farhad. – A może wolisz zamienić się w kamień?

Nitish prychnął ze złością i znów zaczął krążyć po meczecie. Za każdym razem, kiedy mijał chłopca, rzucał mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Mam wrażenie, że się roztapiam – powiedział.

Farhad obserwował energiczną pracę mięśni pod białym futrem. Uśmiechnął się. Jeśli ktoś się roztapiał, to na pewno nie był to Nitish. Uspokojony zwinął się w kłębek na dywanie, żeby się trochę zdrzemnąć. Deszcz uderzał z łoskotem o kopułę meczetu, a poza tym i tak nie było nic innego do roboty.

Obudził go przenikliwy głos muezina.

W meczecie zebrała się teraz mała grupka ludzi, byli to sami mężczyźni. Inni wchodzili jeszcze do środka, a potem wszyscy razem usiedli z twarzami zwróconymi w jednym kierunku, żeby się wspólnie modlić. Wyglądali na przemoczonych, więc Farhad wywnioskował bez trudu, że na dworze w dalszym ciągu pada. Na meczet, na minaret, na ogród z hibiskusem i na ulice miasteczka. Podniósł się z dywanu i wycofał szybko za jedną z kolumn, żeby obserwować z ukrycia modlących się. Byli tak pochłonięci swoimi czynnościami, że nawet go nie zauważyli.

Farhad rozejrzał się za Nitishem. W końcu wypatrzył go w jakimś mrocznym kącie, gdzie biały tygrys siedział wyprostowany bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Chłopak przemknął bezszelestnie za plecami modlących się i próbował pochwycić jego spojrzenie, ale tygrys wciąż patrzył uparcie przed siebie. I wtedy Farhada ogarnęło straszliwe podejrzenie. Spojrzał szybko w górę. Może w suficie była gdzieś jakaś dziura, której przedtem nie zauważył? Dziura, przez którą

wpadał deszcz? Ale nie, sufit sprawiał wrażenie szczelnego. Więc co się stało?

– Nitish – szepnął Farhad. – Słyszysz mnie? Chyba nie skamieniałeś?

Wtedy tygrys spojrzął przeciągle na niego.

– Nie – powiedział – nie skamieniałem. Umieram.

Słowa, które Farhad wyczytał w jego oczach, zabrzmiały cicho i słabo. Zanurzył palce w miękkim tygrysim futrze i od razu poweselał. Ciało wielkiego kota było ciepłe jak zawsze.

– Ani się nie roztapiasz, ani nie umierasz – stwierdził Farhad. – A jeśli nawet, to tego nie widać.

– Czuję to – odparł Nitish i z wysiłkiem odwrócił łeb w stronę Farhada. – Moja ostatnia godzina jest już blisko. A wszystko przez ten meczet.

Lamenty Nitisha na nic się jednak nie zdały. To, co oczekali w chacie tamtej gościnnej rodziny, było tylko pierwszym zwiastunem prawdziwego monsunu. Dopiero teraz pokazał, co naprawdę potrafi! Zebrał wszystkie siły i miotał na ziemię już nie miliony, ale tryliony kropli w jakimś szaleńczym zapamiętaniu.

Farhad i Nitish pozostali w meczecie jeszcze przez następne dwa dni. Wyglądało na to, iż żaden z muzułmanów nie uważał dwóch kryjących się w cieniu kolumn postaci. Od czasu do czasu chłopak opuszczał świątynię, żeby w targaniu przez monsun mieście zdobyć coś do jedzenia. Za każdym razem obserwował z niepokojem pociemniałe niebo, próbując wypatrzeć jakąś dziurę w grubej pokrywie chmur. Na próżno. Z wyjątkiem krótkich przerw deszcz pozostawał nieubłagany. A chłodne srebro amuletu spoczywało na piersi Farhada i wydawało się tykać jak zegarek.

„Być może – pomyślał – pada też na pustyni. Być może księżniczka siedzi przy oknie i patrzy w nieprzejrzysty welon

deszczu, zadając sobie pytanie, czy przed swoim weselem
z królem demonów jeszcze ujrzy słońce”. Farhad zastanawiał
się coraz częściej, czy nie byłoby lepiej pozostawić Nitisha
w meczecie i samemu powędrować w deszczu. Ale czy miał
jakiegokolwiek szanse przebyć na piechotę tak wiele mil i do-
trzeć do pustynnego miasta przed następną pełnią księżyca?
Pomyślał, że jednak nie, i była to niestety gorzka prawda.

Z Nitishem także nie było dobrze. Z każdym nawoływa-
niem muezina coraz bardziej wtapiał się w cień. Jego śnież-
nobiałe futro utraciło blask, biedaczysko słabł z każdą godzi-
ną, aż przykro było patrzeć. W końcu Farhad zaczął się
o niego poważnie niepokoić.

Drugiego dnia na domiar złego rozpętała się nawałnica. Na
dworze monsun w dzikim szaleństwie pędził krople deszczu
ulicami miasteczka. Coraz mniej wiernych przychodziło na
modlitwy do meczetu. Farhad stał przy oknie i patrzył, jak
wściekła wichura łamie drzewa niczym zapałki i niesie ka-
wałki dachów. Kiedy otwierał drzwi meczetu, stawał przed
rwałym potokiem. Nitish towarzyszył mu czasami do drzwi
i chowając się za jego plecami, wyglądał na dwór, popiskując
łatośnie jak mały, chory kotek. Nie chciał nawet tknąć kury,
którą przyniósł mu Farhad.

- Wygląda, jakby się utopiła – powiedziały z wyrzutem
dezy tygrysa.

- Bo się utopiła – przyznał mu rację Farhad. – Wyciągną-
łem ją ze strumienia płynącego ulicą.

Nitish odwrócił się ze wstrętem.

- Gdybyś mnie nie zabrał z mojej świątyni – zamruczał –
nie miałbym dziś takich zmartwień. Marzę tylko o tym, że-
nym mógł powrócić na moją wysepkę w Mysore.

- No nie! Żeby tam nudzić się przez całą wieczność? – za-
pytał wściekle Farhad.

On też był głodny, a nerwy zaczynały powoli odmawiać mu posłuszeństwa. Deszcz nie był dla niego dobrym czasem. Złodzieje, podobnie jak wieśniacy, mają zazwyczaj swoje żniwa na wolnym powietrzu.

– Wolę zanudzić się na śmierć w świątyni, która przez tyle lat była moim domem – powiedział Nitish z patosem – niż zakończyć życie w meczecie.

Tego dnia Farhad był zbyt rozdrażniony, żeby jeszcze dłużej roztrząsać z nim tę kwestię.

Trzeciego dnia wczesnym rankiem przez uchylone skrzydło starych drzwi wpadło do wnętrza meczetu światło słoneczne. Farhad zaczął krążyć niespokojnie, potem przysiadł na czerwonym dywanie, znów wstał i nasłuchiwał. Miarowy, jednostajny rytm deszczu ucichł.

– Nitish! – szepnął. – Obudź się szybko! Na dworze świeci słońce!

Ale tygrys nie reagował. Wyciągnął wszystkie cztery łapy, a jego zamknięte powieki drgały lekko. Farhad widział wprawdzie, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, lecz jego oddech był płytki i przyspieszony.

Chłopak z całych sił potrząsnął Nitishem.

– Nitish! – krzyknął. – Otwórz wreszcie oczy! Mów do mnie!

Tygrys nie otworzył jednak oczu. Milczał jak zakłęty. Farhad posiedział przy nim jeszcze chwilę, widział jasną smugę światła słonecznego wpadającą przez uchylone drzwi, czuł srebro amuletu na swojej piersi i próbował podjąć decyzję. W końcu nie wytrzymał beczynnego siedzenia, skoczył na równe nogi i wybiegł na dwór. Chmury pozostawiły za sobą pięknie wymyte błękitne niebo pełne ptasich treli. Monsun jeszcze nie minął, najwyraźniej jednak zrobił sobie dłuższą przerwę.

Farhad stał w ogrodzie, wciągał głęboko do płuc powietrze odświeżone deszczem i zapach ziemi, w której teraz wszystko budziło się do życia. Przez wysoki mur zaglądało drzewo z zielonymi liśćmi.

Wtedy serce bohatera, który nie był wcale bohaterem, stało się lekkie i ciężkie zarazem. Droga na zachód, tam gdzie leżała pustynia Thar, była wolna, niepogoda minęła. Deszcz ustał. Nitish bardziej przeszkadzał teraz, niż był pomocny. Czas nagiął – nagiął jak nigdy. Droga czekała na jego stopy, a pustynia na jego przybycie. Ale Nitish nie będzie mu towarzyszył. Decyzja, którą musiał podjąć Farhad, paliła go w duszy żywym ogniem i to go zdziwiło. Musi pozostawić umierającego tygrysa.

Zachodził w głowę, jakim sposobem uda mu się dotrzeć w pojedynek na pustynię Thar przed następną pełnią księżyca, ale czy miał inne wyjście? W duszy Farhada jednak nie tylko czał się strach, że zawiedzie, że nie wypełni swojej misji. Gdzieś w jakimś jej zakamarku tliło się niczym mały pełgający płomień coś zupełnie innego. Coś, czego dotychczas nie znał. Przełknął kilka razy ślinę, zanim wrócił do meczetu, by po raz ostatni pogłaskać magicznego białego tygrysa.

Farhad wszedł powoli w półmrok meczetu i zbliżał się do wielkiego białego cielska, które teraz leżało nieruchomo. Czy tygrys wydał już ostatnie tchnienie? Farhad włożył się krok za krokiem zdjęty nagłym lękiem, że tak się stało. Kiedy doszedł już prawie do środka meczetu, usłyszał za sobą ciche skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się. Jakiś stary brodaty mężczyzna w długiej opończy wszedł do domu bożego i właśnie skłonił się czcigłową. Farhad złożył dłonie, a następnie dotknął nimi czoła, pozdrawiając nieznanego, jak nakazywał obyczaj, po czym skierował się ponownie w stronę Nitisha. Nie zdążył

jednak ująć nawet dwóch kroków, kiedy brodaty muzułmanin zawołał go z powrotem.

– Zaczekaj! – powiedział starczym, łamiącym się głosem. Zaczekaj, mój synu! Chcę cię o coś zapytać! Jestem pobożnym człowiekiem, ale nie pochodzę stąd. Kto wie, czy nie jesteś tym, który mógłby mi pomóc.

Farhad przystanął.

– Ja też nie jestem tutejszy – odparł z lekkim zniecierpliwieniem, ale czekał grzecznie, aż starzec podejdzie bliżej. Szukałem tylko schronienia przed nawałnicą i przypadkowo trafiłem do tego meczetu. Ja...

W tej samej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Jednym ruchem, który nawet dla wyćwiczonych oczu takiego mistrza złodziejskich sztuczek jak Farhad Kamal był stanowczo zbyt szybki, brodaty starzec sięgnął do kieszeni swojej obszernej peleryny i coś z niej wyciągnął. W następnej sekundzie Farhad poczuł na gardle zimne ostrze noża. Osłupiały wpatrywał się w napastnika oczami pełnymi przerażenia.

– Chciałem tylko zapytać, co się stało z naszą umową – powiedział mężczyzna i teraz jego głos już się nie łamał. Przeciwnie, brzmiał młodo, silnie i znajomo. – Ogarnia mnie dziwne, acz gwałtowne uczucie, że jesteś mi jeszcze coś winien. A ściśle mówiąc, połowę szlachetnego kamienia – mówił dalej. – Wyobrażasz więc sobie, jak bardzo się ucieszyłem, słysząc, że do meczetu w tej uroczej miejscinie wprowadził się jakiś wędrowiec z białym tygrysem. Przyjmuję jednak, iż radość ta jest wyłącznie po mojej stronie. To musi być doprawdy obrzydliwe uczucie – krążyć po świecie z niespłaconym długiem. Żal mi ciebie, chłopcze. Niespłacony dług bywa niekiedy śmiertelny.

Mówiąc to, wzmocnił odrobinę nacisk swojego noża. Farhad poczuł, jak kropla ciepłej krwi ścieka mu po szyi. Nie do

ceniał modlących się i to był błąd. To oczywiście, że widzieli jego i białego tygrysa. Fatalnie!

– To dla mnie zaszczyt – powiedział Farhad – znów was spotkać. Niemał na śmierć zapomniałem o naszej umowie.

– Tak mi się właśnie zdawało... – cedząc słowa, zauważył Francuz, który teraz przedzierzgnął się w pobożnego muzulmanina. – Na śmierć... zgrabnie to ująłeś, chłopcze – zachichotał wytwornie. Na jego twarzy odmalował się znany Farhadowi uśmieszek, kiedy zapytał z udawaną troską: – A cóż to się stało z twoim tygrysem? Ludzie powiadają, że prawie się nie rusza. Czy coś mu dolega?

Farhad nie odpowiedział.

– Ostatnim razem, kiedy go spotkałem, był w zdecydowanie lepszej formie – stwierdził Francuz cierpko. – O tak, wytłumaczył mi na swój sposób, iż byłoby lepiej, żebym nie wchodził wam w drogę.

Podwinął rękaw swojej prążkowanej opończy i spojrzał wymownie na Farhada. Na jego muskularnej ręce ciągnęła się długa czerwona pręga – pamiątka po tygrysiach pazurach.

– A teraz spójrz tylko na niego! Cóż za nagła zmiana! – wykrzyknął Francuz. – Biedaczysko leży tu jak rażony piorunem... Tragiczne, doprawdy tragiczne.

Mówiąc to, uśmiechnął się szkaradnie i jeszcze mocniej przycisnął ostrze noża do szyi Farhada.

– Oddaj mi kamień – powiedział cicho i spokojnie. – Jeśli to zrobisz, obiecuję, że zostawię cię w spokoju i pozwolę odejść.

– Nie mam go! Mogę przysiąc, na co chcesz! – jęknął Farhad i cofnął się o krok.

Na to Francuz zręcznie podstawił Farhadowi nogę. Ten poknął się, pociągając go za sobą. Upadli jeden na drugiego na podłazkę meczetu. Farhad widział teraz tuż nad sobą błysk

noża. Szlif był niepokojąco precyzyjny, jasne światło poranka odbijało się w ostrzu, które lśniło złowrogo.

– A co mi tam! – powiedział Francuz i wbił kolano w okolicę żołądka Farhada. Był lepiej odżywiony i dużo cięższy od chłopaka. – A co mi tam! Najpierw potnę ci twarz, a dopiero potem cię przeszukam – kawałeczek po kawałeczku. Osobiście jestem przeciwny przelewowi krwi, zwłaszcza w domu bożym. Powiadają, że krew szachrajów i oszustów trudniej się zmywa z podłogi niż krew uczciwych ludzi. Ale to oczywiście twoja decyzja.

Uniósł nóż z pełnym ubolewania uśmiechem. Przerażony Farhad widział, jak ostrze sunie ku niemu ze świstem, i krzyżąc wniebogłosy, rozpaczliwie rzucał głową. Ale nóż nie dotarł do jego twarzy.

Powietrze za Francuzem wydawało się nagle eksplodować. Farhad zobaczył kątem oka, jak jego prześladowca został z niezwykłą siłą ciśnięty na bok. Nóż wypadł mu z ręki, poszybował w górę i zatoczywszy piękny łuk, wylądował bezgłośnie na dywanie. Zanim Farhad zdążył pozbierać myśli, by zrozumieć to, co zobaczył, poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona i podnosi z posadzki. Ku swemu bezmiernemu zdumieniu znalazł w tym nagłym zamęcie dwoje błyszczących błękitnych oczu mówiących:

– Ha!

– Co? – jęknął oszołomiony Farhad i zerwał się pospiesznie.

Przed nim stał Nitish, wielki i biały, a jego oczy ciskały gniewne błyskawice.

– Ten przekłety Europejczyk! – srożył się biały tygrys. – Co on sobie właściwie wyobraża?

Przekłety Europejczyk leżał tymczasem za Nitishem rozciągnięty na kamiennej posadzce i wpatrywał się w tygrysa jak w zjawę nie z tego świata. Nitish odwrócił się do niego powo-

li, a z jego gardła wydobył się przeciągły, głęboki pomruk, który wydawał się pełzać po ścianach meczetu, dokładnie go wypełniając, jakby to było pudło rezonansowe jakiegoś ogromnego instrumentu. To straszliwe mruczenie odbijało się echem od bogato zdobionego sufitu i wiło po miękkich dywanach niczym śmiercionośny wąż. Farhad wzdrygnął się ze zgrozą. Jeszcze nigdy nie słyszał takiego dźwięku. Tygrys wciąż na nowo go zdumiewał.

Nitish odwrócił się wreszcie do niego.

– Dość już marudzenia. Najwyższy czas – powiedziały z niezwykłą stanowczością jego błękitne oczy – ruszać w drogę. Zbyt długo już tutaj zabawiliśmy. Wsiadaj, mój bohaterze.

Farhad tylko skinął głową i wdrapał się posłusznie na grzbiet tygrysa. Chwilę później jednym doskonałym susem minęli dwuskrzydłowe drzwi meczetu, wypadając wprost w jasne światło dnia.

– Co się stało? Nic z tego nie rozumiem – spytał Farhad. – Myślałem, że umierasz. Dałbym sobie rękę uciąć, że naprawdę jesteś śmiertelnie chory.

– Bo tak było w istocie – odparł tygrys z powagą. – I przypadkiem doszedłem do siebie, kiedy ten... kto tam wie, kim naprawdę jest ta kreatura, zaczął ci grozić.

– Przypadkiem?

– Właśnie tak.

Farhad bawił się srebrnym amuletem, z którego piękna księżniczka spoglądała na niego swoimi niezgłębionymi ciemnymi oczami, i zobaczył w nich zachodzące słońce. Ogarnęło go naraz uczucie, że Nitish potrzebował tylko jakiegoś ożywczego impulsu. Impulsu, który odwróciłby jego uwagę od myśli, że meczet jest zabójczy dla świętego hinduistycznego tygrysa. Gdyby Farhad znał się trochę na medycynie, wówczas przypuszczalnie wyciągnąłby wniosek, że Nitish był pierwszym

w historii religijnym hipochondrykiem. Przynajmniej w tej historii. Jednak zamiast tego głąskał w zamyśleniu miękkie i ciepłe ucho białego tygrysa.

– Dziękuję – szepnął. – Stokrotne dzięki za to, że mnie uratowałeś.

Nitish jeszcze raz odwrócił do niego głowę.

– Co takiego powiedziałeś? – spytały jego oczy. – Okropnie źle słyszę...

– Powiedziałem – wyjaśnił Farhad głośniej – że nie mamy czasu do stracenia.

Tej nocy i następnego poranka nie padało. Niezliczone kałuże powoli znikwały, a susy tygrysa stawały się coraz dłuższe. Z każdą godziną pustynia przybliżała się do nich coraz bardziej, a Waranasi, święte miasto nad Gangesem, było tuż- tuż.

I wszystko poszłoby dobrze. Ale wtedy dotarli do Son.

Przez większą część roku Son była mniej lub bardziej wąską strugą toczącą leniwie swoje wody w głębokim korycie pełnym odpadków i martwych psów. A kiedy szło się przez most na Son, wówczas należało bezwzględnie unikać patrzenia w dół.

Nieco dalej, powyżej Badarpuru, kobiety prały w rzeczce ubrania, a figlarna struga podkradała kolory sari, by zabarwić nimi wyschnięte brzegi na żółć szafranu, czerwień rubinu – a niekiedy także błękit ultramaryny. Most na Son był już bardzo stary i w widoczny sposób nadgryziony zębem czasu. Okoliczni mieszkańcy wciąż naprawiali go to tu, to tam, Anglicy wprost przeciwnie. Odkąd zawitali w te strony, szerokim łukiem omijali Son, nie przejmując się w najmniejszym stopniu fatalnym stanem ani tego, ani innego mostu. Najwidoczniej ani Badarpur, ani Son, nie robiły na nich większego wrażenia.

Kiedy Farhad i Nitish dotarli do Son, zamiast leniwego potoku ujrzeli wezbrany przez nagłe monsunowe opady rwący.

spieniony nurt – most zniknął. Zostało z niego tylko jedno **żałosne** przeszło sterczące pośrodku rzeki.

O tej porze roku nawet brzegi Son zamieniły się w płytkie **jeziorka** i Nitish stąpał po nich z wielką ostrożnością w swoich skórzanych skarpetkach. Rikse stojące na tym samym co **zawsze** miejscu, które także było zalane wodą, błyszcząły po **deszczu** jak świeżo wypucowane. Ich właściciele siedzieli z **podciągniętymi** kolanami na starych, obciążniętych **materiałem** siedzeniach, pili herbatę i rzucali kamyki, które **skakały** wdzięcznie na powierzchni wody.

Farhad patrzył z niepokojem na rwący nurt.

– Nie ma rady. Musisz skakać – powiedział do Nitisha. – **Coś** mi się zdaje, że inaczej się nie da.

– Co takiego? Mam skakać? – mruknął z wyrzutem tygrys. – **Drugi** brzeg jest tak samo zalany wodą jak ten. Jeśli tam **wyląduję**, spłoszę wodę, a ona zaraz się przestraszy i wzbije w **powietrze** jak białe czaple na polach ryżowych. Woda jest **bardzo** głupia i taka płochliwa.

Farhad skinął głową w zamyśleniu. Tygrys miał rację, **woda** będzie pryskać.

– Tam, przed nami, spójrz! – powiedział nagle Nitish. – **Widzisz** tę kobietę, która przenosi dziecko na drugi brzeg?

Farhad podążył za jego spojrzeniem. We wskazanym **przez** Nitisha miejscu przeprowiała się przez rzekę kobieta, **niosąc** na rękach małe dziecko. Brunatna woda **pochwyciła** **skraj** jej sari, tworząc kolorowy obłoczek wokół kolan. **Woda** **ciągnęła** tkaninę i szarpała z całych sił, ale kobieta **mocno** przytrzymała sari wolną ręką, nie dając go porwać **nurtowi**.

– Rzeka jest silna – powiedział Nitish. – Ale na szczęście **płytko**, sięga tylko do kolan. Tobie też będzie sięgać tylko do **kolan**. Więc mógłbyś mnie przenieść!

– Wolne żarty! – zachnął się Farhad. – Myślisz, że to naprawdę możliwe? Chyba nie zwróciłeś uwagi, ale jesteś trochę większy niż dziecko. Nawet gdybym był nie wiem jak silnym i dzielnym bohaterem i przerzuciłbym cię przez plecy, twoje wielkie cielsko zwiślałoby w dół i w trzy minuty byłbyś cały mokry.

– Postaram się trochę zmaleć – bąknął cicho Nitish.

Chłopak roześmiał się nerwowo.

– Mam lepszy pomysł – powiedział.

Ześliznął się z grzbietu tygrysa i ruszył przed siebie, kierując się w stronę postoju rikszy. Nitish wydał gardłowy pomruk, powstał jeszcze chwilę i rad nierad podążył za nim ostrożnie, żeby nie spłoszyć wody.

Rikszarze wciąż byli zajęci piciem herbaty i rzucaniem kamieni. Zobaczyli ich dopiero wtedy, gdy dwaj przybysze byli już całkiem blisko.

Farhad ujrzał zdumienie – a tu i tam nawet przerażenie w wielu parach młodych i starych oczu, kiedy dostrzegły nagle białego tygrysa. Omiótł wzrokiem całą grupkę, zastanowił się chwilę, po czym wyszukał sobie młodego, chudego chłopca i podszedł do niego.

– Potrzebuję twojej rikszy – powiedział stanowczo.

Chudzielec wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczami, nie dając jednak po sobie poznać, że umiera ze strachu.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytał lekko drżącym głosem.

– Przez rzekę – odparł Farhad. – A rikszę będziesz mógł sobie odebrać na drugim brzegu.

– Nie ciągnę mojej rikszy przez rzekę – odparł chłopak. Prąd jest zbyt silny, a dno po prostu fatalne. Riksza ugrzęźnie w mule i może się nawet przewrócić.

– To nie twoje zmartwienie – skwitował jego wyjaśnienie Farhad. – Ja będę ją ciągnąć.

– Ile mi zapłacisz, jeśli się zgodzę? – spytał chłopak.

– Zapłacić? – Farhad zmarszczył czoło, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał to słowo. – Chyba mnie źle zrozumiałeś, przyjacielu. Nie chcę kupować twojej rikszy. Chciałbym ją tylko wypożyczyć.

– To kosztuje dwadzieścia rupii – powiedział chłopak i skrzyżował ręce na piersiach.

Farhad rzucił Nitishowi wymowne spojrzenie, a biały tygrys w lot pojął jego intencje. Zbliżył się do rikszy, na której siedzeniu przykucnął chłopak. Obwąchał skrupulatnie jego nagie stopy, po czym zrobił taką minę, jakby się zastanawiał, czy będą mu smakować.

Rikszarz próbował się odsunąć, ale siedzenie było na to stanowczo zbyt małe.

– Twoje życie jest warte więcej niż dwadzieścia rupii – powiedział Farhad. Zmierzył wzrokiem właściciela rikszy i stwierdził lekceważąco: – Na moje oko jakieś trzydzieści.

– Ale jeśli zniszczysz moją rikszę, to będziesz musiał zapłacić o wiele więcej! – powiedział chłopak.

Jego głos stał się piskliwy ze strachu. Wsiadł pospiesznie na drugą stronę i cofnął się kilka kroków.

Farhad złożył ręce i skłonił się, dziękując właścicielowi rikszy.

– Wiedziałem – uśmiechnął się – że jesteś rozsądnym chłopcem.

Potem stanął przed rikszą i pociągnął ją aż do brzegu.

– Wsiadaj! – rzucił Nitishowi.

– Co takiego? Ja?

– Nie – odparł Farhad ze złością. – Nie, nie ty! Tylko jeden z dwudziestu sześciu tygrysów, które muszą koniecznie się przeprawić przez tę przekłętą rzekę. Pospiesz się! Tak się składa, że mamy bardzo mało czasu.

Nitish prychał i parskął cicho, widząc jednak, że nic nie wskóra, wgramolił się w końcu na wytarte siedzenie rikszy. Skórzane skarpety, którymi miał owinięte łapy, nie ułatwiały mu tego zadania, na dodatek siedzenie było stanowczo za małe. Farhad obserwował go spod oka.

Wyklepany we wzory metal rikszy lśnił w promieniach słońca, a pomiędzy kolorowymi pawiami widać było także skaczącego tygrysa. Ale pod metalowym daszkiem siedział teraz prawdziwy tygrys, który rozpaczliwie próbował utrzymać się na małym siedzeniu. Farhad stłumił śmiech, po czym wparł się w uprząż rikszy.

– Trzymaj się mocno – powiedział do tygrysa.

Potem zanurzył ostrożnie lewą stopę w wodzie, wymacał grunt, zanurzył prawą i sekundę później opłukiwał go nurt rzeki. O tak, prąd był bardzo silny. A koła rikszy zgodnie z ostrzeżeniem chłopaka rzeczywiście raz za razem grzęzły w mulistym dnie i Farhad musiał z całych sił naprężyć wątłe mięśnie, żeby znów ruszyć z miejsca. Son niosła na spienionych falach ułamane gałęzie, strzępki materiału oraz mnóstwo najdziwniejszych rzeczy, które przepływały obok Farhada. Chwilami myślał, że dalej już nie da rady, szarpał rozpaczliwie, przeklinając swoją dolę bohatera, i w końcu riksza wyzwalała się z mułu, podrywając tak gwałtownie malowany kadłub, iż chłopak niemal padał na twarz. Wtedy za każdym razem słyszał za sobą przerażone prychanie i wyobrażał sobie minę Nitisha. Ale nie miał czasu się odwracać, by podnosić na duchu swojego niezwykłego pasażera.

Zmęczony Farhad nie mógł pozbyć się uczucia, że przeciwnie do brzegu Son coraz bardziej się od niego oddala, zamiast przybliżać. Nogi i ramiona drżały mu z wysiłku. Zamknął oczy i modlił się do Kryszny, by dał mu siłę. Może zawinił tutaj huk wezbranej rzeki, który zagłuszał żarliwe modlitwy

Farhada, ponieważ Kryszna tym razem mu nie pomógł. Bohater musiał więc radzić sobie sam ze swoim zmęczeniem i niesfornym pojazdem.

Sapał ciężko, na domiar złego z wysiłku zaczęło kręcić mu się w głowie. W skroniach czuł pulsowanie, a na języku smak krwi, jakby jego serce opuściło klatkę piersiową i teraz tłukło się jak oszalałe między zębami. I kiedy tak walczył z opornym mulem, z rwącym nurtem i z własną słabością, zadał sobie naraż pytanie, dlaczego właśnie w tamtym dniu poszedł do ogrodu z sadzawką i kwiatem lotosu, w którym bóg ukrył amulet. Dlaczego on, Farhad Kamal, zawsze tak przewidujący i czujny, musiał się połakomić na tę srebrną błyskotkę? Dlaczego...

Tam! Nareszcie! Od upragnionego brzegu dzieliło go już tylko kilka kroków. Ostatkiem sił poderwał kadłub rikszy i pociągnął w górę. Ale skarpa była tutaj znacznie bardziej stroma niż na drugim brzegu. Farhad poczuł, że za chwilę całkiem osłabnie. Odwrócił się wyczerpany do Nitisha.

– Czekał – powiedziały oczy białego tygrysa. – Myślę, że to już wystarczy.

Farhad czuł, jak Nitish ostrożnie schodzi z rikszy i wdrapuje się na brzeg. Jednak choć głowa chłopca pojęła zmianę ciężaru, jego wycieńczone ciało tego nie poczuło. Ciągnął dalej z całych sił i kiedy opór ustał raptownie, stopy Farhada zesliznęły się w dół. Upadł na twarz i zsunął się po mulistej stromiźnie z powrotem do rzeki. Chociaż woda sięgała mu za ledwie do kolan, wartki nurt porwał go, zanim zdążył stanąć na nogi. A kiedy już miał to zrobić, okazało się, że jest za głęboko. Był tylko o parę metrów od brodu, którym przeprowiała się kobieta z dzieckiem na ręku i przez który on sam ciągnął riksze. Stopy Farhada na próżno szukały gruntu.

Ogarnięty paniką zaczął wymachiwać rękami, poszedł na dno, potem się wynurzył, lykał wodę i kasłał. I nagle z bolesną

jasnością uświadomił sobie, że nie umie pływać. Nie poddawał się jednak, przebierał rozpaczliwie nogami, łykał coraz więcej wody i szedł na dno. I znów do góry, i znów na dno. Rzeka przyciskała go silnymi mokrymi ramionami do swojej piersi, rzucając mu w twarz najrozmaitsze cuchnące paszudy. Farhad zaczął tracić oddech i walczył z Son jak z potężnym demonem. Miał wrażenie, że to Rawana zamienił się w rzekę, żeby za wszelką cenę go zatrzymać. Śmierć nigdy jeszcze nie była tak blisko.

W pewnej chwili, kiedy wynurzył się na powierzchnię, zobaczył, że niebo zasnuły nowe deszczowe chmury. Pomyślał, że to już koniec z nim i z jego podróżą. Pośród spienionych szarobrunatnych fal ujrzał nagle wizerunek w srebrnej oprawie: twarz księżniczki, która teraz stała się jeszcze bardziej wyrazista. W jej oczach dostrzegł żal i bezbrzeżny smutek.

„Nie upadaj na duchu. Nawet jeśli mnie już nie będzie, to przecież jest jeszcze Nitish – pomyślał z rozpaczą Farhad. On też może cię uratować”.

Nielitościwy nurt znów go wypłynął i tym razem, kiedy wynurzył się po raz ostatni, zobaczył zupełnie coś innego niż potępione deszczowe niebo. Zobaczył wielki biały kształt z czarnymi pręgami, który skakał wprost na niego. W samym środku skłębionych wód Son.

Mata biała krowa

Farhad poczuł, jak coś go energicznie szarpie, podrywając do góry. W następnym momencie wciągnął do płuc pierwsze hausty powietrza. Chwytał je łapczywie, na zapas. Nie pojmował, co się stało. Coś go ciągnęło. Wprawdzie zanurzał się raz za razem, ale coś trzymało go teraz blisko lustra wody, a on poruszał się w poprzek nurtu. Jakieś niejasne przeczucie mówiło mu, że jest wleczony do brzegu. Ale kto go włókł? Czyż nie widział na własne oczy, jak biała postać skakała do rzeki? Czy nie czuł czegoś, co mogło być tylko ostrymi zębami, które trzymały kołnierz jego koszuli? Nie, to niemożliwe! Czyżby śnił niekończący się sen topielca?

Farhad zobaczył teraz pomiędzy dwiema falami pełnymi żółtawobrunatnej piany upragniony brzeg i w końcu udało mu się nieco przekręcić w mocnym uchwycie swojego tajemniczego wybawcy. Spojrzał w błękitne oczy tygrysa. Sierść leżała na nim gładka i mokra, przy uszach była nieco zmierzwiona, zwińnięta w dół cienkimi pasemkami, z których kapały wielkie krople wody. Również z wąsów tygrysa kapały krople, ale on wcisnął pysk na koszuli Farhada, wiosłując dzielnie łapami. Cielizna tam za tygrysem płynął długi czarno-biały ogon, raz za razem nurkując w falach niczym osobliwym wielkim wężem wodnym.

Tak, Nitish był mokry – tak mokry, jak tylko to sobie można wyobrazić. W żadnym razie jednak nie wyglądał na skamieniałego. Farhad w dalszym ciągu nic a nic nie rozumiał, zanim jednak zdążył pomyśleć, poczuł lekkie szarpnięcie, został podciągnięty na mulisty brzeg i ułożony do góry brzuchem w płytkim przybrzeżnym jeziorku jak zdobycz myśliwska. Zakaszłał, wypłuł trochę wody, nie zmieniając pozycji, skupił się na oddechu, który z każdą sekundą stawał się coraz bardziej miarowy. Przez jego mocno zaciśnięte powieki przeświecało słabym błękitem niebo. Potem otworzył oczy. Ujrzał szeroką białą paszczę z czarnym rysunkiem, która pochylała się nad nim z zatroskaną miną.

– Jak się czujesz? – pytały błękitne oczy i tym razem nie wyglądały ani trochę niebezpiecznie.

– Nitish – jęknął Farhad słabym głosem. – Przecież ty... jesteś całkiem mokry.

– Owszem – odparł tygrys z godnością – też to zauważyłem. Ale dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę.

– Ty wcale nie skamieniałeś – szepnęła Farhad, nadal nie rozumiejąc.

– To prawda – powiedziały oczy Nitisha z figlarnym błyskiem. – Czy jesteś bardzo rozczarowany?

Farhad potrząsnął głową oszołomiony.

– Ale jak to możliwe? Nie rozumiem – przyznał i usiadł, wspierając się na rękach.

– Ja też nie – odparł Nitish i machnął ogonem. – Po prostu nic się nie stało.

– Ty też nie wiedziałeś, że nic się nie stanie? Zupełnie nic?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział tygrys. – Czy w przeciwnym razie dałbym się więzić przez trzy dni w mużmańskim meczecie?

Farhad zaczął energicznie kręcić głową, wytrząsając sobie przy okazji wodę z włosów.

– Czy to znaczy, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, wskoczyłeś do wody, chociaż byłeś pewien, że zamienisz się w kamień?

– Ktoś musiał cię przecież uratować – zamruczał tygrys speszony i zaczął się czyścić. – Że też Kryszna wyszukał sobie właśnie takiego bohatera, który nawet nie umie pływać! A co ty w ogóle potrafisz, jeśli wolno spytać?

Farhad zaniósł się kaszlem, wypluł kolejną porcję wody, która zalegała mu w płucach, i nagle przypomniał sobie o czymś. Pomacał szybko lewe ramię i odetchnął z ulgą. Zawiniątko było na swoim miejscu.

– Kraść drogie kamienie – odparł z prostotą.

Nitish sapnął rozbawiony, jednak zaraz potem zrobił zamysłoną minę.

– Jeśli dotknie mnie słony sok życia – powiedział – krystalicznie przejrzysta krew ziemi, kropla śmierci, wtedy zamienię się w kamień. Co to może znaczyć, Farhad? Co to jest słony sok życia, a zarazem kropla śmierci? Krystalicznie przejrzysta krew ziemi? Bo na pewno nie woda, to jasne jak słońce!

– Może pot? – mruknął Farhad, drapiąc się w głowę. – Ale gdybyś od tego zamieniał się w kamień, już dawno byłbyś wielką granitową skałą. A ta jest ponoć najtwardsza ze wszystkich....

– Więc co to jest?

– Nie mam pojęcia – westchnął Farhad. – Obawiam się, że się dowiemy dopiero wówczas, jak już będzie po wszystkim.

Wsiadł na grzbiet ociekającego wodą tygrysa, a Nitish otrząsnął się jak pies. Krople wody fruwały dookoła z zawrotną prędkością i mało brakowało, żeby Farhad też z nimi pofrunął. Riksę pozostawili po prostu w mule Son. Spełniła swoje zadanie. Nie była im już potrzebna, więc nie zaprzęтали

sobie nią głowy. Prędzej czy później ktoś przyjdzie, by wydobyc ją z mułu.

Kiedy szykowali się do drogi na zachód, gdzie czekała na nich bezkresna pustynia Thar, znów zaczęło padać.

Tygrys zerwał swoje skórzane skarpety, a potem biegł długo i bezgłośnie przez wilgotną noc. Do Waranasi dotarli tuż przed świtem. Jeszcze było cicho, ale już niebawem, wraz z pierwszymi promieniami słońca, zapanuje chaos, kiedy ze wszystkich zaułków wyłonią się pobożni pielgrzymi, udając się na brzeg rzeki, by dokonać rytualnej kąpieli.

Waranasi było prastarym miastem, które przez setki lat znosiło cierpliwie wielu budowniczych i równie wielu najeźdźców, regularnie obracających je w przynę. I miało równie wiele nazw. Na przykład Anglicy nazwali je Benares, ponieważ nie dość dobrze słuchali, kiedy mieszkańcy podawali jego nazwę. Hindusi, kiedy mówili o nim z głęboką czcią, zwali je Kashi: miasto duchowego światła. Potężny bóg Sziwa zaś nazywał je niekiedy swoim miastem, ponieważ osiadł tutaj ongiś ze swoją małżonką boginią Parwati. Farhad był zdania, że Sziwa usunął się przezornie na świętą górę Kailash, ponieważ nachodziło go zbyt wielu pielgrzymów.

Tłumy pielgrzymów sunęły przez pokrętny labirynt starego miasta. Dniem i nocą płynęły strumieniem, szczelnie wypełniając wąskie uliczki Waranasi, a tam, gdzie stłoczyło się ich zbyt wielu, arterie świętego miasta zatykała gromada wymyślających sobie nawzajem ludzi. Biały tygrys zanurkował jak zwykle w rozgadanej, rozedrganej ciżbie i jak zwykle mało kto zdążył go zauważyć. Farhad i Nitish musieli jednak zwolnić zwykłe tempo, dostosowując je teraz do nowych warunków. Sunąc z godnością w tłumie pielgrzymów, dotarli wreszcie do brzegów wezbranego monsunem Gangesu. Prze-

tę potężną rzekę, która Farhadowi wydała się szeroka jak morze, nawet Sziwa nie mógłby przeciągnąć rikszy.

– Odpocznijmy na ghatach – zaproponował w pewnej chwili Nitish i ziewnął białym tygrysim ziewnięciem. – Jestem strasznie zmęczony, a poza tym chciałbym się trochę wysuszyć na słońcu. Spójrz, tam dalej kobiety rozłożyły na ziemi pranie. Mógłbym się rozciągnąć tuż obok...

– Uważaj – powiedział Farhad – jeśli jakaś roztargniona niewiasta weźmie cię za wielkie białe sari, to zroluje cię i zabierze ze sobą do domu.

Tygrys prychnął rozbawiony, ziewnął jeszcze raz i położył się w miejskim pyłe przy pierwszych wielkich schodach, ghatach Ram, obok suszącego się prania. Chwilę później wyglądał jak wielka, kamienna figura.

Farhad też odczuwał zmęczenie, ale w jego sercu czał się dziwny niepokój. Nie potrafił powiedzieć, skąd pochodził lub co mógł znaczyć, jedno wszakże było niewątpliwe – nie pozwalało mu to położyć się obok Nitisha i wylegiwać na słońcu. Ile czasu już minęło, odkąd wyruszył? A przede wszystkim, ile dni pozostało im jeszcze do demonicznego wesela Rawany?

Krwawy Kamień uciskał go trochę w ramię, przypominając mu w ten sposób o swojej obecności. Farhad przystanął przy jakimś straganie, wyciągnął sakiewkę, która całkiem przypadkowo przyplątała się doń w ścisku miasta, po czym kupił sobie na śniadanie kilka napełnionych gotowanymi ziemniakami trójkątnych samosów. Kiedy już zaspokoił głód, ruszył przed siebie żwawym krokiem, zmierzając ku brzegowi Matki Gangi. Przede wszystkim musiał uważać na Krwawy Kamień, o tygrysa nie potrzebował się martwić. Było raczej mało prawdopodobne, aby ktoś go ukradł.

Ghaty, szerokie na wiele metrów kamienne schody opadające wprost w nurt rzeki, były pełne pielgrzymów, podobnie

jak stosów śmieci i much. Niepokój Farhada zagnał go w końcu aż do ghat Dasashwamedh. Tam wszedł do rzeki, by dopełnić ceremonii oczyszczenia w jej świętych wodach. Potem upił łyk, ale nawet to nie pomogło. Niepokój nie ustępował.

Tuż obok niego przemknęła girlanda z żółto-czerwonych kwiatów nagietka, ścigana przez stateczek z liści z pływającą w środku lampką oliwną. Farhad długo spoglądał za kołyszącymi się na falach rytualnymi ofiarami.

Kiedy wsłuchał się lepiej w mieszaninę głosów i dźwięków, coś jednak brzmiało dziwnie w jego uszach. Czy była to Matka Ganga, która domagała się od niego ofiary z kwiatów, pływającego stateczku lub może datku dla któregoś ze świętych mężów pograżonych w modlitwie? A może było to po prostu zwykłe zmęczenie i napięcie ostatnich dni, które dało o sobie znać właśnie teraz?

Potem nagle, zupełnie niespodziewanie, już wiedział i natychmiast cały zeszytniał. Oczywiście. To wyjaśniało jego niepokój. Przecztał to, po stokroć przecztał! Trzeba nie mieć ani krzty rozumu, żeby robić postój akurat w Waranasi, mieście mnichów jałmużników i wszelkiej maści zbirów!

Kilka kroków za nim długowłosy nagi sadhu uniósł wysoko wielki dzban z brązu i lejąc sobie na głowę świętą wodę, która spływała cieką strużką, zanosił modlitwy do wielkiej bogini Gangi cichym, śpiewnym głosem. Głosem, który Farhad dobrze znał i w którym pobrzmiwał ledwie wyczuwalny europejski akcent, aczkolwiek trudno byłoby powiedzieć, z jakiego kraju naprawdę pochodził...

Farhad wstrzymał oddech, odwrócił się ostrożnie, po czym krok za krokiem zaczął się oddalać od pograżonego w modlitwach sadhu. Tak, to był on. Bez cienia wątpliwości. Nawet jeśli ukrywał się pod zmierzwioną grzywą i mnóstwem świętych przedmiotów.

Menière, Francuz, którego spotkał w więzieniu. Menière, któremu nadal był dłużny połowę Krwawego Kamienia. Wiedział, że Farhad będzie zdążył przez Waranasi. I nie przeliczył się.

Farhad robił co w jego mocy, by iść powoli. Gdyby zaczął biec, spłoszyłby niechybnie wodę, jak mawiał Nitish, a gadatliwa woda rozprowadziłaby wszystkim dookoła, że ucieka. Dotarł wreszcie do brzegu z bijącym sercem, przeklinając w duchu własną głupotę.

Dlaczego on sam tak długo już nie zmieniał wyglądu? W tej sztuce dorównywał Francuzowi. Był wszak mistrzem przemiany. Zanim rozpoczął tę podróż, co dwa tygodnie stawał się kimś innym, a teraz, kiedy ta umiejętność była mu naprawdę potrzebna, powinien był dzień w dzień zrzucać starą skórę i przywdziewać nową. Dlaczego tego nie robił?!

Przypomniał sobie, jak po pierwszej monsunowej ulewie, która dopadła ich na skraju wielkiego pola, tarzał się w błocie z czeredą brudnych dzieciaków, ciesząc się, że jest tylko jedną, wciąż tą samą osobą. Być może trawiła go jakaś tajemnicza choroba. Czarna gorączka miewała najdziwniejsze objawy. Niektórzy wpadali w obłąd, zanim ich mocz zabarwił się na ciemno...

Kiedy wspinał się po gładkich, wypolerowanych tysiącami nagich stóp kamiennych stopniach, jeszcze raz obejrzał się za siebie. Fałszywy sadhu na szczęście go nie widział. Był pogrążony w rozmowie z innym świętym mężem, więc Farhad odetchnął z ulgą. Wyobraził sobie naraz, że ten drugi sadhu jest tak samo fałszywy jak pierwszy, i zaśmiał się cicho. W mieście takim jak Waranasi było to całkiem prawdopodobne.

Ruszył w drogę powrotną, zmierzając do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć schroniętego na słońcu Nitisha. Nie było

Każdy, kto go dotknął, nawet bez żadnych złych i pożądliwych myśli, nie zdołał ująć ostrej krawędzi tego drapieźnego klejnotu.

Oczy Farhada spotkały się z oczami Francuza. Chłopiec zobaczył w nich niebezpieczne migotanie, jakby ognia na końcu lontu. Iskra jeszcze się wgrzyzała w sznur, sunąc niczym śmiercionośna żmija do materiału wybuchowego na jego końcu, jeszcze pozostały sekundy. Lecz co się stanie, kiedy do niego dotrze i zapalnik Menière'a eksploduje?

Farhad zrezygnował z dalszej części spektaklu. Wyszarpnął dłonie, pochylił się, umykając pospieszonym, zaborczym rękoma Francuza, i wyrwał do przodu jak strzała. Tłum pielgrzymów właśnie odpływał z ghat, poranna modlitwa i rytualne obmywania w świętej rzece były dla większości z nich skończone. Farhad wmieszał się w barwną, rozgadaną ciżbę i torując sobie drogę łokciami i kolanami, parł do przodu. Nic słyszał za sobą żadnych krzyków i to go zaniepokoiło. Dlaczego fałszywy sadhu go nie nawołuje? To, że nie krzyczał, mogło oznaczać tylko jedno: również Menière uznał przedstawienie za skończone i teraz ścigał go szybko i bezgłośnie.

Farhad biegł przed siebie, zastanawiając się gorączkowo, który z nich jest silniejszy. Jeszcze nigdy z nikim nie walczył. I tym razem również nie miał takiego zamiaru. To nie leżało w jego naturze. To kłóciło się z jego starą, wypróbowaną strategią. Nawet jeśli od dłuższego czasu zaprzestał istotnie zabawy w przebieranki i zarzucił kuglarskie sztuczki, w dalszym ciągu był przecież tym samym Farhadem Kamalem, małym, tchórzliwym złodziejaszkiem. Tym, który umyka jak zajęcie, kluczy, lawiruje, wymiguje się, ale nigdy nie staje do otwartej walki.

Gdyby tylko udało mu się dotrzeć w porę do Nitisha wylegującego się przy ghatach Ram. Były to jednak płonne

nadzieje. Farhad nie dotarł ani do ghat Ram, ani do Nitisha. Nie uszedł dużo dalej, kiedy zdarzyło się coś, co wszystko zmieniło.

Sprawczynią owego brzemiennego w skutki zajścia była mała biała krowa, która wydawała się tak samo zdziwiona przebiegiem zdarzeń jak pozostali jego uczestnicy. Farhad zobaczył ją przy ghatach Lalilath, gdzie tego dnia zebrała się nieprzebrana ciżba wiernych. Pomiędzy dolnymi stopniami, które schodziły do rzeki, a górnymi prowadzącymi do miasta wznosiła się kupa śmieci i właśnie tam stała mała biała krowa. Wyglądała na bardzo głodną.

Wprawdzie krowy są w Indiach świętymi zwierzętami, nie oznacza to jednak, że ktoś je karmi. Wędrują po ulicach miast, żywiąc się odpadkami i któregoś dnia mimo swej świętości padają z głodu. Wszystko wskazywało jednak na to, że sterta śmieci, którą znalazła ta wygłodniała krowa, miała już swojego właściciela, jasnoszarego byka. Farhad zobaczył, jak mała biała krowa opuściła łeb i wystawiła wojowniczo rogi w kierunku byka. Chłopak przystanął na chwilę i przyglądał się z zaciekawieniem, jak zwierzęta runęły na siebie z impetem, bodąc się bez opamiętania. Oba były tak bardzo wychudzone, że przez skórę wystawały im żebra, ale siła, z jaką teraz walczyły, wydawała się niepokonana.

Po chwili na skraj areny napłynął tłum falujący dotąd przy ghatach Lalilath, by uczestniczyć w widowisku. Farhad próbował przedrzeć się przez zaaferowaną ciżbę. Na próżno, tłum gęstniał z każdą sekundą i utworzył wokół niego zwarty mur. Słyszał, jak ludzie zakładają się, kto wygra. Równocześnie raz za razem dobiegał go trzask i chrzęst rogów, kiedy głowy zapaśników znów się zderzały. Zaklinowany, unieruchomiony, bezradny stał, rozglądając się na wszystkie strony i wypatrując Francuza. W końcu dostrzegł go po

drugiej stronie walczących zwierząt. Wyglądało jednak na to, że również Francuz nie może ruszyć się nawet o cal.

Farhada ogarnęło naraz dziwne uczucie. Wyglądało to tak, jakby te dwa zdesperowane zwierzęta tam na schodach toczyły śmiertelny bój, który właściwie musieli stoczyć ze sobą on i Menière. One walczyły o kupę śmieci, Menière i on – o drogi kamień. Czy była jakaś różnica dla tego, kto przegra walkę?

„Jeśli biała krowa zwycięży – pomyślał Farhad – mała, słabsza, ale bardziej zwrotna i zręczna, wtedy moje będzie na wierzchu i uda mi się doręczyć Krwawy Kamień słudze Rawany i uwolnić księżniczkę”. I kiedy tak stał w tłumie, obserwując z napięciem walkę, której szale przechylały się nieustannie raz na jedną, raz na drugą stronę, w jego duszy śpiewało jak mantra: „Jeśli biała krowa zwycięży... jeśli biała krowa zwycięży...”.

Ale potem wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

Arthur Burns miał zły dzień.

Od trzech dni gościł w pałacu radży w Waranasi i właśnie wracał z drugiej wyprawy łowieckiej, która – podobnie jak pierwsza – zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. W nocy cięły go niemiłosiernie moskity, w dzień dręczył tropikalny skwar. Od indyjskiej wody miał biegunkę, a jego jasnna, delikatna skóra była teraz spieczona od słońca.

Radża roztaczał przed nim wspaniałe wizje bogatych łupów, jakie czekają na nich w pobliskich lasach – opowiadał o tygrysach i gazelach, o wielkich antylopach nilgau i małych zgrabnych antylopach czterorogich, o bazantach i mnóstwie innych dużych i pięknych ptaków, których egzotycznych nazw Burns nigdy w życiu nie słyszał. Przebywał w Indiach dopiero od niedawna i zapewne dlatego wszystko, co opowiadał mu radża, brał za dobrą monetę.

Jego towarzysze – dwaj starsi wiekiem i rangą oficerowie – uśmiechali się lekko, uprzejmie przytakując. Teraz Burns zaczynał powoli rozumieć ich zachowanie. Gazele były szybsze niż deszcz i ostrożniejsze niż angielskie lisy, a tygrysy nawet się nie pokazały. Jedyne trofeum Arthura Burnsa był mały czarny ptak z żółtym dziobem i jasnymi oczami. Krnąbrny kucharz wzbraniał się go przyrządzić. Zamiast dziczyzny, na którą Burns miał wielką chrapkę, również drugiego wieczoru musieli więc zadowolić się prowiantem, który dał im na drogę radża. Jakby byli dziećmi, które mógł wysłać sobie w ciemny las dla zabawy. A przecież tacy ludzie jak Arthur Burns rządzili brytyjskimi Indiami!

Nie wiedział, jaki diabeł wstąpił w jego dwóch towarzyszy, że zdecydowali się jechać drogą wzdłuż rzeki, gdzie o tej porze dnia poruszali się jak w gęstej owsiance. Burns miał nieodpartość uczucie, że cieszy ich ta opieszałość, której on sam nienawidzi. Kiedy wreszcie udało mu się ich przekonać, żeby oddalili się od brzegu Gangesu i skierowali się w stronę miasta, okazało się, że droga jest zatarasowana. I to zatarasowana przez dwie walczące ze sobą krowy. Żaden z tchórzliwych Hindusów nawet nie próbował ich rozdzielić. Lecz on nie był tchórzliwym Hindusem, a na dziś miał już dość zmartwień i chciał skorzystać z tej drogi. Teraz. Natychmiast. Burns eksplodował.

– Precz stąd! – krzyknął z gniewem. – Zrobić miejsce!

Zignorował ostrzegawcze okrzyki swoich starszych rodaków i jeszcze raz krzyknął. Tym razem głośniejszym. Hindusi pomluczali wreszcie, usuwając się niechętnie na bok. Arthur Burns z najwyższą odrazą spoglądał na zarośniętych, brodatych sadhu, którzy kręcili się w tłumie.

Krowy, które właśnie oderwały się od siebie i gotowały się do następnej rundy, jako jedyne nie zwracały uwagi na jego

przybycie. Burns ściągnął cugle swojemu koniowi, przyłożył karabin do oka i wycelował.

Huk wystrzału odbił się głośnym echem w starych murach miasta i zwielokrotnił w rozgrzanym powietrzu. Jednocześnie rozległ się krzyk. Jasnoszary byk upadł na kolana i położył się na boku. Po drugim strzale zastygł w bezruchu, tocząc pianę z pyska, a z jego piersi szybko uchodziło życie. Arthur Burns uśmiechnął się z zadowoleniem. Czy tylko uroił sobie ten krzyk?

Mała biała krowa stała jak skamieniała, wpatrując się w swojego przeciwnika. W dalszym ciągu jednak nie zamierzała zejść z drogi. Burns ponownie naładował karabin.

Nagle poczuł, jak ktoś wczepia się kurczowo w jego nogę. Spojrzał w dół i ujrzał człowieka z krzywymi, zepsutymi zębami i białym znakiem błogosławieństwa na czole. Mężczyzna wykrzykiwał gardłowym głosem coś, czego Burns nie rozumiał. Szarpnął nogą, ze złością próbując ją oswobodzić. Potem po raz drugi podniósł karabin. Mała biała krowa patrzyła na niego zdziwiona, kiedy wraz z hukiem wystrzału na jej jasnej piersi ukazała się ciemna plama. Osunęła się powoli na ziemię, a jej łagodne oczy rzuciły Burnsowi ostatnie spojrzenie, w którym odbijało się bezbrzeżne zdumienie. Przez jej wychudzone ciało przebiegło drżenie, tylne nogi po raz ostatni zadrżały konwulsyjnie i zastygły w bezruchu. Burns pogratulował sobie w duchu celnego strzału, zabezpieczył karabin i przytroczył go do siodła.

Jedno było dziwne: tym razem naprawdę usłyszał czyjś krzyk, kiedy jego kula trafiła w cel. I zaraz potem zwrócił uwagę na ciszę. Była absolutna. Cały tłum milczał. Tuziny ciemnych oczu wpatrywały się w niego. I teraz Burns poczuł wyraźnie, że coś jest nie w porządku. Chciał jechać dalej drogą wiodącą do miasta, lecz tłum zamknął się ledwie zauwa-

zalnie wokół niego. Jego koń tańczył nerwowo w miejscu. Ogarnięty złym przeczuciem Burns rozglądał się niepewnie na wszystkie strony, szukając wzrokiem swoich towarzyszy, a wtedy jeden z Hindusów przemówił do niego.

– Krowa jest w naszym kraju świętym zwierzęciem – powiedział ten człowiek bezbłędną angielszczyzną. – Świętego zwierzęcia nie wolno zabijać.

Chociaż nie mówił szczególnie głośno, jego słowa wznosiły się w powietrzu tak jasno i wyraźnie, jak gdyby były tam napisane. A kiedy przebrzmiały, tłum zaczął się ruszać. Kłysał się, falował, zwierzał coraz bardziej i bardziej, stał się niebezpieczny, wyrosły mu ręce, las rąk, które sięgały po Brytyjczyka.

Burns z całych sił ścisnął boki swojego wierzchowca, a ten **zarżał** głośno i skoczył do przodu. Na próżno. Ręce ciągnęły i szarpały Burnsa, aż w końcu stracił równowagę i zsunął się **z siodła**. Dopiero wtedy przepuścili jego konia – kątem oka **zobaczył**, jak galopuje z rozwianą grzywą wśród pierchających na boki Hindusów, gdy tymczasem on sam wylądował na **ziemi**.

– Pomocy! – krzyknął co sił w płucach. – Na pomoc!

W jego nienaturalnie wysokim głosie wibrowała panika.

Głowy tłumy pochylili się nad nim złowieszczo, jakby **wszystkie** należały do tego samego wielkiego, przerażającego **stworza**. I po raz pierwszy w swoim krótkim życiu Arthur Burns poczuł śmiertelny strach.

Farhad zobaczył, jak mała krowa osuwa się na ziemię, a tłum zwierza się nad nią. Serce skurczyło się w nim boleśnie, **klędy** wystrzał karabinu rozległ się w ciszy poranka. Usłyszał **przenikliwy** krzyk stojącej obok niego kobiety w ciemnoniebieskim sari i ujrzał krew sączącą się z ciała zwierzęcia.

„Jeśli mała biała krowa zwycięży, wtedy wszystko mi się uda. Doręcę Krwawy Kamień słudze Rawany i uwolnię księżniczkę”.

A teraz mała biała krowa leżała martwa w pyłe. Nie przegrała jednak walki. Co to znaczy? Próbował wydostać się z tłumu, ale bez powodzenia. Szamotał się, ale skutek był tylko taki, że wpadł w samo oko cyklonu, tam gdzie tłum pochłonął Anglika. Farhad zobaczył, jak dwóch innych Anglików próbuje salwować się ucieczką, taranując ciżbę końmi. Jeden z nich wystrzelił w powietrze i w tej samej chwili wielkie stado przestraszonych białych czapli przeleciało przez jaskrawy błękit nieba ponad falującym tłumem. Tłum ten stał się naraz dzikim i nienasyconym, żądnym krwi zwierzęciem. Pochłonął również dwóch starszych Anglików, którzy po prostu w nim zniknęli. Był Kali, boską mścicielką z czerwonymi oczami, wielkimi zębami i czerwonym językiem, i teraz, gdy jej brutalna siła zerwała wreszcie okowy, nikt nie był już w stanie jej powstrzymać.

Komuś, może jednemu z indyjskich służących, którzy towarzyszyli Anglikom, musiało jednak udać się jakimś cudem pierzchnąć i wezwać pomoc. Nie upłynął nawet kwadrans, gdy Farhad ujrzał naraz mundury brytyjskiej policji. Zobaczył wirujące w powietrzu długie pałki, błyskające kopyta koni i znów usłyszał strzały.

Żarliwe pragnienie Farhada, by umknąć czym prędzej z tego piekła, rosło w nieskończoność, w dalszym ciągu jednak miał ograniczoną swobodę ruchów, otoczony przez wzburzonych pielgrzymów. I wtedy nagle tuż obok niego pojawił się bezpański koń. Musiał należeć do jednego z Anglików. Farhad wskoczył bez namysłu na jego grzbiet. Nie ujechał jednak daleko, kiedy jakimś sadhu także udało się wdrapać na konia. Farhad odwrócił się i zmartwił – za nim siedział Menière.

Chwilę później – nim zdążył ochłonać po pierwszym szoku, już czekał go drugi: był otoczony ciasnym pierścieniem policjantów. I wtedy zdrętwiał z przerażenia, a w jego głowie wirowało jak szalona karuzela jedno zdanie: „Myślałem, że to ja zepchnąłem z konia tego Anglika”.

Daleko w tłumie mignął mu kawałek białego futra z czarnymi pręgami – zaraz potem poczuł na głowie cios policyjnej pałki i ogarnęła go ciemność.

Kiedy się ocknął, leżał na jakimś dziedzińcu okolonym starymi murami. Z nieba lał się żar. Farhad czuł przejmujący ból w potylicy i kręciło mu się w głowie. Z największą ostrożnością usiadł i rozejrzał się dookoła. Przy tej okazji skonstatował z żalem, że jego dhoti wisi w strzępach i brakuje mu kawałka wzorzystego oblamowania.

Dziedziniec był pełen ludzi, którzy podobnie jak on wyglądali na obolałych i wyczerpanych. Jeden przy drugim tłoczyli się w cieniu murów, siedzieli zrezygnowani w słońcu lub leżeli na ziemi zwinięci w kłębek. Wielu z nich było pielgrzymami; niektórzy mieli jeszcze przy sobie dzbany z brązu, w które zaczerpnęli świętą wodę z Gangesu. Wszyscy zdawali się na coś czekać. Dookoła panowała cisza. Tylko pszczoły brzęczały w zielonych gałązkach, które pięły się w górę po ceglanych murach. Minęła chwila, zanim Farhad dostrzegł trzech przepisowo umundurowanych Brytyjczyków, którzy stali między pojmanymi Hindusami sztywni jak posągi, opierając się na karabinach.

– Na co czekamy? – szepnął do starego mężczyzny, który drzemał obok niego.

Starzec zerwał się i dopiero spojrzał na Farhada.

– Myśleliśmy, że już nigdy się nie obudzisz – szepnął, uśmiechając się. – Dobrze, że już ci trochę lepiej. Szkoda tylko, że to i tak na niewiele się zda.

– Na co czekamy? – powtórzył Farhad.

– Na to, żeby zdecydowali, co z nami zrobią – odparł mężczyzna. – Schwytali wszystkich, których mogli. Reszta uciekła.

– A co z Anglikami? – spytał Farhad.

Stary westchnął ciężko.

– Słyszysz się to i owo – powiedział w końcu. – Podobnie jak dwóch z nich nie żyje, a trzeci jest ciężko ranny. Brytyjczycy są wściekli.

Farhad skinął głową.

Potem powędrował wzrokiem po dziedzińcu i dostrzegł Francuza, który siedział z zamkniętymi oczami oparty o mur. Farhad przestraszył się nie na żarty i jął pospiesznie obmacywać sobie lewe ramię. Na szczęście zawiniątko wciąż było na swoim miejscu. Odetchnął z ulgą. Z początku zdziwił się nieco, czując pod palcami wilgoć i dotkliwy ból. I wtedy zrozumiał, że kamień musiał werznąć mu się w ciało, kiedy spadł z konia.

Zanim Farhad mógł się zastanowić nad inną możliwością ulokowania swojego skarbu, w drzwiach wychodzących na podwórze pojawił się kolejny Brytyjczyk, stanął w szerokim rozkroku i rozejrzał się dookoła. Puls Farhada natychmiast przyspieszył. Co zrobią z nimi Anglicy? Domyślał się, że będą chcieli wziąć odwet za swoich poturbowanych ziomków. Złe przeczucie ścisnęło mu naraz serce. Nie było żadnego sposobu, żeby stąd czmychnąć.

„Właśnie teraz – pomyślał z żalem i wściekłością Farhad przydałby mi się jak nigdy biały tygrys, który jednym magicznym skokiem przesadziłby ten piekielnie wysoki mur”.

Gdzie się podziewał Nitish? Czy jeszcze kiedyś go zobaczy?

Brytyjczyk w mundurze przerwał raptownie strumień myśli Farhada.

– Ty! – powiedział i wskazał palcem na Menière’a.

Siedzący obok Francuza mężczyźni potrząsnęli go energicznie, budząc ze snu.

– Pójdiesz ze mną. I ty!

Tym razem ku bezbrzeżnemu zdumieniu Farhada rozgniewany brytyjski palec był wycelowany w niego! Podniósł się szybko i zataczając z lekka, powlókł przez zalane oślepiającym światłem podwórze.

Za drzwiami było tak ciemno, iż Farhad początkowo potykał się co krok jak ślepiec. Ktoś popychał go jednak raz za razem we właściwym kierunku i więzień był mu za to niemal wdzięczny. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się już do tej nagłej zmiany, zobaczył, że idą długim, mrocznym korytarzem. Szli w eskorcie czterech policjantów, a w spojrzeniach Menière’a, które raz za razem trafiały Farhada, czytał wciąż to samo milczące pytanie.

– Masz kamień? – szepnął Francuz.

Chłopak zrobił przeczący ruch głową.

– Nie tutaj – szepnął ukradkiem. – A poza tym na co ci on teraz?

Menière wzruszył ramionami, a Farhadowi nie spodobał się sposób, w jaki się uśmiechnął.

Chwilę później znaleźli się w jasnym pokoju naprzeciw biurka, a drzwi za nimi zatrzasnęły się. Czterech mundurowych stało pod ścianami, nie spuszczać z nich oczu. Za biurkiem, zwrócony plecami do okna, siedział Anglik bez munduru i patrzył na nich.

– No cóż – powiedział, cedząc słowa – sprawa jest bardzo prosta: ktoś musi odpowiedzieć za ten odrażający incydent. Byłoby wszak niepięknie – pstryknąć cienkimi palcami – wymierzyć karę za morderstwo całemu podwórzcu pełnemu ludzi. Właśnie dlatego, że jest tam wielu pielgrzymów. Hindusi

nie byliby zadowoleni z takiego obrotu sprawy, jak mniemam. Zresztą my, Brytyjczycy, też nie.

Znów pstryknął palcami i spojrział przez ramię na podwórze, jakby musiał się zastanowić nad rozwiązaniem tego problemu. Ale Farhad mógłby przysiąc, że już to zrobił.

– Rozumiecie, o czym mówię? – spytał.

Farhad i Menière skinęli równocześnie głowami.

– To dobrze – mówił dalej. – Wy dwaj zostaliście ujęci koniu należącym do jednego z Anglików. Chyba temu nie zaprzeczycie, nieprawdaż? Mamy na to dość naocznych świadków. A to wystarczy, żeby uczynić was głównymi podejrzanymi.

Wyciągnął rękę, żeby zdusić w zarodku wszelkie protesty.

– Rzecz jasna, nie ma to absolutnie nic wspólnego z tym, co się naprawdę wydarzyło. Być może jesteście niewinni. Być może jednak to właśnie wy byliście podżegaczami, którzy stoją za całą tą skandaliczną sprawą. Ja tego nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. Faktem jest, że to wy – a nie kto inny – odpowiadacie za to, co się stało.

– Co to znaczy? – spytał szybko Farhad.

Nie czuł strachu przed siedzącym przy biurku mężczyzną, tylko złość. Głowa mu pękała, a na domiar złego znów ktoś próbował pokrzyżować mu plany. Księżyc na niebie rósł nieubłagane, wypierając czas swoim pęczniejącym brzuchem. Farhad obserwował go przez ostatnie noce. Zostało im dwa naście dni, by dotrzeć do miasta na pustyni Thar.

– Dwóch naszych ludzi nie żyje – powiedział mężczyzna – dwóch z waszych pójdzie w ich ślady. Czasem trzeba kogoś ukarać dla przykładu.

Westchnął zapatrzony w swoje paznokcie.

– Egzekucja odbędzie się jutro o wschodzie słońca – oznajmił beznamiętnym głosem.

W obolałej głowie Farhada natychmiast pojawiło się jedno słowo: Nitish.

Pan Właściwej Drogi.

Czy biały tygrys znajdzie drogę, by kolejny raz uwolnić nowego pechowego jeźdźca z rąk brytyjskich stróżów prawa? Usłyszał, jak Francuz chrząka, a potem, ku wielkiemu zdumieniu Farhada, zaczął mówić czystym angielskim, z tym samym jak zawsze uśmiechem na ustach:

– Doskonale rozumiem pańskie powody, sir. Ale istnieje pewien problem.

Farhad zobaczył, jak Menière grzebie pospiesznie w swojej torbie z materiału, którą miał przewieszoną przez plecy. Jego ręka znalazła wreszcie coś małego, płaskiego, kanciastego. Rzucił szybkie spojrzenie na Anglika, po czym położył to przed nim na biurku.

I chociaż Farhad podobnie jak większość Hindusów nigdy nie miał czegoś takiego, natychmiast poznał tłoczone w skórze złote stemple: paszport.

– Jestem Brytyjczykiem jak pan, sir – wyjaśnił z całym spokojem Menière. – Proszę przekonać się o tym osobiście. Jest mi doprawdy bardzo niezręcznie wyjawiać to w obecności tylu niepowołanych uszu. Miałem jednak swoje powody, aby wmieszać się w tłum tubylców jako sadhu, i zaręczam panu, że z pewnością nie byłoby to w interesie Jej Królewskiej Mości, gdyby owe powody przeniknęły do wiadomości publicznej. Nie sądzę również, by Jej Królewska Mość była szczególnie zbudowana, dowiadując się, iż rozkazał pan ukarać mnie dla przykładu.

Mężczyzna przy biurku otworzył paszport i zaczął czytać.

– Steal – przeliterował – Subclavian Steal.

– Właśnie – powiedział Francuz, który nie był chyba jednak Francuzem.

Oszłołomienie Farhada walczyło z bólem głowy.

– Byłbym panu szczerze zobowiązany, gdyby pozwolił mi pan odejść – powiedział Steal taktownie, bez cienia natarczywości, po czym zerwał z głowy perukę.

Pod spodem miał krótko przycięte ogniście czerwone włosy. Farhad zadał sobie w duchu pytanie, czy pod tą ryżą szczecińską nie kryje się jeszcze inny kolor włosów oraz inna fryzura. Teraz nie był już pewien nawet tego, czy Steal lub też Menière, a może jeszcze ktoś inny jest naprawdę Brytyjczykiem.

Mężczyzna za biurkiem skinął na jednego z mundurowych, który natychmiast podszedł do niego sprężystym krokiem. Obaj poszeptali chwilę.

– Nie mam powodów wątpić w pańskie słowa. W świetle tej zupełnie nowej okoliczności zatroszczymy się oczywiście, żeby mógł pan bez przeszkód opuścić budynek więzienia – powiedział w końcu. – To doprawdy niezwykle – strzelił palcami – przykre nieporozumienie.

– Zgadzam się z panem w całej rozciągłości – przytaknął Steal.

Farhad widział za oknem niebo, wielkie i błękitne, wypucowane przez monsun.

Zaraz potem znów szedł mrocznym korytarzem.

Noc była nieskończenie długa i parna.

Farhad leżał na wiązce słomy w małej celi pozbawionej okna. Zamek u drzwi był przedniej jakości. Farhad nie dawał za wygraną, próbując przekupić strażników. Gdzieś koło północy zdjął z ramienia swoje zawiniątko, rozsypał chusty i wymacał Krwawy Kamień. Ku jego przerażeniu okazało się, że klejnot pękł na cztery części. Farhad najpierw zaklął cicho pod nosem, a dopiero potem zaczął hałasować, aż przyszedł jeden z wartowników. Więzień przycisnął usta do kraty w drzwiach.

– Jeśli pomożecie mi się stąd wydostać – szepnął przez kratę – wynagrodzę was po królewsku, przysięgam. Macie tutaj jakieś światło?

Ciemność ustąpiła miejsca migoczącemu kręgowi światła, kiedy mężczyzna przysunął lampę do zakratowanego otworu znajdującego się w górnej części drzwi.

– Co tam masz? – spytał podejrzliwie.

Farhad podetknął mu na dłoni jeden z czterech kawałków klejnotu. Krwawy Kamień lśnił i migotał głęboką purpurą jak zachodzące słońce nad Gangesem. Strażnik przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Był młody, miał jasne zmierzwione włosy i całą kolekcję brzydkich blizn po ospie na policzkach.

Jego oczy były zmęczone i pełne tęsknoty.

– Pomyślcie o soczyście zielonych łąkach w waszej ojczyźnie – szepnął Farhad, modulując odpowiednio głos. – Słyszałem, że są zielone jak szmaragdy. Dzięki temu klejnotowi będziecie mogli opłacić podróż do domu, do waszego pięknego, dalekiego kraju.

Ale młody mężczyzna tylko potrząsnął głową.

– Szkło – burknął pogardliwie. – Naprawdę nie musiałeś mnie budzić dla kolorowego szkiełka.

– Szkło? – syknął Farhad i pokręcił głową. – Wasze oczy są ślepe od słońca tego kraju! Masz przed sobą najstynniejszy klejnot Indii! Czyżbyś nigdy nie słyszał o Krwawym Kamieniu?

Młody człowiek mierzył więźnia wzrokiem, w którym kryło się rozczarowanie.

– Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób ten skarb dostał się w twoje ręce? – zapytał.

I nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu. Klapa przed zakratowanym okienkiem w drzwiach opadła na dół z metalicznym szczękiem.

Farhad usiadł na zimnej posadzce, zawinął na powrót okrychy kamienia w chusty i mocno je związał. Wściekły i rozżalony zrywał się na głupotę strażnika. Pałaca wściekłość przemieniała się w końcu w cichą bezradność. Tej nocy na próżno próbował zasnąć. Bolało go ramię, a w głowie tłukły się myśli. Była jeszcze nadzieja. Jedną z możliwości stanowił biały tygrys. Drugą Subclavian Steal, Anglik o dziwacznym imieniu. On i jego żądza zdobycia Krwawego Kamienia. Jeśli żaden z nich nie pojawi się do świtu, Farhad będzie zgubiony.

Jego serce było puste i zimne. Usiadł na wiązce słomy i zaczął szukać po omacku małego srebrnego amuletu. Zaledwie go otworzył, spojrzała zeń księżniczka, a jej twarz była znów trochę bardziej wyraźna. Farhad widział teraz, że wokół oczu miała maleńkie zmarszczki, jakby dawniej często się śmiała. Kiedy tak na nią patrzył, ogarnął go naraz dziwny spokój, który przepłószył samotność. Poważne spojrzenie księżniczki wypełniło ciepłem jego zziębnięte serce i w końcu zasnął.

Lustrzane odbicie

Poranek szarzał już, ale Farhad nie mógł tego widzieć w swojej mrocznej celi. Dostrzegł to dopiero wówczas, kiedy drzwi się otworzyły.

Jakikolwiek opór był bezsensowny, nie bronił się więc, pozwalając prowadzić się ze związanymi rękami jak baran na rzeź.

„Nitish! – przywoływał w duchu białego tygrysa. – Nitish, jestem tutaj. Przybądź mi na pomoc!”.

Być może nie wszystko jest jeszcze stracone. Być może, kiedy wyjdzie na zewnątrz, tygrys skoczy mu naprzeciw swoim długim susem. Strażnicy uciekną w popłochu, Nitish w mig rozgryzie pęta na przegubach jego rąk ostrymi jak brzytwa zębami i zostawią wreszcie za sobą to miasto, szybcy jak chmury na niebie i ziarenka piasku w pustynnym wietrze.

Jeden ze strażników pchnął jakieś drzwi. Farhad przysłonił dłonią oczy, mrugając w bladym świetle poranka. Rozejrzył się dookoła. Tygrysa nie było.

Dwaj strażnicy popychali go przez szare podwórze, potrodku którego między walającym się na ziemi żelastwem i śmieciami rosła jedna jedyna zmarniała, usychająca czerwona róża. Widok róży na tym obskurnym podwórzu wydał

się Farhadowi nieskończenie smutny, a jego serce stało się nagle tak ciężkie jak nigdy dotąd.

Strażnicy przystanęli, nasłuchując.

– Słyszysz to? – spytał jeden z nich.

Farhad odwrócił się do niego i w ponurym świetle więziennego podwórza rozpoznał młodego mężczyznę z bliznami po ospie i z tęsknym spojrzeniem. On również nasłuchiwał. Z drugiej strony muru płynął jakiś poszum, jakby mieszanina głosów.

– To ludzie – powiedział młody mężczyzna z krzywym uśmiechem – którzy chcą popatrzeć na egzekucję.

Wtedy chłopak przeklął chwilę, w której ujrzał w oczach tego mężczyzny tęsknotę za zielonymi łąkami, i znienawidził go z całej duszy.

Popchnęli go dalej, minęli podwórze, potem następną parę drzwi i mieszanina głosów jeszcze się wzmogła. Zbliżali się do miejsca, gdzie czekał tłum. Czy był to ten sam wzburzony tłum, który nie dalej jak wczoraj ściągnął Anglików z koni? Jeśli to, co powiedział Anglik za biurkiem, było zgodne z prawdą, wypuścili wszystkich z wyjątkiem Farhada. A teraz ci sami ludzie czekali, żeby ktoś odpokutował za ich grzechy.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział młody mężczyzna z bliznami po ospie.

Otworzył kolejne drzwi, a serce Farhada zadrżało niecierpliwie. Skoncentrował się na tym, żeby przywołać Nitishu. Ale za drzwiami nie czekał na niego żaden tygrys. Nawet błyski z niebezpiecznie błękitnymi, mowiącymi oczami.

Kiedy ten obcy mężczyzna podstawił Nitishowi kawałek materiału pod sam nos, tygrys z początku chciał go zabić jednym uderzeniem potężnej łapy. Materiał należał do dhoti Farhada.

hada. A ściśle mówiąc – do jego oblamowania. Ale gdzie była cała reszta? Gdzie był Farhad? Co się z nim stało?

Nitish nie zabił jednak obcego mężczyzny.

„Ktoś – pomyślał sobie – kto tak odważnie, bez cienia strachu zbliża się do białego tygrysa, musi mieć ważkie ku temu powody”.

Farhad opowiedział mężczyźnie o Nitishu. Tak właśnie musiało być, nie inaczej. Poprosił go, żeby odszukał tygrysa, a mężczyzna przyszedł, żeby go do niego zaprowadzić.

Najwidoczniej bohater znów był w tarapatkach. Nie było to dla Nitisha nic nowego. Od kiedy spotkał Farhada Kamala, ten szalony chłopak nieustannie wpadał w tarapaty. O tych kilku drobnych kłopotach, które sam spowodował, nie warto było nawet wspominać.

Po swoim wypoczynkowo-osuszającym śnie na brzegu rzeki Nitish czuł się młody i silny. Rozpierała go energia i chęć działania. Już dawno nie był w tak znakomitej formie. Teraz, kiedy już wiedział, że woda jest dla niego absolutnie niebezpieczna, świat stał przed nim otworem. Farhad nie będzie nań czekał daremnie.

Mężczyzna, za którym Nitish podążał uliczkami świętego miasta, był odziany w długą, obszerną szatę w czerwone prążki, jakie zwykle noszą Arabowie, i miał czarną gęstą brodę. Nitish nie mógł znieść jego zapachu. Ale kiedy biegał po całym mieście, penetrując wszystkie zakamarki, żeby się dowiedzieć, gdzie zabrali Farhada, ten mężczyzna był jedynym człowiekiem, który przed nim nie uciekał. Nitish dziwił się tylko, dlaczego zmierzają ku granicom miasta.

Domy stały tutaj w pewnym oddaleniu od siebie, a ścisłe i wąskie ciasnych uliczek zniknęły. Śródmiejski pejzaż ustępował z wolna miejsca sennym przedmieściom. Wkrótce ulice całkowicie się wyludniły. Gdzie też zabrali Farhada?

– Tędy – powiedział mężczyzna, przedzierając się przez gąszcz splątanych, uschniętych roślin, które teraz po ulew-
nym monsunowym deszczu wypuszczały nowe, delikatnie
zielone pędy.

Niebawem dotarli do jakiejś szopy. Nitish zdumiał się jesz-
cze bardziej, kiedy mężczyzna otworzył jej drzwi, ale wślizgnął
się do środka. Panował tam mrok. Tygrys wytężał wzrok, pró-
bując coś zobaczyć.

I dostrzegł wielkie bele słomy... ale tylko bele słomy, nic
poza tym.

Nitish zamruczał gniewnie. Co to wszystko ma znaczyć?
Odwrócił się do swojego przewodnika w długiej prążkowanej
szacie. Ale Arab zniknął. Zirytowany Nitish podszedł do
drzwi. Były zamknięte. Przypomniawszy sobie, że otwierają się one
zewnątrz, i z całych sił nacisnął na nie wielkim łbem. Ani
drgnęły.

I wtedy zaczął powoli pojmować, o co chodzi. Usiadł po
środku szopy i wydał z siebie przeciągły ryk wściekłości.
Oszukano go!

Nie, za drzwiami, które pchnął młody mężczyzna z dzi-
obami na policzkach, nie czekał żaden tygrys. Co dziwniejsze,
nie czekał tam również na Farhada podekscytowany, żądny
wrażen tłum. Drzwi wychodziły na wąską boczną uliczkę,
którą człapał stary mężczyzna, poganiając osła. Farhad wpa-
rywał się w ulicę, w mężczyznę, w osła i jego ładunek – wiel-
kie wory pełne warzyw – i niczego nie rozumiał.

Drugi mężczyzna wypchnął go mocnym kuksańcem w ple-
cy na zewnątrz.

Zaraz potem Farhad poczuł, jak rozwiązują mu sznur, któ-
rym spętane były jego ręce.

– Co...? – zaczął oszołomiony, nic a nic nie rozumiejąc.

W głowie miał mętlik. Jego serce wahało się pomiędzy niedowierzaniem, ulgą i lękiem. Czy ta wąska uliczka nie jest jakąś nową sztuczką brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości?

– Masz szczęście – powiedział jeden ze strażników. – Zgubiliśmy cię w drodze na miejsce stracenia.

– Zgubiliście? – spytał Farhad.

– Słuchaj i nic nie mów! Ty nas powaliłeś na ziemię, po czym dałeś nogę. A teraz trzeba przeszukać cały budynek – wyjaśnił z krzywym uśmiechem młody mężczyzna, który w nocy nazwał Krwawy Kamień kawałkiem szkła.

Farhad przypomniał sobie, że zaledwie przed chwilą ten sam człowiek powiedział mu, że za murami więzienia czeka na niego żądna mocnych wrażeń zgraja, rozkoszując się bezwstydnie jego strachem.

– No, nie wytrzeszczaj tak oczu! Tak ma być i już! – wpadł mu w słowo drugi mężczyzna i zaśmiał się głośno. – Mój kolega opowiadał mi coś o kolorowym szkiełku, które chciałeś mu wcisnąć. Ale nam zapłacił ktoś, kto miał znacznie więcej do zaoferowania niż jakieś szkiełko.

– Kto taki? – spytał Farhad nieufnie.

– Nie twoja sprawa! – odparł strażnik. – Bądź wdzięczny swojemu wybawcy i znikaj! I radzę ci się tutaj więcej nie pokazywać. Jeśli cię znów schwytają, będą cię trzymać pod strażą dniem i nocą, a wtedy nie pomoże ci nawet twój nieznanany dobroczyńca.

Farhad rozejrzał się niepewnie dookoła. Czy ten stary mężczyzna z osłem był naprawdę tylko starym mężczyzną, który włożył warzywa na targ? Złożył dłonie do pospiesznego podziękowania i lekko się skłonił.

Nienawiść do młodego ospowatego strażnika wciąż go paliła, kiedy biegł ulicą. Kluczył i błdził wiele razy, aż poczuł się wreszcie pewnie w labiryncie uliczek i zaułków. Jaką miał

gwarancję, że to już koniec jego więziennych perypetii? Kto wie, czy ta przekupna parka nie naśle na niego swoich kompanów? Dawniej Farhad był święcie przekonany, że tylko on jest kuty na cztery nogi – ale odkąd wyruszył w tę osobliwą podróż, ludzie wydawali mu się z każdym dniem coraz bardziej nieprzewidywalni.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Farhad, odzyskawszy w tak cudowny sposób wolność, było zrzucenie starej skóry i przybranie nowej. Miał jeszcze dość pieniędzy ze skradzionej sakiewki. Kilka godzin później z lustra, które mijał na ulicy, patrzył na niego jasnowłosy chłopak z fryzurą przywodzącą na myśl angielski trawnik i dwiema malowniczymi szramami pod lewą kością policzkową. Ten ostatni szczegół miał przekonywać bliźnich, iż jest namiętym szermierzem, który stoczył już niejedną pojedynkę na szpady. Spodnie, w które wbił się Farhad, wydawały mu się zbyt ciężkie i niewygodne. Przywykł do przewiewnej hinduskiej garderoby i litował się nad Anglikami, którzy na własne życzenie więzili swoje ciała w piekielnie ciasnych, ograniczających swobodę strojach. I to w taki upał!

– No to do dzieła! – powiedział Farhad do swego odbicia.
– Teraz się przekonamy, który z nas jest większym mistrzem przemiany, drogi panie Steal.

I wyruszył na poszukiwanie Nitisha.

Ale tygrysa nigdzie nie było. Przepadł jak kamień w wodę, jakby go pochłonęły nurty Gangesu. Jasnowłosy angielski chłopak, w którego skórę wśliznął się Farhad, przez wiele długich godzin wypatrywał plamy białego futra, migotania błękitnych oczu, szybkiego ruchu przegowanego ogona. Na próżno.

Z początku był jeszcze dobrej myśli, podejrzewając, że szuka po prostu w niewłaściwych miejscach. W końcu jednak zmęczony i zniechęcony bezowocnym uganianiem się pu

całym mieście zaczął zadawać sobie pytanie, czy nie stało się coś złego. Gdzieś koło południa powrócił po raz trzeci do ghat Ram, gdzie rankiem poprzedniego dnia Nitish położył się obok świeżo wypranych sari, żeby wysuszyć się na słońcu. Ale tygrysa tam też nie było.

Farhad usiadł na starej metalowej poręczy mocno nadgryzionej już zębem czasu i korozją, na której suszyło się kilka koszul, przypatrywał się spokojnym wodom i porządkował myśli. Sunął dłonią po chropowatym, pordzewiałym żelazie, zastanawiając się, co robić dalej. Wstrząsnął się naraz, czując ranę, którą pozostawił mu na pamiątkę Krwawy Kamień podczas ich pierwszego spotkania, i natychmiast zdjął rękę z poręczy. Ale niemal w tej samej chwili poczuł jeszcze coś innego. Coś, co nie pasowało mu do tego starego żelastwa, coś, co z pewnością było tutaj zupełnie nie na miejscu.

Spojrzał i ku swemu zdumieniu ujrzał mały, kilkakrotnie złożony kawałek papieru, który ktoś przywiązał sznurkiem do poręczy. Farhad rozplątał pospiesznie sznurek, czując, jak drżą mu ręce, i już kiedy to robił, ogarnęło go niedobre przeczucie.

Stara poręcz była niewątpliwie jedynym przydatnym miejscem w pobliżu suszącego się na słońcu prania, gdzie można było coś umocować. Gdyby on sam chciał przekazać komuś wiadomość, wiedząc, że ten ktoś na pewno tutaj powróci, pozostawiłby ją właśnie na tej zardzewiałej poręczy.

Na papierze widniały jakieś słowa, ale Farhad nie umiał ich przeczytać. I nie było w tym nic dziwnego, ponieważ on w ogóle nie umiał czytać – żadnego pisma, ani tamilskiego, ani hindi, ani też kancianych liter Europejczyków.

Wsunął więc szybko kartkę do kieszeni swoich bardzo niewygodnych spodni i udał się na poszukiwanie kogoś, kto mógłby mu pomóc.

*

– Chodzi o jakiegoś tygrysa – powiedział stary mężczyzna, patrząc ze zdziwieniem na Farhada.

Siedział na stosie różnobarwnych bel materiału w małym sklepiku będącym równocześnie zakładem krawieckim, który podobnie jak wszystkie inne sklepy w tej okolicy znajdował się przy dobrej metr ponad ulicą – na wypadek gdyby wezbrana monsunowa rzeka miała ochotę wystąpić z brzegów. Farhad stał w wąskiej uliczce i spoglądał w górę na starego mężczyznę.

– Tak właśnie myślałem – powiedział cicho.

– Białego tygrysa – dodał mężczyzna z naciskiem, obserwując z napięciem reakcję Farhada.

– Tak właśnie myślałem – powtórzył Farhad.

Na twarzy mężczyzny odmalowało się rozczarowanie.

– Czytaj! – ponaglił go Farhad, potrząsając sakiewką. – Nie mam czasu. Jeszcze przed pełnią księżyca muszę dotrzeć do miasta na pustyni Thar i zwyciężyć króla demonów.

Krawiec mierzył go wzrokiem, który mówił jednoznacznie, iż wcale sobie tego nie wyobraża, a nawet mocno powątpiewa w zdrowie psychiczne tego dziwnego Europejczyka. Wzruszył ramionami i przeczytał:

– Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swojego białego tygrysa, przynieś mi to, co pragnę mieć. Daję ci czas do jutra wieczór. Spotkamy się przy ghatach Hanumana, blisko których mieszka moja matka. Kiedy usłyszysz skowyczenie psa, a zaraz potem krzyki majny, przyjdę na schody. Jeśli nie pojawisz się do zachodu słońca, to będzie już za późno. Wtedy biały tygrys umrze. A tak na marginesie, zawdzięczasz mi życie. Podpisano: Poszukiwacz.

Farhad zabrał list i dał krawcowi kilka monet.

– Dziękuję wam – mruknął w zamyśleniu.

– Co znaczy ta wiadomość? – dopytywał się krawiec, zerkając ciekawie na Farhada.

– To tajny szyfr – odparł Farhad. – Jak się zapewne domyślacie, tygrys nie jest w rzeczywistości żadnym tygrysem. A ghaty Hanumana też oznaczają coś zupełnie innego. Ale więcej nie mogę wam powiedzieć. Sprawa jest poufna.

Stary skinął głową, uśmiechając się lekko.

– Tajny szyfr – powtórzył – żeby walczyć na pustyni z królem demonów przed następną pełnią księżyca. Ho, ho!

Nic więcej już nie powiedział. Zerknął po raz ostatni na Farhada i jak gdyby nigdy nic powrócił do szycia, przeciągając długą czerwoną nić przez jedwabną poszewkę na poduszkę.

Farhad zdążył oddalić się zaledwie kilka metrów od zakładu krawieckiego, zmierzając w górę uliczki, gdy ktoś pociągnął go lekko za koszulę. Odwrócił się szybko i przystanął zdziwiony. Przed nim stał mały brudny chłopczyk i patrzył na niego wielkimi oczami.

– Wszystko słyszałem! – szepnął. – Musisz odnaleźć swojego tygrysa, prawda? Krawiec myśli pewnie, że zwariowałeś albo że to naprawdę tajny szyfr lub coś w tym rodzaju. Ale ja tak wcale nie myślę. Ponieważ ja widziałem twojego tygrysa.

– Gdzie? – spytał szybko Farhad.

– Przebiegał tuż obok mnie – powiedział chłopiec. – Dziś rano z samego rana.

– W którą stronę biegł?

– Mogę ci powiedzieć, ale za jedną pajsę.

Farhad wygrzebał monetę z kieszeni.

– Na zachód – powiedział chłopiec i pokazał palcem. – Biegł za jakimś człowiekiem. Za Brytyjczykiem takim jak ty. Jeśli dasz mi dwie rupie, pomogę ci go odszukać.

– To nie był żaden Brytyjczyk – mruknął Farhad ze złością tylko Francuz. Choć sam już nie wiem.

– Za trzy rupie mógłbym ci też pomóc odszukać tego Francuza.

– Trzy rupie?

– Jedną i pięćdziesiąt pajs. Niech ci będzie, moja strata. Wiedz, że robię to tylko dla ciebie!

Farhad uśmiechnął się. Ten mały chłopiec przypominał mu jego samego, kiedy był w jego wieku.

– Gdzie są twoi rodzice? – spytał.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy ich nie widziałem.

– Więc z czego żyjesz? Z szukania tygrysów?

Małec przytaknął skwapliwie.

– A więc dobrze – powiedział Farhad, sięgając ponownie do kieszeni i wciskając jeszcze jedną monetę w lepką dziecięcą dłoń.

– Jeśli znajdziesz tygrysa, dostaniesz premię – dwie rupie...

– Trzy – powiedział szybko chłopiec.

Farhad stłumił śmiech. Chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Wprost przeciwnie. Musiał odnaleźć Nitisha. Na tychmiast.

Farhad nie mógł sobie wyobrazić, że Stealowi udało się dostać tygrysa w swoje obmierzłe łapy. – tak niebezpiecznego zwierzęcia jak biały tygrys nie łapie się jak myszy w pułapkę. Ale gdyby to jednak była prawda?

Ma się rozumieć, nie miał zamiaru oddać Krwawego Kamienia temu Anglikowi.

Razem z chłopcem przeszukiwali całe miasto aż do zmroku. Pytali każdego, kogo tylko spotkali po drodze, i niektórzy rzeczywiście przypominali sobie, że widzieli białego tygrysa. Ale gdzie teraz był, co robił, tego żaden z tych ludzi nie potrafił powiedzieć. Z początku Farhad tylko się złościł. Co Nitish sobie wyobraża, żeby tak po prostu znikać? Potem jednak złość zaczęła powoli ustępować miejsca niepokojowi i szczerzej trosce. A jeśli naprawdę przytrafiło mu się coś złego?

W końcu zmęczony i zgłodniały kupił u ulicznego handlarza torebkę vadais, małych żółtawych kuleczek z ciasta pełnych cebuli i pachnących listków kolendry. Pokręcił się jeszcze trochę, rozglądając się na wszystkie strony, w końcu usiadł na brzegu Gangesu, żeby się posilić. Chłopiec przysiadł obok niego z miną wyczekującego psa, a Farhad nagle stwierdził, że dzieli się z nim swoim posiłkiem.

Słońce schowało się za rzeką, pozostawiając po sobie na fałach kałużę światła, która przywodziła mu na myśl żarzącą się purpurę Krwawego Kamienia. W dalszym ciągu czuł piekący ból w ramieniu, tym razem jednak uznał to za znak opatrności, iż bawełniane chusty przesiąknięte były krwią – każdy uznałby ten opatrunek za prawdziwy.

Chłopiec położył się na ziemi u stóp Farhada i spoglądał na gwiazdy. Pomędzy migoczącymi srebrzyscie dalekimi punkcikami wisiał przybierający księżyc i wydawał się tykać jak wielki lśniący zegar. Najwidoczniej nie było łatwo się go pozbyć.

– Jutro będziemy szukać dalej – powiedział chłopiec i ziewnął zadowolony. – Wtedy już na pewno znajdę twojego tygrysa, a ty będziesz bardzo szczęśliwy i dasz mi dużo, dużo pieniędzy.

Farhad uśmiechnął się lekko, choć wcale nie podzielał optymizmu swojego małego sojusznika. Położył się na plecach obok chłopca i też patrzył na gwiazdy.

– Kiedy miałem tyle lat co ty – powiedział naraz – też chętnie poszukałbym dla kogoś tygrysa, żeby zarobić trochę pieniędzy.

– Gdzie to było, tam gdzie nikt nie gubił tygrysów? – spytał chłopiec. – Gdzie mieszkałeś, kiedy miałeś tyle lat co ja?

– Daleko, bardzo daleko stąd – odpowiedział Farhad. – W Maduraju.

– Czy tam jest pięknie?

Farhad zastanowił się krótko.

– O tak, bardzo pięknie – powiedział. – Jest tam wielka świątynia i wszystko wydaje się o wiele bardziej zielone niż tutaj. Czasami od morza wieje wiatr i przynosi słone powietrze, a na ulicach kobiety wiją girlandy ze świeżych kwiatów, żeby zdobić nimi włosy. A pachnie tak słodko, a nie tylko samym ogniem.

Słyszał, jak jego głos kocha miasto, z którego przybył, i to go zdziwiło. Do tej pory nie miał pojęcia, że może cokolwiek kochać.

– Czy właśnie stamtąd przyniosłeś to coś, co koniecznie chce mieć ten człowiek, który ukradł tygrysa i napisał list? – zapytał nagle chłopiec.

– Nie – odrzekł Farhad.

– Co to jest?

Farhad milczał przez chwilę. Nie zamierzał wtajemniczać tego małego w swoje sprawy. Skąd pewność, że dzieciak nie rozpowie jego sekretu po całym mieście? Musiał zachować czujność, ale z drugiej strony korciło go, żeby mu coś opowiedzieć, coś, w co nigdy by nie uwierzył...

– Opowiem ci bajkę – powiedział Farhad i chrząknął.

Malec przysunął się bliżej. Pachniał mieszaniną brudu ulic, na których żył, kolendrą z vadais i wszechobecnym korzennym dymem tego miasta: dymem umarłych, których krewni sprowadzali tutaj z daleka, żeby oddać ich popioły rzece Gandze.

– Była sobie kiedyś księżniczka – zaczęła Farhad – piękna jak marzenie. A jej ojcem był nie kto inny, tylko sam Kryszna, bóg z pasterskim fletem...

Kiedy tak opowiadał, miał wrażenie, że słucha samego siebie. Jego duch uniósł się nad rzekę, spoglądając z góry na dużego i małego złodzieja leżących na brzegu Gangesu pod

światłem gwiazd, i wsłuchiwał się w słowa, które biegły przez noc.

Historia bohatera, który wyrusza w daleką podróż, żeby uratować piękną księżniczkę ze szponów okrutnego władcy demonów, zdążyła się już usamodzielnić. Za każdym razem opowiadała się łatwiej, płynniej, a jej słowa niosły czarowny zapach jaśminu i smak daktyli z palmy, pod którą śniła księżniczka, kiedy porwał ją zły demon. I niosły nadzieję, która była tak nierzeczywista, że mogła znaleźć się tylko w bajce: nadzieję wolności. Wolności dla czekającej na swego wybawcę zatrwożonej księżniczki, wolności dla bohatera, którego kołowrót narodzin, śmierci i ponownych narodzin Kryszna obiecał przerwać, jeśli dzielnie stawi czoło wszystkim wyzwaniom, wolności dla tygrysa, który był wprawdzie biały jak śnieg i szybki jak wiatr, a mimo to pragnął pewnego dnia stać się najzwyczajszym w świecie żółtym tygrysem. Lśnienie Krwawego Kamienia promieniowało z baśni Farhada jak światło w mroku nocy i kiedy przysłuchiwał się samemu sobie, jego opowieść wydała mu się tak nierealna, jakby istotnie mogła być tylko bajką.

Nie dotarł jeszcze do końca, kiedy usłyszał miarowy oddech chłopca i wkrótce sam także zasnął. Przez jego sny bezszelestnie skradał się biały tygrys. Podszedł do Farhada i usiadł mu na piersi, a on poczuł tuż przy twarzy jego sierść. Zakręciło go w nosie i kichnął.

– Siedzisz na mojej ranie – jęknął Farhad.

Nitish przesunął się odrobinę.

– Czekam na ciebie – zamruczał. – Tym razem schwytali mnie, nie ciebie. Czekam i czekam, a ty nic, tylko gadasz o swoim ramieniu!

– Krwawy Kamień – szepnął Farhad – pękł na cztery części i skaleczył mnie w ramię, kiedy spadłem z konia.

– Krwawy Kamień pomoże ci mnie wykupić – powiedział Nitish.

– Tylko czym wtedy przekupię Suryakantę, sługę Rawany, króla demonów?

– Na cztery części – zastanowił się Nitish. – Pękł na cztery części, ten twój kamień.

– Myślisz, że...? – zaczął Farhad.

– Właśnie tak myślę – odparł tygrys i położył jedną ze swoich wielkich białych łap na ramieniu chłopca. – No i jak? – spytał, pomrukując cicho. – Czujesz to? Boli? Taki sam ból będą czuć ja, kiedy Anglik mnie zabije.

– Jak to? W jaki sposób miałby cię zabić? – spytał Farhad ze zdziwieniem. – Przecież jesteś świętym tygrysem, dziełem bogów. Masz ponad tysiąc lat i jesteś szybki jak chmury na niebie. Więc jak możesz umrzeć?

– Mogę – powiedział Nitish z powagą. – Mogę umrzeć jak każda inna istota na tej ziemi. Sam z siebie tego nie zrobię. Ale coś mi się zdaje, że twój angielski kompan nie będzie czekał cierpliwie, aż zrobię jakąś głupotę. On ma broń, Farhadzie. – Jego błękitne oczy ciskały drżące błyskawice, a wąsy drgały nerwowo. – Karabin pełen kul. Wiesz... taki długi błyszczący przedmiot z metalu, wszyscy Brytyjczycy mają coś takiego. Karabiny lubią zabijać tygrysy. O tak, uwielbiają to robić. Liżą nasze wargi językami prochu, gryzą nas swoimi ołowianymi zębami w samo serce i wrywają nam oczy ognistymi pazurami. Szarpią na strzępy nasze silne mięśnie i opluwają futro naszą własną krwią. Grzebią w naszych wnętrznościach i wnikają głęboko do naszych głów, gdzie siedzą najbardziej tajemne myśli. Karabiny Brytyjczyków robią wszystkie te straszne, przeokropne rzeczy, a nawet jeszcze gorsze. Czy chcesz nieść swój Krwawy Kamień na piechotę do samej pustyni Thar, gdy tymczasem ten Anglik zastrzeli mnie

bez mrugnięcia okiem, a potem nakarmi moją padliną wygłodniałe sępy?

– Nie, nigdy! – wykrzyknął Farhad. – Oczywiście, że tego nie chcę. Zabierz wreszcie łapę z mojego ramienia. Zdaje mi się, że rana znów zaczęła krwawić.

Obudził się mokry od potu.

Ból w ramieniu jeszcze się wzmógł.

Farhad leżał przez chwilę, wpatrując się w ciemne nocne niebo. Przez ciężką kurtynę chmur z wielkim mżołem torowało sobie drogę słabe migotanie gwiazd. Farhad poczuł, że jest rozpalony, i zatęsknił za ochłodą. Rana zaczęła zatrzuwać jego krew.

– Nitish – szepnął w powietrze poranka. – Dzisiaj pójdę do ghat Hanumana i będę naśladował szczekanie psa i krzyk majny. Oddam Anglikowi jeden kawałek kamienia i będziemy dalej podróżować. Nie bój się, stary przyjacielu.

Usiadł i zaczął obmacywać bolące ramię. Jego palce trafiły na coś wilgotnego. Rana naprawdę zaczęła krwawić, nie tylko we śnie. Sycząc z bólu, odwinął opatrunek, żeby przyjrzeć się jej lepiej w coraz jaśniejszym z każdą minutą świetle dnia. Szukał po omacku kawałków kamienia, które zawinął w chusty opatrunku... zawinął? Ale gdzie?

Farhad zmarszczył czoło, uniósł swoje utlenione brytyjskie brwi i coraz szybciej, coraz bardziej niespokojnie przebierał palcami, grzebiąc w opatrunku. W końcu odwiązał go z ramienia, a potem rozpostarł na ziemi wszystkie chusty, starannie je wygładzając. I oniemiał. Jak gdyby kamień sam się wykrwawił, dzieląc się na cztery części, i zostawił niezliczone brunatnoczerwone plamki na bawełnianej tkaninie. Farhad zagryzł zęby i obmacywał z wielką ostrożnością głębokie nacięcia na ramieniu. Być może okruchy kamienia skleiły się z jego krwią i... Nie. Nie było ich tam. Nigdzie ich nie było!

Farhad oprzytomniał w jednej chwili. Rozejrzał się wokół siebie, coś sobie przypomniał i nagle stwierdził, że czegoś mu tutaj brakuje: małego żebraka. Tego samego, który wydawał się od dawna spać twardym snem, kiedy on doszedł w swojej historii do Krwawego Kamienia. I wtedy zrozumiał, dlaczego rana znów zaczęła krwawić i dlaczego śniło mu się, że tygrys naciskał na nią swą wielką łapą. Jego sprytny opatrunek został rozwinięty, a potem na powrót założony.

A niech to licho! Farhad Kamal, mistrz nad mistrze, oszust i złodziej jakich mało, dał się nabrać swojemu młodszemu lustrzanemu odbiciu. Zanim rozpoczął tę podróż, nigdy nie przydarzyło mu się nic podobnego!

Farhad skoczył na równe nogi. Ten sen śnił mu się przed chwilą. Chłpiec nie mógł być daleko.

Farhad zobaczył jakiś cień zaraz przed ghatami Manikarnika, gdzie w powietrzu wisiał jeszcze zapach ognia. Cień był mały i zwinnie i właśnie omijał łukiem wielki plac, na którym palono zwłoki, gdzie spowita bladym światłem gwiazd ziemia była czarna od popiołów setek tysięcy zmarłych, których ciała palono tu od niepamiętnych czasów. Farhad czuł w powietrzu przebijanie, czuł tchnienie doczesności. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, a serce ogarnęła naraz dziwna trwoga, jakieś ciękie przecucie, że wkrótce wydarzy się coś, co jeszcze mocniej zwiąże go z ghatami Manikarnika. Odbijające się w wodzie gwiazdy migotały na powierzchni spokojnej tafli Gangesu, a nocne powietrze wydawało mu się niezwykle chłodne. Farhad otrząsnął się, płosząc złe myśli, i ruszył za cieniem.

Obaj poruszali się bezszelestnie w nocnym powietrzu, jakby nie byli istotami z krwi i kości, ale niespokojnymi duchami bez ciał, a blade cienie gwiazd podążały za nimi jak w śnie. Przy ghatach Mir mały cień odwrócił się raptownie i do-

strzegł, że nie jest sam w nocnym mieście. Skręcił błyskawicznie w prawo, śmignął schodami w górę i przepadł w labiryncie świętego miasta. Farhad pobiegł za nim.

W gmatwaninie coraz ciasniejszych uliczek chłopiec miał jednak nad nim tę niewątpliwą przewagę, że to było jego miasto. Miasto Farhada – Maduraj – z mnóstwem okazałych świątyń, leżało daleko, bardzo daleko stąd, a on nawet nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek je zobaczy. Kiedy tak biegł trop w trop za irytująco szybkim cieniem przez ulice Waranasi, wydał się sobie naraz zagubiony i bezdomny, jakby ta podróż trwała wiele, wiele lat i jakby Maduraj od dawna już nie istniał.

I chociaż dwoił się i troił, wytěżając ze wszystkich sił oczy i nogi, nie było mu łatwo dotrzymać kroku małemu złodziejaskowi. Kilka razy myślał już, że go zgubił, po chwili jednak zguba się odnajdywała, pojawiając się niespodziewanie w jakimś ciemnym zaułku, i Farhad mknął jak strzała w nowym kierunku. Mały prowadził go coraz dalej i dalej w samo serce miasta, najstarsze ze wszystkich jego części, gdzie mieszkali tylko żebracy i sędziwi starcy. Żaden obcy nigdy się tutaj nie zapuszczał i Farhad zaczął w końcu się zastanawiać, czy kiedykolwiek się stąd wydostanie.

Przed niskimi drzwiami domów spały jeden obok drugiego zwinięte w kłębek psy, gdzieniegdzie zaś drzemała biała krowa, która w świetle gwiazd połyskiwała nierealnie jasno.

Cień przemknął nagle w jakąś wąską uliczkę, ale kiedy Farhad do niej dotarł, nikogo nie było już widać. Zatrzymał się, czekając, aż chłopiec znów się gdzieś wyłoni. Nie ukazał się jednak. Uliczka była pusta. Tylko długi rząd zamkniętych drzwi przypatrywał się Farhadowi milcząco, nieprzychylnie.

Czy chłopiec dał nura za jedno z tych drzwi? Ale za które? Nie mógł przecież wyrwać ze snu całej ulicy. Co robić? Usiąść

jak gdyby nigdy nic w pyle i cierpliwie czekać, aż chłopiec pojawi się wreszcie w któryś z tych przeklętych drzwi? A jeśli wymknął się tylnym wyjściem na drugą stronę, na inną uliczkę i pędził już dalej swoją drogą, nie posiadając się z radości, że zmylił pościg?

Serce Farhada biło szybko.

Na niebo widoczne ponad uliczką wpełzała z mrozem zora poranna. Wkrótce pierwsi pielgrzymi zaludnią brzozy Gangesu, by odmawiać poranne modlitwy.

Jest takie jedno miejsce – przemknęło nagle Farhadowi przez głowę – gdzie ten bezczelny chłopak prędzej czy później się pokaże: ghaty Hanumana, tam gdzie czekał Anglik. Słyszał przecież każde słowo listu, które krawiec przeczytał Farhadowi. A komu innemu miałyby sprzedać kamień, jeśli nie człowiekowi, który najwyraźniej dałby się za niego pokroić na kawałki.

Farhad zawrócił. Poczeka na małego obwiesia przy ghatach Hanumana.

Ale miasto nie pozwoliło mu odejść tak szybko. Przeczucie nie myliło Farhada, a jego troski i niepokoje okazały się w pełni uzasadnione. Labirynt starych domów i uliczek był jak ogromna pułapka na myszy. Kluczącemu w jego nieprzejrzyście gęszczu Farhadowi wydawało się, że powraca wciół w te same miejsca, gdy tymczasem dzień wspinał się z wolna na niebo, które z każdą chwilą coraz bardziej błękitniało. Czy to nie te same drzwi, które widział przed minutą? Czy to nie ten sam zaułek, do którego wcześniej zaglądał? A to wykrzywione drzewo wyrastające z muru? Farhad mógłby przysiąc, że już je mijał. A ten stary mężczyzna śpiący tam, po drugiej stronie?

Potrząsnął nim lekko. Stary uniósł powieki i patrzył przez niego jak przez szklaną taflę spojrzeniem ślepeca.

– Rzeka! – powiedział Farhad z naciskiem. – Jak dojdę do rzeki?

Wtedy starzec znów zamknął oczy.

– Ganges! – krzyknął chłopak głośniej. – Muszę jak najszybciej dostać się do Gangesu! Jak dotrę do Matki Gangi? Która uliczka mnie tam poprowadzi?

Stary wyciągnął przed siebie chude ręce, odpychając natręta, prosząc tym niemym gestem, żeby dał mu spokój. Potem wpadł w dziwny trans, zaczął zawodzić monotonna jakąś bezładną pieśń, kołysząc się przy tym, i wydawało się, że zapomniał o całym świecie. Farhad puścił go, zaciskając pięści z bezsilnej wściekłości.

Dlaczego nie ma tutaj nikogo, kogo mógłby zapytać?

Pospieszył dalej, biegał gorączkowo między odrapanymi murami jak ścigane zwierzę i zagłębiał się w coraz ciasniejsze uliczki, ślepe zaułki bez wyjścia, obskurne podwórka. Serce waliło mu jak młotem, czuł je nawet w skroniach. Spóźni się, spóźni jak nic! Przeczucie mówiło mu, że chłopiec już dawno jest nad rzeką. Być może właśnie w tej chwili rozmawia ze Stealem. Być może otrzymał już zapłatę za skradziony kamień. Być może Steala już nie będzie, kiedy on wreszcie tam dotrze: bezpowrotnie zgubiony, stracony, nawet Nitisha nie będzie mógł już odnaleźć. Rosła w nim panika, aż wypełniła go w końcu od stóp do głów. Zatrzymał się, żeby zaczerpnąć tchu i uspokoić tętent galopujących myśli, od których huczało mu w głowie.

Farhad czuł boleśnie, jak serce tłucze mu się o żebra, chociaż robił, co mógł, by oddychać wolniej. Patrzał w jakąś uliczkę, którąś z nieskończenie wielu uliczek starego miasta. Po jednej stronie ograniczał ją niewysoki mur, na którym ułożone w równiutkich rzędach suszyły się krowie placki uformowane w zgrabne cegiełki: pokarm dla wiecznie nienasyconego

ognia. W odległości zaledwie kilku metrów Farhad wypatrzył jednak w murze sięgającą do kolan kratę. Przez chwilę przyglądał się jej z wahaniem, po czym przeszedł na drugą stronę uliczki. Za kratą w zwieńczonej łukiem niszy stały dwie małe figurki. Ziemia u ich stóp była usłana ziarenkami ryżu, świeżymi płatkami kwiatów i mnóstwem knotów maleńkich lampek ofiarnych. Z okopconej kraty zwisała girlanda wyschniętych nagietków.

Znalazł jedną z maleńkich świątyń, które można spotkać w każdym hinduskim mieście w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, i nie potrzebował nawet sekundy, żeby wiedzieć, czyje to postaci ma przed sobą – bóg z fletem pasterskim i piękna kobieta u jego boku nie mogli być nikim innym, jak tylko Kryszną i jego małżonką Radhą. Kryszna, zatopiony w grze na flecie, miał zamknięte oczy. Również Radha, uosobienie kochającej i czułej małżonki, stała obok niego nabożnie skupiona, spuszczać skromnie powieki.

· Wtedy Farhad zrobił coś, czego nie robił nigdy dotąd: przykląkł i zaczął się modlić.

– Niczego nie mogę wam ofiarować – szepnął przez kratę.
– Niczego, po prostu niczego. Ani kwiatów, ani ryżu, ani lampki ghee, nie mam nawet jednej dobrej myśli. Ale potrzebuję waszej pomocy. Czy nie moglibyście wyprowadzić mnie jakoś z tych przeklętych uliczek? Zaklinam was na wszystko, pomóżcie mi. Błagam! Jak mam uwolnić waszą córkę, kiedy utknąłem na wieki w tym koszmarnym labiryncie? Jak mam dotrzeć na czas do miasta w samym sercu pustyni, kiedy nie mogę nawet odnaleźć białego tygrysa? Wiem, że żądacie, żebym wszystko zrobił sam, bez niczyjej pomocy. Ale ja naprawdę nie jestem bohaterem.

Farhad nie oczekiwał, że coś się wydarzy. Modlił się jednak przede wszystkim po to, by uspokoiło się wreszcie jego szła-

lejące serce. Lecz nagle gliniany bóg otworzył oczy. Wyjął z ust flet, a jego błękitne usta w białej twarzy rozchyliły się.

– Farhadzie Kamalu – powiedział tym samym łagodnym głosem, którym przemawiał już kiedyś do niego w świętym gaju.

Zbłąkany w mieście Sziwy wędrowiec usłyszał w nim szept wiatru w koronach drzew Maduraju i senne szemranie wody w sadzawce, w której odkrył srebrne lśnienie w jednym z kwiatów lotosu.

– Farhadzie Kamalu – powtórzył Krysna – ty jesteś bohaterem.

Wszystko w chłopaku chciało uciec od tej małej świątyni, zmusił się jednak, żeby pozostać na miejscu.

– Widzisz – mówił dalej Krysna, a na jego ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu – ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, chciałeś mi umknąć. Jęczałeś i żaliłeś się jak małe dziecko, wymachując rękami. Teraz wytrzymujesz moje spojrzenie. Szedłeś przez wiatr i przez wodę. I teraz też znajdziesz drogę. Nie martw się.

– Ale co mam zrobić? – wykrzyknął Farhad w rozpaczy. – Co zrobić, żeby wreszcie odnaleźć drogę?

– Wstąp w górę, do nieba, bohaterze – szepnęła Radha. – Tam zobaczysz to, co chcesz widzieć.

– Co takiego? – jęknął Farhad zmieszany. – Co?

Lecz oba posążki stały znów nieruchomo w swojej małej świątyni, z zamkniętymi oczami, zatopione w niemej modlitwie. Czy w ogóle się poruszyły?

Farhad spostrzegł, że z całych sił ściska obiema rękami okopconą kratę, teraz puścił ją i podniósł się z ziemi.

„Wstąp w górę, do nieba... bohaterze...”.

Spojrzał w górę, tam gdzie zorza poranna malowała świetlistą purpurą niebo aż po horyzont, wykańczając brzeżki złotą

farbką. I sekundę później zrozumiał. Pobiegł uliczką do końca muru, gdzie bez większego trudu znalazł odpowiednie miejsce, i zwinnie jak kot wdrapał się na górę. Stamtąd wspiał się dalej na sąsiedni dom i biegł po płaskim dachu, aż dotarł do jeszcze wyższego domu... i wtedy zobaczył wreszcie to, co chciał zobaczyć: Kryszna i jego piękna małżonka mieli rację.

Rzeka płynęła w dole wielka i błyszcząca, okolona lasem domów, a modlący się pielgrzymi zdobili jej brzegi niczym nagietki w girlandach rzucanych na wodę ku czci bogini Gangi. Serce Farhada zatrzepotało radośnie, śpiewając jak ptaszek w jego piersi. Nie zszedł jednak na dół. Biegł pochylony po dachach, przeskakiwał z jednego na drugi, balansował na kruchych murach, kiedy w pewnej chwili spojrzał w dół, stwierdził, że mija dziedziniec jakiejś małej świątyni, i w końcu dotarł do szerokiej promenady biegnącej wzdłuż Gangesu.

Tam zeskoczył na ziemię i był przy ghatach Hanumana, zanim pielgrzymi zdążyli odmówić swoją pierwszą modlitwę przed obliczem wznoszącego się ponad horyzontem młodego słońca. W dole nie dojrzał jednak nikogo, kto byłby podobny do Anglika, ale to jeszcze nic nie znaczyło.

Czyżby się spóźnił?

Z lewej strony długich kamiennych schodów, które wspięły się stromo pod górę, przycupnęły zbite w gromadkę, wczepione jedno w drugie, obrzucone gliną szarobure domki. Gdzieś tam Subclavian Steal musiał mieć kwatere. Farhad czuł, jak kiełkuje w nim zwątpienie i rozpacz niczym trująca roślina. Jakim cudem miał odnaleźć Steala w tym nieprzeniknionym urbanistycznym gąszczu?

Schował się za występem muru pod bujnymi pnączami bungenwilli, która dawno temu wyrosła pomiędzy kamieniami schodów i zdobywała rok po roku jeden mur za drugim, ukrywając ich szarość i szpetotę. Przez jaskrawy róż kwiatów ob-

serwował bacznie schody. Gdyby Anglik w dalszym ciągu był Anglikiem, byłby to dla niego wczesny poranek i przypuszczalnie jeszcze by spał. Któż jednak mógł wiedzieć, co zamyśla ten łotr i jaką przywdział teraz maskę? Ale było pewne, że wcześniej czy później się pokaże.

Farhad czekał ukryty w bugenwilli. Nie czekał na próżno. Wkrótce na schodach pojawił się mały cień... lecz nie, teraz, w świetle poranka, nie był to już cień. Farhad wyraźnie rozpoznał chłopca, z którym jeszcze wczorajszego wieczoru dzielił kolację i któremu opowiadał bajkę. Teraz mały złodziej-szek nadchodził, żeby odebrać zapłatę za klejnot bohatera bajki.

Farhad zacisnął pięści ukryte za plecami. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie opuścić swojego posterunku w różowej gęstwinie pnączy i nie odebrać chłopcu kamienia. Oparł się jednak pokusie. Nie, jednak nie. Pomysł był zbyt ryzykowny. Chłopiec ulotniłby się w okamgnieniu, a potem spotkał się z Anglikiem w zupełnie innym miejscu, co jeszcze bardziej utrudniłoby Farhadowi całą sprawę.

Pozostał zatem w cieniu, jak przyczajony wąż. Sposobność jeszcze się nadarzy.

Szczekanie wałęsającego się psa i śpiew czarnopiórej, żółtookiej majny. Tak napisał Anglik w swoim liściku i właśnie to rozbrzmiało tego poranka na schodach przy ghatach Hanumana, bowiem posłuszny sługa mamony właśnie tu przybył. Kilka metrów nad Farhadem otworzyło się w murze małe okienko i w tej samej chwili wzbiły się w powietrze dwa przestraszone gołębie, które drzemały dotąd na wąskim parapecie. Chłopiec zadartł głowę, mrużąc oczy, które razitło jaśniejące z każdą upływającą sekundą światło dnia.

– Gdzie jesteś? – usłyszał Farhad głos Anglika.

Wypatrywał jego, swojego sąsiada z celi, mnicha jałmużnika, jeźdźca na koniu zabitego Brytyjczyka, skazańca oswobodzonego niemal w ostatnim momencie, przyjaciela białego tygrysa. Ale jego czujne oczy znalazły na schodach tylko małego chłopca, dziewięcio-, a może dziesięcioletniego.

– Jestem tutaj – powiedział chłopiec.

Farhad wyobraził sobie w tej samej chwili zdumienie Anglika. „Ciekawe, czy ten łajdak naprawdę myśli, że udało mi się przeobrazić w małego chłopca? To by dopiero była mistrzowska sztuczka!”.

– Ty? – spytał Steal i uchylił jeszcze trochę skrzypiące okiennice. – Czego chcesz?

– Zejdźcie na dół, panie! – powiedział chłopiec. – A sami zobaczycie. Pies zaszczeakał, majna zawołała, zgodnie z waszym życzeniem. Czyżbyście tego nie słyszeli?

– Tak, tak, słyszałem... – mruknął Anglik. Przez chwilę za okiennicami panowała cisza. – Zejdę. Ale jeśli obudziłeś mnie tylko dlatego, że bym sobie posłuchał krzyku majny i z żadnego innego powodu, to niech wszyscy twoi bogowie mają cię w swojej opiece.

Farhad nie spuszczał oczu z chłopca, który dreptał niespokojnie w miejscu jak świątynny słoń przykuty łańcuchem. Nadal nie wiedział, co powinien zrobić. Anglikowi najwyraźniej się nie spieszyło – być może wietrzył jakiś podstęp, a Farhada świerbiły palce. Co robić?! Czy ma już teraz... czy raczej nie... ale jeśli nie teraz, to kiedy?!

Dobrze! Zrobi to teraz, już, zanim Steal zdąży zejść na dół. Napiął wszystkie mięśnie, tak samo jak uczyniłby to Nitish pod śnieżnobiałym futrem, i gotował się do skoku. Wtedy usłyszał przeciągłe skrzypienie i już wiedział, że się spóźnił. Przeklął swoje ociąganie i znów wtopił się w cyklamenowy gąszcz, czekając z napięciem na to, co teraz nastąpi.

– Przynoszę wam coś niezwykłego, panie – powiedział chłopiec. – Coś, co jest czerwone jak krew i błyszczący jaśniej niż słońce. Czy możecie zgadnąć, co to takiego?

– Głupie pytanie. Pewnie, że mogę – burknął Steal. – Ciekawe, skąd to masz?

– Od takiego jednego, który nie dość dobrze pilnował swojej własności! – odpowiedział rezolutnie chłopiec. – Jeśli chcecie mieć to, co wam przynoszę, musicie mi dobrze zapłacić. Na brzegu rzeki roi się od pielgrzymów. Proszę tylko spojrzeć. Niektórzy z nich nas obserwują. Byłoby źle, bardzo źle, gdybyście próbowali odebrać mi siłą to, co chcę wam dać z własnej woli.

– Nie zamierzam tego robić – odparł Steal z błyskiem w oku. – Pieniądze nie są dla mnie ważne.

– A dla mnie tak – powiedział chłopiec i wyszczerzył zęby.

– Dostaniesz je – powiedział Anglik. – Dla mnie liczy się tylko jedno – zniżył głos do szeptu, chociaż pielgrzymi byli zbyt daleko, żeby słyszeć jego słowa – tylko jedno: kamień. A ty go masz, prawda? Masz go czy nie?

Chłopiec przytaknął pospiesznie.

A Farhad wstrzymujący oddech w swojej kryjówce po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dlaczego ów mężczyzna o wielu twarzach i cudzoziemskich jasnych oczach tropi ten kamień z taką niepojętą pasją? Jeśli pieniądze były istotnie dla niego nieważne, nie miał najmniejszego zamiaru go sprzedać. Więc dlaczego? Było niemal tak, jak gdyby Krwawy Kamień emanował tajemną siłą przyciągania, która dopadła Anglika. Zły czar, jaki klejnot od chwili swojego powstania rzucał na tych wszystkich, których serca stanowiły pożywkę dla jego groźnego purpurowego lśnienia. Farhad przypomniał sobie nagle słowa świętego męża na górze. Ku swemu wielkiemu zdumieniu on sam nie czuł nic a nic z tej magii. Chciał tylko

donieść kamień do celu, do sługi Rawany, a potem jak najszybciej o nim zapomnieć.

– Gdzie on jest? – spytał Anglik i zbliżył się do chłopca, który natychmiast cofnął się na schody.

– Nie mogę go wam pokazać, panie – odparł chłopiec. – Nie teraz. Nie tutaj.

Steal zaśmiał się.

– Aaa... rozumiem. Nie możesz mi go pokazać, ale ja mam ci uwierzyć, że naprawdę go masz, tak?

– Właśnie tak. Nawet jeśli się to wam nie podoba. Ale w tej chwili nie może być inaczej! – powiedział hardo chłopiec. – Musiałem jak najlepiej ukryć kamień i zrobiłem to. Gdyby dopadł mnie ten, do którego przedtem należał, zaraz chciałby mi go zabrać.

Chłopiec zrobił tajemniczą minę.

– Ale by go przy mnie nie znalazł. Kamień jest w absolutnie pewnym miejscu. Zagwarantujcie mi na jeden lub dwa dni waszą ochronę, żeby wasz przyjaciel nie dostał mnie w swoje ręce. A wtedy na pewno otrzymacie to, na czym tak bardzo wam zależy, panie.

Farhad widział, jak podejrzliwość wyostrzyła rysy twarzy Anglika. Stwardniały nagle w bardzo nieprzyjemny sposób.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał z wściekłością. – Za jeden lub dwa dni? Kiedy dokładnie?!

– Trudno powiedzieć... – wyjaśnił chłopiec, macając grunt pod bosymi stopami, i na wszelki wypadek cofnął się jeszcze o jeden stopień.

Stare kamienne stopnie były tutaj bardzo śliskie. Pokrywała je gruba warstwa błota, mchu i szlamu pozostawionego przez ostatni monsun.

– Nie możesz tego powiedzieć? – głos Steala przerodził się we wściekłe warczenie. – Gdzie jest kamień? – zasyczał.

– Tego również nie mogę wam powiedzieć – odparł chłopiec, szczerząc zęby. – Ale zapewniam was, że jest dobrze zabezpieczony. Lepszej kryjówki nikt by chyba nie wymyślił.

I wyszczerzył zęby jeszcze bardziej, dumny i pewny zwycięstwa.

Być może to właśnie ostatecznie rozwścieczyło Anglika. Być może była to zawiedziona nadzieja, że już w następnym momencie ziści się jego najgorętsze pragnienie i wreszcie poczuje w dłoni przedmiot swego pożądania. Być może było to męczące napięcie dni, w których zgubił Farhada i trop Krwawego Kamienia, zanim obaj przybyli do Waranasi. Być może wszystko to razem.

Tak czy inaczej Steal stracił ostatecznie panowanie nad sobą. Doskoczył z impetem do chłopca, z rękami wyciągniętymi przed siebie, z przekleństwem na ustach i Farhad ujrzał, jak z twarzy małego złodziejaszka znika w ułamku sekundy zarozumiały uśmiešek, a jego przerażone oczy rozszerzają się jak oczy królika na widok kobry. Uskoczył w tył i Anglik chwycił powietrze.

Chłopiec zapomniał jednak, iż w dalszym ciągu znajduje się na schodach. Jego bose stopy zsunęły się z pierwszego stopnia, potem z drugiego, z trzeciego. Chłopiec potykał się przez chwilę, wymachując rozpaczliwie rękami w powietrzu niczym w dziwnym, ekstatycznym tańcu, ale sunął niepowstrzymanie w dół po śliskich stopniach, próbując za wszelką cenę się zatrzymać, znaleźć jakiś punkt zaczepienia, aż wreszcie z rozdzierającym krzykiem stracił ostatecznie równowagę. Turlał się, koziółkował, spadając na łeb na szyję z przerażającą szybkością.

Farhad oniemiał na ten widok. Nigdy, przenigdy nie przypuszczałby, że te stare kamienne stopnie są tak śliskie i strome, właśnie tutaj, przy ghatach Hanumana. Dopiero na

samym dole, tuż przy brzegu, schody stawały się szerszo i prowadziły wygodnie do płytkiej wody. Aż do tego miejsca turlał się chłopiec. Jego rozpaczliwy krzyk dotarł do uszu ludzi na brzegu rzeki i wszyscy jak na komendę zwrócili ku niemu oczy. Jego lot zakończył się dokładnie u stóp pielgrzyma w pomarańczowej chuście na biodrach. Pielgrzym wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczami. Farhad widział nawet z góry zdumienie malujące się w jego spojrzeniu. Zdumienie, które odbijało się na twarzach innych ludzi na brzegu rzeki.

Mężczyzna pochylił się nad chłopcem, usiłując postawić go na nogi. Po kilku bezowocnych próbach zrezygnował jednak z tego zamiaru. Farhad obserwował, jak przysuwa dłoń do jego ust i nosa, badając, czy w chłopcu tli się jeszcze choć iskierka życia. W końcu zrobił przeczący ruch głową. Nie było już żadnego, nawet najłżejszego oddechu w chudym ciele. Twarde stopnie ghat Hanumana zakończyły jego nędzny żywot i powiodły go do nowego.

„Jeśli jest na tym świecie coś nieprawdopodobnego – pomyślał z bijącym sercem Farhad – to chyba jedynie to, że ktoś nagle skręca sobie kark na ghatach Hanumana!”.

A jeśli już ktoś skręca sobie kark na ghatach Hanumana, to z pewnością najbardziej nieprawdopodobne w tym wszystkim jest to, że właśnie ten ktoś jest jedynym człowiekiem w całym mieście, który wie, gdzie znajduje się pewien drogi kamień.

Gdyby chłopiec potoczył się tylko pół metra dalej, wpadłby do Gangesu. Mówiono, iż ten, kto umrze w wodach Gangesu, od razu osiąga nirwanę – wyzwolenie i wieczną szczęśliwość. Ten, kogo przyjął do siebie Ganges, uwalniał się z kołowrotu życia, śmierci i ponownych narodzin. I już nigdy się nie odrdział. Każdy, kto czuł, że zbliża się kres jego życia, pielgrzymo

mował więc nad Ganges w nadziei, że umrze w jego świętych wodach. Małemu żebrakowi tam na dole prawie się to udało.

Farhad w dalszym ciągu stał nieporuszony, nie mogąc oprzytomnieć po tym, co zobaczył. Zakręciło mu się w głowie. Tak oto stracił właśnie ostatnią nić łączącą go z Krwawym Kamieniem i widział, jak umiera jego młodsze lustrzane odbicie. Za dużo tego było, stanowczo za dużo, nawet dla takiego jak on zwykłego złodzieja i oszusta.

I wtedy Farhad zadał sobie pytanie, co to wszystko może oznaczać.

Blask jasny jak słońce

Życie samo w sobie nie jest w Indiach zbyt wysoko cenione, lecz nawet ono ma swoją wartość. Subclavian Steal wdział oczy ludzi nad rzeką i z bolesną jasnością uświadomił sobie nagle, że jest Anglikiem. A zaraz potem z jeszcze bardziej bolesną jasnością dotarło do niego, że dwóch z jego ziomeków przed paroma zaledwie dniami poniosło śmierć z rąk tłumu. Zszedł powoli i spokojnie w dół po kamiennych ghatach Hanumana.

Martwe ciało chłopca leżało na ziemi dziwnie wygięte. Steal przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym ukląkł. Tłum pielgrzymów przez cały czas nie spuszczał z niego oczu. On tymczasem, choć dobrze wiedział, iż jest to bezsensowne przedsięwzięcie, zbadał jeszcze raz, czy w chłopcu kołatce się życie. Oczy pielgrzymów śledziły każdy jego ruch. Steal podniósł powoli wzrok, a na jego twarzy odmalował się nieskończony ból i głęboki smutek. Jego twarz od dawna przywykła do tego rodzaju demonstracji. Z zadziwiającej sprawnością wyrażała najrozmaitsze uczucia, które nie pochodzą z jego wnętrza.

– Był moim sługą – powiedział Subclavian Steal zdławionym głosem.

Nagle przyszło mu do głowy, że niektórzy z obecnych tu ludzi mogą być mieszkańcami Waranasi. Że mogli znać małego żebraka będącego nieodłącznym elementem ulic świętego miasta. A ponieważ ludzie ci równie dobrze wiedzieli, iż ten wysoki cudzoziemiec o jasnej skórze dziwnie się kłócił z tym obrazem, dodał szybko:

– Za każdym razem, kiedy w minionych latach odwiedzałem miasto światła, służył mi wiernie i bardzo go lubiłem. Los chciał, że był złodziejem i żebrakiem, ale miał dobre serce.

W tłumie rozległ się pomruk podobny do brzęczenia pszczoł. Pszczoły mogły jeszcze użądlić, ale chyba były już gotowe uwierzyć jego słowom i tylko brzęczeć. Dobrze.

– Trzeba spalić jego ciało, jak nakazuje zwyczaj – powiedział pielgrzym, pod którego stopy potoczył się chłopiec. – A do tego potrzebne jest drewno.

– Chłopiec nie miał rodziny – powiedział inny mężczyzna. – Znam go. Trzeba znaleźć kogoś, kto zapłaci za drewno na stos. Nawet najtańsze drewno nie jest za darmo.

– Trzeba też będzie znaleźć kapłana, który odmówi za niego modlitwy – dodał trzeci.

Subclavian Steal zrozumiał i podniósł się szybko z ziemi. Złożył ręce, skłonił się lekko i powiedział:

– Nie jestem waszej wiary, mądrzy i szlachetni mężowie. Ale szanuję wasze obyczaje. Załatwię wszystko, co potrzeba, i oczywiście kupię drewno. Opłacę też kapłana, by odprawił modły nad ciałem tego nieszczęsnego chłopca. Nie martwcie się o jego duszę.

Wokół znów dały się słyszeć pomruki, tym razem jednak były to pomruki aprobaty i Steal odetchnął z ulgą.

Teraz pozostawało jeszcze tylko wyjaśnić jedną kwestię – kłamliwą. Czy chłopiec miał przy sobie Krwawy Kamień? A może sobie tylko wiadomym sposobem dowiedział się

o jego liście i uciekając się do podłego szantażu, próbował wyłudzić od niego pieniądze, podczas gdy klejnot w dalszym ciągu znajdował się w rękach tego młodego indyjskiego oszusta, który szukał białego tygrysa?

Farhad widział z góry, jak Anglik przykucnął obok nieruchomego ciała chłopca i rozmawiał z ludźmi, którzy otoczyli go ciasnym pierścieniem. Oderwał się bezszelestnie od pnączy bugenwilli i niedługo później wmieszał w tłum kłębiący się nad rzeką. Trzymał się trochę na uboczu, bo choć miał obecnie europejski wygląd, mogło przecież zdarzyć się i tak, że Steal go rozpozna, jeśli będzie pchał się za bardzo do przodu.

Anglik wziął chłopca na ręce niczym zmarłego syna i króczył z nim uroczyście, z twarzą naznaczoną bólem i rezygnacją w kierunku ghat Manikarnika. Część Hindusów ruszyła za nim, powodowana zapewne ciekawością, czy jasnooki cudzoziemiec nie rzuca słów na wiatr. Farhad też im towarzyszył. Niektórzy wydawali się dziwić, dlaczego ten młody Brytyjczyk się tym interesuje, ale Farhad kiwał tylko głową i uśmiechał się nieśmiało.

Bramini przy ghatach Manikarnika byli zajęci przygotowaniami do ceremonii pogrzebowej innego ciała zmarłego, które przybyło do świętego miasta w asyście niezliczonych członków jego rodziny.

„To na pewno jeden z tych – przemknęło Farhadowi przez głowę – którzy wędrują do Waranasi na marach przez pół Indii, aby na zawsze połączyć swoje prochy z wodami świętej rzeki”.

Drewno, na które mógł sobie pozwolić ten nieboszczyk, pachniało perfumami i kosztownymi olejkami. Rodzaje drewna były tak samo różnorodne jak te na skrzynie i komody. Każdy zmarły był palony na stosie z drewna, jakie przysługiwało mu z racji urodzenia i na jakie było go stać. Drewno dla

ludzi ubogich było jasne, włókniste i suche jak słoma. Pachniało tylko popiołem.

Kiedy kapłani mieli wreszcie czas, by poświęcić uwagę następnemu martwemu ciału, Anglik pod badawczym spojrzeniem pielgrzymów wybrał odpowiednie drewno i rozmawiał cicho z braminem. Podczas gdy wznoszono pospiesznie stos, na którym miał spocząć chłopiec, Steal rozglądał się czujnie na wszystkie strony i wreszcie uznał, że nikt go nie obserwuje. Ludzie towarzyszący mu do miejsca całopalenia przyglądali się teraz uważnie innej ceremonii, kosztownym, wykwintnym szatom krewnych zmarłego, którzy stali wokół ognia i w milczeniu śledzili płomienie, bogato zdobionym marom, które teraz lizały złociste języki ognia, girlandom kwiatów na szyi zmarłego. Cały ten przepych oslepił oczy wszystkich tak bardzo, iż zapomnieli o ciele małego żebraka. Tylko jeden człowiek o nim nie zapomniał: Anglik.

Farhad przykucnął w cieniu wielkiej sterty drewna i obserwował go z ukrycia jak kot: Steal ukląkł znów obok chłopca i przeszukiwał pospiesznie jego nędzny przyodziewek. Wciąż się nie poddawał, wciąż miał nadzieję, że znajdzie wreszcie Krwawy Kamień. Farhad patrzył z napięciem, jak Anglik coraz bardziej niespokojnie grzebie palcami w kieszeniach podartej koszuli. Wreszcie odwiązał chustę, którą chłopiec miał opasaną wokół bioder, badał każdy centymetr jego kościstego ciała... nic.

Do uszu Farhada dotarło ciche przekleństwo. Niemal w tej samej chwili usłyszał samego siebie, klął nie gorzej od Anglika - ale znacznie ciszej, prawie niedosłyszalnie.

Gdzie ten mały spryciarz ukrył cztery kawałki Krwawego Kamienia? Czy spoczywały w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzieś w labiryncie starego miasta, i już nigdy nikt ich nie odnajdzie? Co miał na myśli, twierdząc, iż nie może dokładnie

powiedzieć, jak długo Steal musi czekać na kamień? Czyżby zastawił klejnot w jakimś podejrzanym lombardzie? Żaden złodziej przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby tego. A ten mały wyglądał na niezwykle rozgarniętego. Nie, to nie miało sensu.

W końcu jeden z braminów skinął na Anglika, który natychmiast podniósł z ziemi ciało małego żebraka, by złożyć je na świeżo przygotowanym stosie. Chłopiec wydawał się lekki niczym piórko. Farhad zobaczył teraz dwóch innych chudych i umorusanych chłopców, którzy przykucnęli w jakimś kącie i wielkimi oczami przyglądali się, jak bramin roznieca ogień. Obaj malcy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w płomień, które wznosiły się ku górze niczym szkarłatne ruchliwe języki, liżąc martwe ciało. Farhad zadał sobie w duchu pytanie, czy byli to przyjaciele zmarłego.

Płomień wystrzelił krótko w górę, by już po sekundzie zacząć pożerać z łapczywym trzaskaniem suche drewno. Nie upłynął nawet kwadrans, kiedy osmałiły skórę i zaplątały się we włosy chłopca, i niewiele później słodkawy odór palącego się ciała spowił cały plac. Przez chwilę był tak intensywny, że Farhad walczył ze swoim żołądkiem, czując, że zbiera mu się na wymioty.

Steal postać jeszcze przez chwilę przed płonącym stosem, przypatrując się w milczeniu, jak ogień zaczyna przeobrażać z wolna ciało chłopca w czarną, bezkształtną masę. Potem potrząsnął głową i zniknął w tłumie. Farhad pozostał na swoim miejscu.

„Kiedy dwoje ludzi się szuka – przemknęło mu w pewnej chwili przez głowę – na nic się nie zda, jeśli jeden i drugi będą z uporem zataczać wokół siebie kręgi. Bo wtedy taka zabawa może trwać w nieskończoność. Jeden z nich musi w końcu zatrzymać i zaczekać cierpliwie na drugiego”.

Krwawy Kamień i on zgubili się w gąszczu świętego miasta i nic to nie pomogło, że gonił za nim jak szalony. Będzie więc czekał. Szkopuł w tym, iż nie mógł tego zrobić w nieskończoność. Miał czas do zachodu słońca... potem Nitish będzie zgubiony. A wraz z nim wszelka nadzieja na dotarcie przed następną pełnią księżyca na pustynię, do pałacu Rawany, króla demonów. Gdzie jest tygrys? Gdzie jest kamień? Gdzie jest Kryszna, który mógłby mu pomóc?!

Głowa zaczęła mu ciążyć. Ta noc była zbyt krótka, zbyt pełna wrażeń. Zmęczenie wzięło wreszcie górę i znużone powieki Farhada opadły. Słońce wdrapywało się powoli nad rzekę, coraz wyżej i wyżej, a jego żar połączył się z żarem ognia i teraz ta wielka rozżarzona kula toczyła się z nieznośną ociężałością przez majaki jego półsnu. Kiedy znów otworzył oczy, niebo zaciągnęło się chmurami. Monsun jeszcze nie minął. Deszczowe chmury przyniosły ze sobą stado ptaków. Wielkie, ciemne ptaki odznaczające się powolnymi, pełnymi godności ruchami: sępy.

Zebrały się nad oboma płonącymi stosami i czekały na deszcz. Chytre bestie. Wiedziały, że deszcz ugasi ogień przed czasem. Wszystko, co nie do końca spłonęło, zostanie wraz z popiołami wrzucone do Gangesu. Sępy spodziewały się unzcznąć coś dla siebie. Farhad wzdrygnął się mimowolnie, wyobrażając sobie, jak unoszą w dziobach krwawy ochłap wyznarpięty z na wpół zwęglonego ciała, triumfując nad życiem.

Nagle spostrzegł, że sępy nie czatują jednak na ludzką padlinę. Polowały na coś. Na coś małego, niepokąźnego. Farhad zamarł w bezruchu, obserwując ze zdumieniem lot przerażonego ptaka, którego sępy gnały przed sobą. Był to gołąb, piękny srebrnoszary gołąb grzywacz z błyszczącymi czarnymi oczami.

Farhad jeszcze nigdy w życiu nie widział, jak sępy polują na innego ptaka. Były z natury ptakami bardzo cierpliwymi,

wytrwałe i nieustępliwe stworzenia z mnóstwem wolnego czasu. „Ale te tutaj – pomyślał Farhad, zadzierając głowę – najwyraźniej upatrzyły sobie tego biednego gołębia”. Teraz zobaczył, że gołąb miał przywiązaną do nóżki czerwoną wstążkę: znak rozpoznawczy hodowcy.

Przystłonił dłonią oczy i przyglądał się, jak ogarnięty paniką gołąb próbuje zwiększyć prędkość, coraz szybciej machając szarymi skrzydłami. Leciał wprost na niego – na niego i na ogień. I miał nie tylko czerwoną wstążeczkę na nóżce. Niósł w niej mały papierowy rulonik. Gołąb pocztowy. Farhad słyszał, że gołębie pocztowe są niezrównanymi posłańcami, znają dokładnie swój cel i kiedy już raz go znajdą, za nic w świecie nie dadzą się od niego odwieść. Lecą lotem straceńców aż do wycieńczenia i żaden ocean, żadna pustynia, żadna nieprzyjacielska linia frontu nie jest dla nich zbyt niebezpieczna. W trakcie hodowli wpajano im, że muszą wypełnić do samego końca swoją misję posłańca. A jakiś czas temu po całym kraju krążyła plotka o wielu hodowcach, że rzucają czar na swoje ptaki, zamiast po prostu je tresować.

Ale ten gołąb musiał zgubić swój cel. Farhad schylił się, podniósł z ziemi kamień – i rzucił nim w nadlatującego ptaka.

– Uciekaj stąd! Szybko! – krzyknął. – No już, zawracaj, zawracaj!

Ale gołąb nie dał się przepędzić. Leciał dalej wprost na niego, ciągnąc za sobą sępy – żywy, zabójczo niebezpieczny trop. Farhad zobaczył, jak błyszczą ich oczy, zadrżał i cofnął się odruchowo w kierunku ognia. Czuł na plecach jego gryzący żal. I wtedy zrozumiał: gołąb w żadnym razie nie zgubił celu. To on był jego celem! Zobaczył, jak kołuje nad jego głową, dla strzegł pojedyncze białe i szare piórka – gołąb wciąż nie zwolnił lotu. Ostre dzioby sępów błyskały złowrogo nad Farhadem, coraz bliżej i bliżej. Wyciągnął ręce, żeby ukryć w nich

gołębia przed szponami jego czarnych prześladowców. Lecz choć pragnął z całego serca ocalić tego małego dzielnego posłańca, w ręce wpadł mu tylko zwitek papieru przywiązany do jego nóżki. Czerwona wstążeczka rozdarła się i gołąb bił dzioko, rozpaczliwie skrzydłami. Wyglądał tak, jakby w ostatnim momencie chciał wyhamować swój szaleńczy, samobójczy lot.

Było już jednak za późno i panika ptaka była zbyt wielka. Bez najmniejszego dźwięku runął w płomienie tuż obok Farhada. W tej samej chwili do jego uszu dotarł pożądliwy, zachłanny syk ognia, który pożerał gołębia. I usłyszał coś jeszcze – jego śmiertelny krzyk.

Do tej pory nie wiedział, że gołębie mogą tak strasznie, tak przerażająco krzyczeć, znał tylko ich łagodne i odrobinę senne popołudniowe gruchanie w cieniu ogrodów bogatych ludzi. Oszołomiony i przejęty grozą stał przed płonącym stosem, ścisnął w dłoni zwinięty papierek, i nic a nic nie pojmował.

Sępy wylądowały przed nim na osmalonej ziemi i otrząsnęły pióra. Największy z nich, którego skrzydła były tak portugane i dziurawe jak myśli Farhada, przekrzywił głowę i wpatrywał się w niego z dziwną, budzącą lęk natarczywością. Farhad widział żar w jego oczach, jakby płonął w nich ogień trawiący dwa stosy.

– A kysz! – krzyknął Farhad. – Wynoście się, wstrętne kuterwojady! Nic tu dla was nie ma!

W tej samej chwili ciche przeczucie szepnęło mu, że coś jednak jest. Ścisnął list tak mocno, że aż go rozboleły kostki palców. Ale czego mogły chcieć sępy od tego kawałka papieru? Czyżby całkiem postradał zmysły?

Otworzyły dzioby, z których wydobyło się zgłodniałe, niezadowolone krakanie, a Farhad miał wrażenie, że mówią do niego: „Jaki mały! Jesteś taki mały! Taki bezradny! W kraju śpiewa się o dzielnym i nieustraszonego bohaterze, przybyłyśmy

więc, żeby go zobaczyć. Lecz gdzie jest ten nasz wspaniały bohater? Czy to naprawdę ten brudny chudzielec, który powoli traci rozum?”.

Farhad słyszał to w wydrążonych, zapadłych kościach chłopca, słyszał, jak łamią się z trzaskiem jego cienkie żebra, a czaszka pęka od żaru ognia, i nagle poczuł, że wszystkie jego wnętrzności skurczyły się równocześnie, jakby to on płonął tam na stosie. Serce Farhada struchlało z lęku. Stał półprzytomny, nie wiedząc, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy może tylko mu się śni.

Zmierzwiiony sęp bił wielkimi, potarganymi skrzydłami, jakby mu przytakiwał. „Pewnego dnia i ty będziesz leżał na takim samym stosie, bez ruchu, bez życia, bez nadziei – czytał Farhad w podnoszeniu się i opadaniu wielkich czarnych skrzydeł. – Skończysz tak samo jak ten nieszczęśnik. Już wkrótce, mój bohaterze, już wkrótce!”.

Farhad zadrżał i oniemiały ze zgrozy opierał się z całej siły, by nie cofać się jeszcze bardziej. Tuż za nim płonął stos.

– Kim jesteście? – wykrztusił wreszcie. – Czego ode mnie chcecie?

I wtedy zrodziła się w jego głowie absurdalna myśl.

– Rawana – szepnął.

Wtedy największy z sępów wzleciał w powietrze, głośno łopocząc skrzydłami, i natarł nieoczekiwanie na Farhada, a potem wyciągnął szpony po zwitek papieru, który ten naciągł ściskał w dłoni. Chłopiec krzyknął głośno, broniąc się przed nagłym atakiem. Wymachiwał rękami, rzucał w zapomnianą głowę, widział eksplozję piór i błyszczących oczu i znowu było tak, jakby słyszał tajemne słowa, które szeptał mu ten wielki czarny ptak.

„Nędzny bohaterze, przeczuwam, że oszukasz tego, który wysłał cię w tę podróż. Przejrzałem twoje gierki, bezwstylny

łajdaku. Chcesz skrócić serce księżniczki. Ale drogo za to zapłacisz! Poczekaj tylko, aż i ciebie pożre ogień...”.

Wreszcie sęp zaniechał ataku na Farhada. Wzleciał w górę i zataczając coraz większe kręgi, poszybował w niebo, na którym spiętrzyły się ciężkie deszczowe chmury.

Farhad stał bez ruchu, spoglądając w osłupieniu za odlatującym sępem – przywódcą stada. Pozostałe sępy też wzbiły się w powietrze. Chłopak odetchnął z ulgą i dopiero wtedy rozwarł palce, które zaciskały się kurczowo na zwitku papieru, a wtedy list wysliznął mu się z ręki i poszybował w płomienie. Farhad odwrócił się błyskawicznie, zobaczył, jak ogień zaczyna lizać papier, i przez chwilę był święcie przekonany, że stracił go bezpowrotnie. Niczym wielki płonący motyl list kołysał się bezradnie w powietrzu. Farhad wyciągnął błyskawicznie rękę, chwycił papier i w tym samym momencie krzyknął wniebogłosy, gdyż ogień osmalił mu palce. Upuścił list na ziemię i zapominając o poparzonych palcach, deptał po nim zawzięcie. Potem usiadł na ziemi, położył na kolanach nadwęglony, pomięty papier i wygładzał go pieczętowniczo.

Wyrazy, które napisała na nim jakaś ręka, wydawały się jeszcze nie do końca stracone. Szkopuł w tym, że Farhad nie umiał czytać.

Rozejrzał się wokół siebie. Obaj mali chłopcy, których wypatrzył wcześniej, nadal siedzieli w kucki pod jakimś odrapanym, poczerniałym od sadzy murem. Reszta gapiów zniknęła z pola widzenia, tylko jakaś młoda kobieta, której przedtem nie zauważył, przysiadła na kamieniu i łatała stare dhoti. Od czasu do czasu spoglądała na niebo z takim niepokojem i tak niecierpliwą troską, jakby to było w jej osobistym interesie, żeby oba stopy wypaliły się do samego końca.

Nikt z tej trójki nie patrzył na Farhada. Miał wrażenie, że ktoś uwadze uszedł pościg sępów za gołębiem, a potem jego

straszna śmierć w płomieniach. Wszystko wskazywało też na to, że nie widzieli, jak skoczył po płonący list niczym wielki kot po owada. Czyżby wszystko to tylko sobie uroił w swoim wypalonym przez słońce mózgu? Lecz nie – przecież trzymał w ręku list. List, który ten gołąb pocztowy przypłacił życiem.

Farhad wstał z ziemi i podszedł z wahaniem do młodej kobiety. Próbował odgadnąć, do jakiej należy kasty. Wyglądała porządnie – czysto i schludnie. Ale była to schludność właściwa ubóstwu. Farhad popatrzył na nią jeszcze chwilę i zdecydował: będzie zwracał się do niej na ty.

– Przepraszam – powiedział. – Mam list...

Kobieta oderwała wzrok od swojej roboty i spojrzała w górę.

Sathia Ramia Prakash nie zawsze siedziała nad brzegiem Gangesu, łatając stare ubrania i przypatrując się płonącym stosom. Jako dziecko marzyła o dalekim nieznanym świecie, z nadzieją w sercu, że któregoś dnia go ujrzy. Świat daleko od zatęchłych uliczek i zaułków nad Gangesem.

W jej życiu był czas, kiedy w wielkim ogrodzie, ukrytu w cieniu krzewu mimozy, nauczyła się czytać i pisać. Lepszy czas, dawno, dawno temu. Jej matka pracowała wtedy jako pokojówka w domu bogatego człowieka i mała Sathia dzień w dzień siadywała w swojej kryjówce, przysłuchując się z szorstko rozwartymi oczami, jak prywatny nauczyciel dzieci bogatego człowieka uczy je wielu rzeczy.

Kiedy ten dziwny młody człowiek podsunął jej kawałek papieru, to wspomnienie nagle ożyło. Zobaczyła przed sobą kwiaty mimozy i usłyszała śmiech dzieci. Surowy głos nauczyciela. Swój kącik... I uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

– Mam list – powiedział speszony. – Ale nie umiem go przeczytać. Czy tutaj, na ghatach, jest ktoś, kto mógłby to dla mnie zrobić?

– Na przykład ja – odpowiedziała i dostrzegła w jego oczach zdumienie.

Wyjęła mu z dłoni lekko nadpalony papier i przebiegła po nim wzrokiem.

– „Mój drogi bohaterze” – przeczytała.

Farhad widział, jak młoda kobieta obrzuca go szybkim, zdziwionym spojrzeniem.

– „Mój drogi bohaterze – powtórzyła. – Domyślasz się zapewne, kto do ciebie pisze”.

„Nie – pomyślał Farhad. – Bynajmniej!”.

– „Być może dziwisz się, że tak późno daję znak”...

– Co takiego? – zdumiał się Farhad.

– „Ale dopiero teraz znalazłam kogoś, kto zatroszczy się o to, żeby moja wiadomość dotarła do ciebie. Bardzo liczę na mojego posłańca, podobno jest niezawodny. Tutaj, w cieniach ogrodów, jest mnóstwo potajemnych listów i liścików. Dopiero teraz jednak udało mi się poznać lepiej pana tajemnic”.

Tajemnice? Ogrody? Listy, liściki? Co to wszystko ma znaczyć? Być może ten list był adresowany do kogoś zupełnie innego, kogoś, kto przypadkowo też nazywa się Farhad Kamal. „Bzdura, po stokroć bzdura – pomyślał. – Gołąb...”.

– „Oczywiście to wszystko moja wina – czytała dalej kobieta. – Widzę, co się dzieje, i jeśli stanie ci się coś złego, nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale to nie ja mam cię ratować. To ty zostałeś naznaczony na mojego wybawcę, ty powinieneś mnie uratować. Każdego dnia myślę o tobie i czekam z wielką tęsknotą. Moja tęsknota jest ogromna jak pustynia i niezmierzona niczym niebo. Miłoś rację, pozostając. Krwawy kamień cię odnajdzie. Chyba że będzie padać. Pozostań nieśmieszny, wytrwały i mężny”... podpisu nie mogę przeczytać. Akurat w tym miejscu papier całkiem się spalił.

Farhad odebrał kobiecie list z jej spracowanych rąk i przez chwilę przypatrywał mu się w milczeniu.

Kim był ten, kto wszystko widział, co on tutaj robił? Gdzie znajdują się ogrody, w których mieszka pan tajemnic? Kto mógł wiedzieć, że Krwawy Kamień znów go odnajdzie... chyba że będzie padać?

Jeszcze nie padało. Ogień strawił już do połowy ciała chłopca. Gdzienigdzie widać było jego szerniałe kości wyłaniające się z płomieni, niczym okopcone belki płonącego domu.

– Widziałas sępy? – spytał nagle bez związku Farhad.

Młoda kobieta skinęła głową. Farhad zawahał się.

– I czy ty... też słyszałaś, jak do mnie mówią?

Potrząsnęła głową. I zaraz potem zaśmiała się cicho.

– W Waranasi jest takie jedno stare powiedzenie – wyjaśniła, kiedy pochwyciła zdziwione spojrzenie Farhada. – Kto ma ciemne sumienie, do tego mówią sępy.

Farhad nic na to nie odrzekł. Czuł wagę tych słów, którego jego nie do końca czyste sumienie posłyszało w biciu skrzydeł starego sępa, przewodnika stada. Czy naprawdę oszuku Kryszeń? Czy skończy tak samo jak mały żebrak, który chciał go okpić? I czy to on był winien jego śmierci?

Przyglądał się w zamyśleniu młodej kobiecie, która znów wzięła się do łatania. Nie była piękna. Miała trochę za długi i odrobinę krzywy nos, a jej lewe oko skręcało na prawo, jakby chciało koniecznie schować się w jakimś zakamarku oczodołu. Ale było w jej twarzy coś szczególnego, coś, co sprawiło, iż poczuł nagle wstyd, że przez cały czas myślał tylko o klejnocie. Coś otwartego, szczerego i przyjaznego.

Farhad Kamal aż do tej chwili nie wiedział, że potrafi się wstydzić.

– Znałaś go? – spytał wreszcie.

– Nie – powiedziała. – Nikt go tutaj nie znał. Lecz jeśli ktoś znał go choć trochę, to chyba właśnie ja.

– Kiedy byłem dzieckiem – powiedział Farhad – byłem taki jak on. Widziałem jego śmierć. Spadł ze schodów.

– Wiem – powiedziała kobieta łagodnym głosem.

Powiedziała to bez cienia goryczy, jakby tak właśnie musiało być. Jakby musiał spaść z tych przeklętych schodów. Miała rację. Było już za późno, żeby temu zapobiec.

– Czasami do nas zaglądał – mówiła dalej kobieta. – Kiedy w domu nie było mojego męża. Dawałam mu jeść.

– Jak to? – spytał Farhad, unosząc brwi.

Kobieta wzruszyła ramionami i skinęła na obu chłopców, którzy wyglądali na jeszcze mniejszych i jeszcze bardziej brudnych niż martwy żebrak.

– A tak, po prostu. Karmię ich wszystkich.

Znów wzięła do ręki swoje przybory do szycia i wkuła igłę w starą tkaninę, po czym z całym spokojem przeciągnęła bawełnianą nić na drugą stronę, jakby rozmowę z Farhadem prowadziła tylko mimochodem.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedział powoli Farhad. – Jeśli mam być szczerzy, nie wyglądasz tak, jakbyście ty i twój mąż mieli za dużo pieniędzy. Czemu więc karmisz dzieci ulicy?

– Pewnego razu ukradli całe nasze pranie – wyjaśniła ze spokojem kobieta. – Wisiało na dworze, przy schodach. Próbowali je później sprzedać na targu. Wszystko po kolei: sari, koszule...

Znów się uśmiechnęła.

– Chciałam kupić ryż. Zamiast tego odkupiłam nasze pranie. Od tego czasu ich karmię.

→ Nie rozumiem – powtórzył Farhad.

→ I nie musisz... – kobieta zaśmiała się cicho. – Niedawno mój mąż był u mnie. Strasznie się bał.

– Kogo? – spytał Farhad obłudnie.

– Nie wiem. Zapukał do naszych drzwi, a ja wpuściłam go do środka. Był zdyszany i przestraszony. Prosił, bym mu pomogła, bo ktoś go ściga.

– Ach tak? – powiedział Farhad i pochylił się do niej bliżej.
– Czy dał ci coś na przechowanie? Coś, co koniecznie trzeba ukryć?

Spojrzała na niego zdziwiona, potem potrząsnęła powoli głową.

– Nie – powiedziała. – Niby dlaczego?

– Och... ja... Tak sobie tylko pomyślałem. Złodziej, którego ktoś ściga, zwykle ma przy sobie coś, co ten drugi chce odzyskać.

– Ach tak – mruknęła kobieta. – Spytał, czy mógłby zatrzymać się u mnie przez jakiś czas. Dzień lub dwa... Dopóki jego prześladowca... to znaczy człowiek, któremu coś ukradł, nie oddali się. Ale później chyba zmienił zdanie.

Pokiwiała głową.

– Wyszedł przez okno na podwórze, a potem przelazł przez mur i uciekł. Nie udało mi się go namówić, żeby został dłużej. Strasznie się gdzieś spieszył. Powiedział, że musi pilnie z kimś porozmawiać. Sprawa niecierpiąca zwłoki. I że chodził o coś bardzo ważnego.

Znów się uśmiechnęła.

– Zawsze chodziło o coś bardzo ważnego. Zawsze kiedy się pojawiał. Czasem potrzebował pieniędzy, czasem kryjówek i zawsze mówił, że kiedy ta niecierpiąca zwłoki sprawa zostanie pomyślnie załatwiona, będzie bogaty, a wtedy kupi mi piękne błękitne sari, takie z prawdziwego jedwabiu, ozdobione złotymi haftami. A ja będę mogła iść przez ulice wystrojona jak królowa i będę piękna.

– Czy tym razem też tak mówił? Że będzie bogaty?

– Bardzo, bardzo bogaty – Farhad usłyszał za plecami czyjś głos. – Ale ja od razu mu powiedziałem, żeby sobie tym nie zaprzętał głowy.

Odwrócił się szybko. Za nim stało dwóch małych, brudnych chłopców, których widział nad rzeką.

– Miał przy sobie coś strasznego – szepnął jeden z nich.

– Ale on w to nie wierzył – wpadł mu w słowo drugi.

Ich wielkie ciemne oczy były teraz jeszcze większe i jeszcze ciemniejsze ze strachu, który się w nich malował.

– My od razu wiedzieliśmy, że to się stanie – powiedział jeden z nich.

– A co takiego miał przy sobie wasz przyjaciel? – spytał Farhad, który oczywiście znał odpowiedź.

Chłopcy rozejrzeli się ukradkiem, potem jeden pochylił się i przysłaniając ręką usta, szepnął:

– Krwawy Kamień.

– Przecież on wcale nie istnieje – powiedział Farhad ze śmiechem. – To tylko plotka.

– Nieprawda – powiedział mniejszy z błyskiem w oku. – Widzieliśmy go na własne oczy.

Farhad triumfował w skrytości ducha.

– Czy był duży? – zapytał.

– Był w czterech kawałkach – wyjaśnił większy z chłopców.

Rahul nam go pokazał. Bardzo szybko, więc zdążyliśmy tylko rzucić na niego okiem. Spieszyło mu się. Ale koniecznie chciał nam udowodnić, jaki będzie bogaty. Powiedzieliśmy, że to nie jest dobry pomysł. Ten kamień jest przeklęty.

– Ale Rahul zawsze mówił, że nie wierzy w bogów i różne klątwy – dodał drugi chłopiec i wytarł nos wierzchem dłoni.

– A teraz nie żyje – powiedział ze smutkiem pierwszy, wpatrując ponuro na Farhada.

– Wiecie, gdzie jest teraz ten kamień? – spytał Farhad.

Obaj chłopcy skinęli głowami jak na komendę.

– Ale my za nic w świecie go nie dotkniemy. Nawet gdyby tutaj leżał, o tu, przed nami. Kraść to jedno, a bogowie to co innego.

– Czy powiedział wam, że chce go u kogoś ukryć? – spytała kobieta z przestachem w oczach i dodała z zadziwiającą stanowczością: – Nie chciałabym, żeby coś takiego leżało w moim domu. Jeśli Rahul naprawdę zostawił u mnie ten kamień w jakimś zakamarku, a ja nic o tym nie wiem...

– Nigdzie go nie zostawił – powiedział większy z chłopców, szczerząc zęby w uśmiechu. – Rahul lubił się czasem przechwalać, ale nie był głupi.

Obrzucił wszystkich szybkim spojrzeniem, zrobił tajemniczą minę, po czym szepnął:

– On go połknął.

Oczywiście! Teraz wszystko nabierało wreszcie sensu. Kawałki kamienia były wystarczająco małe, żeby je połknąć.

„Zagwarantujcie mi na jeden lub dwa dni waszą ochronę...”, tak właśnie powiedział mały żebrak do Anglika.

Rahul nie wiedział, kiedy kamień ujrzy znów światło dzienne. Pomysł nie był zły, Farhad musiał to przyznać. „Ale też bardzo nierozsądny” – pomyślał sekundę później.

Nie odmawiał sprytu i pomysłowości małemu ulicznikowi! Wszystko wskazywało na to, iż w rzeczywistości nie umarł (to nieprawdopodobną, bezsensowną śmiercią, jak to wyglądało z zewnątrz: skręcenie karku na stopniach ghat Hanumana). Ostre krawędzie okruchów Krwawego Kamienia rozdarły otwór środka jego jelita, powodując wewnętrzny krwotok. I tak otępe wypełniło się proroctwo – nieszczęsny chłopiec wykrwawił się na śmierć. Czarny humor losu polegał wszakże na tym, by w arcy misterny sposób zsynchronizować moment jego śmierci z upadkiem z kamiennych schodów.

Kiedy Farhad doszedł do tego właśnie miejsca z łańcuchem swoich myśli, na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Chwilę później z nieba runęły potoki wody, jak zawsze w porze monsunu.

Farhad rzucił pospieszne, pełne niepokoju spojrzenie w kierunku stosów pogrzebowych i zobaczył ogień toczący śmiertelny bój z deszczem. Wiedział aż nadto dobrze, któremu z tych żywiołów przypadnie w udziale zwycięstwo. Krewni bogatego nieboszczyka naciągnęli na głowy swoje sari i szale, niektórzy otworzyli parasole.

Płomienie trzaskały, migotały w jakimś szalonym płąsie, mocowały się z wodą – i dogorywały z sykiem, jeden po drugim. Nie upłynęło pięć minut, a oba stosy zamieniły się w dwie czarne kupy zwilgotniałego popiołu, których dokładnej zawartości nikt nie chciał badać.

Kapłani, którym woda lała się na głowy, pomagali przetransportować do rzeki doczesne szczątki obu zmarłych. Zaczęli od bardziej zamożnego i już niebawem morze białych kwiatów towarzyszyło jego popiołom w nurtach świętego Gangesu. Kiedy już uporali się z pierwszym stosem, powrócili do drugiego, przerzucając łopatą do rzeki popioły biedaka, które były tak samo szare jak tego pierwszego.

Farhad chwycił bez namysłu za leżącą na ziemi łopatę i też pomagał.

Pełen najgorszych przeczuć rył i grzebał gorączkowo w czarnych węglach, w które zamieniło się drewno, i w tak samo czarnych szczątkach chłopca. Zamknął oczy i przeszukiwał zawzięcie jednolitą lepką szaroczną masę. W uszach dźwięczała mu jakaś bezładna melodia, która nie mogła jednak zagłuszyć złego uczucia potężniejszego z każdą chwilą. Czuł na plecach spojrzenia dwóch małych żebraków i kobiety. Nie miał już jednak czasu, żeby zwracać na nich uwagę.

Jeśli okruchy kamienia znajdą drogę do Gangesu, już nigdy ich nie zobaczy. On, bohater z Maduraju, mógł wprowadzić podróżować na skrzydłach wiatru, ale w dalszym ciągu nie umiał pływać. A gdyby nawet umiał, czy miałoby to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Wszystko to, co raz pochłonęło mullas, te dno Matki Gangi, pozostawało na wieki pogrzebane w jej niezgłębionej toni.

A potem, potem cały popiół został starannie zgarnięty i wsypany do Gangesu, każda ostatnia drobina zwęglonego drewna, każda najmniejsza niespalona kosteczka.

– Czaszka – powiedział jeden z braminów, spoglądając z ciemnym kształtem płynącym w dół rzeki. – Czaszki palą się najgorzej. Zawsze coś z nich pozostaje. Należałoby się nad tym głębiej zastanowić.

Mówiąc to, odwrócił się i poszedł powoli przez deszcz z łopata zarzuconą na ramię.

Farhad stał na brzegu rzeki i ciężko dyszał. Jego pot mlaśniał się na skórze z deszczem. Obok niego przepłynęła nadwęglona dłoń ściskając kurczowo kupkę więdnących czerwonych płatków, jakby nie chciała się z nikim podzielić swoim bogactwem. Odwrócił się szybko. Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie z odrobinę krzywym nosem. Stała w deszczu i rzuciła mu ostatni tego dnia uśmiech. Potem i ona opuściła miejsce palenia zwłok.

Krewni bogatego zmarłego już dawno zniknęli z pola wzdłuż rzeki. Przepadli też gdzieś dwaj mali obszarpańcy. Farhad rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie mógł ich dostrzec.

Stał samotnie przy ghatach Manikarnika, ściskając w dłoni trzonek łopaty, która do niego nie należała i której nawet nie pragnął ukraść. Co mu po łopacie? Trochę jednak się zastanowił, że w jego złodziejskim sercu ani przez sekundę nie

tliło się pragnienie, aby ją zabrać, nawet jeśli było to całkowicie niedorzeczne. Postać jeszcze chwilę, po czym zawrócił do resztek stosu, gdzie leżało już tylko niespalone drewno. Deszcz zabarwił je na ciemno i trzeba będzie teraz długo je suszyć, zanim znów wyświadczy ostatnią przysługę następnemu nieboszczykowi.

Farhad przykucnął w deszczu obok żałosnej garstki zwilgotniałego popiołu, przyglądając się w zamyśleniu Gangesowi, jak wsysa zachłannie krople deszczu, płynąc niezmiennie od wieków w tym samym kierunku. Deszcz szybciej niż zwykle przywołał wieczór i wokół Farhada zaczęło zmierzchać – ociężale, ponuro i beznadziejnie. Nie wiedząc, co ze sobą począć, zaczął układać jeden na drugim kawałki zwęglonego drewna, budując z nich wieżę, jak smutne bezradne dziecko. Na samym szczycie wieży położył duży, brudny kamień.

Marzył w deszczu, którego wielkie krople wciąż padały nieprzerwanie z pociemniałego monsunowego nieba. W pewnej chwili wstrząsnął nim dreszcz i kichnął – i wtedy wieża zawaliła się. Kamień potoczył się na bok, a w pokrywającej go mazistej warstwie sadzy i błota powstał ślad. Czerwony ślad. Czerwony jak krew.

Farhad spojrzał uważniej w tę stronę. Potem wziął kamień i zaczął go pocierać – najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej o swoje niewygodne brytyjskie spodnie, które wciąż miał na sobie. Pod warstwą sadzy rozbłysło coś jasną purpurą między jego palcami. Coś – ukryta krawędź kamienia – prześlęła opuszki jego palców. Lecz ta czerwień nie pochodziła tylko od krwi. Kamień sam był czerwony. Czerwony i wielkości młodego jaja.

Farhad ostrożnie go oczyścił, a potem ułożył pieczołowicie na dłoni i przypatrywał mu się z niedowierzaniem.

Więc tutaj był! Krwawy Kamień. Znów stał się jednością, Ogień – lub śmierć – a może coś zupełnie innego, coś, czego nikt nigdy nie zrozumie, scalił jego cztery kawałki.

Deszcz wreszcie ustał. Ciemne posępne chmury rozwiały się. Farhad z zadowoleniem przyglądał się przepasce, którą znów owinął sobie ramię, i spoglądał na niebo. Patrzył w zachodzące słońce. Jeszcze raz rozbłysło niczym ostrze sztyletu, a potem zaczęło z wolna przygasać.

I w tej samej chwili pomyślał o liście Anglika. Jeśli nie pojawi się do zachodu słońca. W Indiach słońce bardzo szybko zachodzi.

Skoczył na równe nogi i pospieszył brzegiem Gangesu. Chwilę później otuliła go aksamitna czerń nocy. Tylko tu i ówdzie płonął w ciemnościach ogień, a smakowity zapach ryżu z curry, który warzyli ludzie przy swoich małych ogniskach na ulicy i na schodach, uderzył go w nos. Nie zatrzymał się jednak.

Kiedy tak biegł przez noc, w uszach bębnił mu jeden zło-wieszczy rytm, jeden wers: szczekanie psa i krzyk majny. Szczekanie psa i krzyk majny... żółtodziobej majny. Żółto... żółto... Z trudem chwycił powietrze.

Przed nim leżały spokojne i milczące ghaty Hanumana, nieoświetlone, czarne i ciche.

Szczekanie psa i krzyk majny pozostały bez odzewu. Nikt gdzie nie otworzyło się okno w poszczerbionym murze, drzwi były ich tutaj dziesiątki, nigdzie nie zaskrzypiały stare drewniane drzwi. Nigdzie nie było słychać tupotu stóp zbiegających pospiesznie po stromych kamiennych stopniach.

Więc jednak się spóźnił...

Farhad rozglądał się w popłochu wokół siebie, chociaż nikogo nie widział. I chociaż wiedział, że nikt już nie przyjdzie. Czulił, jak wzbiera w nim rozpacz i desperacja.

Musi za wszelką cenę znaleźć Nitisha!
Ale gdzie ma go jeszcze szukać?

Nitish obudził się pod wieczór ze spóźnionej popołudniowej drzemki i zobaczył światło wpadające przez szpary w ścianach szopy. W jego duszy kiełkowała mieszanka głodu i zniecierpliwienia. Zniecierpliwienie przeważało.

Dlaczego nic się nie dzieje? Gdzie się podziewa Farhad? Czyżby o nim zapomniał? Chyba nie chce podróżować dalej sam? Nie, to niemożliwe. Ten chudy, pokrętny człowiek jest zbyt słaby i zbyt powolny, żeby porywać się na samotną eskapadę w głąb pustyni. Najwyraźniej coś musiało się stać – coś, co powstrzymało Farhada od znalezienia go!

Tygrys wstał, przeciągnął się, ziewnął szeroko i zaczął biegać wzdłuż drewnianych ścian szopy, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Znał każdy krok, każdy centymetr usłanej słomą podłogi – poprzedniego dnia nie robił nic innego, tylko biegał wzdłuż tych ścian. Były dla niego za mocne. Próbował sprawić im przykrość, odrobinę uszkodzić, drapiąc je pazurami i rzucając się na nie całym ciałem. Wszystko na nic – uparły się i nie chciały ustąpić. Zamiast tego miał teraz długą drzazgę w lewej przedniej łapie.

Właśnie przestało padać, całkiem nagle. Przez szpary w deskach Nitish widział zachodzące słońce. Znów minął jeden dzień, a Farhad się nie pojawił, żeby go oswobodzić. Czy w ogóle jeszcze przyjdzie? Nitish przekrzywił swój wielki łeb, nusiłuchując w ciszy wieczoru.

Tam! Pospieszny, rytmiczny odgłos. Kroki. Ale to nie były kroki Farhada. Zbliżały się do szopy – ciężkie, zdecydowane i pełne wściekłości, której Nitish w żaden sposób nie pojmował. Zatrzymały się przed drzwiami szopy, które były zamknięte w tak podstępny i nieodwołalny sposób...

– Ej, tygrysie? Jesteś tam?

To był ten sam człowiek, który go tutaj zwabił!

Nitish wydał z siebie ostrzegawcze parsknięcia, które wydobycie się z jego najgłębszych i najbardziej rozszoszczonych tygrysiich trzewi.

– Twój bohater nie przyszedł – powiedział mężczyzna za drzwiami. – Cóż, najwidoczniej wolał się ulotnić z Krwawym Kamieniem, niż ratować starego przyjaciela.

Nitish w to nie wierzył. Nie wierzył w ani jedno słowo i znów wściekle warknął.

– Ależ tak, parszaj, parszaj, mój tygrysie – powiedział ze śmiechem Anglik – ponieważ to ostatnia rzecz, jaką robił w swoim życiu. Jesteś dla mnie zbyt niebezpieczny, żebym cię puścił wolno.

Nitish usłyszał nagle dziwny odgłos – jakby syczenie – którego nie potrafił rozpoznać. Sekundę później uderzył go w nos jakiś dziwny, na razie niesprecyzowany zapach, który jednak źle mu się kojarzył. Potrząsnął z niechętnym zdumieniem wielkim łbem i kichnął, aż zatrzęsły się ściany szopy. Zapach stał się bardziej intensywny i wtedy jedna ze ścian krzyknęła. Ta zimna, nieczuła ściana, której w żaden sposób nie mógł sprawić przykrości – choć naprawdę bardzo się starał – krzyczała teraz z bólu. I... i zaczęła się wic w rozpaczliwych konwulsjach.

Oszołomiony i coraz bardziej zdziwiony Nitish cofnął się o krok – i nagle były tam żółte języki ognia, które wypełzły ze szpar w deskach. Słoma na podłodze sięgała do drewnianych desek, z których były wykonane ściany szopy, i chwilę później zatrzęszczała przerażona – zewsząd buchnął ogień. Wężowaty, złocisty i piekielnie gorący. Tygrys prychnął ostrzegawczo. Ku jego przerażeniu ogień rozprzestrzenił się z podstępłą szybkością, był tutaj, był tam, był wszędzie. NI

tish ani myślał pozwolić mu na to bezczelne panoszenie się w jego szopie, próbował zdeptać go na śmierć, ale ogień kąsał mu łapy. Cofnął je pospiesznie i oblizywał z rosnącym niepokojem.

Zapach był teraz tak silny, że zakręciło go w nosie i począł kichać raz za razem. Ogień potężniał z minuty na minutę. I nie było żadnej drogi, żadnego sposobu, żeby mu umknąć.

Wysokie po samą powałę, niebezpiecznie ruchliwe purpurowozłociste jęczory zamieniały drewnianą szopę w płonąca klatkę.

Kiedy Nitish to pojął, zaryczał głośno i przeciągle.

Ale nikt go nie usłyszał.

Lalit i Raka

Indyjski ogień w boskim tańcu

goreje jasnzej niż każdy inny!

Strawi cię w popiół, a sam jak słońce

zostanie czysty i niewinny.

Indyjski ogień żadny ofiar

kocha się w drzewie sandalowym

Śmierci pomiesze mroczny opar

plonąc na stosie pogrzebowym.

W indyjską noc indyjski ogień

gwiazd chłodem swa języki studzi.

Z iskry zrodzony wieczny płomień

muska oddechem twarze ludzi.

Indyjski ogień w noc tajemna

tyśniacem ramion w niebo strzela.

Trawiony pasją niepojeta

wciąż rodzi się, wciąż umiera.

Przez chwilę na parapecie panowała cisza.

Za oknem milczała noc.

Znów zrobiło się późno, później, niż Lalit mógł przypuszczać, i znów w jakiś przedziwny sposób nie odczuwał zmęczenia. Jeszcze go tutaj nie było – w jednej z komnat radży. Jeszcze stał przy ghatach Hanumana w Waranasi, mieście światła, mieście Sziwy, i zastanawiał się w szalonym pośpiechu, gdzie powinien szukać tygrysa. Jego zmysły powróciły dopiero powoli, z pewnymi oporami do rzeczywistości. Do parapetu w pokoju pięknej dziewczyny z pustyni.

Nie, to nie on był Farhadem, bohaterem, który podróżował przez całe Indie, który trzymał w ręku Krwawy Kamień i nosił na szyi srebrny amulet z wizerunkiem księżniczki. Był Lalitem, pięknym, małym eunuchem w haremie Ahmeda Mudhiego, którego nikt nie traktował poważnie. Tym, który zawsze robił to, co mu powiedziano. Który słuchał. Który służył. Ale odkąd zanurzył się w opowieści Raki, w jego duszy zakiełkowała buntownicza iskierka. Wiele się zmieniło od początku tej historii, było tak, jakby od tego czasu upłynęły całe miesiące, a nie tylko dwie noce.

Lalit napotkał spojrzenie turkusowych oczu Raki, które przypatrywały mu się badawczo, i zrozumiał, że jest czarodziejką. Ta niezwykła dziewczyna czarowała swoimi słowami. Miał już na ustach dziecinne: „I co teraz? Co się teraz wydarzy?“, ale ugryzł się w język, wiedział bowiem, iż tej nocy nie otrzyma już żadnej odpowiedzi.

- Farhad zaczyna tracić serce – szepnął wreszcie, przelitykając ślinę. - Powiedz, proszę, czy mam rację? Serce bohatera zaczyna bić dla księżniczki.

Raka uniosła jedną brew. Miała delikatne brwi wygięte w piękny łuk.

- Tak myślisz? – spytała cicho.

– Następnym razem, kiedy otworzy amulet – powiedział Lalit – obraz księżniczki będzie jeszcze bardziej wyraźny, czy tak? Aż w końcu zobaczy całą jej piękną twarz.

– Być może – powiedziała Raka.

Lalit zsunął się z parapetu. Raka również zeskoczyła, zwinnie i sprężyście jak chłopiec, a jej oczy zalśniły dziwnym blaskiem.

– Czy drzwi na wewnętrzny dziedziniec są jeszcze otwarte? – spytała szeptem. – Chcę pooddychać powietrzem nocy. Kto wie, czy to nie jest ostatnia noc, której powietrzem mogę oddychać.

– Tak, drzwi są otwarte – szepnął Lalit – ale jest chłodno. Przeziębisz się.

– No to się przeziębę – odparła Raka i zaśmiała się cicho. – Jaka to w końcu różnica, czy umrę z katarem, czy bez?

Lalit pospieszył za nią, patrząc, jak zbiega chyżo po schodach.

– Nie lubię, kiedy tak mówisz – powiedział.

Kiedy znaleźli się już na dziedzińcu, Raka przystanąła na chwilę z zamkniętymi oczami i wciągnęła głęboko do płuc chłodne, rześkie powietrze, jakby chciała się go nawdychać na zapas, na ten długi, bardzo długi czas, kiedy nie będzie mogła go poczuć. Czas między śmiercią a ponownymi narodzinami.

– Gdybyś wpadła przypadkiem na pomysł, żeby wspinać się znów na mur – zaczął ostrożnie Lalit – to muszę cię ostrzec. Na wszystkich dziedzińcach roi się od strażników. Ahmed Mudhi nie chce stracić swojego skarbu pustyni.

Dlaczego to powiedział? Dlaczego znów był taki głupi i bezduszny? Czy miał jej wyznać, jak bardzo tego żałuje? Ale ku jego zaskoczeniu Raka znów tylko się zaśmiała.

– Trudno się dziwić Ahmedowi Mudhiemu – oświadczyła z błyskiem w oku. – I nawet go rozumiem. W końcu drogo za mnie zapłacił.

Przyciągnęła do siebie gałązkę krzewu różanego i ukryła twarz w jego kwiatach, żeby wdychać ich woń.

– A ty? – spytała. – Czy płaci ci również za to, żebyś mnie pilnował?

– To – odparł Lalit sztywno – nie należy do moich obowiązków.

– Więc czemu nie idziesz spać? Obiecuję ci, że nie będę się wspinać na mur. Chcę jeszcze tylko chwilę powędrować przez noc. Chyba to nie jest zabronione?

Lalit poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Jak ona to robi, że nieustannie musi się przy niej czerwienić?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział cicho – zostanę z tobą. Nie jestem zmęczony. Moglibyśmy razem powędrować przez noc.

Skinęła powoli głowę.

– Chodź – powiedział Lalit i wziął ją za rękę. – Chciałbym ci coś pokazać.

I poprowadził drogocenny skarb Ahmeda Mudhiego przez jego ogrody, których kwietna obfitość przeobrażała za dnia dziedzińce za murami w rozfalowane, pełne zapachów i barw morze, odgrodzone od zakurzonego, brudnego, piaszczystego świata na zewnątrz.

Lecz dłoń, którą trzymał Lalit – i czuł to aż nadto wyraźnie – nie należała do Ahmeda Mudhiego i nigdy nie będzie do niego należeć. Nawet gdyby radża zabił Rakę w przypiływie swojego osławionego gniewu, nigdy jej nie zniewoli i nigdy jej nie posiadzie. I nigdy, przenigdy nie będzie jej panem. Ponieważ tylko ona była panią samej siebie. Z początku uznał, że to nie przystoi kobiecie. Teraz podziwiał ją za to. Wiedział przecież, jak trudno kobietom w jego kraju objawić w pełni swą siłę.

W miejscu, gdzie palce Raki dotykały jego dłoni, czuł dziwny żar. Zawstydzził się potu na swojej skórze. I tłumaczył

sobie, że winny jest temu ciepły wiatr pustyni. Lecz wiatr z pustyni był zimny.

Zbyt wiele w Lalicie stało się już Farhadem. Również on był na najlepszej drodze, by się zakochać. Tylko że do miłości nie ma żadnych dobrych dróg. Wszystkie drogi wiodące ku niej są niebezpieczne, wyboiste, czasem strasznie poplątane, czasem byle jak wybrukowane. I na zbyt wielu można się z łatwością zagubić.

Szli dalej w milczeniu, zasłuchani w noc, zapuszczając się coraz bardziej w ogrody Ahmeda Mudhiego. W pewnej chwili mijali gołębnik, który sterczał nad ich głowami na wysokiej żerdzi niczym osobliwa roślina.

Lalit zatrzymał się, położył palec na ustach i wskazał do góry. Zobaczył, jak Raka nasłuchuje z natężeniem. Z gołębnika dochodziło ledwie słyszalne gruchanie gołębi.

– Śnią – szepnął. – Śnią o wolności. Tak samo jak ty.

– A ty? – szepnęła Raka. – Czy ty nie śnisz o wolności?

Lalit chciał potrząsnąć głową, zawahał się jednak. Jeszcze przed dwoma dniami zrobiłby to. Powiedziałby, że wolność jest niebezpieczna. Bardzo ryzykowna. Że jego miejsce jest tutaj, za wysokimi bezpiecznymi murami radży, gdzie zawsze mówiono mu, co ma robić, a czego nie. Gdzie było dość jedzenia i gdzie co miesiąc otrzymywał garść brzęczących monet za swoją nienaganną pracę. Na wolności życie może się bardzo szybko obrócić przeciwko człowiekowi. Lalit słyszał już o wielu takich, którym nadmiar wolności nie wyszedł na dobre. Przed dwoma dniami powiedziałby to. Ale teraz?

– Kto wie? – mruknął i w tej samej chwili poczuł, jak palec Raki zacisnęły się mocniej. I czuł przez skórę, że było w nich pełne oczekiwania napięcie. – Czy chciałabyś wystać komuś list? Jakąś wiadomość? – zapytał i znów pokazał do góry. – Moje gołębie mogą ją zanieść. Dokądkolwiek zechcesz. Są bli-

dzo mądre. – Zachichotał cicho. – Kobiety w haremie często proszą mnie o taką przysługę, a wtedy ja wysyłam moich posłańców tam, gdzie trzeba. Ahmed Mudhi nigdy mi tego nie zabraniał. Być może dlatego, że nic o tym nie wie.

– No proszę – powiedziała Raka i mrugnęła do niego okiem. – Więc nie jesteś taki grzeczny i posłuszny, jak by sobie tego życzył twój pan. Robisz rzeczy, które nie są do końca dozwolone? Prócz tego, że przychodzisz do mnie nocą, by słuchać mojej opowieści...

– Sprawa z gołębiami to wyjątek – odparł Lalit zmieszany, umykając przed spojrzeniem jej turkusowych oczu. – I to nie był również mój pomysł. Kobiety mnie o to prosiły. Czy mogłem im odmówić?

– Szkoda – powiedziała Raka cicho. – Szkoda, że to nie był twój pomysł.

– No więc? – spytał Lalit. – Czy masz jakąś wiadomość? To dla mnie żaden kłopot, a dla moich gołębi jeszcze mniejszy. Jest tak niewiele rzeczy, które mogę dla ciebie zrobić. To chyba jedyna.

Wtedy Raka ścisnęła jeszcze raz jego dłoń i roześmiała się.

– Nie – powiedziała. – Dziękuję. Nie mam żadnej wiadomości. Tę, którą miałam, zdążyłam już wysłać. Obawiam się, że zapomniałam poprosić cię o pozwolenie.

Spojrzał na nią pytająco.

– Twoje gołębie poleciały daleko, bardzo daleko, żeby ją przekazać pewnemu człowiekowi – mówiła dalej Raka – i jestem im za to bardzo wdzięczna, ponieważ była to naprawdę ważna wiadomość.

– Nic nie rozumiem – bąknął Lalit.

Bliskość Raki peszyła go z każdą chwilą coraz bardziej. Wnętrze jej dłoni nie było tak gładkie i miękkie, jak tego oczekiwał. Było szorstkie i lekko chropowate jak piasek pustyni. Wokół

unosił się zapach wiatru, który przeciągał po wydmach z tamtej strony murów: daleki, korzenny i odrobinę niepokojący.

– Nie rozumiesz? – spytała zdziwiona i zmarszczyła czoło.
– Czyżbyś zapomniał o liście, który dostał Farhad?

– Nie, nie... skądże znowu – powiedział powoli Lalit. – Ten list był od księżniczki, prawda?

– Właśnie – odpowiedziała Raka.

– Więc to ty jesteś księżniczką – szepnął Lalit i uśmiechnął się lekko.

Szli ramię przy ramieniu po zwirowanych alejkach przez ciche ogrody radży, a białe kwiaty, które tylko w ciemności otwierały kielichy, towarzyszyły ich cichym krokom wraz z zapachem nocy.

– Ty jesteś księżniczką, która czeka na ratunek. Księżniczką ze swojej opowieści, którą porwano, a potem uwięziono w mieście zagubionym wśród piasków pustyni i która dzień po dniu liczy godziny, wypatrując swojego bohatera. A Ahmed Mudhi jest królem demonów Rawanę, który podaje się za człowieka. – Spojrzał na nią przeciągle. – Ale... coś mi się tutaj nie zgadza. Wesele Rawany ma się dopiero odbyć, a przecież on i ty....

– W każdej opowieści – powiedziała z powagą Raka – muszą być jakieś rzeczy, które są inne niż w rzeczywistości. W przeciwnym razie nie byłaby to dobra opowieść.

– Opowieści są wspaniałymi drogami ucieczki – wpadł jej w słowo Lalit. – Tak, teraz rozumiem.

Zatrzymał się obok małej sadzawki i spojrzał na Rakę.

– Ale to wszystko nie jest prawdą – powiedział z naciskiem. – Farhad nie nadejdzie, żeby cię uratować. A Krysna nie jest twoim ojcem. Twój ojciec siedzi gdzieś na pustyni w swojej wiosce i cieszy się, że twój mąż zapłacił za ciebie dobrą cenę. A twoja matka jest jedną z wielu kobiet pustyni Thar, którym

dzień po dniu gotuje ryż dla swojej rodziny i troszczy się o twoje młodsze rodzeństwo. I złości się, że znów jest tak strasznie gorąco...

Poczuł szorstkie palce Raki na swoich ustach. Jej wargi drżały, a turkusowe oczy błyskały gniewnie w mroku nocy.

– Bądź cicho – syknęła. – Bądź cicho, bądź cicho, bądź cicho. Nic nie rozumiesz. Nie chodzi o to, co jest prawdą, a co baśnią. Granice nie są tak oczywiste, takie dziecinnie łatwe i proste, jak myślisz. Jeszcze zobaczysz!

– Zobaczę, jak Farhad staje u bram haveli Ahmeda Mudhiego, żeby cię uratować? – zapytał Lalit cichym głosem.

Serce przeppełnił mu naraz nieskończony smutek. Ona naprawdę w to wierzyła. Musiała w to wierzyć. Gdyby nie wymyśliła tego wszystkiego, załamałaby się.

– Poczekaj – powiedziała Raka i puściła jego rękę, którą do tej pory przez cały czas mocno trzymała.

Lalit stłumił swój smutek. Czy naprawdę musiał wyjaśniać jej prawdę? Czy to było potrzebne, czy miało jakiś sens?

– Rozejrzyj się dookoła, a wtedy na pewno odkryjesz coś szczególnego – powiedział tajemniczo. – To jest właśnie to, co chciałem ci pokazać. Wczoraj w nocy spacerowałem jeszcze trochę po ogrodzie i wtedy to odkryłem.

Raka odwróciła się powoli i skinęła głową.

– Sam więc widzisz – powiedziała – jak cienkie stają się już granice.

Mała sadzawka, przed którą stali, była pokryta kamalem, lotosem. Wielkie różowe kwiaty pływały spokojnie na gładkiej jak lustro wodzie, a ich szerokie, okrągłe liście leżały jak małe tratwy, zakotwiczone głęboko w mulistym dnie. Kwiaty lotosu zamknęły swoje delikatne, wytworne kielichy przed chłodem nocy. Tylko jeden z nich, unoszący się pośrodku sadzawki, był już trochę przekwitły i pewnie dlatego nie mógł

stulić do końca swoich płatków, pomiędzy którymi zebrało się nieco wody. Księżyc zaplątał się w wielką kroplę na jego najniższym płatku, a kropla związała jego mlecznobiałe światło, odbijając promienie jasno i delikatnie. Tak, kropla wody lśniła jak srebrny klejnot na aksamitnej powierzchni sadzawki.

Srebrny amulet, który spoczywał w kielichu kwiatu lotosu.

– To oczywiście tylko woda – szepnęła Lalit.

– Chcesz może powiedzieć, że przepawiłeś się na środek sadzawki, żeby to sprawdzić? – spytała Raka.

– Nie, ale...

– W takim razie – przerwała mu Raka – dopóki tego nie zrobisz, możemy sobie wyobrażać, że to jest naprawdę srebrny amulet.

Potem podniosła wzrok i spojrzała na mur po przeciwnej stronie dziedzińca. Jej wzrok zatrzymał się na oknach i wtedy Lalit zobaczył nagle w jej oczach strach. Podążył szybko za jej spojrzeniem.

Tam w złotej poświacie małej lampki oliwnej widoczne były komnaty radży. A za oknami chodził radża, tam i z powrotem, tam i z powrotem, chodził drapieżnie, niespokojnie, bez wytchnienia, jak dzikie zwierzę w klatce.

– To on – szepnęła Raka. – Prawda?

Lalit skinął głową.

– Dręczy go bezsenność.

– Być może, lecz spójrz tylko, jak on chodzi – szepnęła Raka. – Jeśli on już dziś tak chodzi, to ręczę ci, że jutro będzie w pełni sił i zdrow. Na tyle zdrow, by przekonać swojego lekarza, że może z powodzeniem wykonywać wszystkie inne czynności, nie tylko spać.

Odwróciła się raptownie do Lalita i objęła go szczupłymi ramionami jak małe przestraszone dziecko, które szuka ochrony u dorosłego.

– Przytul mnie mocno – szepnęła. – Proszę, tylko na chwilę. Strasznie się boję.

Lalit stropił się i w pierwszym odruchu cały zeszywniał. Przemógł się jednak i z wielką ostrożnością, czując przyspieszone bicie serca, objął ramionami jej smukłe ciało, nie wiedząc, czy tak właśnie się to robi. Czuł się dziwnie niezgrabnie i sztywno, jakby jego ramiona należały do kogoś zupełnie innego.

– Ja... ja też się boję – szepnął i musiał dwa razy chrząknąć, zanim jego drżący głos wreszcie go posłuchał. – Boję się, że wszystko będzie znów tak jak zawsze, kiedy ty odejdziesz. Tak bardzo chciałbym, żebyś mogła zostać.

Stali długo nad brzegiem sadzawki, gdy tymczasem radża biegał niespokojnie po wspaniałych komnatach i ani razu nie wyjrzał na dziedziniec. W końcu światło w jego oknach zgasło, przypuszczalnie dał za wygraną, przenosząc się do swojego wielkiego miękkiego łóża, żeby tam pograć się w objęciach snu. A na dole, nad brzegiem sadzawki, stał jego sługa, piękny eunuch, i jego ósma żona. Stali tak w milczeniu, pograżeni w zadumie, przytuleni do siebie.

I wtedy wydarzyło się coś, czego Lalit nie potrafił sobie wytłumaczyć. Być może była to wina nocnego powietrza. Kiedy Raka chciała go puścić, przytrzymał ją mocniej i pochylił się ku jej twarzy, a potem ją pocałował. Jej wargi rozchyliły się na przyjęcie jego warg, lecz – ku jego zaskoczeniu – nie były delikatne jak płatki róż. I nie tak miękkie jak jedwab i aksamit, nie tak subtelne jak barwy wczesnego słońca nad pustynią, nie tak nieśmiałe i płóche jak tchnienie wieczornego wiatru. Były tak samo szorstkie jak jej dłonie, szorstkie od płasku pustyni.

Wargi jak pustynna burza, dzika i nieokiełznana, która zabiera całą widoczność między piaszczystymi wydhami, jak

mordercza spiekota, jak chropowaty pień palmy w oazie, jak żar południa, jak niebo na sekundę, nim się ściemni przed tak rzadkim deszczem na pustyni.

Raka nie cofnęła się. I Lalit smakował na jej ustach wszystkie kolory, wszystkie odcienie Indii. I zapomniał o nocy, zapomniał nawet o Ahmedzie Mudhim, który był gdzieś tam za oknem swojej wielkiej sypialni, zapomniał, kim był – on, którego prawdziwe imię znaczy „właściwy czas”, zapomniał o czasie.

Pocałunek w ciemnym ogrodzie radży trwał całą wieczność, a może tylko kilka sekund, a może miał miejsce już dawno temu, w innym czasie, w innym życiu, i teraz Lalit tylko przypominał sobie o tej chwili.

Ogród pochylił się ku nim milionem kwiatów i liści, jakby chciał mieć swój nieskromny udział w tym tajemnym pocałunku, i nawet cienie nocy wydawały się gromadzić pośpiesznie, bezszelestnie wokół tej dziewczyny i tego chłopca, którzy całowali się tak czule, tak namiętnie, w takim radosno-bolesnym zapamiętaniu nad brzegiem sadzawki z lotosami. Było tak, jak gdyby ktoś wziął wielkie ostre nożyce i wyciął ten pocałunek z rzeczywistości. Prawa przyrody stały się naraz małe i nieważne i zapomniały o swoich doniosłych zadaniach. Wielkie kwiaty unoszące się na gładkiej powierzchni sadzawki otworzyły równocześnie kielichy, chociaż była to przecież noc, a ziemia rozwarła przepastne pory, z których wypłynął tak prastary, tak odurzająco korzenny zapach, jakiego nie znał nawet ten bajecznie wonny ogród.

I Raka uśmiechnęła się pośrodku tego nieskończonego pocałunku.

– Bo to... to mianowicie jest tak – szepnął Lalit, chwytając oddech – że ja... ja też nie jestem do końca uczciwy. A mówiąc wprost: jestem kłamcą, zwykłym oszustem, tak samo jak

ty. Nie chciałem tego, naprawdę, ale oni powiedzieli, że muszę to zrobić, więc...

Puścił ją i cofnął się o krok.

– Muszę cię ostrzec – szepnął. – Bo ciebie nie chcę okłamywać.

Raka zaśmiała się, cicho, niemal bezgłośnie.

– Ostrzec? Przed czym? – szepnęła.

– No więc... Zacznę od początku. To mój młodszy brat, to on miał pracować w haremie – szepnął Lalit. – Nie ja. Ale on zachorował zaraz po tym, jak radża przyjął go do pracy. Wtedy wysłali mnie. Moja rodzina bardzo potrzebuje pieniędzy, które tutaj zarabiam. A my... To znaczy mój brat i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni. Niektórzy twierdzą nawet, że wyglądamy jak bliźniacy. Ale on naprawdę jest... a ja nie... ja nie jestem...

Urwał speszony, czując, jak płoną mu policzki.

Raka widziała go, jak stoi w świetle księżyca, tutaj, w ogrodzie radży, a jednak poza czasem, nad sadzawką pełną otwartych kwiatów lotosu, i serce ścisnęło się w niej boleśnie. Był taki dziecinny, tak nieporadnie próbował się tłumaczyć. Wyjaśniać to, co ona dawno już rozumiała.

Prawie go nie знаła, lecz w tym momencie był jej tak bliski, tak bardzo bliski, że wstrząsnęło nią to do głębi. Tego nie było w jej planie. Ten śliczny chłopiec – taki dziecinny i natłwny – miał być tylko jej cichym sprzymierzeńcem, nie kochankiem. Być może jednak tak właśnie musiało się zdarzyć. Być może to było potrzebne, by jeszcze raz kogoś pokochać, tak z całego serca. Jeszcze raz się zatracić, dać się ponieść tej niepowstrzymanej fali miłości, zanim spojrzy śmierci w jej mroczne, niezgłębione oczy.

– Oczywiście, że nie jesteś – szepnęła, wyciągnęła rękę do jego twarzy i pogłaskała go po policzku. – Nie jesteś eunuchem. Przed tym chciałeś mnie ostrzec?

Skinął głowę.

– Ja nie jestem dziewicą, Farhad nie jest bohaterem, ty nie jesteś eunuchem – szepnęła Raka i znów zaśmiała się cicho.

– Więc wychodzi na to, że jesteśmy trójką oszustów. A to dopiero historia!

A potem pociągnęła go ze sobą do sadzawki z lotosami.

Sadzawka nie była głęboka. Jej ciepłe wody otuliły miękko dwa nocne ciała. Raka czuła wyraźnie, że Lalit chce jeszcze coś powiedzieć, sprzeciwić się. Chciał jej wytłumaczyć, że tak nie wolno, że to jest zabronione, milczał jednak, a ona wzięła jego ręce i prowadziła je powoli, delikatnie, z wielką ostrożnością przez pustynię swojego ciała.

– To... to wszystko jest dla mnie zupełnie nowe... – szepnęła Lalit. – Pustynia. Do tej pory znałem tylko życie wewnątrz miasta... Mury...

– Ciii – szepnęła Raka. – Przestraszysz kwiaty lotosu.

Lalit umilkł posłusznie i już niebawem nocny ogród ujrzał rozmaite części garderoby unoszące się na wodzie między wielkimi różowymi kwiatami.

Korzenny zapach ziemi w ogrodzie był teraz tak intensywny, tak oszałamiający i zmysłowy, że odurzył ich niczym opium. Jak dobrze, że ten kawałek czasu został wycięty z rzeczywistości. Jak dobrze, że nikt nie widział obu tych nie-rzeczywistych cieni, które pośrodku sadzawki stopiły się w jeden.

„Żeby tylko noc mogła trwać dość długo – pomyślała Raka – wystarczająco długo, by mogli się stać jednym kwiatem lotosu, który po wieczne czasy kwitłby w tej sadzawce. A Ali-med Mudhi i jego siedem pozostałych żon, i wszyscy jej strażnicy, i cała służba następnego poranka nie posiadaliby nigdy zdumienia, zachodząc w głowę, co też mogło się stać z eunuchem, ulubieńcem kobiet w haremie, i ósmą żoną radły

I dlaczego pośrodku sadzawki nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się ten wielki, piękny kwiat”.

Ale księżyc, który zbliżał się już do pełni, zakończył swoją drogę, a Krzyż Południa przewędrował bokiem po firmamencie niczym wielki błyszczący rak i noc nie trwała dość długo. A następnego poranka sadzawka była opuszczona i milcząca jak dawniej. Pobłękitniała od nieba i cichego smutku. Tylko pomiędzy okrągłymi jak talerze liśćmi jednego lotosu pływał zapomniany szal w żółto-brązowe wzory jak pustynia w swoich najlepszych dniach.

Około południa Raka dowiedziała się, iż radza pragnie ją widzieć tej nocy.

– Kiedy księżyc dotrze do korony palmy daktylowej – powiedział pierwszy i najwyższy strażnik – przyjdę po ciebie i zaprowadzę do twojego pana. Zrozumiałaś?

Raka skinęła głową, czując, jak drżą jej kolana, ale pod bogato haftowanym sari nie było tego widać.

Resztę dnia spędziła na tym, żeby być. Być kąpana, być czczona, być perfumowana, być ubierana, być przyozdabiana, być obwieszana mnóstwem kosztowności, być malowana henną, którą przez całe godziny musiała suszyć na słońcu z podniesionymi dłońmi. Słowem: być przysposabiana na tę najważniejszą noc w jej życiu – noc z radzą. Jej piękne brwi zostały wyregulowane, by były jeszcze piękniejsze, a każdy włoszek na jej nogach usunięty za pomocą żółtego jak miód i pachnącego miodem pszczelego wosku. Paznokcie u jej rąk i nóg zostały starannie opilowane, a następnie pociągnięte srebrzyście błyszczącym lakierem, a włosy upinane wciąż na nowo w coraz to inny sposób, aż w końcu służące były w pełni zadowolone z rezultatu.

Raka znosiła niezwykle cierpliwie wszystkie te zabiegi, nie okazując nawet najmniejszego wzruszenia. Słyszała, jak

kobiety szepcą ukradkiem jedna do drugiej. Jakże piękna, jakże zachwycająca jest ósma żona Ahmeda Mudhiego! Istny cud! Tego dnia stawała się z godziny na godzinę coraz piękniejsza. Czuła ich zazdrosne spojrzenia na swojej wyszorowanej do czerwoności skórze. Ale owe spojrzenia utraciły rychło cały swój żar. Ponieważ – przy całej swej oszałamiającej piękności – jakże biedna była ósma żona Ahmeda Mudhiego! Nie wiadomo, co miała w głowie. Tego poranka dostrzeżono ją na wieży ciśnień, na którą musiała się wspiąć, jak jedna z tych zwinnnych małp o czarnych twarzach, a teraz, teraz siedziała spokojnie i nie robiła żadnych min, ani małopich, ani innych, kiedy robiono z niej dzieło sztuki.

Za każdym razem, kiedy jedna ze służących podstawiła jej lusterko, ósma żona radży, ta biedna dziewczyna, odwracała oczy. Jakby nie rozumiała, nie wiedziała, do czego służy lustro. Jej głowa była pusta, piękna i pusta i mieszkało w niej tylko kilka dziwnych myśli. Kilka szalonych pomysłów, które kazały jej wspinać się na drzewa lub wieże ciśnień.

Wreszcie po całym dniu zabiegów upiększających Raka opadła wyczerpana na fotel w swojej sypialni. I zaczęła czekać. Trochę potrwa, zanim księżyc dotrze do korony palmy daktylowej. Przynajmniej połowę nocy. Wystarczająco długo, żeby opowiedzieć do końca historię Farhada.

Lalit przyszedł jeszcze wcześniej niż zwykle – wymknął ściszonym cichaczem z kuchni.

– Jesteś taka piękna – powiedział, kiedy wśliznął się przez uchylone drzwi do jej pokoju.

– To był prawdziwy koszmar – powiedziała. – Gdyby tylko mogły, obdarłyby mnie żywcem ze skóry i założyły inną. Robiły wszystko, absolutnie wszystko, żeby mnie zmienić. Ale nie udało się im, ponieważ w głębi serca zawsze jestem i pozostanę Raką, światłem księżycy w pełni.

Mówiąc to, starała się trzymać wysoko głowę.

– Nie płacz – szepnął Lalit, pragnąc dodać jej otuchy, chociaż sam najchętniej by się rozpłakał. – Być może twój bohater zjawi się w ostatniej chwili, żeby cię uratować.

Ale ona czuła, że sam w to nie wierzy.

– Kto wie? – powiedziała, zadzierając brodę gestem, który wcale nie pasował do tej tajemniczej, pięknej dziewczyny z pustyni, przygotowanej do pierwszej nocy ze swoim małżonkiem.

Popiół

Farhad stał w ciemnościach, czując, jak sekundy przeciekają mu przez palce niczym płonący żywym ogniem strumień.

– Nitish! – krzyknął w zapadającą szybko noc. – Nitish! Gdzie jesteś?

W odpowiedzi usłyszał tylko miarowy i powolny szum Matki Gangi, która z całym spokojem toczyła swoje święte wody, obojętna na jego rozpacz.

– Tygrysie! – krzyknął Farhad, nie oczekując bynajmniej odpowiedzi. – Stary, mądry biały tygrysie! Którymi z tysięcy swoich ust połknęło cię to podstępne i nienasycone miasto?

Potem usiadł na jednym z kamiennych stopni, objął rękami kolana i złożył na nich głowę. Nic więcej nie mógł zrobić. Wtedy z ciemności nadpłynął niespodziewanie jakiś cienki głos, kruchy niczym stary papier.

– Szukasz białego tygrysa? – zapytał ów głos z lekkim drżeniem. – Tygrysa, którego połknęło miasto?

Farhad podniósł szybko głowę i rozejrzył się dookoła.

– Tak – powiedział. – Szukam tygrysa. Białego tygrysa, który jest tak szybki jak chmury na niebie i wiatr na pustyni. Widziałeś go?

– No, to akurat nie – powiedział głos, który był teraz trochę bliżej. – Ale mam pewne podejrzenie, gdzie mógłby się znajdować. To jest dziwna sprawa...

Głos podszedł jeszcze bliżej jak tańczący niewidzialny duch w czerni nocy.

– Tak, tak, to doprawdy dziwna, bardzo dziwna sprawa, co też może człowiek znaleźć w Waranasi.

Farhad wstał, okręcił się kilka razy wokół siebie i wtedy odkrył właściciela kruchego głosu. Był to niemiłosiernie zgarbiony, wygięty jak pałak ku ziemi, niziutki cień, niosący małe, leńki świecący punkt – lampę naftową, której płomień stłumił teraz gwałtownie. A ponieważ podszedł jeszcze bliżej, Farhad zobaczył, że ten cień był przynajmniej tak samo drżący i kruchy jak głos. Mężczyzna musiał być tak stary, że nikt nie zliczyłby jego lat, chyba nawet on sam, a jego plecy były niewyobrażalnie wykrzywione, jakby niósł na nich przez pustynię cały niebieski firmament.

– Kim jesteście? – spytał Farhad, nie kryjąc irytacji.

– Kim ty jesteś? – spytał stary mężczyzna.

– Moje imię brzmi Waraha – odparł szybko Farhad.

Nawet nie musiał się zastanawiać nad wyborem kolejnego imienia. Waraha był następną inkarnacją Wisznu, zaraz po żółwiu Kurmie. Wcielony w potężnego dzika bóg pospieszył na ratunek ludziom, by ocalić Matkę Ziemię pogrążoną w otłumętach kosmicznego oceanu przez złego demona.

Błędem byłoby jednak sądzić, iż Farhad wydawał się sobie w tym momencie tak silny i mężny jak Waraha ze swoimi zwyciężczymi kłami.

– Waraha – powiedział staruszek w ciemności. – Piękne imię.

Podkręcił trochę płomień swojej lampy naftowej, by przybliżyć się lepiej twarzy Farhada.

– Jeśli mam być szczerą, nie wyglądasz mi na kogoś ze świętym imieniem – powiedział. – O wiele bardziej na Brytyjczyka, wybacz. Twoje włosy są jasne...

– To tylko taki... kamuflaż – szepnęła Farhad – wszystko kamuflaż. Ale teraz już go nie potrzebuję. Pewien człowiek, mój śmiertelny wróg, ma w garści mojego najlepszego przyjaciela, na co mi więc kamuflaż?

Stary skinął głową. Miał na sobie tylko przepasane wokół chudziutkich bioder szare, kraciaste, wielokrotnie połatane dhoti.

– Przydałaby mi się jakaś koszula – powiedział. – Daj mi swoją, a ja zaprowadzę cię do twojego najlepszego przyjaciela.

– Do białego tygrysa?

– Nie wiem, czy jest biały, czy żółty... – odparł stary i zaśmiał się głośno, pokazując jedyny ząb, który mu jeszcze pozostał. – Ślady nie zdradzają kolorów.

– Czy to znaczy, że widzieliście jego ślady?

– Widziałem ślady tygrysa – poprawił go stary. – Po prostu tygrysa. W mieście. Przed dwoma dniami. Co to był za tygrys, tego nie mogę ci powiedzieć, Waraho, drogi przyjacielu. Ale zdziwiło mnie to, ponieważ tygrysy niezwykle rzadko pojawiają się w miastach.

Farhad bez słowa zdjął koszulę i wręczył ją staremu człowiekowi z lampą naftową, który uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym zaczął gładzić czule tkaninę kościstymi palcami.

– Błagam, pospieszcie się! Nie mamy czasu – ponaglił go Farhad. – Być może ten łotr, który ma w swoich łapach moje go tygrysa, zdążył już mu zrobić coś złego. Dokąd prowadziły te ślady?

– Najpierw muszę odnaleźć miejsce, gdzie zobaczyłem je po raz pierwszy – powiedział spokojnie stary. – Dopiero wtedy będziemy mogli za nimi podążać. Moja lampa jest słaba,

a moje oczy bardzo stare. Ale mój węch, mój dobry nos nadal mnie nie opuszcza. Tak, tak, chłopcze, ten stareńki non odnalazł już wiele śladów dla Brytyjczyków. Kiedy wybuchł tamten okropny tumult przy ghatach, byłem akurat w drodze z Brytyjczykami. Z wielmożnymi gośćmi radży z zamku, po tamtej stronie mostu. Idź z moimi gośćmi, Muruganan, powiedz do mnie radża, i pokaż im ślady tygrysa w gęstwini, żeby ci wytworni panowie strzelali do niego i żeby mogli ucieszyć swoje europejskie oczy i serca wspaniałością barw jego futra...

Farhad westchnął, podążając w milczeniu za gadatliwym staruszkim, który piął się z zadziwiającą werwą po schodach prowadzących w górę do miasta.

– Ale tego dnia wypatrzyłem tylko stare ślady. Zaraz za miastem – mówił dalej Muruganan.

Zniżył swoją lampę naftową, która oświetlała teraz jakąś boczną uliczkę. Lampa kiwała się tuż nad ziemią i Muruganan pokiwał głową.

– Widzisz, o tutaj?

– Nie – powiedział Farhad – nic nie widzę.

– A ja tak. Widzę je jak na dłoni – powiedział Muruganan z zadowoleniem – to stare ślady. Świeże ślady tygrysa każdy może zobaczyć. To żadna sztuka. Ale stare ślady wypatrzy tylko stare oko.

Podążał teraz jak pies za śladami i Farhad zrozumiał, dlaczego jego plecy były tak zgarbione. Po wszystkich tych latach, w których tropił nieustannie jakieś ślady, nie mógł się już wyprostować. Dla tego zgarbionego starca o duszy tropiciela śladów liczyło się tylko to, co było na ziemi.

Zdązał za niewidocznymi śladami, a Farhad pędził za nimi – przez wąskie uliczki i przez tylne podwórka, mroczne i cuchnące, wokół ciasnych i coraz ciasniejszych zakrętów i prze-

resztki walących się murów, aż w końcu pozostawili za sobą ostatnie domy Waranasi.

– Anglicy są ślepi, tak, tak, chłopcze – powiedział starzec.

– Czytanie śladów to dla nich czarna magia.

Przeleżał przez jakieś rumowisko, które kiedyś musiało być domem. Przewodnik, ze swoimi zgarbionymi plecami i chudymi kończynami, przywodził na myśl wielkiego, zadziwiająco zwinnego pająka.

– W swoim życiu czytałem zbyt wiele śladów – podjął po chwili ulubiony wątek. – Również ślady bogów, którym się to nie spodobało.

– Ślady... bogów? – spytał Farhad.

– Na przykład ślady Kryszny – powiedział Muruganan, zatrzymując się przed poszczerbionym murem i odwracając do Farhada. – Bawił niedawno w tym mieście. Byłem bez pracy i ze zwykłej ludzkiej ciekawości tropiłem ślady Kryszny... i one zaprowadziły mnie do ciebie, przyjacielu Waraho.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

– Zadałem sobie pytanie, kim jesteś – powiedział.

– Sam już nie wiem – odparł Farhad i była to najszczerza prawda.

– Idź dookoła muru – polecił mu stary. – Tam ślady tygrysa się urywają.

Kiedy Farhad dotarł do końca muru, a następnie zgodnie z instrukcją Muruganana go okrążył, oślepiło go naraz światło. To było wielkie światło, które niemal wypaliło mu oczy. Zaciśnął powieki i potrzebował chwili, żeby zrozumieć to, co widzi. W nos buchnął mu gryzący odór palącego się drewna. Farhad pomyślał najpierw o stosach płonących na brzegu Gangesu, których dymy zasnuwały dniem i nocą całe święte miasto, ale potem zobaczył ogromną, promienistą i rozedrganą

kulę i krzyknął z przerażenia: palił się jakiś dom. Szopa czy coś w tym rodzaju.

Oniemiał ze zgrozy, wstrząśnięty, nieprzytomny ze strachu, ale już po chwili puścił się pędem przez leżące odłogiem pole w stronę płonącego budynku, a struchlałe serce łopotało mu w piersi jak schwytny ptak: Nitish, śpiewało jego serce. Nitish, Nitish! Czy to ty? Czy to naprawdę ty jesteś uwięziony w tych płomieniach? Ale jak? Dlaczego? Jak to się stało?

A potem usłyszał rozpaczliwe nawoływania tygrysa.

Płonące drewno huczało, aż uszy puchły, i pękało z trzaskiem, belki wspierające strop szopy stękały, skrzypiały i rzęziły, ale przez cały ten iście piekielny chaos Farhad posłyszał przeciągłe zawodzenie. Nie był to groźny ryk ogromnego, dumnego tygrysa, tylko żaloszny, chwytny za serce jęk małego kotka, który zgubił matkę.

– Idę do ciebie! – krzyknął przez ogień. – Nitish, ja już idę! Ja...

Nie dokończył, bo gęsty dym przeniknął mu do płuc i całym jego ciałem wstrząsnął atak kaszlu. W końcu udało mu się stłumić kaszel i przedzierał się krok za krokiem w stronę ognia, skąd napływał gorący wiatr, i wymachując rękami, parł do przodu jak taran napędzany potężną siłą desperacji. Ponieważ gdzieś tam, z drugiej strony tego piekielnego żaru, był Nitish. Nitish, magiczny biały tygrys, który w meczecie uratował go przed nożem Francuza. Nitish, który wyciągnął go z rzeki, kiedy szedł już na dno. Nitish, który mu pokazał, co to znaczy być prawdziwym przyjacielem.

Farhad osłaniał twarz rękami, szukając miejsca, gdzie mógłby się wdrzeć do płonącej szopy. Jeszcze stały wysokie drewniane ściany, jeszcze nie było za późno. Wielki kawał płonącego dachu runął naraz w dół; żar sypał się na wszystkie strony

i Farhad znów usłyszał płacz małego kota. Potrzebował czegoś, czym mógłby rozbić płonąca ścianę. Przecharte ogniem, poczerniałe deski nie mogły być już zbyt mocne. Rozglądał się w szaleńczym pośpiechu wokół siebie. Jego zażawione oczy dostrzegły długą belkę, która runęła wraz z częścią dachu. Już się nie paliła, w dalszym ciągu jednak żarzyła się niebezpiecznie.

Farhad nie zastanawiał się długo. A ściśle mówiąc, w ogóle się nie zastanawiał! I to właśnie wyróżnia prawdziwego bohatera spośród rzeszy zwykłych śmiertelników. Ci nadzwyczajni ludzie, ulubieńcy świata, robią po prostu pewne rzeczy, nie zastanawiając się ani przez sekundę nad ich następstwami, i jeśli im się uda, wówczas zachwycony świat śpiewa o nich pieśni. Zwykle jednak ci bohaterowie giną i ich czyny przepadają na wieki w pomroce niepisanej historii.

Farhad uniósł gołymi rękami rozżarzoną belkę, zamachnął się z całych sił i uderzył nią z impetem w ścianę. Zwęglone deski pękły z ogłuszającym hukiem. Sekundę później w płonącej klatce szopy powstał wyłom – wielki czarny otwór. I dopiero kiedy Farhad zobaczył ten otwór, poczuł palący żar w swoich dłoniach. Wrzasnął, zawył tak głośno, tak rozdzierająco, aż zdrząły ściany szopy, a płomieniste kłęby rozstały się na boki, i upuścił na ziemię rozżarzoną belkę. I kiedy już ją upuścił, znów zapomniał jakimś cudem o bólu, skoczył przez czarny otwór do środka w sam środek morza płomieni. I gdyby ktoś widział go w tym momencie, naprawdę uwierzyłby, iż ma przed sobą demona: w szkarłatno-złocistym wieńcu pełgających języków ognia, twarz i nagi tors poczerniałe od sadzy, usta wykrzywione do kolejnego okrzyku wściekłości i bólu, a pośród tej czarnej twarzy dwoje szeroko rozwartych oczu.

– Tygrysie! – krzyknął Farhad, walcząc z kaszlem. – Nitishu! Panie Właściwej Drogi! Masz ją przed sobą, swoją

właściwą drogę! Tutaj jest twój ratunek, twoje wyjście na świat! Chodź, chodź do mnie!

Żałosne kwilenie małego kotka zbliżało się do niego przez chaos tańczących płomieni.

Od zwęglonej więźby dachowej oderwał się jeszcze jeden kawał i runął z hukiem na ziemię tuż przed bosymi stopami Farhada. Przerażony, nadal jednak czujny, uskoczył w ostatnim momencie, ratując się przed niechybną śmiercią, dał susa przez czarne zgliszcza i prawie się zderzył z czymś wielkim i miękkim. Z czymś, co wyszło mu naprzeciw z ciemności.

Jedna ze ścian płonącej szopy przechyliła się teraz do wewnątrz. Farhad widział, jak sunie na niego, sypiąc złocistym deszczem iskier. Sunie na niego i na Nitisha. Zanim jednak runęła ostatecznie, by ich razem pogrzebać, Farhad odbił się bosymi stopami od poczerniałego klepiska i wskoczył jednym zręcznym ruchem na grzbiet tygrysa. Po czym ścisnął mu boki piętami jak koniowi i zakomenderował ochryplym głosem:

– Biegnij! Naprzód, przed siebie! Pochyl się! A teraz hop, przez dziurę w ścianie!

Skulił się, przywarł pokrytym sadzą ciałem do tygrysięgo grzbietu, a mimo to czuł, jak na jego nagie plecy spada kawałek płonącej ściany. Na czubku głowy poczuł raptownie ostry gryzący ból: to jego włosy zajęły się ogniem.

Farhad bił się po głowie poparzonymi dłońmi, widział wokół siebie pełzające z sykiem złociste języki, które oddalały się coraz bardziej i bardziej i w końcu pozostały w tyle. I wteclę zrozumiał – byli na zewnątrz, zostawili za sobą płonąca szopę. Z głośnym westchnieniem ulgi zsunął się z grzbietu tygrysa na ziemię i tarzał się jak szalony w młodej, zielonej trawie, którą zdążyła już wyrosnąć po ostatnim monsunowym deszczu.

Wreszcie udało mu się ugasić mały pożar na głowie i krótko potem zobaczył, jak ogień spełza po ścianach szopy. Jakby

mało mu było jeszcze dzieła zniszczenia, teraz zaczął przedzierać się przez pole na podobieństwo żarłocznej gąsienicy.

Świeża, wilgotna trawa monsunowa nie była jednak ani na tyle świeża, ani na tyle wilgotna, by powstrzymać ogień. Farhad próbował wstać, ale bez powodzenia. Z jego ciałem działy się jakieś dziwne, bardzo dziwne rzeczy, ponieważ w ogóle go nie słuchało. Chciał odpełznąć z tego piekła, chciał się przetoczyć dalej, ale również to mu się nie udało.

Ogień zbliżał się jak przyczajony, pochylony do ataku drapieżny kot. Farad zamknął oczy i dopiero wtedy poczuł, że żar osmałił mu również powieki. Zaraz, już za chwilę, za sekundę spłonie cała reszta. Zafascynowany nasłuchiwał. Więc tak to jest, kiedy się leży w ogniu. Więc tak czują się zmarli, kiedy pali się ich ciała na pogrzebowych stosach. Nie czuł bólu, tylko wielkie, przenikające całe jego ciało znużenie i dziwną nieobecność.

Czy jego spopielone szczątki też wrzucą zaraz do Gangesu? Tak samo jak małego żebraka Rahula? Oczami wyobraźni ujrział naraz wielkiego starego sępa, przewodnika stada, który wieszczył mu taki właśnie koniec, i uśmiechnął się z goryczą. Czuł teraz wszędzie wokół siebie płomienie, żarłoczne i gorące i coś pochwyciło go w zabójczo krzepkim uchwycie. „Więc to już? – pomyślał Farhad. – To... to chyba musi być śmierć”.

Nie bronił się. Po co? Czy można wygrać ze śmiercią? Krótko potem poczuł, jak jego ciało się roztapia, stając się miążskim szarym popiołem – najpierw palce u nóg, potem stopy, łydki i dalej w górę do kolan i do bioder... I coraz wyżej, i wyżej, i wyżej... Otworzył oczy i zobaczył, że leży na stosie nad Gangesem, nad samą rzeką, zaledwie metr lub dwa od tej wiecznie płynącej, świętej wody. Za ogniem i dymem spowijającym jego śmiertelny stos ujrział naraz ku swemu bezmier-nemu zdumieniu Maduraj – swoje miasto.

Zobaczył jego ulice i świątynie, słyszał głosy ludzi i wdychał w nozdrza odurzającą woń delikatnych białych girland z jaśminu, które kobiety wiły na targu kwiatowym, żeby ich klientki wplatały je w swoje kruczoczarne, błyszczące włosy. W tym momencie przyszło Farhadowi na myśl, że może tylko śni.

– Tak to jest – powiedział Francuz lub Brytyjczyk, jego stary znajomy z więzienia. – A ja nie jestem w rzeczywistości żadnym Brytyjczykiem. Jestem polskim emigrantem, a moje nazwisko brzmi Richardson-Olszewski...

Nitish lizał rękę Farhada, jak to robił nieustannie w mionych dniach, i obserwował jego twarz. A twarz Farhada drgała niespokojnie. Ale nie zabierał ręki. Nawet kiedy biały tygrys uszczypnął go z największą ostrożnością w ramię swoimi ostrymi zębami, nie poruszył się. Ani trochę.

Nitish przypatrywał się, jak kobieta z krzywym nosem kładzie wilgotną chustę na czole Farhada, po czym delikatnie ją przyciska. Jemu nie poświęcała większej uwagi, chociaż także poniósł straty. Nienasycony ogień pożarł wszystko: całe kawały jego śnieżnobiałego futra, wyjątkowo piękną sierść na czubku ogona, wąsy i najbardziej wrażliwe ze wszystkich włoski tuż nad oczami.

A i Farhad leżał na macie ze słomy ryżowej jak ktoś, kto ofiarował swoje włosy świątyni – włącznie z brwiami. Ktoś, kto robi nowy początek.

– Przynajmniej pozbył się wszy – powiedziała kobieta z krzywym nosem i uśmiechnęła się lekko. – Założę się, że miał mnóstwo tego świństwa. Oni wszyscy mają tego mnóstwo, ci, którzy żyją na ulicy. Moi mali żebracy są tego najlepszym dowodem.

Nitish leżał od trzech dni obok Farhada na glinianym kłepisku i obserwował z niepokojem swojego dziwnie spokojnego

go, nieruchomego pana. Wyniósł go z pola niemal w ostatniej chwili, zanim ogień zdążył mu się dobrać do skóry. Chwycił bohatera zębami za nogawkę i czym prędzej odciągnął od ognia. Potem włókł go po ziemi jak bezwładną kukłę. Daleko, bardzo daleko ciągnął go za sobą, aż w końcu spotkał gdzieś na przedmieściach tę młodą kobietę. Była bardzo bystra i w lot zrozumiała, co trzeba zrobić. I równie szybko wzięła się do pracy. Nitish miał nieodparte wrażenie, że ta kobieta zna Farhada. Ale skąd...?

Kiedy usunęła z jego prawego ramienia na wpół zwęgloną przepaskę, coś się z niej wytoczyło: Nitish parsknął ostrzegawczo. Natychmiast to rozpoznał. To coś lśniło jasno i purpurowo w świetle małego ogniska płonącego pośrodku chaty, lśniło krwawo i złowieszczo. Biały tygrys i kobieta cofnęli się równocześnie.

Krwawy Kamień.

Kobieta nawet go nie dotknęła. Rozpostarła nad nim chustę, po czym wsunęła go ostrożnie pod małą skrzyneczkę, na której ustawiła swój domowy ołtarzyk. Od czasu do czasu rzucała nieufne spojrzenie na zawiniątko pod ołtarzykiem. I chociaż wydawała się z całego serca nie cierpieć tego purpurowego kamienia, pielęgnowała Farhada z wielkim oddaniem i pozwoliła Nitishowi spać w swojej chacie.

Mąż kobiety trochę się przestraszył, kiedy późnym wieczorem przyszedł do domu i zastał tam ogromnego białego tygrysa. Ale kobieta, która wiele rozumiała, nie zadając zbędnych pytań, wyjaśniła mu z całym spokojem, że tak musi być i już. Biały tygrys musi dreptać w ich chacie, a ranny chłopak musi leżeć na macie ze słomy ryżowej.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała do swojego męża – o co chodzi z tą dziwną dwójką. Ale spójrz tylko na to niezwykle

znamię na jego czole: dokładnie pomiędzy brwiami. Czy to ci nic nie mówi? To przecież taki sam znak, jaki każda kobieta w Indiach maluje na swoim czole. Znak, który kapłani malują kolorowym proszkiem na czołach tych, którzy szukają u nich rady. Jest w tym coś, co przerasta nas, prostych ludzi, i co wykracza daleko poza granice naszej wyobraźni. Coś świętego.

Mąż wzruszył ramionami, rzucając tygrysowi raz za razem nieufne spojrzenia. W końcu burknął, że nie ma pieniędzy, by żywić jeszcze dwie gęby.

Ale potem ranny chłopak zaczął majaczyć w gorączce. Opowiadał historię – dziwną, przedziwną, poplątaną historię, w której kolejność wydarzeń nie była do końca jasna dla jego słuchaczy. Historię o bohaterze, który spotkał Krysznę w świętym gaju, nad sadzawką z lotosami. Historię o białym tygrysie i o pięknej księżniczce, i o królu demonów, i o jego opętanym słudze. Zagmatwaną i poplątaną, ale cudowną. Baśń tak iskrząca się wszystkimi barwami tęczy, barwami Indii i tak pełną przygód jak marzenia ludzi w ubogich chatkach w Waranasi. Baśń zbyt baśniową, by mogła kiedykolwiek stać się prawdą, chyba że w marzeniach. I od tego czasu mąż kobiety przestał burczeć pod nosem. Jeszcze tylko niekiedy, z rzadka, gdy głodny Nitish pochłaniał z apetytem kolejny talerz pełen ryżu i soczewicy, głośno przy tym mlaskając, rzucał posążkowi Kryszny stojącemu na domowym ołtarzyku pełno wyrzutu spojrzenie.

Nitish był nie tylko wiecznie głodny. Martwił się, i to wiele nie na zapas. Obserwował księżyc, który noc w noc z okrągłał się niebezpiecznie, i czuł z drżeniem swego tygrysięgo serca, jak czas przecieka nieubłaganie po jego przegowanym futrze. Gdyby nie był tygrysem i gdyby miał zegarek, a jeszcze do tego potrafił się nim posługiwać i czytać małe cyferki na jego okrągłej tarczy, wówczas co pięć minut spoglądałby

tę tarczę i drapał niecierpliwie pazurami po glinianym klepisku chatki.

Pozostało tak niewiele dni do tej najstraszniejszej ze wszystkich pełni księżyca, kiedy to król demonów Rawana pojmie za żonę córkę Kryszny, by uprowadzić ją na zawsze do swojego czarnego królestwa, gdzie stanie się taka sama jak on. Cóż za straszna, przerażająca wizja! Nitish wstrząsnął się ze zgrozą na tę myśl, przewracając przy tym małą niebieską komodę w czerwone kwiaty. Młoda kobieta z krzywym nosem westchnęła cicho, po czym postawiła ją z powrotem, nie robiąc mu żadnych wyrzutów. Również ona martwiła się o chłopca, który od trzech dni leżał tak spokojnie i nieruchomo na cienkiej macie ze słomy ryżowej przy ścianie jej chatki. W przeciwieństwie do swego ogromnego towarzysza na czterech łapach jej drugi gość zabierał tylko nieco więcej miejsca niż cień.

Już pierwszego dnia grubo posmarowała jego ręce maścią, ponieważ były czarne jak węgiel. Głębokie rany pokrywały całe jego ciało, a gorączka wstrząsała nim od czasu do czasu jak demon. W przerwach między gotowaniem i łataniem starej odzieży kobieta modliła się do małych bóstw na swoim ołtarzyku, żeby znów przywołali do życia tego biednego chłopca. Ale bogowie najwyraźniej nie mogli się zdecydować.

Nitish widział czasem, jak Farhad śni. Jego wychudłą twarz wykrzywiał bolesny skurcz, a powieki trzepotały jak niespokojne motyle. Wtedy Nitish pomrukiwał z cicha, niekiedy zaś pozwalał sobie nawet na przytłumione parsknięcie. Ponieważ potrafił mówić tylko niebezpiecznym błękitem swoich oczu, łopóki spojrzenia Farhada było zwrócone do wewnątrz, słowa białego tygrysa nie były w stanie go dosięgnąć.

Chłopak miał teraz na czole ranę, której kobieta nie odważyła się posmarować maścią. Znajdowała się ona pomiędzy

oczami Farhada, dokładnie w tym miejscu, gdzie bóg Sziwa ma trzecie oko, gdzie kapłani w świątyni malują znak błogosławieństwa, a hinduskie kobiety noszą naklejone bindi, trzecie oko, które ma je ochraniać.

Kobieta z krzywym nosem była pewna, że rana jest święta. Przeczowała, iż ten chłopak musi być kimś bardzo szczególnym, kimś wyjątkowym, i nawet jeśli nosił ze sobą przeklęty Krwawy Kamień, będzie go pielęgnować tak długo, aż bogowie podejmą ostateczną decyzję. A kiedy już to zrobią, wówczas zobaczy go albo płonącego na stosie, podobnie jak tego nieboraka Rahula, a wtedy wrzuci ów jajowaty purpurowy klejnot do Gangesu. Albo – jeśli bogowie zdecydują inaczej – zobaczy go odchodzącego z jej chatki na przedmieściach i w tym przypadku zachowa w swoim sercu wiedzę, że ona, Sathia z Waranasi, jest częścią jego wielkiej, boskiej przygody. „A to już nie było co! – pomyślała z cichą radością w sercu. – Znacznie więcej, niż może o sobie powiedzieć większość ludzi”.

Farhad nadal leżał w gorączce i śnił pogmatwane, niedorzeczne sny. W swoich snach nadal był przekonany, że umarł. W strugach deszczu, w szkłście przejrzystej kurtynie dwóch chudych i wysokich kapłanów przesypywało resztki zwilgotniałych popiołów Farhada do Gangesu. Czuł, jak woda go przyjmuje. Kapłani nie patrzyli za nim, odwrócili się na pięcie i pospieszyli do swoich izdebek, żeby się osuszyć. A Farhad zjednoczył się z żywiołem wody. Ganges opływał go miękko i łagodnie, przytulając do swojej piersi jak najczulsza matka i nawet jeśli nie było nikogo, kto rzuciłby za nim choćby garstkę kwiatów nagietka, to jednak czuł się przecież w cudowny sposób uhonorowany.

I kiedy Nitish dreptał niecierpliwie w niskiej chatce tu i tam, tu i tam, pomrukując z cicha, Farhad śnił dalej, śnił

o niecnym królu demonów Rawanie i o jego pierwszym słudze Suryakancie, którego pożądlive spojrzenie od tylu lat wypatrywało z tęsknotą Krwawego Kamienia. Śnił o wielorękich bóstwach i o świętej górze Kailash, na której przed wiekami zamieszkał Sziwa. Śnił i śnił, i śnił, aż wśnił się do początku świata i zagubił się gdzieś tam w kosmicznych przestrzeniach czasu pod powierzchnią rzeczywistości.

Niekiedy w jego snach pojawiała się księżniczka. Niestety, nie pozostawała nigdy zbyt długo i Farhad znów gnał samotnie przez niespokojną i zmienną ciemność. Po raz ostatni widział księżniczkę we wnętrzu małego srebrnego amuletu, na lekko pożółkłej, nieostrej fotografii. Teraz, poza tą fotografią, była jeszcze piękniejsza. Skąd wiedziała, że był tutaj, w tej niepojętej krainie, po drugiej stronie rzeczywistości? Czyżby naprawdę zawsze wiedziała, co się z nim dzieje?

Tylko raz, jeden jedyny raz podczas tej długiej sennej wędrówki księżniczka wyciągnęła do niego rękę i otworzyła usta, żeby mu coś powiedzieć.

Wtedy się obudził.

– Farhad! – powiedziały oczy Nitisha pełne błękitnego zdumienia. I już po sekundzie zabłyśły radośnie. – Farhad, ty żyjesz! Nareszcie wróciłeś!

– Gdzie? – spytał Farhad oszołomiony.

Z największą ostrożnością obrócił głowę i stwierdził ze zdumieniem, że mu się to udało! Zachęcony poruszył najpierw lewym, a potem prawym ramieniem. Również i to było zadziwiająco proste. Potem spojrział na swoje dłonie – i dopiero wtedy naprawdę się zdziwił. Były ukryte pod grubymi warstwami bandaży, a kiedy je podniósł do twarzy, żeby się im bliżej przyjrzeć, poczuł, że pachną gorzko-słodką maścią. Od tego zapachu zrobiło mu się niedobrze.

– Nitish! – szepnął. – Stary tygrysie! Myślałem, że nie żyję, przysięgam. We śnie deszcz ugasił mój stos pogrzebowy, a jacyś ludzie wysypali moje prochy do Gangesu.

– Sny! – powiedziały oczy Nitisha z przyganą. – Tylko sny. Czasem mówią prawdę, a czasem nie. Tutaj, drogi przyjacielu, nikt nie wsypywał twoich popiołów do Gangesu, a wiesz dlaczego? Ponieważ ja cię uratowałem. Byłem bohaterem. Odciągnąłem cię od ognia, a on był zbyt wolny, żeby mnie dogonić. A potem znalazłem dla ciebie to cudowne schronienie.

Farhad uśmiechał się lekko, widząc, jak biały tygrys pęcznieje z dumy.

– Gdzie jestem? – spytał, rozglądając się po chacie.

Wtedy pochyliła się nad nim jeszcze jedna twarz. Ludzka. Znał tę twarz...

– Jesteś w dobrych rękach – odparły usta w twarzy. – Nie martw się. Nic ci już nie grozi. Będę się tobą opiekować tak długo, jak będzie trzeba, aż wyzdrowiejesz.

– Przecież to... to ty! – chciał wykrzyknąć Farhad, ale wy dobył z siebie tylko ochryply szept i wstrząsnął nim gwałtowny kaszel.

– To sadza! – pokiwała głową kobieta. – Sadza w twoich płucach.

Farhad próbował uporządkować myśli.

– Ile dni nam jeszcze pozostało? – spytał wreszcie powoli i ostrożnie, żeby nie poruszyć znów sadzy w płucach. – Ile mamy dni do następnej pełni księżyca?

Kobieta z odrobinę krzywym nosem zastanowiła się.

– Cztery – powiedziała.

Farhad aż podskoczył z wrażenia, ignorując bolesne pulsowanie pod czaszką i palenie niezliczonych ran na swoim poparzonym ciele.

– Cztery dni! – szepnął przerażony. – Nitish, musimy natychmiast się zbierać, słyszysz? Tylko cztery dni, a miasto, które na nas czeka, leży w samym sercu pustyni Thar...

Nitish ziewnął i przeciągnął się. Jego koci grzbiet niemal dotykał niskiego, pokrytego liśćmi palmy sufitu chatki.

– Jeśli o mnie chodzi, to w tej sekundzie! – W jego spojrzeniu widoczne było coś w rodzaju mrużenia. – Czekałem tylko na ciebie. Musisz wiedzieć, że przez cały ten czas ciebie tu nie było. Leżało tu tylko twoje ciało. A bez ciebie jakoś nijak było mi wyruszać na pustynię. Chyba sam rozumiesz?

Farhad skinął głową i zagryzł zęby, próbując wstać.

Kobieta położyła mu ręce na ramionach i popchnęła delikatnie, ale bardzo stanowczo z powrotem na matę.

– Nigdzie się nie wybierasz – powiedziała. – Twoje ręce są strasznie poparzone. Spójrz tylko, wyglądają jak dwie szczapy drewna. Całe twoje ciało nosi ślady ognia. A twoja głowa nadal gorączkuje. Jesteś słaby i zupełnie bez sił. Nie ujdiesz nawet trzech metrów.

Farhad spojrział na nią wzrokiem, w którym malowała się cicha prośba, i wskazał na mały srebrny amulet. Kobieta otworzyła go ostrożnie i pochyliła się nad wizerunkiem księżniczki. Znow uleciało zeń nieco brunatnej mgiełki i z wyjątkiem kilku maleńkich płamek obraz był teraz całkiem wyraźny.

– Ona czeka – powiedział Farhad z powagą. – Czeka na mnie. Jeśli nie przybędę na czas, władca demonów Rawana zabierze ją na zawsze z tego świata.

Kobieta pocierała w zamyśleniu swój odrobinę krzywy nos. „Być może – pomyślał Farhad – ta poczciwa niewiasta urodziła się z idealnie prostym nosem, ale potem po prostu za dużo się zastanawiała”.

– Jedziesz na pustynię? – spytała nagle.

Farhad skinął głową.

– Spotkałam tego Anglika – powiedziała. – Kilka dni temu... Mężczyznę, który jest winien śmierci Rahula. To zły człowiek. Zdaje się, że nadal szuka tego...

Rozejrzała się szybko dookoła.

– No wiesz, tego klejnotu. Spytał mnie, czy nie widziałam kogoś, kto pasuje do twojego rysopisu. To znaczy do twojego rysopisu, zanim wpadłeś w ogień.

Zachichotała cicho i znów wzięła się do pocierania nosa.

– Nie wiedziałam, dokąd się wybierasz. Nic nie mówiłeś o celu swojej podróży, kiedy się spotkaliśmy przy stosach nad Gangesem. Dlatego wysłałam tego obmierzłego Anglika w kierunku, który uznałam za błędny. Chciałam pokrzyżować mu szyki. Powiedziałam więc, że owszem, że cię widziałam, i że jesteś już w drodze...

Zająknęła się.

– ...na pustynię – dokończyła niemal szeptem.

– O nie! – jęknął Farhad.

– Pustynia jest wielka – powiedziała kobieta, zostawiając wreszcie w spokoju swój nos – i z łatwością można na niej kogoś zgubić, ale znaleźć to już całkiem inna sprawa. Na pustyni z reguły nikogo się nie znajdzie. A już na pewno nie przez przypadek.

– Wcale nie byłbym tego taki pewien – odparł Farhad, chwytając się futra Nitisha, żeby podciągnąć się do góry.

Niesporo mu to szło, w końcu jednak udało mu się stanąć. Chata wirowała wokół niego jak szalona.

– Gdzie jest Krwawy Kamień? – spytał.

Kobieta położyła palec na ustach.

– Nie mów o nim – szepnęła. – W zupełności wystarczy, że musisz go mieć przy sobie, żeby uratować swoją księżniczkę!

Podeszła do ołtarzyka i stopą wygarnęła spod niego zawłókniatko, a potem pomogła Farhadowi umocować je w przepaść.

ce na ramieniu. Przez cały czas uważała jednak, by nie dotknąć kamienia.

– Dziękuję – powiedział Farhad. – Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Nie mogę wam nic ofiarować prócz opowieści.

– Tę już mam! – powiedziała kobieta i uśmiechnęła się. – Już mi ją opowiedziałeś. Gorączka poprowadziła twój język we właściwym kierunku. Niech twoje stopy też cię poniosą tam, dokąd zamierzasz. Nie zapomnę was. Ale poczekaj, mam tutaj coś dla ciebie – dodała i wręczyła Farhadowi białą koszulę, starą, wysłużoną i wiele razy łataną, ale czystą. – A teraz pora ruszać w drogę. Straciliście już zbyt wiele czasu. Może kiedyś znów się spotkamy, jeśli nie w tym życiu, to w następnym, a ty będziesz mógł wtedy opowiedzieć mi zakończenie waszej historii.

Farhad skinął głową, jeszcze raz podziękował, po czym wdrapał się na grzbiet tygrysa i zostawili wreszcie za sobą Miasto Światła.

Kobieta długo jeszcze stała w wąskiej uliczce przed swoją ciasną chatką i muskała zatroskana grzbiet odrobinę krzywego nosa.

– On nawet nie wie – szepnęła – że ma trzecie oko, wypalone jak piętno na czole.

Wreszcie pochyliła się i wśliznęła z powrotem do chatki, żeby żyć dalej swoim życiem pomiędzy gotującym się ryżem a łataniami ubrań. I żeby czekać na wieczory, które od tego dnia stały się dla niej czymś w rodzaju osobistego święta. Kiedy zapadał zmrok, do jej chatki schodzili się sąsiedzi, a ona wciąż na nowo opowiadała im tę nieprawdopodobną historię o bohaterze i jego białym tygrysie.

Arak

Farhad leżał na grzbiecie tygrysa jak martwy.

Razem z wiatrem przekroczyli Allahabad, gdzie trzy wielkie rzeki Ganges, Dżamuna i Saraswati zlewają się w jednym, po trzykroć świętym punkcie. Razem z chmurami przemknęli obok starej kopulastej fortecy Gwalior, która spoglądała z góry na miasto, niegdyś tak wspaniałe, a teraz rządzone przez Anglików, i wspominała lepsze dni.

Razem z zachodzącym słońcem przybyli do Dżajpuru, słynnego Różowego Miasta, którego domy lśniły w wieczornym świetle niczym malowidło. Maharadża Dżajpuru od dłuższego już czasu żył w dobrej kołomywie z Brytyjczykami. Przed kilku laty, szykując się do wizyty księcia Alberta, polecił pomalować całe miasto na kolor królewskiej purpury. Niestety, nie wziął pod uwagę, iż w ostatecznym efekcie wyjdzie z tego róż. Książę Albert czuł się z lekka oszołomiony, widząc ten wszechobecny róż. Żaden człowiek z Wielkiej Brytanii nie czułby się komfortowo, idąc różowymi ulicami.

Teraz wszakże ów róż komponował się znakomicie ze szkarłatnozłotymi barwami zachodzącego słońca i zmęczone spojrzenie Farhada wędrowało po nim z uśmiechem. Był jed-

nak zbyt wyczerpany, by podziwiać miasto z większym entuzjazmem. Bolały go rany na całym ciele. Na domiar złego czuł nieustanne pulsowanie w poparzonych dłoniach, jak gdyby krew w jego żyłach pragnęła mu przypomnieć, że nie zostało już zbyt wiele czasu, by dotrzeć do miasta w sercu pustyni. Nie odwinął bandaży, choć nie było mu w nich łatwo przytrzymywać się swojego wierzchowca. Teraz bał się tego, co znajdzie pod grubymi warstwami bawełny.

Kiedy dotarli do pierwszych domów Dżajpuru, różowozłocisty zachód słońca ustąpił już granatowemu zmrokowi.

– Przenocujmy tutaj – szepnął Farhad w białe ucho tygrysa.
– Za Dżajpurem zaczyna się pustynia, a żaden z nas jej nie zna. Myślę, że będzie lepiej, jeśli staniemy jej naprzeciw w świetle dnia.

Nitish odwrócił się do niego, a jego błękitne oczy krytycznie zmierzyły Farhada.

– Nie wyglądasz, jakbyś w ogóle był zdolny stanąć na własnych nogach. Nie tylko naprzeciw pustyni.

– To prawda – przytaknął Farhad ze słabym uśmiechem. – Ale też wcale nie mam zamiaru na nich stawać. Ty będziesz mnie nieść.

– Tak właśnie myślałem! – parsknął Nitish. – W tej podróży i tak nie mam nic lepszego do roboty. – Rozejrzał się. – Gdzie zatem przenocujemy? Tutaj, w mieście?

– Nie wiem – westchnął Farhad. – Poza tym przydałoby się znaleźć coś do jedzenia.

Wędrowali już niemal całą dobę, nie zatrzymując się ani razu na dłuższy odpoczynek. W liściastych lasach otaczających Gwalior, gdzie zrobili sobie krótki popas, Nitish upolował dorodną antylopę, ale większą część jej soczystego mięsa pozostawił z żalem, ponieważ wraz z czerwoną, ciepłą krwią antylopy niepowstrzymanie płynął czas.

Farhad wyprostował się na grzbiecie tygrysa i rozejrzał dookoła. Proste, szerokie ulice Dżajpuru obracały się wokół niego niczym geometryczny wzór dywanu.

– Jestem strasznie zmęczony. Cała siła ze mnie uszła – stwierdził ze złością. – Nie mam nawet tej odrobiny siły, żeby ukraść coś do zjedzenia.

– Mógłbym w ostateczności... – zaczął ostrożnie tygrysa, spoglądając spod oka na swojego znużonego jeźdźcę.

– Nie! – ostro zaprotestował Farhad. – Nie mógłbyś! Czy mam ci przypomnieć, co się stało, kiedy nie tak dawno chciałeś capnąć połowę kozy?

– Och, no, hm – bąknął Nitish i zamilkł.

Zwolnił kroku i biegł teraz w cieniu wysokich domów wspaniałej ulicy. Farhadowi przemknęło przez głowę, że ta ulica świetnie nadawałaby się do procesji, nie był więc szczególnie zaskoczony, kiedy zaraz potem okazało się, iż rzeczywistość jest zatarasowana przez jakąś procesję.

Procesja ta, widziana od tyłu, składała się z mnóstwa wielkich szarych ciał, które wyrosły przed tygrysem niczym osobliwe, ciężkie sny rozpoczynającej się nocy. Tworzyły jedyny w swoim rodzaju podwójny rząd, jak szkolna klasa złożona z monstrualnych, kołyszących się i przelewających na bok wytworów fantazji.

– Słonie – stwierdził ze zdumieniem Nitish. – Czy mam je przeskoczyć?

– Nie, przecucie mi mówi, że już niebawem znajdziemy coś do jedzenia.

– Nie sądzę – wpał mu w słowo Nitish, krzywiąc się z obrzydzeniem – żeby słonie były smaczne.

– W tym kraju słonie bardzo rzadko wędrują bez celu i bez swoich kornaków. Pochód słoni może oznaczać święto, a święto może oznaczać ucztę.

– Świetnie – odparły oczy Nitisha. – Więc po prostu się do nich przyłączę i będę udawał, że też jestem słoniem.

Dostosował się do powolnego tempa wielkich zwierząt i dreptał za nimi statecznie, a Farhad, pomimo wycieńczenia i palącego pulsowania w dłoniach, musiał roześmiać się w głos. Biały tygrys podreptał jeszcze chwilę, po czym zniecierpliwiony pomknął do przodu, na czoło procesji, i wśliznął się między dwa słonie, które zaczęły niespokojnie sapać.

W słabym świetle gwiazd Farhad zobaczył, że ich ciała były pomalowane białą farbą. Wyglądały niczym ruchome dzieła sztuki, które jakiś domorosły artysta wypełnił całym mnóstwem esów-floresów, zygzaków, kwiatów i symboli, przede wszystkim zaś przynoszących szczęście magicznych znaków.

Na każdym z tych wielkich, majestatycznych zwierząt siedział jeździec w bogato zdobionym siodle. Mężczyźni spoglądali przed siebie prosto w noc i nawet nie zauważyli dziwnych przybyszów, którzy dołączyli do procesji.

– Przepraszam! – krzyknął po chwili Farhad do jednego z tych dumnych mężczyzn. – Co to za święto?

Mężczyzna odwrócił głowę i osłupiał. Zakołysał się na wysokim grzbiecie słonia i chłopak przestraszył się, że może spaść, ale jeździec w ostatnim momencie złapał równowagę. Teraz również pozostali mężczyźni wpatrywali się w Farhada i Nitisha.

Wydawali się nie wierzyć własnym oczom – oto tam, w środku procesji, jechał obcy, wysmarowany sadzą chłopak na białym tygrysie. Wśliznął się bezszelestnie jak duch, niezręczysty niczym nocna mara.

– Świętujemy dziś zaślubiny męznego Barata Singha z Lailą, córką wielkiego kupca Kumara Sandera Pratapa – drżącym głosem odpowiedział mężczyzna, którego zagadnął Farhad.

– W takim razie jesteście tam, gdzie trzeba – powiedział Farhad, który nigdy w życiu nie słyszał żadnego z tych imion i któremu były one również serdecznie obojętne. – W takim razie trafiliśmy pod właściwy adres.

– Skąd przybywacie? – zapytał jeden z kornaków.

– Z daleka, z bardzo daleka – odparł chłopiec z powagą. Przesłano nas, by w ten niezwykły, uroczysty wieczór przekazać młodej parze pozdrowienie od bogów.

– Kto was przysłał?

– Kryszna nas przysłała – wyjaśnił Farhad, podkreślając swoje słowa szerokim gestem – i południowoindyjski wiatr ciągnął dalej – deszcz monsunowy w Gai nas przysłała, bogini rzeki Ganga i święte ognie w Waranasi przysyłają nas i wszyscy, wszyscy bez wyjątku mnisi jałmużnicy z całego kraju.

– Ale potrafi gadać! – krzyknął jeden z poganiaczy słoni. Dlatego bez względu na to, kto cię naprawdę przysłał, bądź pozdrowiony na święcie Barata Singha! Kiedy noc urosnę i zmorzy nas sen, może się zdarzyć, że będziemy potrzebować twoich słów.

– Czy twój tygrys nie robi nikomu krzywdy? – dopytywał się inny kornak.

Nitish zamruczał ostrzegawczo.

– Ależ nie, skądże znowu! – pospieszył z wyjaśnieniem Farhad. – Dopóki nikt go nie rozdrażni, nie robi użytku ze swoich kłów i pazurów. Ale teraz jest strasznie głodny – dodał znacząco. – A głód czasem go rozdrażnia.

Podążali wraz z procesją i w końcu dotarli do bajecznie przystrojonej sali weselnej, która błyszczała w świetle tysięcy lamp niczym przesadnie wypolerowane gwiazdziste niebo.

Długie ławki wypełniały całą tę ogromną salę, a tuziny ludzi wypełniały długie ławki, i wciąż jeszcze napływało coraz więcej weselników. Farhad widział już w swoim życiu kilka

wesel, na których zawsze coś tam podkradł, coś tam podjadł. Ale to tutaj było wspanialsze niż wszystkie dotychczasowe wesela razem wzięte.

Ktoś przy wejściu zmierzył go wzrokiem z lekką podejrzliwością, po czym wręczył mu pachnące nowe dhoti i świeżą koszulę.

– Włóż to lepiej na siebie – powiedział strażnik, posyłając mu kwaśny uśmiech.

Farhad owinął posłusznie dhoti wokół bioder, wciągnął koszulę i wmieszał się w tłum weselników.

Na wysokim podeście na samym końcu sali weselnej znajdowali się Barat Singh, Laila Kumar i kapłan. Cała ta trójka była bez reszty pochłonięta odprawianiem jakichś zawiłych rytuałów, których Farhad nie rozumiał, co jednak wcale go nie spieszyło. Kto by tam interesował się czymś takim! Te weselne rytuały, w których znaczącą rolę odgrywały nieprawdopodobne ilości ryżu, kwiatów, kadzidełek i świętego ognia, potrwają zapewne do bladego świtu, a może jeszcze dłużej. Farhada jednak naprawdę interesowało tylko jedzenie.

W tym miejscu należałoby wyjaśnić, iż tradycyjne hinduskie wesele wygląda dla postronnego obserwatora następująco: goście chodzą to tu, to tam, przez dłuższą lub krótszą chwilę przysłuchują się kapłanowi, znowu znikają, znów wracają, w międzyczasie ucinają sobie krótką drzemkę. Słowem, panuje niebywałe zamieszanie. Dzięki niemu biały tygrys nie zwrócił niczyjej uwagi.

Farhad nie zabawił długo w sali weselnej. Dość szybko odkrył boczne drzwi, przez które wymknął się już po chwili na wielki dziedziniec. Tam w końcu znalazł to, czego szukał – nieograniczoną ilość jedzenia, które pałaszowała z apetytem równie nieograniczona liczba gości weselnych. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku siedzieli zgodnie jeden przy drugim

na ziemi w długich rzędach, tocząc palcami kulki z białego pachnącego ryżu, który piętrzył się na zielonych liściach bananowca. Całość wyglądała jak malowidło.

Nitishowi przypadła cała góra kości z kurczaka. Głodne, wychudzone psy przysiadły z podkulonymi ogonami w kurzu, zdumione tak niezwykłą konkurencją.

Farhad nie skończył jeszcze jeść, kiedy poczuł, że jakaś mała dłoń dotyka lekko jego łokcia. Wzdrygnął się, ponieważ właśnie na tym łokciu ogień pozostawił ślady swoich ostrych zębów.

– Co się stało z twoimi rękami? – spytał nikły głosik, który świetnie pasował do dłoni.

Farhad obejrzał się i w półmroku dziedzińca zobaczył wielkie, ciemne oczy w trójkątnej twarzyczce obramowanej dwoma warkoczykami związanymi wstążką. Przyjrzał się bliżej całej dziewczęcej postaci, którą ocenił na osiem lub dziewięć lat.

Dziewczynka miała na sobie czyste, ale połatane pundżabi i patrzyła na niego oczyma pełnymi powagi.

– Wpadłem na wspaniały pomysł, żeby podnieść płonącą belkę – odparł chłopak z pewną goryczą.

– Dlaczego? – spytała dziewczynka.

Zabrzmiało to szalenie rzeczowo, nie jak naiwne i proste pytanie kilkuletniego dziecka, ale zdecydowanie bardziej jak pytanie dorosłego, który sporządza protokół.

– Musiałem uwolnić przyjaciela z płonącej szopy – odrzekł Farhad.

Mała skinęła głową.

– Potrzebujesz nowego opatrunku – powiedziała i chwyciła Farhada za przegub prawej ręki. – Spójrz tylko na to! Twój stary opatrunek jest taki brudny, jakbyś wytarł nim cały kurz stąd do Waranasi.

– Ejże! Daj mi spokój, dobrze?

Zanim zdążył zabrać rękę, już rozwiązała zręcznie stare bandażę i przyglądała się krytycznie jego dłoni. Zmarszczyła przy tym czoło w niebywale dorosły sposób i gdyby własna dłoń nie przeraziła go tak bardzo, pewnie uśmiełby się do rozpuku. Jednak dłoń Farhada była poprzerzynana głębokimi, niegojącymi się ranami, których wydzieliną przemoczyła na wylot grube bandażę.

– Drzewo neem – powiedziała dziewczynka.

– Co takiego?

– Liście drzewa neem. To jest właśnie to, czego potrzebują twoje ręce.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Skąd o tym wiesz?

– Od mojej matki – powiedziała dziewczynka z dumą. – Wyleczyła wielu ludzi w naszej dzielnicy. Brytyjczycy zatrudnili ją nawet w swoim szpitalu, żeby pielęgnowała chorych na malarię i rannych. Ale ci głupi Brytyjczycy nie chcą nawet słyszeć o drzewie neem. Dlatego ich rany się nie goją, a ich chorzy na malarię umierają.

– Czy nie mogłabyś wobec tego przyprowadzić tutaj swojej matki? – zapytał chłpoak zirytowany.

Czuł bolesne pulsowanie w ranach, które potęgowało jeszcze jego irytację, i wreszcie udało mu wyrwać rękę dziewczynce.

– Nie – odparła mała stanowczo.

– A czemu to? – spytał Farhad.

Czy ta mała mądrała nie mogłaby go wreszcie zostawić w spokoju?

– Ponieważ od dwóch tygodni nie żyje – powiedziała dziewczynka. – Umarła.

– Och, bardzo mi przykro – bąknął stropiony. – Co się z nią stało?

Mała nie odpowiedziała. Milczała, przyglądając mu się dziwnie, jakby porównywała go z kimś.

– Obiecaj, że będziesz siedzieć cicho, kiedy ja będę ci opatruwać ręce. Tam na końcu podwórza rośnie drzewo neem.

– Dlaczego mam ci to obiecać?

– Żebym mogła ci opowiedzieć, dlaczego opatruję twoje ręce i dlaczego moja matka nie żyje.

Farhad patrzył za nią zdumiony, kiedy zniknęła zaaferowana w mroku wąskiego długiego podwórza. To dziecko było niepodobne do żadnego innego, z którym miał do tej pory do czynienia. I mówiło zagadkami.

Rozejrzał się za Nitishem, na którego wsparcie bardzo teraz liczył, ale w jego błękitnych ślepiach migotały figlarne ogniki.

– Wielki bohater ma pietra przed małą dziewczynką – mówiło jego spojrzenie z rozbawieniem.

Farhad odwrócił się rozżłoszczony.

Kiedy mała wróciła, niosła w swoim pundżabi kilka garści drobnych, okrągłych i ciemnozielonych listków. Farhad przyglądał się nieufnie, jak odwiązuje bandażę również z jego drugiej ręki, po czym rzuca je z obrzydzeniem na ziemię. Potem zabierała się do sporządzania nowego opatrunku. W pierwszej kolejności jednak wzięła się do niszczenia jego nowej koszuli, drąc ją kawałek po kawałku. Potem obłożyła grubo listkami drzewa neem jego poparzone dłonie i owinęła je starannie pasami materiału.

– To był ogień – powiedziała dziewczynka. – Ciebie tylko ugryzł, a moich rodziców pożarł. Nafta. Jest bardzo praktyczna. Polewa się nią rozmaite rzeczy, a one natychmiast stają w płomieniach, wystarczy tylko iskra. Mój ojciec był strasznie wściekły na moją matkę, a nafta pomogła mu jeszcze bardziej się rozwścieczyć. Ale zabiła oboje. Nie widziałam tego. Sita to widziała. Powiedziała, że było bardzo jasno.

Farhad nic nie powiedział. Rzeczowy sposób, w jaki ta mała dziewczynka relacjonowała śmierć swoich rodziców, sprawił, że zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Był inny mężczyzna – wyjaśniła dziewczynka i umocowała lepiej nowy opatrunek. – Jeden z tych, których moja matka pielęgnowała w szpitalu. On też miał poparzone ręce. A potem ten mężczyzna powlókł się za nią do naszego domu i zaczął wypytywać. Pytał o ciebie.

Farhad omal nie wyskoczył w powietrze.

– O mnie?

– Jeździsz na białym tygrysie z błękitnymi oczami czy nie?

Skinął powoli głową, próbując za wszelką cenę zapomnieć o pulsowaniu w dłoniach, żeby móc skoncentrować się wyłącznie na słowach dziewczynki.

– Musisz być człowiekiem, którego szukał ten nieznajomy. Niemiec. Od początku go nie lubiłam. Koniecznie chciał się wywiedzieć, czy moja matka nie widziała w szpitalu Brytyjczyków młodego mężczyzny z tygrysem. Potrząsnęła tylko głową i zaśmiała się. A mój ojciec usłyszał jej serdeczny śmiech i zobaczył innego mężczyznę wymykającego się z naszego domu. I dośpiewał sobie całą resztę. A ten obcy wybierał się na pustynię.

– Jak wyglądał ten obcy? – spytał Farhad. Ale potem machnął ręką. – Nie, to bez znaczenia, jak teraz wygląda. Za każdym razem wygląda inaczej.

– Kim on jest?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Jakie to dziwne. Do tej pory to właśnie on zawsze mnie szukał, a teraz wychodzi na to, że ja podążę jego śladem.

W tym momencie ktoś uderzył go dłonią w plecy, tak mocno, że Farhad aż zadrżał. Rany po oparzeniach tworzyły dziwny wzór, przy czym znaczna część tego wzoru znajdowała się na jego plecach. A ta dłoń była dość krzepka.

Farhad podniósł wzrok i spojrzął w twarz wysokiej kobiety w różowym sari. Miała uszminowane na czerwono usta, kulfoniasty nos i kanciasty podbródek – i podawała mu butelkę.

– Trzymaj – powiedziała głosem ochryłym jak trzeszczące w płomieniach szczapy drewna. – Tego ci właśnie potrzeba. Obserwowałyśmy z daleka, jak ta mała tutaj odwijiała bandaż z twoich rąk.

Wielka kobieta wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Arak jest dobry na bóle.

Farhad przyłożył do ust butelkę i pijąc, przyglądał się kobiecie z uwagą. Jej wielkie piersi były dziwnie kanciaste i równie dziwnie usytuowane. Arak spływał Farhadowi do gardła niczym płynny żar. Ale wiedział przecież, że ta wielka kobieta ma rację. Arak uśmierzy ból jego ran. Oddał jej butelkę, a kobieta też pociągnęła spory łyk, nie krzywiąc się ani odrobinę. Teraz zobaczył, że za jej szerokimi plecami stały jeszcze trzy inne kobiety. Również one były rosłe i miały dziwnie szorstkie, niepokorne miny. Usta czterech kobiet były tak samo pomalowane na czerwono, a ich oczy obrysowane węglem. Ale najbardziej niezwykły był ich ubiór. Sari czterech kobiet lśniły, mieniły się i błyszczały tak przeraźliwie jaskrawymi kolorami, iż nawet w przytłumionym świetle lampek oliwnych ustawionych gęsto na dziedzińcu mogły od nich rozboleć oczy: kanarkowa zieleń, promienista żółć i błyszczący cyklamen kłuły Farhada w oczy. W głowie zaczęło mu naraz huczeć, jakby słyszał wielki bęben. Być może był to ból, który wciąż go nęł opuszczał, być może wyczerpanie, być może zaś te cztery dziwne kobiety.

Zanim mógł się w tym wszystkim połapać, usłyszał naraz potężniejące z każdą sekundą dudnienie prawdziwych bębnow – bębnow, które istniały nie tylko w jego oszołomionej

głowie. Chwilę później zawtórowała im grupa innych instrumentów, a tłum weselników utworzył krąg na środku podwórza. Ludzie zaczęli klaskać i przytupywać w rytm muzyki i wtedy cztery kobiety puściły się w tany, potrząsając mnóstwem bransolet.

Krąg weselników zagrzewał je ochoczo, a oszałamiająco jaskrawe sari wirowały w nocnym powietrzu. Teraz Farhad ujrzał muskularne nogi kobiet, zobaczył, jak wyrzucają w górę żyłaste ramiona i malują w powietrzu tajemne znaki swoimi upierścienionymi palcami. Widok był oszałamiający. Kiedy i on porwany magią tego tańca chciał klaskać do taktu, spostrzegł, że butelka z arakiem znów znalazła do niego drogę. Przystawił ją do ust i pił łapczywie wielkimi łykami.

Wszystko to, co działo się na tym weselu, oszołomiło go niepomiernie. Dziwna mała dziewczynka, Anglik, który tymczasem przeobraził się w Niemca, cudaczne tancerki i do tego wszystkiego jeszcze przeklęty ból ran, który wciąż płynął przez jego krew i spowolniał myśli.

Arak pomógł. Wymieszał się z krwią i w końcu uśmierzył ból. I nagle coś mu zaświtało w głowie: tancerki. Znał podobne, z Maduraju. Oczywiście!

Znał je z wesel i pudży, uroczystości błogostawienia, gdzie również bawiły gości swoimi płasami. A mimo to ludzie odnosili się do nich z rezerwą. I wyjąwszy rozmaite uroczyste okazje, omijali je szerokim łukiem. Nie były bowiem kobietami. Tylko ich dusze były kobiece. Pod barwnymi sari, czerwoną szminką i wypchanymi piersiami kryły się ciała silnych mężczyzn. Tego, kto je rozgniewał, spojrzenie ich obrysowanych węglem oczu mogło wpakować w nie lada tarapaty, jedno słowo ich ostrych języków przynosiło nieszczęście. Ale temu, kto był dla nich miły i uprzejmy, kobiety-mężczyźni przynosiły szczęście.

„Mnie – pomyślał Farhad, sięgając znów po butelkę – mnie na pewno przyniosą szczęście. Bardzo mi go teraz potrzeba. Dużo”.

W końcu muzyka ucichła i jaskrawe sari przestały wirować. Farhad spojrział na butelkę z arakiem i stwierdził z żalem, że jest prawie pusta. Przechylił ją, wysączył ostatnią kroplę i wtedy zobaczył, że cztery kobiety otoczyły go ciasnym pierścieniem.

– Hej tam, obcy, przecież to ty jesteś tym bajarzem pierwszej klasy! – zawołała jaskrawozielona głębokim basem.

– Do tej pory to my zabawiałyśmy całe towarzystwo – powiedziała jaskrawożółta. – Teraz twoja kolej, bajarzu. Chcemy wysłuchać jakiejś historii!

– Właśnie! – zgodziły się z nią inne. – Nie każ się długo prosić. Opowiedz nam jakąś historię.

– To nieporozumienie – bąknął onieśmielony Farhad i wbił szybko wzrok w ziemię, która ku jego zdumieniu zaczęła się kołysać. – Nie jestem żadnym bajarzem.

– Oczywiście, że jesteś! – krzyknęła jaskrawożółta. – Właśnie się o tym dowiedziałyśmy. Proszę, bardzo proszę! – krzygowała się po kobiecemu, rzucając Farhadowi uwodzicielskie spojrzenia. – Opowiedz nam jedną z twoich baśni!

– Dobrze więc, skoro tak bardzo wam na tym zależy – powiedział Farhad i podniósł się z ziemi.

W tej samej chwili przypomniał sobie, jak opowiadał ostatnim razem swoją historię w Waranasi, na brzegu Gangesu, jako piękną baśń, tak niedorzeczną, że nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby, że mogłaby być prawdą. Ale chłopiec, któremu ją opowiadał, zrozumiał każde słowo i jeszcze tej samej nocy ukradł mu Krwawy Kamień.

Farhad westchnął ciężko, ponieważ kobiety szurały niecierpliwie nogami.

Potrzebował szczęścia, a one mogły mu pomóc. Przeczucie mówiło mu, że jeśli je rozdrażni, szczęście może się od niego odwrócić. Wołał zatem nie przeciągać struny.

„Dobrze więc – pomyślał – skoro tak nalegają, opowiem im moją historię. Nikt nie rozpozna, że to ja jestem bohaterem, który podróżuje przez cały kraj”.

I tak się stało, że tej nocy Farhad po raz trzeci, odkąd wyruszył z dalekiego Maduraju, opowiadał swoją historię: pod gwiazdami różowego miasta Dżajpur, na skraju pustyni.

Chrząknął, potrząsnął głową, w której trochę mu się kręciło, po czym wystąpił na sam środek kręgu słuchaczy i zaczął opowiadać. Opowiadał o oazie, gdzie rosła palma daktylowa, i o zielonych żywopłotach, w których śpiewały ptaki. O krwi księżniczki i o pożądliwych oczach Rawany, władcy demonów, i o opętanej tęsknocie jego pierwszego sługi Suryakanty. O sadzawce z lotosami, w której bohater znalazł srebrny amulet, o jego spotkaniu z Kryszną w świętym gaju i o małych złodziejkach, i o podniebnym locie wśród chmur na skrzydłach wiatru, o więzieniu Brytyjczyków. I o przeprawie przez wezbraną monsunem rzekę.

Opowiadał i opowiadał – a opowiadając, zanurzył się po raz kolejny w swoją historię, jakby przeżywał ją na nowo. Arak przydał lekkości jego głowie i sprawił, że jego język stał się niezwykle ruchliwy. I już niebawem nie słyszał nawet tego, co mówi – słowa same wymykały mu się z ust i nie mógł już nimi kierować ani im przeszkadzać.

W pewnej chwili spojrzenie Farhada padło na dziewczynkę, która opatrywała mu rękę, i zobaczył, jak położyła palec na ustach. Ale jego myśli – pomimo owej cudownej lekkości – nie były jednak dość jasne, żeby zrozumieć jej znak.

Duch Farhada opuścił ciało i patrzył z góry, jak ludzie przysłuchują mu się, urzeczeni, oczarowani, zastygli w bezruchu,

jakby zapomnieli, że tam, zaraz za drzwiami, w bajecznie przystrojonej sali odbywa się wesele. Pochylili się do przodu, żeby lepiej słyszeć jego słowa, starzy wsparci na kijach, młodzi siedzący na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, mężczyźni, kobiety, dzieci i wydawało się, jak gdyby głos Farhada niósł ich daleko, w świat pełen przygód i cudów. W świat, do którego zwykle zapraszali ich wiecznie starzy i wiecznie młodzi bohaterowie ponadczasowych indyjskich sag – *Ramajany* i *Mahabharaty*.

W pewnym momencie duch Farhada unoszący się ponad dziedzińcem odkrył w tłumie trzech mężczyzn, którzy stali na uboczu i przysłuchiwali się jego opowieści w nieco inny sposób niż cała reszta. Byli bogato odziani i mieli starannie wypielęgnowane brody. Ich kłamry u pasów zdobiły drogie kamienie, na kamizelkach błyszczały guziki z polerowanego metalu, ale ich oczy lśniły jeszcze jaśniej niż guziki. Lecz nie był to blask baśni, który się w nich odbijał. To był chciwy, pożądliwy blask, śmiertelnie niebezpieczny. Jak iskrzenie w oczach drapieżnego kota. Na sekundę, zanim skoczy na swoją zdobycz.

Duch Farhada szybował w powietrzu, dziwiąc się owemu złemu lśnieniu. Ale świat wokół niego wciąż jeszcze kręcił się i zataczał i było zbyt mało czasu w całym tym kręceniu się i zataczaniu, żeby pochwycić choć jedną klarowną myśl.

Chwilę później duch Farhada runął na ziemię.

Wokół niego zapanowała ciemność i absolutna cisza.

Ocknął się, czując, jak ktoś potrząsa go za ramiona.

– Hej tam! – szepnął głos obok niego. – Obudź się!

Farhad usiadł raptownie i zaraz tego pożałował. W głowie mu huczało, w uszach dzwoniło, nade wszystko zaś było mu niedobrze.

– Co... co się stało? – szepnął oszołomiony, chwytając się za głowę.

Przed nim siedziała mała dziewczynka, która opatrzyła mu rękę, a u jej boku warował biały tygrys.

– Wypiłeś sam połowę butelki araku, to się stało – powiedziała dziewczynka, krzywiąc się z niesmakiem.

– Byłeś dość pijany, wielki bohaterze – dodały błękitne oczy Nitisha. – Ale teraz koniec balu, musimy się spieszyć. Resztę kaca będziesz mógł przespać na moim grzbiecie.

– Jak to? Dlaczego? – jęknął Farhad i znów złapał się za obolałą głowę. – Czy naprawdę musimy już ruszać? Przecież jest noc i...

Poczuł, że jego żołądek się buntuje, i pospiesznie wstał. Zataczając się i klnąc cicho pod nosem, przelazł przez kilka śpiących ciał, żeby wymiotować w kącie podwórza. Smak araku powrócił na chwilę w nader podły sposób do jego ust. Ale kiedy opróżnił już żołądek, poczuł się trochę lepiej. Tylko świat wciąż się kręcił, kiedy Farhad wracał niepewnym krokiem do Nitisha i dziewczynki.

– Strasznie się rozgadałeś – szepnęła dziewczynka. – Są tutaj uszy, które przysłuchiwały się twoim słowom dokładniej, niż ci to jest miłe. Uszy potężnych mężczyzn. Są panami pustyni Thar i handlują wieloma rzeczami, które na niej znajdują.

– Znajdą? – spytał Farhad oszołomiony.

– No, zwykle znajdują je w bagażach podróżnych – powiedziała rzeczowo dziewczynka.

– Rozbójnicy – dodały oczy Nitisha.

– Najchętniej handlują klejnotami – ciągnęła dalej mała. – A Krwawego Kamienia żaden z nich jeszcze nigdy nie widział na oczy. Jak tylko nadarzy się sposobność, poproszą cię uprzejmie, żebyś im go pokazał.

– O nie! – jęknął Farhad. – Co ja nawygadywałem?

– Nie powinieneś wspominać, że twój bohater nosi na szyi srebrny amulet – zauważyła dziewczynka. – To był błąd, bohaterze.

– Myślałem, że wystarczająco zmieniłem swoją opowieść...

– Zrobiłeś to, i owszem. – Oczy Nitisha zabłysły gniewnie. – I bardzo ci dziękuję. Mnie na przykład też zmieniłeś w swojej wspaniałej opowieści.

– W co? – spytał Farhad.

Ogarnęło go jakieś niedobre przeczucie.

– W wielkiego zielonego żółwia – odparł tygrys obrażony.

– O nie! – szepnął znów Farhad. – Bardzo mi przykro, naprawdę! Ale... ale zrobiłem to tylko dlatego, że ostatnim razem przedstawiłem się jako Kurma. Jako żółw, inkarnacja Wisznu. Nie chciałem cię obrazić, przysięgam.

– Później to sobie wyjaśnicie – upomniała ich szeptem dziewczynka. – Panowie pustyni teraz śpią. Ale jutro z samego rana skończy się wesele Barata Singha i córki wielkiego kupca Kumara Sandera Pratapa. I najpóźniej wtedy zaczną was szukać.

Farhad skinął posłusznie głową i wdrapał się z mozołem na grzbiet Nitisha.

Na mgnienie oka pojawił się w jego myślach Anglik – a może był to Niemiec? On też szukał Farhada, jak powiedziała kobieta z krzywym nosem, i zapewne zmierzał już przez pustynię Thar. Ale Thar jest bezkresna.

– No jak tam? – spytały błękitne oczy Nitisha, kiedy odwrócił się do swojego jeźdźca. – Powiedz mi, jakie to uczucie siedzieć na starym pomarszczonym żółwiu?

Farhad wiedział, że nie ma sensu podejmować jakiegokolwiek próby udobruchania tygrysa. Poza tym strasznie kiepsko się czuł.

– Dziękuję ci – szepnął do dziewczynki. – Dziękuję za wszystko.

– Pozdrów ode mnie pustynię – odparła mała. – I uważajcie, żebyście nie przepadli w jej zdradzieckich piaskach. Gwiazdy was poprowadzą. Thar jest wielka i wiecznie głodna. Połknęła już wielu, bardzo wielu podróżnych. Sita też tam jest... – mruknęła na koniec.

A tygrys już szykował się do skoku. Jednym susem przesadził mur, potem przeleciał jak wiatr ponad dachami różowych domów i dotarł do otwartej równiny na drugim krańcu miasta. I tak się stało, że Farhad i Nitish wkroczyli na pustynię Thar w ciemnościach mimo swoich wcześniejszych ustaleń.

A Barat Singh zakończył zaślubiny z Leilą, córką wielkiego kupca Kumara Sandera Pratapa. Było to długie i nieszczęśliwe małżeństwo. Leila urodziła mu siedem córek i ani jednego syna, a w następnych latach ta filigranowa kobietka aż pięciokrotnie zwiększyła swoją objętość. Natomiast Barat Singh uciekał coraz częściej przed coraz grubszą Leilą, która na próżno czekała nań w ich małżeńskim łożu. Uciekał na pustynię, żeby tam podążać śladami jej ojca. Podobnie jak Kumar Sander został sławnym na całą pustynię Thar kupcem, wzbogacając się przede wszystkim na handlu klejnotami. A jeśli chodzi o sposoby ich pozyskiwania, to bez wątpienia pobił na głowę swojego teścia. Ale to stało się dopiero wiele lat później.

Następnego poranka, kiedy jeszcze trwało w najlepsze wesele Barata Singha, nawet sam pan młody nie zauważył, że wśród gości brakuje ojca panny młodej. Jak się tego można domyślić, ten bardzo przedsiębiorczy człowiek i wielki admirator kamieni szlachetnych gnał co koń wyskoczy drogą łączącą Dżajpur i Dżajsalmer, by w żadnym razie nie przegapić pewnego niebywale lukratywnego interesu.

Piasek

Byli zaledwie pięć minut w drodze przez pustynię, kiedy Farhad poczuł naraz coś jakby ułknięcie w potylicę. Głowa nadal go bolała, teraz jednak miał wrażenie, że cały ten nieznośny ból zgromadził się w jednym określonym miejscu. Trwało to kolejne pięć minut, aż wreszcie pojął, że to wcale nie jest ból. Było to niemiłe uczucie, że jest obserwowany. Farhad odwrócił się ostrożnie. I wtedy dostrzegł w ciemności długą czarną linię, która poruszała się w ich kierunku. Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Tajemnicza linia przypominała wielką żmiję, która posuwała się bokiem przez piasek. **Lecz** to nie była żmija.

– Nitish! – powiedział nagle i ostro Farhad. – Za nami są jeźdźcy. Na moje oko jakieś dwa tuziny. Cwałują jak szaleni jeden obok drugiego. I prawie nas doganiają!

Nitish odwrócił wielki łeb. Razem z Farhadem obserwowali w napięciu, jak długi szereg jeźdźców rozciągnął się w tyralierę.

– Zdaje się, że ktoś chce nas okrążyć – powiedziały **oczy** Nitisha, w które schwytało się słabe światło gwiazd, zwielenokrotnione w jakiś magiczny sposób w tych dwóch żarzących się punktach w ciemnościach nocy. – Patrz, patrz tylko – **czy**..

tał Farhad w tych płonących punktach. – O ile się nie mylę, to twoi przyjaciele, bandyci, zbóje, którym opisałeś Krwawy Kamień w tak przecudownych barwach.

Lecz Krwawy Kamień miał tylko jedną barwę, barwę krwi, i Farhad pomyślał nie bez racji, że był to ten właśnie kolor, który mężczyźni za nimi najbardziej sobie upodobali.

– Szybciej – szepnął – musisz biec szybciej. Dlaczego nie jesteś szybki jak wiatr i lekki jak dym? Co się z tobą dzieje?

– Pustynia próbuje wessać moje łapy – odparł Nitish ze złością. – Grzęzną w tym głupim piasku. Z czasem przyzwyczaję się do jej nieszlachetnego postępowania, ale na razie jakos nie sporo mi idzie.

Farhad z niepokojem odwracał się za siebie, śledząc ruchy ścigających ich mężczyzn. Ich konie były przyzwyczajone do miękkiego, zdradliwego podłoża i leciały przez noc jak czarne spadające gwiazdy. Sieć rozbójników zaczęła się zwierać.

Nitish znów zwrócił łeb do przodu i Farhad nie mógł już czytać z jego oczu. Czuł, jak mięśnie białego tygrysa napinają się pod nim. Nitish dawał z siebie wszystko. Był szybki, nie szybszy jednak niż najzwyczajniejszy tygrys.

Wtedy powietrze za nimi eksplodowało. Farhad pochylił się odruchowo. Z ich lewej strony kolejny wystrzał przeszył milczenie pustynnej nocy. Farhad usłyszał teraz, jak ktoś za nimi woła, i mógłby przysiąc, że był to głos Kumara Sandera Pratapa, gospodarza wesela, człowieka, którego ryż jadł z takim smakiem i którego arak pił.

– Strzelają tylko w powietrze – szepnął w ucho tygrysa, przyciskając z całej siły policzek do jego karku. – Chcą nas ostrzec.

Rozległ się trzeci wystrzał, tuż za nimi. Wraz z hukiem, który wciąż drżał w powietrzu, zgasła na niebie jedna gwiazda. W tym samym momencie biały tygrys skoczył. Skok był

dłuższy niż wszystkie, które Farhad znał dotychczas. Chłopak wczepił się kurczowo w białe tygrysie futro, niemal tracąc przy tym równowagę. Skok ten wyniósł ich daleko poza następną wydmxę, wyniósł ich poza zasięg bandytów, daleko, daleko w noc, i kiedy Nitish znów miał piaszczysty grunt pod potężnymi łapami, pędził tak szybko jak zawsze.

Nocny wiatr gonil za nimi jak pies myśliwski i gdy Farhad jeszcze raz się obejrzał, zobaczył już tylko dalekie, niemal niewidoczne sylwetki rozbójników.

– Co... co się stało? – wydyszał zdumiony.

Nitish odwrócił swój wielki łeb, nie przestając gnać jak wicher przez grząski piasek.

– Strach kazał moim łapom zapomnieć, że piasek je wsysa. Ten przeklęty zbój Kumar Pratap zabił jedną gwiazdę – powiedział tygrys wytracony z równowagi. – Wieczną, błyszczącą gwiazdę. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie przestraszyłem.

– Nie sądzę, żeby ów strzał miał coś wspólnego ze spadającą gwiazdą, no cóż, one czasami gasną, po prostu – powiedział Farhad. – Tak same z siebie. To był zwykły przypadek...

Nitish sapnął z dezaprobatą.

– Nie jestem byle tygrysem – odparł. – Jestem świętym tygrysem. Stworzyli mnie bogowie i to oni kazał mi biegać z wiatrem na wyścigi. A ty znalazłeś mnie tylko dlatego, że takie było moje przeznaczenie, żeby cię nieść na swoim grzbiecie. Mnie będziesz opowiadać, że na tym świecie są przypadki?

Farhad milczał. Myślał o Krysznie i zadawał sobie pytanie, czy to właśnie on każe gasnąć gwiazdom, żeby straszyć święte tygrysy.

Pozostałe gwiazdy, a było ich mnóstwo, wskazywały Farhadowi i Nitishowi drogę przez resztę nocy – i to było ich wielkie szczęście. Pustynia jest jak morze. Ten, czyje serce tam mieszka, nie potrzebuje gwiazd. Ale dla tego, kto jest tam ob-

cy, owe dalekie migoczące punkciki są jak latarnia morska dla żeglarzy, która nierzadko ratuje im życie.

Nad ranem Farhad jeszcze raz zdrzemnął się na grzbiecie tygrysa, a kiedy się obudził, słońce wynurzyło się już zza horyzontu.

Ziewnął, a ponieważ ziewanie jest również w Indiach i u świętych tygrysów bardzo zaraźliwe, po chwili ziewali już obaj. Farhad powrócił myślą do minionej nocy i przypomniał sobie bandytów, wesele i swój lekkomyślny język.

– Czy nadal masz do mnie żal o tego żółwia? – zapytał ostrożnie białego tygrysa.

– Nie przypominam sobie żadnego żółwia – mruknął Nitish. A zaraz potem spytał z pewną satysfakcją: – Jak tam się miewa twój arakowy kac?

– Jako tako – odparł niezrażony Farhad. – Tylko w głowie mi jeszcze trochę szumi.

Noc była chłodna, zaledwie jednak słońce uniosło ponad horyzont swoją złocistą tarczę, upał stał się wprost nie do zniesienia. Wokół nich nie było nic prócz pustyni, bezkresnej i płowej, tylko ocean piasku. Po rozbójnikach przepadł wszelki ślad. Jak okiem sięgnąć – tylko piasek. Farhad pochylił się, próbując wypatrzeć przynajmniej ślady Nitisha.

– Wciąż jesteś tak niewiarygodnie szybki jak wczoraj, gdy się tak przeraziłeś – stwierdził z uznaniem.

– Moje łapy zdążyły już przyzwyczać się do piasku – wyjaśnił tygrys. – Na początku był mi wrogiem. Teraz jest przyjacielem. Zrozumiał, że nic ze mną nie wskóra. Teraz jest miękki i bardzo przyjazny.

– Będzie mi tego brakować – westchnął Farhad – że mówisz o wszystkich rzeczach w taki sposób, jakby one naprawdę żyły.

– Bo żyją! – odparł Nitish nieco urażony. – Spójrz tylko na piasek, spójrz, jak się burzy, jak faluje. Czy nie słyszysz, jak pustynia Thar oddycha? Nie słyszałeś, jak wydmy wędrowały nocą?

– Nie – powiedział Farhad. – Myślę, że tylko święty tygrys może słyszeć, jak pustynia oddycha i jak wydmy wędrują.

Wtedy Nitish skinął zadowolony wielkim łbem i znów zwrócił się ku oddychającej pustyni.

– Zawsze myślałem – zauważył Farhad koło południa – że pustynia jest pełna oaz. Ale nie widzę ani jednej. Wszystko tutaj jest takie samo.

– Pustynia jest pełna oaz – powiedział z powagą Nitish. – Spójrz na to tak: również twoja głowa jest pełna myśli, mój bohaterze, a przecież nie widzę nawet jednej.

Słońce zdążyło już przebyć dobry kawałek nieba, co z pewnością było niebywale męczące w tej spiekocie.

– Tam! – wykrzyknął naraz Farhad podniecony i wskazał przed siebie. – Widzisz te drzewa? Widzisz zielen?

Suchy jak wiór język przykleił mu się do podniebienia, w obolałej głowie huczało i pulsowało od upału. Koszula, którą owinął sobie głowę, była teraz niewystarczającą ochroną przed palącymi promieniami pustynnego słońca. Już od dłuższego czasu w jego rozgrzanym do czerwoności mózgu pienili się zimne strumienie i tryskały srebrzyste fontanny. Od tych wszystkich migotliwych srebrzystości kręciło mu się w głowie.

– Uważaj – powiedziały błękitne oczy Nitisha. – Nie każdą oazą, którą zobaczysz na pustyni, jest naprawdę oazą. Niektóre rozplývają się jak senne marzenie, kiedy się do nich dociera.

– Ta, którą widzę, z pewnością się nie rozplynie – ocenil Farhad.

Był u kresu sił.

I tym razem pustynia okazała się litościwa. Urodziła kontury chat i glinianych murów, nad którymi kołysały się muskane lekkim powiewem wiatru zielone wierzchołki drzew, i już po chwili biały tygrys wylądował ostatnim skokiem pośrodku cienistego ogrodu. Farhad zsunął się z jego grzbietu, poczuł pod bosymi stopami ziemię między drzewami i wydał głośny okrzyk radości. W jednej chwili przeniknęło go uczucie szczęścia. Na drzewach rosły żółte jędrne morele. Wdychał ich słodki zapach, ciesząc się jak dziecko, i chociaż nie było tutaj nikogo, kto by ich pilnował, długo zwlekał i ociągał się, zanim zerwał kilka owoców, żeby się posilić. To go zdziwiło. Jeszcze nie tak dawno wcale by się nad tym nie zastanawiał!

Z ogrodowego węża sączyła się chłodna woda, wsiąkając w ziemię u stóp drzew. Nitish zanurzył różowy język w przejrzystej kałuży, która powstała w tym miejscu. Farhad wyciągnął się na ziemi i pił, i pił, aż w końcu już nie mógł.

Z najwyższą niechęcią opuścił ten chłodny, iście rajski ogród. Najchętniej położyłby się na pachnącej ziemi pod drzewami moreli i spał... dni, miesiące, lata, tak długo, aż poczułby się wzmocniony. Ale Nitish go ponaglał.

– W morelowym ogrodzie nie znajdziesz swojej księżniczki – powiedział. – A Kryszna już się niecierpliwi, nie mogąc się doczekać końca naszej misji. Czas nagli. Ruszaj wreszcie, stary bohaterze!

– Chcesz capnąć gdzieś jakąś kurę – stwierdził Farhad.

– To też... – przytaknął skwapliwie tygrys.

Znalazł w istocie swoją kurę, która z kilkoma towarzyszkami wałęsała się między ogrodami, pogdakując cicho, a Farhad przeszukał zieloną obfitość oazy, wypatrując palmy daktylowej, pod którą śniła kiedyś księżniczka. Lecz choć ogrody w tej oazie były przepelnione tętniącym zielonym życiem,

począwszy od drzew owocowych, a na grządkach warzywnych skończywszy, palmy daktylowej nie znalazł.

W końcu zagadnął jakąś kobietę, która malowała właśnie swoją glinianą chatę. Końce palców miała białe od farby, a jej roboczy ubiór zsunął się nieco z ramion. Kobieta uśmiechała się do nieznamych bez cienia lęku i nieśmiałości.

– Masz ładnego tygrysa – powiedziała i wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, na co Nitish nie zaprotestował.

„Kobiety pustyni – pomyślał Farhad – muszą być inne niż wszystkie”. I jego serce zabiło szybciej. Jeśli księżniczka urodziła się w jakiejś pustynnej oazie, musiała to być ta właśnie oaza.

– Nie mamy tutaj palm daktylowych – powiedziała kobieta, odgarnęła z czoła splątane włosy i zaśmiała się głośno, kiedy powalała sobie nos i czoło białą farbą, co przydało jej jeszcze wdzięku. – Ale dokąd to się wybierasz, że potrzebujesz palmy daktylowej, by tam dotrzeć?

– To nie do końca tak – odparł Farhad z uśmiechem. – Jechemy do miasta w samym sercu pustyni.

– Dżajsalmer – powiedziała kobieta. – Macie przed sobą jeszcze dwa dni podróży. Ale nie polecałabym wam drogi, która prowadzi stąd do Dżajsalmeru. Zbyt wiele karawan nią zdąża. Zbyt wiele karawan wiozących zbyt wiele kosztownych tkanin, zbyt wiele worków pieprzu i korzennych przypraw i zbyt wiele srebra. Rozbójnicy, którzy zwykle tam czatują, schwytają was bez najmniejszego trudu. Są uzbrojeni po zęby, a wy jesteście sami.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparł Farhad. – Tę przyjemność mamy już za sobą.

– Czyżby? – spytała kobieta, a kąciki jej ust drgały z rozbawieniem. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób umknęliście tym zbirom spod ciemnej gwiazdy, ponieważ tylko bardzo niewie-

lu udaje się wyjść bez szwanku z takiego spotkania. Jeśli jednak nie zależy wam na powtórzeniu tego doświadczenia, radziłabym przyłączyć się do jakiejś karawany. – Zaśmiała się dźwięcznie. – Palma daktyłowa może być wprawdzie bardzo pomocna w walce z bandytami pustyni, ale pod warunkiem, że wiesz, jak się z nią obchodzić. A ponieważ nie ma tu żadnej palmy daktyłowej...

– A jest jakaś karawana? – spytał Farhad.

– Wczoraj wieczorem była tutaj jedna. Wydaje mi się, że jeszcze nie wyruszyła. Jeśli pójdziecie ścieżką między tymi murami, to znajdziecie ją z łatwością.

Farhad słyszał jeszcze za sobą jej wesoły śmiech, kiedy szedł wśród zapachu jaśminu i róż drogą, którą im wskazała. Na końcu drogi znalazł zarośnięte trzciną bajoro, wokół którego stała grupa wielbłądów i piła. Nogi miały niezgrabnie rozkraczone, a ich długie, kołyszące się szyje pochylały się nad lustrem wody. Nitish parsknął, a wielbłądy natychmiast podniosły głowy. Ich oczy były wielkie i pełne wyrzutu.

– Nie potrzebujemy tej zgrai, żeby pokonać ostatni kawałek pustyni – powiedziały oczy Nitisha nieprzyjaźnie.

– Uspokój się – ofuknął go Farhad. – Tak będzie lepiej. Teraz uszliśmy bandytom, a kto wie, co się może wydarzyć następnym razem.

Zapytał o przewodnika karawany, który stał na uboczu i właśnie objuczał swojego wielbłąda. Był to stary mężczyzna z długą białą brodą, a nieufne spojrzenie, które rzucił obcemu chłopakowi, nie wróżyło dobrze.

– Skąd się tutaj wzięliście tak nagle? – dopytywał się, mierząc Farhada od stóp do głów. – Czy spadliście do tej oazy z nieba?

– Coś w tym rodzaju – powiedział Farhad. – Czy mój biały tygrys i ja moglibyśmy podróżować z wami przez pustynię?

Stary przytroczył mocno swój bagaż.

– A ile mi zapłacicie, jeśli was ze sobą wezmę?

– Nie mamy nawet złamanej pajsy – wyjaśnił Farhad. – Ale jeśli dotrzemy cało i zdrowo do Dżajsalmeru, otrzymacie w podzięcie cudowną opowieść. Opowieść o bohaterze, który przemierzał cały kraj na grzbiecie magicznego tygrysa, żeby wypełnić misję bogów. A gdybyście zdecydowali się jednak zapewnić nam ochronę waszej karawany, pewien stary mądry mężczyzna z piękną, białą brodą pojawi się w tej opowieści. Będzie się opowiadać, jak kraj długi i szeroki, że jest człowiekiem wielkiego serca, ponieważ przyjął do swojej karawany obcego, który nie miał w kieszeni nic poza swoją odwagą i swoim strachem. Ta opowieść będzie naszą zapłatą.

– Dziwne są słowa, które mówisz, mój synu – powiedział stary.

Jego spojrzenie spoczęło na czole Farhada i zatrzymało się tam dłuższą chwilę. W końcu skinął powoli głową.

– Wyruszamy, jak tylko napoimy wszystkie zwierzęta – mruknął. – Dobrze więc, możecie się przyłączyć do naszej karawany, jeśli tak bardzo wam na tym zależy. Mamy dość ryżu, aby napełnić jeszcze dodatkowo dwa żołądki. Dżajsalmer jest już niedaleko stąd. Kiedy na niebie zajaśnieje tarcza księżyca w pełni, będziemy na miejscu.

Z tymi słowami odwrócił się znów do swojego jucznego wielbłąda, jakby czuł się zażenowany, że wyświadcza grzeczność temu obcemu chłopakowi. Serce Farhada wszakże zadrdzało z radości, kiedy usłyszał o pełni księżyca.

Dotrą na czas.

Karawana składała się z mnóstwa mężczyzn, których twarze opowiadały o pustyni. Tylko jeden pośród nich wydał się

Farhadowi obcy – obcy jak on sam. Był to Europejczyk, którego włosy miały barwę piasku, kiedy świeci nań południowe słońce. W karawanie przebąkiwano, że to szpieg, ponieważ w Europie planowano wówczas wojnę i nigdy do końca nie było wiadomo, kim naprawdę są ci wszyscy Europejczycy, którzy kręcą się nieustannie w Azji.

Jasnowłosy Europejczyk jechał na wielbłądzie na czele karawany, obok jej dowódcy, i Farhad początkowo nie zaprzętał sobie nim głowy. Syty i pełen dobrych myśli chciał sobie właśnie uciąć drzemkę na grzbiecie tygrysa, gdy nagle poderwał go jakiś cienki głosik.

– Co się stało z twoimi rękami? – spytał.

Farhad znał ten głos. Za pierwszym razem, kiedy go usłyszał, wypowiedział dokładnie to samo zdanie. Spojrzał w górę na jucznego wielbłąda, który dreptał tuż obok tygrysa, i wtedy odkrył pomiędzy drewnianymi skrzyniami i wielkimi belami różnobarwnych tkanin małą dziewczynkę z długimi warkoczami. Wcześniej jej nie widział wśród ludzi karawany. Farhad przyjrzał się jej uważnie i ocenił, że może mieć osiem lub dziewięć lat...

– Jak się tutaj znalazłaś? – spytał, nie posiadając się ze zdumienia.

– Na wielbłądzie – odparła dziewczynka.

– No tak... ale jakim cudem udało ci się w tak krótkim czasie pokonać taki szmat drogi? Tygrys, na którym jadę, jest szybki jak chmury na niebie i tak niepowstrzymany jak wiatr, ale wielbłąd...?

– Jesteśmy od czterech dni w drodze – powiedziała dziewczynka nieco zmieszana. A potem powtórzyła swoje pytanie.

– Co się stało z twoimi rękami?

Farhad wyciągnął je przed siebie, przypatrując się im z uwagą.

– Są znów zdrowe, całkowicie zdrowe i zagojone – powiedział. – Liście drzewa neem bardzo im pomogły. To prawdziwy cud. Dziękuję ci, że je opatrzyłeś.

– Mnie? Ale ja nie opatrywałam twoich rąk! Widzę cię po raz pierwszy w życiu! Spytałam tylko dlatego, ponieważ twoje ręce są takie dziwne. Bije od nich jakiś blask. Ty pewnie tego nie widzisz. Ale one naprawdę błyszczą jakby od wewnątrz.

Ręce Farhada błyszczały mniej więcej tak samo jak nogi wielbłąda. Co się stało z tą małą dziewczynką z Dżajpuru? Czyżby pustynia skradła jej rozum?

– I naprawdę sobie mnie nie przypominasz? – spytał.

Zlustrowała go od stóp do głów, a Farhad czytał wyraźnie w jej wielkich oczach pytanie: „Czy pustynia skradła temu obcemu rozum?”.

– Nie – odparła z przekonaniem.

Wtedy przysłała Farhadowi do głowy straszna myśl. Wszystko jedno, co się stało z rozumem tej małej, ale w jakiś sposób dotarła do tego miejsca na pustyni Thar przed nim. Czy to znaczy, że gdzieś po drodze zawieruszył mu się czas? Czy wydarzyło się coś, co na wiele dni wyrwało go z rzeczywistości?

Podczas tej szalonej podróży działały się już dziwniejsze rzeczy. Rozmawiał z bogami i cwałował na wietrze – czemu więc teraz nie miałby mu się gdzieś po drodze zawieruszyć czas?

„Kiedy na niebie zajaśnieje tarcza księżyca w pełni, będziemy na miejscu”.

Czy to znaczy, że przegapił jedną pełnię? Farhad poczuł, jak błądy strach gna przez wszystkie żyły jego ciała.

– Dziwna sprawa... – powiedziała nagle dziewczynka, wpadając w sam środek jego myśli. – Zanim wyruszyliśmy w drogę, słyszałam, jak ludzie opowiadali o kimś, kto podróżuje na białym tygrysie.

– Kto ci o nim opowiadał? – spytał Farhad.

– Taki jeden, który szukał tygrysa i jego jeźdźca. Opowiadał, że schwytał białego tygrysa, ale ten jakimś cudem mu umknął. I że teraz musi za wszelką cenę go odnaleźć. Tak właśnie powiedział.

– Kim był ten, który nas szukał? – spytał Farhad, czekając, czy dziewczynka coś więcej sobie przypomni.

– Niemiec – odpowiedziała po chwili, dokładnie tak, jak tego oczekiwał Farhad. – To on jest winien śmierci moich rodziców. Zginęli w ogniu. Pokłócili się, a mój ojciec był strasznie wściekły...

– Nafta – powiedział Farhad.

– Tak. Było bardzo jasno.

– Chwileczkę!

Farhad zmarszczył czoło, łamiąc sobie głowę, o co w tym wszystkim chodzi. Coś w jej słowach wydało mu się dziwne. Coś, co trąciło fałszem. Ostatnim razem ta mała powiedziała przecież, że nie była przy pożarze...

– I naprawdę nie spotkaliśmy się w Dżajpurze?

– W Dżajpurze?

Dziewczynka potrząsnęła głową. Potem mlasnęła głośno językiem.

– Mówisz, że spotkałeś mnie w Dżajpurze, tak?

Farhad przytaknął skwapliwie.

– W takim razie to nie byłam ja – powiedziała dziewczynka. – To była Chita. Ja jestem Sita.

„Oczywiście! – pomyślał Farhad. – To było to: Sita widziała pożar. Sita też jest na pustyni...”

– Jesteśmy bliźniaczkami – wyjaśniła dziewczynka, a Farhad miał ochotę uściskać ją z radości.

Teraz już wiedział na pewno, że nie zgubił gdzieś po drodze czasu i że to była właściwa pełnia księżyca, do której

zblizali się już od miesiąca, i w tej samej chwili z serca spadł mu kamień tak ciężki jak cała pustynia Thar.

– Nasi krewni w Dżajpurze nie są zbyt zamożni i nie mogą wyżywić nas obu... – powiedziała dziewczynka. – Dlatego mnie odesłali. Mamy dalekiego kuzyna w Dżajsalmerze. Pracuje u jakiegoś kupca, który jest tak bogaty, że ma aż osiem żon. Ale kupiec myśli, że nasz kuzyn nie jest prawdziwym mężczyzną, i dlatego powierzył mu swoje żony. Więc on może pracować w haremie razem z pannami służącymi i wdychać rozkoszną woń ośmiu żon kupca i cieszyć oczy ich urodą. Mój kuzyn na pewno załatwi mi jakąś pracę u swojego pana.

Wyciągnęła przed siebie ręce i przez chwilę przypatrywała się im krytycznie.

– Moje ręce są małe – powiedziała w końcu z westchnieniem – ale nie boją się żadnej pracy.

– Jeśli chodzi o tego bogatego kupca – zaczął ostrożnie Farhad – czy słyszałaś, że jego ostatnia żona dopiero od bardzo niedawna gości w jego haremie?

Sita przytaknęła.

– Wieść niesie, że jest niezwykle piękna i pochodzi z pustyni.

Farhad uśmiechnął się.

– Jest jeszcze więcej plotek o twoim bogatym kupcu – powiedział. – Złych plotek. Znam jego historię, a te plotki są niestety prawdziwe. Nie będziesz u niego pracować!

– Nie? A to niby dlaczego? – spytała szybko dziewczynka, spoglądając podejrzliwie na chłopaka.

– Nie i już! – Farhad usłyszał naraz swój głos i w tej samej chwili zdumiał się niepomiernej własnej stanowczości. – Chिता wyleczyła mi ręce i ja w żadnym razie nie mogę pozwolić na to, żeby jej siostra trafiła do domu kogoś takiego jak ten kupiec. Poszukam ci innej pracy, lepszej.

– Obiecujesz? – spytała Sita nieufnie.

– Obiecuję! – powiedział Farhad i ku swemu zdumieniu stwierdził, że była to najszczerza prawda.

– W takim razie będzie lepiej – powiedziała Sita po chwili – jeśli się o czymś dowiesz. Ten mężczyzna, który cię wtedy szukał, ten Niemiec, jest tutaj. Jedzie z karawaną. Kiedy się o tym dowiedziałam, nie chciałam jechać razem z nimi. Prosiłam, płakałam, ale w końcu i tak mnie zmusili.

Wieczorem wszyscy podróżnicy zasiedli wokół wielkiego ogniska, a stary dowódca karawany zatroszczył się o to, żeby również obcy chłopak i jego tygrys dostali porcję ryżu.

Nitish parsknął cicho.

– Najpierw wielbłądy, a teraz jeszcze ryż – powiedział z obrzydzeniem. – Wołałem już słonie. Te wielbłądy są po prostu trudne do zniesienia. Wymachują swoimi wielkimi stopami i przez cały czas trzeba uskakiwać na bok, żeby cię nie kopnęły. A jeszcze do tego przez cały czas patrzą na ciebie z takimi minami, jakby się chciało je pożreć.

Farhad zaśmiał się ubawiony.

– Dlaczego się śmiejesz, mój przyjacielu? – spytał nagle ktoś tuż koło niego. – Pozwól i mnie uczestniczyć w twojej radości.

Mówiący miał dziwny akcent, a jego głos brzmiał znajomo. Farhad odwrócił się i spojrzał w twarz jasnowłosego Europejczyka. Płowy wąsik drżał lekko, kiedy mówił.

– Nie mieliśmy jeszcze przyjemności – powiedział Niemiec i wyciągnął rękę do Farhada. – Gasser. Nazywam się Gasser. Erwin Gasser.

Farhad uściśnął tę dłoń, chociaż w środku aż go skręcało. Za nic nie mógł pojąć tego osobliwego zwyczaju Europejczyków, którzy nieustannie potrzęsali sobie nawzajem dłońmi.

A dotknięcie ręki tego właśnie mężczyzny było dla niego naprawdę przykre i wiele go kosztowało.

– Wamana – powiedział. – Nazywam się Wamana.

Wamana był piątą inkarnacją boga Wisznu, który miał najwyraźniej swoje powody, by przyjść do ludzi pod postacią karła. I wobec tego postawnego Niemca Farhad czuł się naprawdę jak karzeł. Do tej pory za każdym razem udawało mu się go pokonać za pomocą swojego sprytu i zręczności, a nie dzięki sile fizycznej. Niemiec nie był oczywiście żadnym Niemcem, aczkolwiek Farhad w dalszym ciągu nie wiedział, jakiej naprawdę jest narodowości. Bez względu jednak na to, czy nazywał się Menière, Steal, Richardson-Olszewski czy Gasser, wszystko wskazywało na to, iż miał duży problem z jedzeniem ryżu łyżką, którą mu wręczył dowódca karawany. Każdy wiedział, że Europejczycy nie potrafią jeść rękami, dlatego podawano im zazwyczaj do posiłku sztućce. Ale ten mężczyzna z jasnym wąsikiem i w tropikalnym hełmie na głowie najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, żeby używać do jedzenia własnych rąk.

Musiał już od długiego, bardzo długiego czasu przebywać w Indiach.

W nocy Farhad spał przytulony do białego tygrysa. Wielkie cielsko Nitisha chroniło go przed lodowatym zimnem pustynnej nocy. Lecz Farhad chronił się także przed czymś innym. Kilka razy zrywał się z koszmarnych, straszliwie pogmatwanych snów i wtedy widział za każdym razem na skraju obozu, między śpiącymi ludźmi i wielbłędami, jakiś cień, który skradał się w jego stronę. Ów cień obserwował go niezmiennie, cierpliwie. Czatował na sposobność, żeby przydybać Farhadu na osobności. Przypatrywał się niebu z uśmiechem na ustach. Sposobność nie każe już długo na siebie czekać.

– Wkrótce będziemy na miejscu – stwierdził Nitish następnego poranka. – Jeszcze tylko jeden dzień dzieli nas od księżniczki. Co o tym sądzisz, wielki bohaterze?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem! – odpowiedział Farhad. – W jednym dniu może się wiele wydarzyć.

I miał rację.

Koło południa niebo przed nimi pociemniało groźnie. Farhad siedział zatopiony w myślach na grzbiecie Nitisha, nie mógł więc widzieć, że pogoda – podobnie jak on sam – również się zamyśliła. Atmosfera udzieliła się białemu tygrysowi, który niebawem także popadł w zadumę. Koniec podróży zbliżał się wielkimi krokami.

Farhad był tak bardzo pochłonięty swoimi myślami, iż nie zauważył, że w karawanie zapanował dziwny niepokój. Wielbłądy przyspieszyły kroku, pozostawiając w tyle białego tygrysa i jego jeźdźca. Dopiero kiedy Farhad usłyszał tuż obok siebie głos Niemca, przebudził się raptownie ze snów na jawie.

– No, wreszcie możemy porozmawiać – powiedział Gasser, spoglądając na Farhada z grzbietu wielbłąda, którego skierował ku niemu. – To doprawdy szalenie irytująca okoliczność, ta nieustanna obecność karawany.

Farhad zachowywał się tak, jakby oddawał się bez reszty kontemplowaniu widoku pustyni.

– Czego chcesz? – spytał po dłuższej chwili.

Niemiec zrobił nagle szybki ruch i coś metalicznego błysnęło w jego dłoni. Był to pistolet, lecz jego lufa nie była wymierzona w Farhada.

Tylko w białą pierś Nitisha!

– Powiedz swojemu tygrysowi, żeby tak bardzo się nie spieszył. Nie ma potrzeby doganiać tej czeredy – wyjaśnił

z całym spokojem. – Być może on jest święty, ale nie byłbym wcale taki pewny, że jest również nieśmiertelny. Gdybym był na twoim miejscu, nie ryzykowałbym.

Farhad milczał.

– Wiesz oczywiście, czego chcę. Zaczyna mnie już nudzić powtarzanie w kółko tego samego. Ale jeśli chcesz, zrobię to jeszcze raz: Krwawy Kamień.

Farhad zobaczył, że ostatnie zwierzę w karawanie było jucznym wielbłądem. Być może na jego grzbiecie siedziała dziewczynka z warkoczycami. Być może nie.

Pomyślał, że mógłby krzyknąć.

– Nie wołaj! – powiedział Gasser, jakby czytał w jego myślach. – To zupełnie bez sensu. Karawana nie będzie na ciebie czekać. Ci ludzie mają teraz inne zmartwienia. Nie widziałeś nieba?

Młodzieniec podniósł wzrok. Ciężkie, szaroczarne zasłony chmur nadał tłumiły promienie słońca. Nie było widać horyzontu.

– Co jest z niebem? – warknął.

Uzmysłowił sobie naraz, że nie ustępuje w tym wcale Nishowi.

– Powiedziałbym, że już go prawie nie widać.

– I co z tego?

– Zbliża się burza piaskowa. Obserwuję ją z uwagą już od dzisiejszej nocy. Jeśli ktoś potrafi czytać pustynię, to wówczas dobrze wie, że jej burze zapowiadają się dużo wcześniej. A ja potrafię to robić znacznie lepiej niż ten starzec z białą brodą.

Westchnął.

– Szkoda karawany. Wszystkie te toboły pełne kosztownych tkanin i cennych surowców. Jedwab i suszone chilli! Kiedy burza minie, nic z tego nie pozostanie. Zetrze je jak gąbka.

– A ty? – spytał Farhad. – Co zamierzasz w tej sytuacji?

– Ja? Osobiście nie mam nic przeciwko burzy piaskowej. A ona nie ma nic przeciwko mnie. Dawno, dawno temu zawarliśmy przymierze, na mocy którego schodzimy sobie z drogi.

Farhad zadał sobie w duchu pytanie, czy żar pustyni nie rozmiękczył również mózgu tego Niemca albo Francuza, kimkolwiek był.

Usłyszał cichy szcęk, kiedy tamten odbezpieczał swój pistolet.

– Złaż z tygrysa! – rozkazał.

Farhad zastanawiał się gorączkowo, co robić. Po krótkim namyśle zdecydował, że nie zrobi nic. Nitish zatrzymał się, a chłopak czuł pod sobą dygotanie wielkiego cielska. Święty tygrys, który był szybki jak chmury na niebie, drżał z obawy o swoje życie. Farhad zsunął się z jego grzbietu, a Gasser zeskoczył zwinnie z wielbłąda, ani na sekundę nie przestając celować w białą pierś tygrysa.

Pierwsze uderzenia wiatru zamiatały teraz pustynię, wzbijając tumany piasku. Niemiec miał rację – burza zbliżała się z oszałamiającą szybkością.

– Daj mi kamień – powiedział Gasser.

Farhad wiedział, że łotrowi nie może opowiadać żadnych bajek. I czuł przez skórę, że Niemiec spełni swoją groźbę. Powoli zaczął odwijać opatrunek z lewego ramienia. Zasnęta krew usztywniła miękką bawełnę, która teraz łamała się niczym drewniana deszczułka. W końcu Farhad trzymał w dłoni błyszczący jasną purpurą drogocenny kamień. Po raz ostatni poczuł jego zimną, gładką powierzchnię, której ostra krawędź jak zawsze ukąsiła go w palec, a potem wręczył go bez słowa Gasserowi.

Oczy Niemca rozbłysły, dokładnie tak jak kamień, który teraz spoczywał na jego dłoni. Przypatrywał się purpurowemu

lśnieniu, które zeń wychodziło, i uśmiechał się. Farhad zobaczył, że karawana zatrzymała się w pewnej odległości od nich. Wielbłądy ugięły posłusznie nogi i położyły się na piasku. Ich ciała utworzyły zasłonę przed burzą piaskową. Farhad zadał sobie w duchu pytanie, czy mimo wszystko nie powinni jednak spróbować dotrzeć do karawany, ale nagle dostrzegł jakiś pospieszny ruch i później poczuł zimny metal przy skroni.

– Wyjaśnij swojemu tygrysowi – powiedział Gasser – że jeśli ruszy się bodaj o milimetr, to natychmiast strzelę. Ach nie, jak mogłem o tym zapomnieć! On jest przecież tygrysem, nie człowiekiem, i nie rozumie naszej mowy. Więc jeśli się poruży, to będziesz miał po prostu pecha.

Nitish stał jak skamieniały.

– Bardzo dobrze – zadrwił Niemiec. – Wobec tego pozostaje mi jeszcze chwila, żeby ci wyjaśnić, że tak jest lepiej. Czujesz wiatr?

Farhad czuł. Zimny i ostry chłostał go bezlitośnie niczym pejcz, formując z piasku pustyni potężne fale.

– Wiatr jest tylko zwiastunem. Kiedy prawdziwą burza piaskowa jest nad tobą, wtedy nic już nie widzisz. Nic nie słyszysz i niczego nie czujesz. Piasek wniknie do twoich płuc i zadusi cię. Przykryje całe twoje ciało i wycisnie życie z twojego serca. Śmierć w burzy piaskowej jest straszna. Wszyscy jeźdźcy karawany umrą. Ale oni są nieważni. Lecz takiemu bohaterowi jak ty nie powinna się przytrafić taka śmierć. Pomogłeś mi, a ja pomogę tobie. Zabiję cię szybko, zanim burza piaskowa zrobi to na swój sposób, bardzo powoli.

Farhad chciał zamknąć oczy.

Wtedy zobaczył, jak coś pędzi wprost na nich, wzbijając tumany piasku. Gasser też to zobaczył i odwrócił głowę.

To był wielbłąd. Wielbłąd bez jeźdźca. Ogarnięte paniką zwierzę najwidoczniej straciło orientację i teraz gnało na

oślepił przed siebie. Odległość między nimi zmniejszała się z zastraszającą szybkością. Wielbłąd Gassera pierwszy uskokoczył w bok. W tej samej chwili tuż obok nich wyrosło wielkie brunatne cielsko i również Gasser uskokoczył w bok, ale o sekundę za późno.

Rozpędzony wielbłąd potracił go z impetem. Niemiec zatoczył się i Farhad zobaczył, jak upada w piach. Ale widział go jak przez mgłę, ponieważ w tym samym momencie wokół nich rozpętało się piekło. Potężna ściana z wiatru i piasku przesunęła się pomiędzy Farhadem i światem, zabierając całą widoczność. Farhad wyciągnął rękę, szukając po omacku tygrysa, a kiedy wreszcie go pochwycił, wczepił się kurczowo w jego futro, żeby go nie zgubić.

Gdzieś bardzo blisko nich, w nieopisanym chaosie piasku i wiatru, krzyczał Gasser. Farhad zobaczył, jak burza unosi go w powietrze, coraz wyżej i wyżej, i niesie jak liść, ale mogło mu się to tylko wydawać. Z całą pewnością jednak widział jucznego wielbłąda, który gnał na oślepił w głąb pustyni. A na jego grzbiecie – pomiędzy skrzyniami i wielkimi belami tkanin – dostrzegł również drobną postać z dwoma długimi war-koczami.

Potem burza przykryła wszystko.

Kamień

Burza była niczym mur z piasku. Jak ciężka wełniana derka, która kładzie się na głowie i zabiera oddech. Jak grad pocisków. Jak pięść, która wciska w ziemię. Jak potwór z tysiącem piaszczystych, szorstkich języków i tysiącem mocarnych wietrznych ramion. Jak mgła i ogień w jednym.

Jak śmierć.

Ale śmierć nie mogła już przerazić Farhada. On znał już śmierć. W ciągu tej podróży nie raz i nie dwa patrzył jej w oczy. Zagrzebał palce w gęstej sierści tygrysa, żeby go nie zgubić w chaosie wirującego piasku. Pochylili się przed nielitościwymi uderzeniami porywistego wichru i atakami ziarenek piasku, kuląc się na wszystkie sposoby w nadziei, iż dzięki temu burza ominie przynajmniej niektóre części ich znękanych ciał. Ale na próżno.

Piaszczysta nawała runęła na nich z nieprawdopodobnym impetem, pochwycała, za co tylko mogła, z całej mocy nimi potrząsała, łapała ich za stopy grzęznące w powstających nagle wydmach i szeptała im do uszu straszliwe, wietrzne groźby.

Farhad zaciskał kurczowo palce wczepione w gęste futro Nitisha, a tygrys wbijał raz za razem zęby w jego koszulę i stawiał go na nogi. Chłopak nie widział go, w ogóle niczego już

nie widział, ale czuł go u swego boku i krzyczał burzy piaskowej prosto w twarz.

Nikt i nic nie może pokonać bohatera i jego białego tygrysa! Ty głupia burzo piaskowa! Czy naprawdę myślisz, że jesteś silniejsza niż lęk przed otchłanią, kiedy cwałuje się na wietrze, wysoko, ponad zielonym południem kraju? Silniejsza niż rwący nurt wezbranych monsunem rzek? Silniejsza niż żarłoczny ogień w mieście umarłych?

Farhad wierzył w to z całej duszy i był silniejszy.

– Nitish, słyszysz mnie? – krzyknął w wiatr. – Za nic nie przedostaniemy się do karawany! Ale może uda się nam dotrzeć do Sity! Musi być gdzieś tam, przed nami...

Burza rzucała mu w usta garście piasku, nie dopuszczając go do głosu. Ale Nitish zrozumiał. Ruszyli przed siebie mniej więcej w tym kierunku, gdzie zniknęła dziewczynka. Farhad brnął przez piach obok tygrysa, przyciskając się do jego potężnego cielska, które chroniło go przed wiatrem.

Przedzierali się krok za krokiem przez szalone widowisko piaskowej burzy. Burza nie tylko zabierała im widoczność, lecz nie pozwalała im nawet oddychać. Dmuchała im w płuca swoim szorstkim oddechem, jakby chciała ich udusić. Zaciskając powieki, próbowali nie stracić orientacji i nie pogubić się do reszty w tym piekielnym chaosie, ale piach szczelnie wypełniający powietrze sprawiał, że czuli się ślepcami. Nigdzie nie doszli i nikogo nie znaleźli w ogłuszającym wyciu wichru i tumanach piasku.

W końcu byli zbyt wycieńczeni, żeby w dalszym ciągu opierać się potędze Thar. Zbyt wyczerpani, by dalej szukać. Farhad padł na piasek i zaraz potem poczuł obok siebie wielkie, ciężko dyszące cielsko tygrysa. Burza pędziła nad ich głowami niczym armia wrogich bezkształtnych jeźdźców z piasku.

Farhad ukrył głowę w łapach Nitisha, by uniknąć uderzeń milionów ziarenek. Tak było lepiej. Wreszcie mógł znów oddychać. Ale wtedy uświadomił sobie naraz, że wcale nie było lepiej: piasek zaczął ich przykrywać z zastraszającą szybkością.

To będzie ta straszna, potworna śmierć, o której mówił Niemiec. Uduszą się. Zostaną żywcem pogrzebani. Pozostanie im bolesna świadomość nieuchronnego końca, połączona z całkowitym brakiem możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Czy tak oto skończą w piaskach Thar, bohater, jego tygrys i Krwawy Kamień?

Farhad zaczął gorączkowo obmacywać szyję i pierś w poszukiwaniu srebrnego amuletu.

„Pomóż mi – prosił żarliwie w myślach. – Pomóż mi, księżniczko o poważnym uśmiechu. Księżniczko, która tak lubisz śnić pod palmą daktylową. Księżniczko, która już masz wszystkie historie naszej podróży w swoim sercu. Pomóż mi”.

Nic się nie wydarzyło.

– Ojej! – powiedział nagle Nitish. – Teraz widzę.

– Co? – wydyszał Farhad.

– Widzę, po prostu widzę! – odparł Nitish. Jego oczy płonęły w rozedrganym powietrzu ponad Farhadem, przejrzyste i błękitne. – Przez cały czas miałem je zamknięte – wyjaśnił Nitish. – Oczy. Strasznie się bałem ziarenek piasku. Skąd mogłem wiedzieć, że to tak działa!

– Co takiego? – szepnął Farhad znużonym głosem i po raz kolejny wypluł z ust całe mnóstwo piasku.

– Kiedy otwieram oczy, mogę widzieć przez piasek jak przez leciutką mgłę – powiedział Nitish. – To doprawdy zdumiewające. Chcesz spróbować?

– To niemożliwe – odparł Farhad i uśmiechnął się słabo. – To są przecież twoje oczy. Nie można ich wypożyczyć.

– Ach tak – zamruczał Nitish. – Słusznie. Zupełnie o tym zapomniałem.

Wyprostował się nieco, po czym obrócił do przodu wielki biały łeb. Wtedy zrobił się naraz dziwnie niespokojny i znów skierował błękitne spojrzenie na Farhada.

– Widzę ją! – powiedziały jego oczy. – Widzę ją tam, przed nami! Drobna postać zakopaną do połowy w piasku. To musi być Sita! Straciła swojego wielbłąda...

– Żyje? – szepnęła Farhad ochryłym głosem. – Rusza się?

– Nie wiem – odparł Nitish. – Trzeba sprawdzić. Powinniśmy zabrać ją ze sobą.

– Zabrać ze sobą? – krzyknął Farhad. – Ale dokąd? Nie rozumiesz, że nie ma nic... nic, co mogłoby nas uratować! Jaka to w końcu różnica, czy jeden tygrys i dwoje ludzi umrą razem na pustyni, czy osobno!

– No, wiesz – fuknął na niego tygrys. – Bądź co bądź, jestem świętym tygrysem. I muszę przyznać, że im dłużej podróżujemy, tym bardziej jestem sobą zachwycony.

Uśmiechnął się triumfująco.

– Widzę przed nami jakiś kształt – powiedział. – Coś jakby czworobok. Nie wiem, co to jest. Ale z całą pewnością to coś ma stronę zawietrzną.

Chwycił zębami koszulę Farhada i podciągnął go do góry, stawiając na nogi, i w tej samej chwili burza znów sięgnęła po nich z całą mocą. Ale teraz mieli cel. A tego, kto ma cel, nie tak łatwo powstrzymać. Nawet w burzy piaskowej.

Farhad spostrzegł Sitę dopiero wówczas, gdy prawie się o nią potknął. Bez oczu Nitisha nigdy by jej nie odnaleźli, nawet gdyby znajdowali się zaledwie dwa kroki od niej. Drobne ciało było do połowy zakopane w piasku, dziewczynka leżała zwinięta w kłębek, chowając głowę w chudych ramionach.

Farhad przykleknął obok niej i jak szalony odgarniał piasek rękami.

– Sita! – krzyknął, ale burza przetrąła jego głos niczym papier ścierny. – Sita! To my! Jesteśmy tutaj! Słyszysz mnie?

Potrząsnął dziewczynkę za ramię i drżenie przebiegło przez małe ciało. Sita podniosła powoli głowę i zerkała zdumiona poprzez burzę i splątane włosy. Wyglądała na śmiertelnie wycieńczoną, ale kiedy rozpoznała Farhada, na jej twarzy odmalował się słaby uśmiech.

Chłopak też się uśmiechnął. Wstał szybko, podniósł Sitę i pieczołowicie ułożył na grzbiecie Nitisha, a biały tygrys natychmiast ruszył przed siebie, po raz ostatni opierając się burzy piaskowej.

Niedługo później dotarli do jakiegoś starego muru, który musiał dać odpór niejednej burzy piaskowej. Za tym murem znajdował się drugi mur, potem jeszcze trzeci – i w końcu znaleźli wejście do niewielkiego pomieszczenia, gdzie burzy nie było. Farhad zdjął Sitę z grzbietu tygrysa i położył się obok niej na ziemi. Oddychał ciężko.

– Świątynia – powiedział Nitish. – Stara świątynia. W dosyć kiepskim stanie. Ale w sam raz dobra, żeby przeczekać w niej burzę piaskową.

Farhad rozejrzał się dookoła i kiwnął głową. Tygrys miał rację. Dookoła stały resztki niskich przysadzistych kolumn, z których spoglądały na nich małe kamienne bóstwa o dziwnie rozmytych, jakby zamglonych twarzach. Lata wygładzały ich kontury, co nadawało im dziwnie odległy i obcy wyraz. Jakby śniły o tamtym czasie, kiedy jeszcze ich zagubioną wśród piasków Thar świątynię odwiedzały wielkie karawany, żeby z wysokości swoich kolumn udzieliły im błogosławieństwa.

Farhad wciąż wypluwał z ust piasek. Również w jego uszach i w nosie znajdowała się spora część pustyni Thar.

Piasku było tyle, iż Farhad zaczął się zastanawiać, ile go jeszcze pozostało na zewnątrz. Spojrzał na Sitę.

– Muszę ci podziękować – powiedział. – Uratowałeś mi życie.

– Oczywiście – powiedziała cicho dziewczynka. Rozejrzała się dookoła w ciszy podupadłej świątyni. – Więc chyba teraz przyszedła kolej na ciebie.

– Na co?

– Żeby mi uratować życie. Skoro nie ma już karawany, będziesz musiał wziąć mnie ze sobą do Dżajsalmeru.

– Oczywiście – Farhad usłyszał swój głos, który powtórzył te słowa za dziewczynką jak echo.

– Aha, mam coś dla ciebie. Zobaczyłam to w ręce tego Niemca, kiedy popędziłam na was swojego wielbłąda. Potem zobaczyłam, jak to coś upadło w piasek. A potem zaczęłam szukać po omacku i w końcu to znalazłam. Pomyślałam, że może ci się przydać.

Wyciągnęła rękę i tam lśnił i błyszczał jasno jak słońce i purpurowo jak jego zachód Krwawy Kamień. Farhad wciągnął powietrze.

– No dalej, weź go! Na co czekasz? – Cichy, znużony głos Sity zabrzmiał przynaglająco. – Nie chcę go mieć! Próbował mnie ukąsić swoją ostrą krawędzią.

Farhad wziął z jej ręki błyszczący klejnot i przyglądał się mu pełen zdumienia i niedowierzania.

– Zwykle to ja zawsze go znajdowałem – powiedział po chwili i pokręcił głową – a teraz dla odmiany to on znalazł drogę do mnie. Dziękuję ci – dodał. – Dziękuję ci raz jeszcze, Sita.

– Pomyśl lepiej o tym, żeby mi znaleźć jakąś pracę, kiedy już dotrzemy do miasta – odpowiedziała Sita.

Mówiąc to, zwinęła się w kłębek, przysunęła do Farhada i niebawem zasnęła twardym snem. Patrzył na jej ramiona i twarz, które były tak samo usiane gęstą siatką czerwonych

pręg jak jego własne ciało. Burza potraktowała ich jednako.

– Ciekawe, gdzie zgubiła swojego wielbłąda? – spytał w zamyśleniu.

– Tak czy inaczej, ta mała miała naprawdę dobry pomysł, żeby nie zabierać go ze sobą – powiedział z zadowoleniem Nitish. – Nie cierpię wielbłądów. Poza tym i tak by się tutaj nie zmieścił.

Farhad odgarnął Sicie włosy z twarzy.

– Co ja teraz z nią pocznę?

Spojrzał tygrysowi prosto w oczy i stropił się lekko. Tańczyły w nich maleńkie, figlarne iskierki, jakby Nitish się uśmiechał.

– Wygląda na to, że naprawdę przyplątało ci się dziecko – zamruczały jego oczy. – Kto by to pomyślał? Zawodowemu złodziejaskowi i oszustowi bez rodziny przyplątało się dziecko – pośrodku pustyni.

– Nie śmieję się! – ofuknął go Farhad. – Mamy poważny problem. Ja naprawdę obiecałem, że znajdę jej pracę.

– Wiem, wiem. Ale przecież ty, drogi Farhadzie Kamalu, nie należysz do tych, którzy dotrzymują obietnic, prawda?

– Nie – powiedział szybko Farhad. – Kiedyś rzeczywiście taki byłem, ale to było dawno i już tego nie pamiętam. Teraz stałem się inny.

– Piękne słowa – powiedziały oczy Nitisha. – Wielkie słowa. Słowa bohatera. I co teraz zrobimy z tym dzieckiem?

– Weźmiemy ją ze sobą – westchnął Farhad. – Ponieważ nie może zostać w Dżajsalmerze, gdzie mieszka król demonów, chyba będę musiał zabrać ją ze sobą.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– A dokąd ty pójdziesz, kiedy uwolnimy księżniczkę? Masz już jakiś pomysł?

Oczy tygrysa załśniły.

– Wracam na południe – powiedział. – Tam jest dobry kraj dla tygrysów. I wiesz co, przyjacielu? Będę tygrysem jak każdy inny. Już teraz niemal żałuję, że utracę moją świętość. Ale jestem pewien, to będzie cudowny, wspaniały czas. Mam nadzieję, że będę żółty jak...

– Jak pustynia – wpadł mu w słowo Farhad. – Będziesz najbardziej żółtym tygrysem, jakiego znały południowe Indie! – Uśmiechnął się, ale był to smutny uśmiech. – Będę cię szukać w lasach południowych Indii – powiedział. – Przemierzę je wzdłuż i wszerz i choćbyś się ukrył w mysiej dziurze, i tak cię znajdę!

– To mi pochlebia – zamruczał Nitish zadowolony. – Szkoda tylko, że nie będziesz mógł mnie rozpoznać, kiedy już będę żółty. Będę wyglądał tak jak każdy inny tygrys. I nie będę mógł już z tobą rozmawiać.

Milczeli przez chwilę.

Wycie burzy piaskowej podkreślało ich milczenie.

– A dokąd ty pójdziesz, mój bohaterze? – spytał wreszcie Nitish.

Farhad westchnął.

– Dokąd nogi poniosą. Może dotrę do samego dachu świata, może nad brzeg oceanu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało. Spodziewam się, że Kryszna da mi nową postać, żebym mógł umknąć przed strasznym gniewem Rawany. Jak tylko obdarzy mnie jakąś nową powierzchownością, odszukam palmę daktylową, pod którą śniła kiedyś księżniczka. Być może będziemy mogli ją razem odnaleźć, księżniczka i ja. To cudowne miejsce, gdzie są zielone ogrody i zarośla pełne śpiewających ptaków. Miejsce na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie. Musi to być jedna z oaz na tej pustyni...

– Akurat – parsknął Nitish. – Na południe od Nie-Wiadoo-Gdzie. Ale gdzie to jest?! Obawiam się, że nasz bohater się zakochał. Zakochani bohaterowie zawsze tak plotą.

Potrząsnął z uciechą swoim wielkim łbem.

– Hm – mruknął Farhad.

Mnóstwo drobnych skaleczeń, które ziarenka piasku pozostawiły na jego twarzy, paliło go niemiłosiernie, jakby jeszcze raz spotkał się z ogniem, i pewnie dlatego nie był w stanie powiedzieć, czy jego twarz płonęła od rumieńca, czy też raczej od tych ran.

– No, chyba nie będziesz zaprzeczać?

– Zaprzeczać? Czemu zaprzeczać?

– Przecież nie taki był plan Kryszny. Naprawdę myślisz, że chciał, abyś zakochał się w księżniczce?

– Nie wszystko na tym świecie przebiega zawsze według boskiego planu.

– Ale on ci jej nie da. Nawet jeśli uda się nam ją uwolnić. Jesteś zwykłym biedakiem, nie należysz do żadnej kasty, a ona jest córką boga. Nigdy nie będziesz mógł się z nią ożenić.

– W tym życiu być może nie – zgodził się z nim Farhad.

Żadna burza piaskowa nie trwa wiecznie, przynajmniej do dziś tak było. Również burza piaskowa, którą przeżyli na pustyni Thar bohater i jego biały tygrys, w końcu zmęczyła się swoimi szalonymi harcami. Powoli traciła siły, zakołowała, pomarudziła trochę, zamiotła jeszcze raz pustynię, zobaczyła, że jak okiem sięgnąć nic już nie widać i nie ma czego przykryć, i straciła zainteresowanie.

Farhad wyczołgał się z ruin świątyni i kiedy minął ostatni mur, znalazł się znów pośród całkowicie płaskiego krajobrazu. Było tak, jakby ktoś wygładził pustynię aż po horyzont krawędzią ogromnego noża jak jaskrawożółtą polewą gigan-

tycznych tortów w cukierniach Maduraju, w które jako dziecioko wpatrywał się zawsze pożądlivymi oczami.

– Nitish! – krzyknął, nie posiadając się z radości. – Burza minęła! Musimy się pospieszyć! Słońce już nisko!

Nitish zamruczał, otworzył jedno oko, po czym gwałtownie usiadł.

– Pustynia jest całkiem spłaszczona! – stwierdził ze zdumieniem. – Ktoś bardzo wielki, z bardzo wielką i bardzo płaską pupą musiał na niej usiąść, kiedy my spaliśmy.

– To burza. Burza piaskowa – powiedział Farhad, ale tygrys nie wydawał się przekonany.

Chłopak potrząsnął delikatnie Sitę za szczupłe ramiona. Dziewczynka poruszyła się sennie, przewróciła na drugi bok i wtedy Farhad zobaczył, że jej ubranie zabarwiło się na ciemno. Przestraszony skoczył na równe nogi.

Sita otworzyła oczy.

– Co... co się stało? – spytała nieprzytomnie.

– Też chciałbym to wiedzieć – odparł szorstko Farhad.

Drżącymi rękami odchylił porwane pundżabi dziewczynki, a Sita wstrząsnęła się z cichym jękiem.

– Nie ruszaj się! – powiedział Farhad zaschniętymi ustami.

– Ty krwawisz. Coś ty dziewczyno, narobiła?

– To wielbłąd... wielbłąd upadł, w burzy, a ja leżałam pod nim...

Zamilkła, a Farhad zobaczył, jak powieki znów jej opadają.

– Sita! – szepnął błagalnym tonem. – Mów do mnie! Co było potem?

– Potem... potem udało mi się jakoś spod niego wyczołgać. Ale wtedy upadłam na coś ostrego. Wielbłąd strasznie krzyknął i tarzał się jak szalony, a to ostre wbiło mi się w bok. Zaczęłam szukać po omacku i w końcu znalazłam. To był właśnie ten czerwony kamień, który ci da... Aaa! Przestań!

Farhad zbladł i czym prędzej ją oczyszczać rogiem swojej koszuli ranę. Wyglądała bardzo groźnie. Było to głębokie przecięcie, a krew wciąż jeszcze się z niego sączyła.

– Krwawy Kamień – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Zawsze ten przeklęty klejnot. Czy to nie jest straszne, że potrzebuję czegoś tak złego, tak niebezpiecznego, żeby zrobić wreszcie coś dobrego?!

Jeden po drugim obrywał strzępy zwisające z sukienki Sity, przycisnął je do rany, po czym oderwał kawał materiału z własnej koszuli i owinał nim boki dziewczynki niczym ciasnym pasem.

Krew potrzebowała chwili, żeby przesączyć się na drugą stronę, jednak również na tym opatrunku pojawiła się niebawem mała czerwona plamka. Farhad kłął pod nosem, rwał coraz więcej pasów ze swojej koszuli i owijał coraz ciasniej i ciasniej...

– To nie ma sensu – powiedziały błękitne oczy Nitisha, kiedy Farhad pochwycił w pewnej chwili jego spojrzenie. – Jedźmy już. Czas nagli. Dam głowę, że miasto jest już niedaleko. Za godzinę, najwyżej dwie będziemy na miejscu. Tam na pewno znajdziesz dla niej pomoc. Obiecuję ci, że się pospieszę. Będę jeszcze szybszy niż wiatr i jeszcze bardziej sprężysty niż deszcz...

Farhad skinął głową i wdrapał się na szeroki grzbiet Nitisha. Potem schylił się, podniósł Sitę z ziemi i posadził przed sobą na tygrysie.

– Krew przez cały czas wypływała z jej ciała jak potok ze źródła – mruknął pod nosem Farhad – a my... my nawet tego nie zauważyliśmy. Ja tego nie zauważyłem. Patrzyłem na Krwawy Kamień, a tego nie zauważyłem...

Nitish odwrócił do niego swój wielki łeb i spojrzał mu twardo w oczy.

– Przestań wreszcie biadolić i myśl o przyszłości! – powiedział z powagą. – Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co się stało i co już się nie odstanie.

A potem odbił się silnymi łapami od ziemi i zaczął w długich susach przemierzać ocean piasku gładki jak polewa na gigantycznym torcie.

To była ostatnia podróż na grzbiecie białego tygrysa i gdy Thar pędziła pod nimi z zawrotną szybkością, Farhad opowiadał po raz ostatni swoją historię.

Trzymał Sitę przed sobą, przyciskając ją mocno obiema rękami do piersi, żeby nie zsunęła się z grzbietu Nitisha, ponieważ gdy krew opuszczała jej drobne, kruche ciało, stawała się coraz bardziej senna.

A ponieważ nie było nic, co mógłby dla niej zrobić, więc opowiadał. Tym razem nie zastanawiał się ani przez sekundę nad tym, co należałoby opuścić, a co z czystym sumieniem może opowiedzieć.

Opowiadał jej o palmie daktylowej na południe od Nie-Wiadomo-Gdzie, której już niebawem będą razem szukać, o wietrze pod Madurajem, który niósł go na swoich niewidzialnych skrzydłach, i o tamtej pamiętnej nocy, kiedy to wspólnie z Nitishem przeprawiali się przez świątynną sadzawkę.

Opowiadał o brytyjskim więzieniu i o mężczyznach podlewających trawniki (tutaj Nitish parsknął cicho), o licznych, coraz bardziej pomysłowych przemianach i maskach Francuza lub Anglika, a może Niemca, o drzewie bodhi, prastarym figowcu udekorowanym wieloma kolorowymi chorągiewkami i o jego strażniku. O świętym nurcie Gangesu i o ogniach umarłych, a w końcu o tym, jak Chita wyleczyła jego ręce liśćmi drzewa neem.

Kiedy dzień miał się już ku końcowi, a cień tygrysa na piasku upodobił się do długonogiego wielbłąda, na horyzoncie zarysowały się kontury miasta.

– Dżajsalmer – powiedział z ulgą w głosie Farhad. – Tam, przed nami. Nareszcie! Spójrz tylko, Sita, jak wznosi się pośrodku Thar. Już zaraz, za chwilę przekroczymy jego bramę...

Sita nie odpowiedziała. Usnęła z głową na ramieniu Farhada.

Nitish przyspieszył kroku, gnał teraz przez miękką, piaszczystą równinę podobny światłu, które spieszy niezawodnie i bezszelestnie do swojego celu. Masywne, brunatne mury pustynnego grodu stawały się coraz wyraźniejsze, jego wieże z każdą sekundą wyższe, domy większe – aż Farhad rozpoznawał w końcu na murach miasta małe figurki ludzi. Na tle czerwieniejącego z wolna wieczornego nieba dostrzegł smukłą sylwetkę palmy, która rosła gdzieś na jakimś podwórzu Dżajsalmeru. „Być może – przemknęło mu przez głowę – to taka sama palma daktylowa jak palma księżniczki”.

– Obudź się, Sita! – szepnął i potrząsnął lekko małą. – Zaczekajmy na miejscu! Tam, w mieście, znajdziemy kogoś, kto opatrzy twoją ranę! A ja w tym czasie odszukam króla demonów, żeby wreszcie oddać jego słudze Krwawy Kamień. I wszystko, wszystko będzie dobrze!

Sita nadal się nie poruszała, więc Farhad uniósł ostrożnie jej ciężką od snu głowę.

– Sita! – powtórzył głośniej. – Obudź się!

Ale dziewczynka się nie obudziła.

Farhad dotknął jej szyi, wymacał tętnicę, chcąc wyczuć puls, i już wiedział, że Sita nigdy więcej się nie obudzi. Żaden oddech nie ulatywał z jej ust, żadnego uderzenia serca nie czuło się w jej piersi.

Zasnęła, zasnęła na zawsze na jego ramieniu.

Od Dżajsalmeru, miasta Rawany, dzieliło ich zaledwie kilka tygrysich susów, ale Sicie te tygrysie susy były już niepotrzebne. Kiedy odeszła? Kiedy opowiadał o skrzydłach wiatru? O nocy w świątyni? O szumie wezbranej rzeki? O czarnych cieniach pod drzewem bodhi? Z całej duszy, z całego serca żywił nadzieję, że odeszła, gdy opowiadał coś pięknego. Coś, czego jej mała dusza mogła się mocno przytrzymać, jak on swojego białego magicznego tygrysa, kiedy szybowwała już w pustkę pomiędzy tym życiem a następnym.

– Nitish – powiedział, a jego głos nie brzmiał jak głos bohatera. – Nitish, zatrzymaj się! Tylko na chwilę.

Tygrys wyhamował swój lotny bieg i stanął w miejscu. Odwrócił się do Farhada, a jego oczy były pełne pytań.

Chłopiec długo walczył z odpowiedzią. W końcu wskazał skinieniem głowy na dziecko w swoich ramionach.

– Sita – szepnął – wyprzedziła nas. – Ona... ona zostawiła tutaj tylko swoje ciało.

Wtedy zamilkły oczy Nitisha, jego nos zadrgał, a długie białe wąsy nastroszyły się, broniąc przeciwko słowom Farhada.

– Jesteś pewien? – zapytał w końcu.

Farhad skinął powoli głową.

– Co z nią zrobimy?

– Nie wiem – powiedział Farhad.

Wciąż trzymał mocno Sitę, żeby nie zsunęła się z grzbietu Nitisha. Jak gdyby miało to jeszcze dla niej jakieś znaczenie.

– Naprawdę nie wiem – dodał cicho.

Usłyszał, jak jego głos zamiera, by wreszcie całkiem go opuścić. I wtedy zauważył coś jeszcze: miał oczy pełne łez. Nie mógł nic z tym zrobić i ciepłe łzy płynęły po jego brudnych, wysmaganych przez burzę piaskową policzkach i paliły słono jego rany, skapywały kropla za kroplą na martwe ciało Sity i spływały cienką strużką w futro tygrysa.

W Farhadzie Kamalu, oszuście z południa i bohaterze, zerwał się prawdziwy monsun. Wyłamał wszystkie bariery i rozniósł w pył wszystkie, wszystkie bez wyjątku zapory, które przez całe życie trzymały w ryzach jego serce, i teraz nic nie mogło go już powstrzymać.

Przyłożył policzek do główki martwej dziewczynki i płakał, płakał, aż nim wstrząsało. Płakał jak małe bezradne dziecko, płakał nad Sitą, płakał nad karawaną, która leżała pogrzebana w piaskach pustyni, płakał nad Rahulem, nieszczęsnym żebrakiem, którego śmierć widział na kamiennych schodach w Waranasi, płakał nad spalonymi żywcem rodzicami Sity, płakał nad całym tym niezrozumiałym światem.

Ale kiedy jego pierwsze łzy dotknęły sierści tygrysa, w Nitishu zaszła niespodziewanie dziwna zmiana. Jego śnieżnobiałe futro stało się naraz szare, czarne pręgi skurczyły się, by chwilę później zupełnie zniknąć, a różowy nos przestał drgać.

Farhad widział pustynię przez szklistą zasłonę łez i trwało chwilę, nim poczuł, że coś się pod nim dzieje.

– Nitish – szepnął, ocierając zapłakane oczy, które wszakże nie chciały wyschnąć. – Nitish, co z tobą?

– Słony sok życia, krystalicznie przejrzysta krew ziemi – odpowiedziały oczy Nitisha i odbijało się w nich bezmierne zdumienie. – To jest to, Farhadzie. Łzy.

– Łzy?

Farhad nie rozumiał. Był jeszcze zbyt przejęty śmiercią dziecka w swoich ramionach, żeby móc zrozumieć.

– To jest właśnie to, czego przez cały czas nie wiedzieliśmy! – odparł Nitish.

Farhad poczuł teraz, że grzbiet pod nim stał się twardszy, jakby tygrys napiął wszystkie mięśnie.

– Zamieniam się w kamień – powiedziały oczy Nitisha.

Również i one nie były już błękitne i błyszczące, ale przybrały teraz posępny odcień ziemistej szarości.

– Byłem Nitishem, Panem Właściwej Drogi. Długo, bardzo długo nim byłem, dłużej niż tysiąc lat. Teraz będę Ninit, ciszą...

– Nie! – krzyknął Farhad i pochwycił jedną ręką futro tygrysa.

Ale to futro nie było już miękkie i gładkie, ale twarde i szorstkie jak skała.

– Moje łzy wyschły, już ich nie ma! Ja... ja nie będę więcej płakał. Obiecuję ci to, Nitish! Błagam, nie możesz mi tego zrobić! Przestań zamieniać się w kamień! Nie zostawiaj mnie samego! Ja... ja nie chciałem, ja naprawdę nie chciałem zamienić cię w kamień, przysięgam! Ja...

Wtedy oczy tygrysa powiedziały coś, co mówiły już raz tego dnia:

– Przestań wreszcie biadać i skup się na przyszłości! Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co się stało i co się już nie odstanie...

Uśmiechnął się po raz ostatni swoimi magicznymi oczami.

– Nie możesz już tego powstrzymać, Farhadzie! Idź do miasta pośrodku pustyni. Idź i uwolnij księżniczkę. Potrzebujesz wszystkich swoich sił, żeby tego sam dokonać. Ale uda ci się pewno.

– Nitish...

– Będę o tobie myślał – powiedziały po raz ostatni oczy tygrysa.

Potem zgasły. Farhad wpatrywał się w nie z jakąś szaloną, niedorzeczną nadzieją, próbował wyrwać z nich jeszcze choć słowo, choć pół, ale były z twardego, zimnego kamienia.

Zsunął się z grzbietu tygrysa i patrzył na niego. Tak, biały tygrys zamienił się w skałę. Jego kontury zaczynały się już z wolna zacierać. Jakby skała chciała zachować w tajemnicy

to, że była kiedyś tygrysem. Na jego grzbiecie wciąż jeszcze leżała Sita. Leżała tam, jakby nadal spała, cicho i spokojnie, nie zsuwając się w dół, chociaż Farhad już jej nie trzymał.

Cofnął się o krok, potem jeszcze jeden, a potem odwrócił się i zaczął biec jak szalony. Pędził przed siebie tak długo, w takim szaleńczym zapamiętaniu, jakby chciał zagonić się na śmierć. Dopiero gdy ból w jego płucach stał się większy od bólu w jego duszy, zwolnił kroku. I zaczął się zbliżać w ciepłym wieczornym powietrzu Thar do miasta, tego miasta w samym sercu pustyni: do Dżajsalmeru.

Jedyna palma, którą stąd widział, kiwała do niego ciemnozielonymi liśćmi. I chociaż serce Farhada było tak rozpaczliwie ciężkie, iż myślał, że zaraz wciągnie go w piasek, szedł dalej. Ponieważ był bohaterem i musiał wypełnić swoją misję do samego końca.

Pustynny zmierzch przyszedł nie wiadomo skąd i kiedy, a potem znów gdzieś przepadł, i kiedy Farhad dotarł do bramy miasta, rozbłysły pierwsze światła.

Szedł teraz powoli, krok za krokiem, nie zatrzymywał się jednak.

Przy bramie stało czterech strażników – dwóch Anglików i dwóch Hindusów.

– Skąd idziesz? – spytali go.

– Z Maduraju – powiedział Farhad.

Potrząsnęli głowami i zaśmiali się zgodnym chórem.

– Czy przez całą drogę szedłeś na piechotę?

– Nie – odparł Farhad. – Jechałem na białym tygrysie. Ale zamienił się w kamień.

Wtedy strażnicy roześmiali się jeszcze głośniej.

– Jak się nazywasz, szalony chłopcze? – spytał jeden z Anglików.

Farhad zastanawiał się przez chwilę, ale był już zupełnie kimś innym. Nie był już złodziejem i oszustem. To był ostatni etap jego podróży, a on był bohaterem.

– Nazywam się Farhad – odpowiedział spokojnie, prostując się – Farhad Kamal. Farhad, czyli szczęśliwość, a Kamal – kwiat lotosu. I bardzo mi się spieszy.

Wtedy go przepuścili, szaleńca, obcego, który pewnie stracił rozum na pustyni.

– Widziałeś jego bliznę? – szepnął jeden z miejscowych strażników do drugiego. – Wypaloną jak piętno na jego czole?

– Trzecie oko – szepnął drugi. – Znak Sziwy.

– Kto wie, może to wasz Sziwa odebrał temu nieszczęśliwemu rozsądek... – zauważył trzeci strażnik, który był Brytyjczykiem.

Farhad szedł szeroką, brukowaną ulicą, która pięła się pod górę, w głąb nieznanego mu miasta, a jego kroki były coraz bardziej powolne i niepewne. Zmuszał się wręcz, żeby nie przystanąć.

Kiedy doszedł do pierwszego większego placu, był już tak wysoko, że mógł stąd spoglądać ponad grubymi brunatnymi murami na leżącą w dole pustynię. Jego oczy szukały skały, która byłaby choć trochę podobna do tygrysa, ale aksamitnie miękka ciemność nocy otulała teraz pustynię i nigdzie nie płonęły na niej dwa błękitne punkty.

Miasto było piękne. Jego lekkie budowle przypominały koronki, pełno było ażurowych murków oraz delikatnych, wykwintnych wzorów. Na ulicach płonęły małe ogniska sprzedawców kawy i vadai, a finezyjne wzory na ścianach domów wydawały się tańczyć w ich chybliwym świetle.

Farhad położył rękę na kolumnie wspierającej fronton jakiejś świątyni i kiedy dokładniej się jej przyjrzał, odkrył

w zdobiących ją splątanych kamiennych pnączach kamiennego tygrysa. Światło był zbyt słabe, by mógł rozpoznać postać, która jechała na jego grzbiecie.

– Nitish – szepnął Farhad. – Jestem już w mieście. A wkrótce będę stać przed haveli, przed wspaniałym domem, w którego ścianach król demonów Rawana udaje bogatego kupca. Ale ciebie nie ma już przy mnie, a bez ciebie jestem bezradny. Uratowałem cię z ognia, a potem cię straciłem przez moje łyż. Zrobiłbym wszystko, wszystko, żeby tak się nie stało!

Wtedy wydało mu się naraz, że jeszcze raz słyszy słowa Nitisha.

„Skup się na przyszłości! Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co się stało i co się już nie odstanie”.

I Farhad oderwał się od cienia świątyni i poszedł z powrotem w labirynt ulic, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby mu wskazać kierunek.

Przy pierwszym ognisku, na które się natknął, siedziała w kucki stara kobieta i mieszała w wielkim blaszanym kotle. Spowijał ją zapach kardamonu, goździków i cynamonu. Kiedy Farhad się do niej zbliżył, zaczerpnęła kubkiem herbatę ze swojego kociołka.

– Chai, mój przyjacielu – zawołała. – Herbata dla obcego. Tania i dobra. Chai, chai, chai!

– Nie mam nawet pajsy – powiedział Farhad. – Nie mogę wam zapłacić za herbatę. Znacznie bardziej niż herbaty potrzebuję odpowiedzi.

– Odpowiedzi jest wiele – powiedziała stara kobieta. – A niektóre z nich są cenniejsze niż herbata. Wszystko zależy od pytania, do którego należy twoja odpowiedź.

Farhad uśmiechnął się.

– Pytanie brzmi: Gdzie znajduje się dom najbogatszego kupca w Dżajsalmerze? – powiedział.

– To proste – odparła stara ze śmiechem. – Właśnie stamtąd przyszedłeś. Obserwowałam cię.

– Myślałem, że to jakaś świątynia. Wszystkie te ornamenty i kolumny – powiedział Farhad zdumiony.

– Bo to jest świątynia! – wyjaśniła stara i zaśmiała się głośno. – Świątynia, którą wybudował sobie Ahmed Mudhi na swoją cześć. Powiadają, że ściany komnaty, w której sypia ten wielki pan, są od góry do dołu wykładane lustrami, żeby mógł się wielbić. Ma także siedem zielonych dziedzińców i trzy fontanny, i osiem żon, piękniejszych niż całe złoto na dachu słynnej dżinijskiej Złotej Świątyni w Ajmerze! Naprawdę, radża Ahmed Mudhi jest najbogatszym kupcem na całej pustyni Thar.

– Gdzie jest wejście do jego domu? – spytał Farhad.

– Niedaleko. Tylko parę kroków od tego miejsca, gdzie cię dostrzegłam, mój przyjacielu. Skręć za róg, wtedy je zobaczysz. Ale czego tam szukasz? Ahmed Mudhi nie przyjmuje, zwłaszcza tej nocy... Chodzą słuchy, że dziś spędzi pierwszą noc ze swoją ósmą żoną, najmłodszą i najpiękniejszą ze wszystkich. Z dziką dziewczyną, która przybyła tutaj z samego serca pustyni. Podobno próbowała uciec, chciała się wspiąć na jedyny mur, który łączy ulicę z ogrodami radży. I prawie się jej udało...

Młasnęła głośno językiem, po czym potrząsnęła z ubolewaniem łysą głową.

– Mimo to muszę do Raw... do Ahmeda Mudhiego – powiedział stanowczo Farhad. – I naprawdę mi się spieszy.

– Czekaj! – krzyknęła stara. – Po co ten pośpiech, synu! Pozwól, że cię ostrzegę. Ten Mudhi napawa mnie grozą i lękiem. Strzeż swoje stopy przed fałszywymi ścieżkami! Dom Ahmeda Mudhiego jest wprawdzie piękny, o tak, ale to nie jest dobry cel. Powiadają, że radża wymyka się potajemnie ze swojej

świątyni pod osłoną nocy do ogrodu i tam zamienia się w demona z żarzącymi oczami i płonącym językiem...

– Ludzie zawsze dużo gadają – odparł wymijająco Farhad i chciał już wreszcie pójść, ale stara przytrzymała go mocno za rękaw.

– Masz tutaj – powiedziała – weź ten kubek chai. Jeśli twoje stopy muszą już koniecznie biec do tego domu, to wzmocnij się przynajmniej. Wyglądasz na znużonego.

Kiedy Farhad pochylił się do starej kobiety, aby wziąć z jej rąk kubek, świsnęła przez zęby.

– Nosisz znak – powiedziała.

– Jaki znak?

– Znak bogów. Na czole, między oczami. Musi to być coś bardzo szczególnego, mój synu, co cię tutaj sprowadza.

Farhad obmacał czoło i poczuł po raz pierwszy bliznę, którą pozostawił tam ogień. Skinął głową i pił herbatę, której korzenny smak napełnił ciepłem jego żyły. Potem oddał metalowy kubek i poszedł bez słowa wprost do domu Ahmeda Mudhiego. Skręcił za róg, który mu wskazała, i znalazł bez trudu bramę wejściową prowadzącą do haveli.

Była to wielka, piękna brama, przed którą stało dwóch wartowników, wspierając się na brytyjskich karabinach. Stali i patrzyli na Farhada. Wymacał Krwawy Kamień, który znów drzemał w opatrunku na jego ramieniu. Ale teraz miał wrażenie, że czuje tam gniewne, niecierpliwe pulsowanie. Krwawy Kamień chciał być wreszcie uwolniony, chciał wreszcie spotkać się z tym, który tak bardzo go pożył.

– Chciałbym rozmawiać z pierwszym sługą tego domu – powiedział Farhad do wartowników.

– Taaak, naprawdę? – powiedział jeden z mężczyzn.

– Ciekawe – dodał drugi.

– Gdzie on jest? – spytał Farhad niecierpliwie.

– Nie sędzę, by chciał z tobą rozmawiać – zbył go pierwszy mężczyzna. – Suryakanta jest wytwornym panem. Nie rozmawia z żebrakami. Czego chcesz?

– Nie jestem żebrakiem – odparł dobitnie Farhad. – Przynoszę coś, na czym Suryakancie bardzo zależy. Będzie wam jeszcze dziękować, jeśli mi pomożecie dostać się do niego.

– Jest zajęty – powiedział drugi mężczyzna. – A jeśli chciałbyś wiedzieć jeszcze więcej, to ci powiem, że to noc zaślubin Ahmeda Mudhiego z jego ósmą żoną. To dziwna sprawa. Owszem, ona jest piękna, ale drapie nie gorzej niż róże w ogrodzie radży. A jego pierwszy sługa czuwa przed drzwiami jej komnaty, żeby nie spróbowała jeszcze raz czmychnąć, zanim zaprowadzą ją do jej pana.

– To, co przynoszę Suryakancie, jest dla niego o wiele ważniejsze. On to doceni – szepnął tajemniczo Farhad.

Ale wartownicy pozostali niewzruszeni.

– Więc po prostu mi to daj – powiedział w końcu jeden z nich. – Możemy mu to przekazać.

Farhad zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

– Chyba nie sądzisz, że powierzę ci coś, co jest tak niebywale cenne?!

– Niebywale cenne? – powiedział wartownik, wybuchając gromkim śmiechem. – Spójrz tylko na siebie! Twoja koszula wisi cała w strzępach, chusta na biodrach rozpadła się na sto tysięcy nitek i tylko brud na twoim ciele cię odziewa, drogi bracie! Nawet włosy na głowie jakoś nie chcą rosnąć! Jesteś parszywym psem, niczym więcej! Damy ci trochę wody i kawałek chleba, a potem zostaw nas w spokoju i idź sobie.

– Nie rozumiecie! – krzyknął Farhad zrozpaczony. – Nic w ogóle nie rozumiecie! Powiedzcie Suryakancie, że mam kamień!

– Kamień? Jaki kamień?

– Krwawy Kamień! – odparł Farhad.

Przez chwilę wartownicy spoglądali na siebie w milczeniu. Potem wybuchnęli śmiechem.

– Ależ tak! Tak właśnie wyglądasz! – zawołał pierwszy. – Jak ktoś, kto nosi przy sobie klejnoty!

– Krwawy Kamień, drogi przyjacielu – powiedział drugi i przysunął się bliżej do Farhada – w ogóle nie istnieje. To tylko plotka, nic więcej. Wymyśliłeś tę historyjkę, żeby się tutaj dostać. Ale inni mieli już lepsze pomysły, żeby dostać się do skarbów Ahmeda Mudhiego. A teraz zmiataj, zanim się naprawdę rozżłościmy!

Farhad czuł, jak wzbiera w nim bezsilna wściekłość. Rzucił się do przodu, próbował przemknąć się bokiem, ale drugi wartownik pchnął go z powrotem lufą karabinu. Zatoczył się do tyłu.

– Co się tam dzieje?! – usłyszał w tej samej chwili głos trzeciego mężczyzny.

– Mamy tutaj takiego jednego – odpowiedział pierwszy wartownik – który szuka guza.

Wtedy Farhad, widząc, że nic nie wskóra z tą dwójką, odwrócił się i pobiegł ulicą, skręcając za najbliższy róg pod osłoną ciemności. Z bijącym sercem zatrzymał się przy jakimś murze bez okien i żadnych zdobień. Księżyc wyjrzał zza chmur i w jego świetle Farhad ujrzał za murem tę samą palmę, która kiwała mu z daleka, kiedy zbliżał się do miasta. Dotknął amuletu na piersi i pomyślał o księżniczce, która teraz była tak blisko niego jak jeszcze nigdy dotąd. Dzieliło ich od siebie jeszcze tylko kilka ścian. Wsłuchiwał się w swoje wnętrze, wsłuchiwał się w głos amuletu i nagle usłyszał słowa starej sprzedawczyni herbaty.

„Dzika dziewczyna – mówiła – przybyła z samego serca pustyni. Podobno próbowała uciec. Chciała wspiąć się na mur. I prawie się jej udało...”.

Oczywiście! Księżniczka wyjaśniała mu, co ma teraz robić, jakby umyślnie wysłała do niego sprzedawczynię chai. Musiał tylko znaleźć mur, ten jeden jedyny mur, który oddzielał ogród Ahmeda Mudhiego od świata. Ale czy nie stał już przed tym właśnie murem? Przyjrzał mu się dokładnie. Nie, nie było w nim ani jednego okna i nawet palma wydała mu się teraz zbyt blisko, żeby pomiędzy tym murem i drzewem mogły jeszcze być jakieś pokoje.

Jego stopy znalazły bez trudu nierówności w glinianym murze, jakby od dawna go znały, a jego ręce były teraz zręczne i Farhad wspinał się na mur z taką łatwością, iż miał niemal uczucie, że jakaś niewidzialna siła unosi go w górę. On nie wdrapywał się po murze, lecz szybował! Jego serce śpiewało razem z sercem księżniczki radosną pieśń i oba serca wiedziały, że oto nadeszła godzina ratunku. Ta chwila, na którą czekała przez całą opowieść.

Kiedy Farhad dotarł już do samego szczytu muru, jeszcze raz poszukał Krwawego Kamienia. Tak, był tam, na swoim miejscu. A on był gotów stanąć twarzą w twarz z Suryakantą.

Pod nim leżały zielone ogrody zalane księżycową poświatą. Farhad usłyszał gruchanie gołębi śpiących w swoich gołębnikach, widział błyszczącą srebrzyście powierzchnię wody w sadzawce z białego marmuru, pośrodku której spała teraz fontanna, i wdychał z lubością woń białych kwiatów, które otwierały się tylko w ciemności, żeby nocne ćmy mogły karcić się ich słodkim nektarem.

W jednym z okien naprzeciwko muru, u samej góry, migotało jeszcze światło lampki oliwnej. Błyszczało jasno i srebrzyście, jak gdyby odbijało światła wielu tuzinów lusterek. Na balkonie przed tym oknem Farhad ujrzał jakąś postać. Z początku przestraszył się, lecz potem zobaczył, że postać nie patrzyła w jego stronę, ale spoglądała w dół na ogrody.

Rawana.

Albo Ahmed Mudhi.

Jeszcze był sam, jeszcze nie zabrał księżniczki do swojego posępnego królestwa. Jeszcze nie było za późno. Farhad wciągnął głęboko powietrze i przełożył nogi przez mur. Potem zaczął spuszczać się w dół po grubych starych pnączach, które rosły tam tak splątane i zamotane jak samo życie.

W pierwszym z siedmiu ogrodów Ahmeda Mudhiego, gdzie za dnia tańczyła w promieniach słońca najpiękniejsza z jego trzech fontann, stał tamtej nocy samotny sługa. Podobnie jak reszta służby w domu radży i ten sługa nie wierzył, że szalona dziewczyna z pustyni jeszcze raz będzie próbowała uciec. Ale zawsze trzeba być przygotowanym nawet na najbardziej nieprawdopodobne.

Sługa wspierał się o pień palmy daktylowej i spoglądał w górę, na jej liście, które wydawały się sięgać po błyszczącą tarczę księżyca w pełni. Stał już tam jakiś czas, zadając sobie pytanie, kiedy radża wezwie wreszcie do siebie swoją ósmą, najpiękniejszą ze wszystkich żonę.

Był zmęczony i marzył tylko o tym, żeby wyciągnąć się na swojej starej macie i jak najszybciej opuścić ten szeleszczący zafiferowany nocny ogród, który przejmował go grozą. Ludzie bajali, że mieszkają w nim demony, a sługa był bardzo zabobonnym człowiekiem. Kiedy w pewnej chwili oderwał wzrok od korony palmy daktylowej i spojrzał na mur, z początku pomyślał, że oczy go mylą. A może to był tylko wiatr, który nocą przeciągał przez pustynię i jej miasta i poruszał liśćmi bugenwilli?

Spojrzał jeszcze raz w tamtą stronę – nie, tam naprawdę schodził ktoś w dół po murze. Ten ktoś był do niego odwrócony plecami, żeby móc chwytać się pnączy. Sługa Ahmeda Mudhiego nie zastanawiał się zbyt długo. Przyłożył do oka

karabin – piękna broń, którą codziennie polerował i którą jego pan odkupił od Brytyjczyków – i strzelił.

Miał dobre oczy i nie chybił.

Farhad dotarł już prawie do ziemi i chciał właśnie zeskoczyć, kiedy usłyszał huk wystrzału. Jednocześnie poczuł, jak coś wniaka w jego plecy, tuż poniżej lewej łopatki. Całe ciało przeszyły rwący, szarpiący ból, a jego dłonie w tej samej sekundzie puściły się pnączy. Kiedy lądował na miękkiej ziemi, ból zniknął. Farhad wiedział, że wciąż tam jeszcze jest, ale już go nie czuł. Wszystko kręciło się wokół niego w jakiś nierzeczywisty sposób. Chwycił się za pierś i wtedy poczuł pod palcami wilgoć.

Kula musiała przeszyć jego ciało na wylot. Nie dostała jego serca, ponieważ serce Farhada należało do księżniczki. Ale krew płynęła z jego piersi niczym ciepła szkarłatna struga – tak samo jak wypływała z Sity, tylko tysiąc razy szybciej.

Usłyszał nagle jakieś głosy dobiegające z ogrodu. Natychmiast zamknął oczy, starając się leżeć jak najciszej. Głosy zbliżały się, umilkły, potem pochyliły się nad nim i powiedziały:

– Znakomity strzał!

– Bardzo dziękuję.

– Głupi chłopak. Najpierw myślał, że uda mu się wejść pod jakimś pretekstem frontową bramą. Czego mógł tutaj szukać właśnie tej nocy?

– Być może chciał wykraść tę piękną wariatkę.

Głosy zaśmiały się chórem i znów oddaliły.

– Jutro zastanowimy się, co z nim dalej robić – usłyszał jeszcze Farhad, potem głosy całkiem ucichły, a ogród był dziwnie spokojny i milczący. Dopiero po chwili liście zdobyły się znów na odwagę, by szeleścić, a drzewa szemrać i szeptać potajemnie.

Farhad widział nad sobą gałęzie kołyszące się na wietrze. I widział pień palmy. Spojrzał w górę. To była właśnie palma

daktyłowa. Taka sama palma daktyłowa jak ta, pod którą śniła i marzyła kiedyś księżniczka, dawno, dawno temu.

Czy jego podróż trwała naprawdę tylko miesiąc? Nagle wydało mu się, jakby upłynęło całe życie, odkąd w sadzawce z lotosami odkrył srebrny amulet. Poczuł, że opuszczają go siły. Dysząc z wysiłku, zaczął szukać po omacku amuletu, a kiedy go wreszcie znalazł, przycisnął go mocno do rany na swojej piersi. Nadal nie czuł bólu.

I nagle przypomniał sobie to, co powiedział mu wtedy, na szczycie góry, święty mąż: „Będziesz szedł przez wiatr, przez ogień i przez wodę. Na końcu jednak, na końcu czeka śmierć”.

– Księżniczko – wyszeptał. – Księżniczko, której imienia nawet nie znam. Pomóż mi, jeszcze ten jeden jedyny raz. Jestem już tak blisko ciebie... tak blisko...

Usłyszał jej odpowiedź w swojej głowie, w której wszystko nieznośnie wirowało. I po raz pierwszy nie tylko poczuł jej słowa, ale usłyszał całkiem wyraźnie jej głos. Był piękny, lecz nie miękki, ale szorstki jak piasek pustyni.

– I ja, Farhadzie, jestem u kresu sił – powiedziała księżniczka. – To była długa podróż, którą razem przebyliśmy. Śmierć sama wybiera swój czas. Nie mogę jej odeprzeć. Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to jeszcze tylko powstrzymać ją przez chwilę – szepnęła. – Może tylko minuty, może godzinę...

– Więc będę tutaj leżał przez tę ostatnią chwilę – odparł Farhad z dziwnym uczuciem szczęścia w sercu. – Będę leżał i myślał o tobie...

– Będę po tobie płakać – szepnęła księżniczka.

Wtedy palce Farhada ześliznęły się z amuletu, głowa opadła mu na bok i ogarnęło go wielkie przemożne znużenie. Zamknął oczy i po raz ostatni w życiu wciągnął do płuc woń białych nocnych kwiatów.

Lalit i Lagan

Indyjska miłość jest zawsze zakazana
jak kardamon, zmysłowa i ostro jak chilli strak.

Przychodzi nocą – lub z samego rana,
kusząc cichutko – chodź, mój miły, chodź.

Indyjska miłość jak furia szkarłatna
jak smutek ma barwę błękitu.

Nie jest dobra, lekka ani łatwa
i nie trwa wiecznie – czasem tylko do świtu.

Indyjska miłość w indyjskich ogrodach
rozkwitła nocą przy blasku księżyca.

W cichych sadzawek przegląda się w wodach
i wraz z jutrzeńką bezszelestnie znika.

A gdy ciekawski, plotkarski wiatr
podpatrzy tam dwoje kochanków tajemnych,
to zaraz poniesie daleko w świat
nową opowieść pełną zawirowań rzewnych.

Opowieść uwarzona z ludzkich namiętności,

w miedzianym kotle starej ożarownicy,

gdzie wrzą od wieków przyprawy miłości

śladki miodu radości i gorzyczą tęsknicy.

Spowite w gęsty opar, umieszczenia,

rózowy obłoczek móżkoszy,

która ostudzi zimny oddech śmierci;

co każdą radość, każde szczęście ploszy.

Raka umilkła i przez chwilę nad jej pokojem zawisło milczenie, jak jasny, ostatni ton długiego, burzliwego utworu muzycznego.

– Ależ to... to straszne! – wyszeptał Lalit. – Czy on naprawdę umarł?

– Obawiam się, że tak – powiedziała Raka. – A może widzisz gdzieś tutaj bohatera, który próbuje mnie uratować? – dodała z goryczą.

Lalit rozejrzał się mimo woli wokół siebie i w tej samej chwili pojął, że to, co robi, jest zupełnie bezsensowne. W pokoju – prócz nocnych cieni kryjących się po kątach – była tylko Raka. I on.

„Ale nie, nie i jeszcze raz nie! – pomyślał w popłochu. – Nie jestem bohaterem. Ja nie potrafiłbym nikogo uratować. I jak? Jak, w jaki sposób miałbym to zrobić?”.

Potrząsnął głową.

Księżyc nie dotarł jeszcze do korony palmy daktylowej w ogrodzie radży. Pełny, wielki i biały płynął niespiesznie po niebie, jakby się ociągał. Lecz również księżyc podlega prawom wszechświata, a prawa wszechświata domagały się od niego, żeby ruszał dalej.

Lalit podniósł się z parapetu, podszedł do Raki i wziął ją w ramiona.

Nie patrzyła na niego, wpatrywała się w księżyc.

– Kocham cię – powiedział Lalit.

– Jutro – powiedziała cicho Raka – nie będziesz mnie już kochał. Ponieważ kochać można tylko tych, którzy żyją. A ja nie doczekam jutra. Kiedy nadejdzie świt, będę już zimna jak kamień tego parapetu. Wściekłość Ahmeda Mudhiego, która wybuchnie tej nocy, nie pozostawi we mnie nawet iskierek ciepła.

– Mimo to będę cię kochał – powiedział Lalit. – Ty odejdziesz, ale twoja historia pozostanie. Będę ją opowiadał dalej

i ona będzie wędrować – przez całe Indie, tak samo jak Farhad. I dopóki ludzie w naszym kraju będą sobie opowiadać tę historię, będzie w niej kawałek ciebie.

– Piękne słowa – powiedziała Raka.

Wtedy Lalit umilkł i pocałował ją po raz ostatni, ponieważ do tego nie potrzebował słów.

I wspólnie patrzyli przez okno w noc.

Na dole, w gęstych zaroślach, gdzie białe kwiaty błyszcząły w ciemnościach jak gwiazdy, szeleścił czarny wiatr. Czy to był wiatr?

– Wymyśliłaś go sobie, prawda? – szepnął Lalit. – Swojego bohatera. Przecież on nie istnieje naprawdę.

– Oczywiście, że go wymyśliłam – odszepnęła Raka.

– Muszę przyznać... że czasami byłem nawet trochę zazdrosny.

Ledwie to powiedział, natychmiast pożałował. Jak mógł być tak strasznie głupi i egoistyczny! Tej nocy Raka stanie twarzą w twarz ze śmiercią, a on jest zazdrosny o bohatera, którego sobie wymyśliła. Wiedział o tym, a mimo to uczucie pozostało.

Wiatr znów lekko szeleścił, niemal niesłyszalnie, i popędził księżyc na niebie kawałek dalej. Wprost na palmę daktylową w ogrodzie radży.

– Idź już – szepnęła Raka. – Idź i śpij. Tę ostatnią godzinę, która mi jeszcze pozostała, zanim stanę naprzeciw radży, chciałabym mieć tylko dla siebie.

Wyśliznęła się z objąć Lalita jak ryba.

Wtedy wyszedł, ale wiedział, że tej nocy nie będzie spać.



Przez miłość

Pomiędzy kolcami krzewu różanego

Długo leżał bezsennie i wpatrywał się w ciemność swojej małej izdebki. Serce płonęło mu w piersi, płonęło jak stosy nad Gangesem, ponieważ kobieta, którą bardzo kochał, miała umrzeć.

A on nie mógł nic zrobić.

Jak zawsze w życiu inni byli potężniejsi, ważniejsi od niego. On nauczył się służyć, być posłusznym, kłaniać się i nikt nie nauczył go, jak się sprzeciwiać. I może tak właśnie było lepiej, ponieważ zawsze sobie mówił, że to nie miałyby sensu. Ponieważ ten, kto się sprzeciwia i buntuje, na koniec zawsze przegrywa. Błyszczące oczy Raki po raz pierwszy kazały mu wątpić w to, że tak rzeczywiście jest... Ale jego wątpliwości były małe i zupełnie nowe i nie miały dość czasu, żeby urosnąć w jego głowie. Zamknął oczy i w końcu zmorzył go sen.

I wtedy rozległ się ten dziwny dźwięk w ciemności. Dźwięk, jakby ktoś próbował otworzyć małe okienko, przez które ogród mógł zaglądać do pokoiku Lalita. Przestraszony zastygł w bezruchu i nasłuchiwał. Tam! Znow ten sam dźwięk. Coś wylądowało ciężko na podłodze obok okna Lalita. Ale nie, nie coś, tylko ktoś – ponieważ teraz do jego uszu dobiegły skradające się kroki. Zatrzymały się przed matą, na

której spał. Obcy musiał się nad nim pochylić, ponieważ Lalit poczuł jego ciepły oddech w chłodnym powietrzu nocy. Oddech był szybki, urywany, jakby jego właściciela męczyło oddychanie.

Lalit zamrugnął, pragnąc przeniknąć ciemność. Najpierw poczuł lęk, kiedy spojrział w twarz obcego. Nigdy dotąd nie widział tej twarzy, ale przecież ją znał. Znał tak dobrze jak swoją własną.

Obcy był chudy i miał na sobie podartą koszulę, która musiała być kiedyś biała. Jego policzki i podbródek zdobił trzydniowy zarost, a włosy na głowie rosły w małych kępkach – jak trawa na wyschniętych łąkach okalających pustynię. Jego twarz przecinały niezliczone cienkie czerwone pręgi, które rysowały się w bladym świetle księżyca, a na czole, między oczami – dokładnie tam, gdzie kapłani w każdej świątyni pozostawiali swoje znaki błogosławieństwa – lśniła rozpalonym szkarłatem blizna po oparzeniu.

Lalit usiadł i wpatrywał się z niedowierzaniem.

– Farhad! – wyszeptał.

Farhad położył palec na ustach.

Potem wziął dłoń Lalita i coś do niej włożył.

Lalit zacisnął odruchowo palce i w tym samym momencie poczuł, że jego dłoń krwawi. Jego palce zamknęły się wokół czegoś twardego, zimnego, czegoś, co przeświecało przez nie jasną purpurą...

I obudził się skąpany w pocie. Dysząc ciężko, usiadł, rozglądając się dookoła szeroko rozwartymi oczami. Nie, w pokoju nie było nikogo. Żadnego bohatera w podartym odzieniu. Żadnego drogiego kamienia w jego własnej dłoni. To był tylko sen.

Znów opadł na matę i głęboko oddychał. Sądząc po położeniu księżyca, który zaglądał przez małe okienko, nie spał

długo. Nieruchoma korona palmy daktylowej wciąż czekała na swojego okrągłego białego gościa.

Tylko sen, sen.

– Nie ma żadnego Farhada i nie ma żadnego Krwawego Kamienia – szepnął do siebie Lalit.

A jeśli jest? Jeśli ten sen był snem proroczym, jeśli naprawdę chciał mu coś przekazać?

I nagle w jego głowie odezwał się jakiś głos, który mówił głośno i wyraźnie. Być może ten głos był tam przez cały czas, a on tylko udawał, że go nie słyszy.

„Nie, nie, przez twoje okno nie wszedł żaden bohater – powiedział ten głos. – Pora, żebyś ty sam zrobił wreszcie coś w swoim życiu”.

Wtedy Lalit zawstydził się, wstał z maty i poszedł bezszelstnie jak cień ciemnymi korytarzami domu Ahmeda Mudhiego, żeby w jego ogrodach szukać bohatera. Chociaż było to zupełnie niedorzeczne. Ale co miał do stracenia? O ileż więcej mógł stracić, jeśli tego nie zrobił, jeśli nie podążyłby za wezwaniem swojego snu, snu, który wskazywał mu właściwą drogę?

Ogród był tak uderzająco piękny jak tamtej nocy, kiedy Raka pociągnęła go za sobą do sadzawki z lotosami. Wspomnienie tej słodkiej nocy śpiewało jeszcze w wonnych kwiatach i w szeleście liści, w gruchaniu gołębi i w skradających się krokach Lalita na wysypanej żwirem ścieżce.

Znalazł bez trudu to, czego szukał – jedyny mur zewnętrzny siedmiu ogrodów radży. Od kiedy Raka próbowała przejść przez ten mur na drugą stronę, kiedy jeszcze jej nie znał, wciąż na nowo mu się przyglądał i myślał o odwadze tej niezwykłej dziewczyny.

U podnóża muru rosły krzewy białych róż, które tworzyły gęste i ciemne zarośla, i Lalit nic przez nie nie widział. Nie

wziął ze sobą lampy, ponieważ to, co tutaj robił, było nie tylko szalone, ale też zabronione. Nikt, absolutnie nikt nie może go przyłapać, jak szuka w ogrodzie wymyślonego bohatera, który przybył tutaj, by wykraść radży jego ósmą żonę.

Lalit przykucnął, wyciągnął przed siebie ręce, po czym posuwając się do przodu na czworakach, torował sobie drogę przez kłującą gęstwinę. Ciernie pozostawiały palące żywym ogniem zadrapania na jego rękach i twarzy i Lalit musiał z całych sił zaciskać zęby, by nie krzyknąć z bólu. Ale myślał o Farhadzie i o wszystkich jego ranach, które bohater Raki już na siebie wziął, żeby ratować swoją księżniczkę, i znów się zawstydził.

Blade światło księżyca nie przenikało aż do ziemi. Zapłatało się w ciernie róż i podnóże muru było pogrążone w całkowitej ciemności.

Zapach ziemi wnikał w nozdrza Lalita i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zmieszał się z innym zapachem, zapachem potu i krwi, i strachu. Ręka Lalita natknęła się na ciepłe, bezwładne ciało. Wzdrygnął się i nasłuchiwał.

Tak, ktoś oddychał ciężko w ciemnościach!

To było szaleństwo. To być nie mogło! Przyszedł tutaj, żeby go znaleźć, ale przecież nie wierzył, że naprawdę go znajdzie.

Zakręciło mu się w głowie.

– Kim jesteś? – szepnął jakiś głos z ciemności.

To był głos ze snu Lalita.

– Jestem Lalit – odszepnął. – A ty... czy to naprawdę ty...?

– Tak, to ja, Farhad – szepnął głos, którego twarzy nie widział. – Ale ty nie wydajesz mi się Lalitem. Powiedziałbym raczej...

Głos umilkł raptownie i Farhad zakaszłał.

– Krew – szepnął – ta purpurowa pani życia i śmierci znalazła drogę do moich płuc.

– A kim, według ciebie, jestem? – spytał Lalit.

– Wydaje mi się, że jesteś Laganem, tym, który przychodzi we właściwej chwili.

– Jakie to dziwne – powiedział Lalit lub Lagan. – Jakie to dziwne, ponieważ to jest dokładnie imię, które mi dano w dniu moich narodzin, zanim kobiety w haremie wymyśliły dla mnie to przezwisko.

– Czy jesteś przyjacielem? – spytał Farhad. – Przyjacielem księżniczki?

– Tak, jestem. Opowiadała mi o tobie.

– O mnie?

– Tak. O wietrze i o wodzie. I o ogniu. I o Nitishu, białym tygrysie z błękitnymi oczami, który przed murami miasta zamienił się w kamień.

– Skoro wiesz o tym wszystkim, to chyba naprawdę jesteś przyjacielem. Daj mi rękę – zażądał Farhad.

Lagan poszukał po omacku jego ręki i zadrżał. Dłoń Farhada była wilgotna od krwi, która wciąż wyciekała z jego piersi. Ale potem poczuł coś jeszcze, coś zimnego, co kąsało go w palce. Mimo to ścisnął je mocno. To coś miało wielkość gołębiego jaja i chociaż nic nie widział w ciemnościach pod różami, dostrzegł jednak lekki purpurowy blask sączący się pomiędzy swoimi palcami.

– Krwawy Kamień – wyszeptał.

– Daj... daj go Suryakancie, pierwszemu i najwyższemu słudze króla demonów – szepnął Farhad i znów zakaszłał. – I zażądaj, żeby wręczył ci klucze do całego haremu. Klucze do drzwi wszystkich korytarzy i przedsionków, i do bramy. Da ci je na pewno. Wciąż jest zakochany w Krwawym Kamieniu. Widziałem żądę w jego oczach.

– Widziałeś ją? Ale czy ty naprawdę go spotkałeś? Nie przypominam sobie...

Farhad wydawał się nie słyszeć jego pytania. Milczał, dysząc ciężko.

– Księżniczka – szepnął po chwili, a w jego głosie zadźwięczało naleganie, któremu nie można się było sprzeciwić.

– Proszę... opowiedz mi o niej!

– Wkrótce sam ją zobaczysz...

– Nie – powiedział Farhad, chwytając z trudem powietrze.

– Nie zobaczę. To, że jeszcze żyję, nie jest moją siłą. To tylko siła jej rozpacz trzyma mnie przy życiu. Opowiedz mi, Laganie. Opowiedz mi, jaka ona jest!

Wtedy Lagan pochylił się jeszcze bardziej nad ciałem obcego, który przecież wydawał mu się tak bardzo bliski, i krew z rany na jego dłoni wymieszała się z krwią bohatera z Maduraju.

– Jest piękna – szepnął. – Stokroć jeszcze piękniejsza niż na wizerunku w twoim amulecie. Ale jej uroda nie ma w sobie nic łagodnego, miękkiego i uległego. Ona jest szorstka jak pustynia, mężna jak tygrys, samotna jak słońce i płochliwa jak deszcz. Jej serce jest pełne opowieści, a ty, Farhadzie, urodziłeś się w tym sercu, a potem wymknąłeś się z niego. I ona zatroszczy się o to, żeby twoja historia miała dobry koniec. Zobaczysz, że tak się stanie.

– Więc... więc wszystko w porządku – wyszeptał Farhad.

Lagan nasłuchiwał jeszcze przez chwilę w ciemnościach, ale nie doczekał się żadnego oddechu, nawet najłżejszego. Dotknął ciała pod krzewami róż, i to ciało było bardzo, bardzo spokojne. Wtedy Lagan poczuł, że żal ścisnął mu boleśnie krtań, ale nie miał czasu na płacz. A kiedy z Krwawym Kamieniem w dłoni wyczołgał się z różanych zarośli, spostrzegł, że jego zazdrość zniknęła bez śladu.

Istnieje mnóstwo żywotów i powrotów na ziemię i być może Farhad miał rację: pewnego dnia Raka zostanie jego żo-

na: W życiu – jednym z wielu – w którym ona będzie prawdziwą księżniczką. Takie są bowiem prawa baśni.

Kiedy Lagan z klejnotem w krwawiącej dłoni biegł z powrotem żwirowaną ścieżką, w jego głowie pojawiło się jedno pytanie. Nie było to pytanie, czy pierwszy sługa Ahmeda Mudhiego to Suryakanta. Tej nocy, w tej opowieści, był nim.

Granice rozplywały się.

To pytanie było dużo bardziej prozaiczne i brzmiało: czy ów człowiek lub demon nie odbierze mu od razu Krwawego Kamienia. Co zatem powinien zrobić, kiedy już go znajdzie? W jaki sposób ma się do niego zbliżyć?

Tak bardzo był pogrążony w roztrząsaniu tej kwestii, iż nie spostrzegł postaci, która stała w ogrodzie na środku ścieżki, pod palmą daktylową. Postać była krępa, masywna i silna jak brytan i spoglądała spod oka na Lagana.

Zobaczył ją, kiedy nastąpił na czubek jej cienia. Dopiero wtedy zatrzymał się i podniósł wzrok. I zadrżał.

– Co robisz o tej porze w ogrodzie, mały eunuchu Lalicie? – spytał pierwszy i najwyższy sługa radzy. – Zaziębisz się i będziesz kichać, i nie będziesz już taki piękny jak zawsze!

Lagan – lub Lalit – milczał przez chwilę. Księżyc oświetlał ospowatą, nabrzmiętą twarz stojącego przed nim mężczyzny wyraźniej, niżby ten sobie życzył. Muskuły jego ramion igrały jak małe kotki, które dokazują w swoim koszu.

Lagan zastanawiał się gorączkowo, co robić. Może po prostu odwrócić się na pięcie i czmychnąć.

Zdecydował jednak inaczej. Wyprostował się i zauważył ze zdziwieniem, że przewyższa pierwszego sługę radzy niemal o głowę.

– Chciałbym zaproponować ci coś w rodzaju handlu wymiennego – powiedział.

Zdumiało go, z jakim spokojem to powiedział.

Mężczyzna przekrzywił głowę i mierzył go nienawistnym wzrokiem jak kogut bojowy swojego przeciwnika.

– Słucham – powiedział.

– O ile mi wiadomo, otrzymałeś polecenie, by tej nocy zaprowadzić do sypialni radży jego ósmą żonę, nieprawdaż?

– Tak. I nie mam czasu sterczeć w ogrodzie i wysłuchiwać bajdurzenia pięknego eunucha.

– Nie zaprowadzisz jej do radży – powiedział Lagan. – Jeśli zamiast tego wręczysz mi klucze do haremu, wszystkie klucze, wtedy to, co mam w ręce, będzie należeć do ciebie.

– Co to ma znaczyć? – warknął Suryakanta, którego Lagan tak właśnie zaczął w myślach nazywać.

Pochylił się w stronę Lagana, wpatrując się z napięciem w jego zaciśniętą pięść, a Lagan ujrzał żądzę rozblyskującą w jego oczach.

Ciche purpurowe lśnienie przenikało przez jego palce niczym krwawa poświata.

„Teraz – przemknęło mu przez głowę – teraz rzuci się na mnie z całą siłą swoich mięśni i wszystko będzie stracone. Widzę to wyraźnie po jego oczach”.

Musiał jednak zaryzykować. Nie miał wyboru.

– Krwawy Kamień – szepnął i rozwarł palce.

Ku jego zaskoczeniu Suryakanta nadal stał nieporuszony. Mrugał i wpatrywał się w kamień, mrugał i wpatrywał się i znów mrugał, i w końcu powiedział:

– Tak często miałem go w swoich rękach. I za każdym razem był sprytniejszy ode mnie.

– Kamień?

– Nie kamień.

Suryakanta roześmiał się. Nie wyglądał pięknie, lecz nagle w sercu Lagana zrodziło się podejrzenie, że ta twarz była tylko jedną z wielu, które miał...

– Nie, nie kamień. Ten przedziwny chłopak, który jechał na białym tygrysie... nie znam jego imienia. Podobnie jak on nie znał mojego.

– To właśnie on przyniósł ci ten kamień.

– Mnie? – Szczere zdumienie odbiło się w małych oczach Suryakanty. – Naprawdę niósł go całą drogę, żeby mi go...?

– W zamian za księżniczkę – powiedział Lagan – za jej wolność.

– W takim razie – powiedział Suryakanta – jest to pierwszy przyzwoity interes, jaki robimy od początku naszej znajomości, ten dziwny chłopak i ja. Teraz, kiedy mam wreszcie mój kamień, nie potrzebuję być niczym sługą i strażnikiem, nawet pierwszym.

Pogrzebał w kieszeni, po czym wręczył Laganowi pęk kluczy, nie zadając żadnych pytań.

– Ten jest do wielkiej bramy – powiedział. – A ja tymczasem wysłę całą służbę spać. Daj mi teraz kamień.

Lagan wahał się.

– Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę jest właściwy klucz?

– Musisz mi zaufać. Zaufanie jest ważne. On mógł ci to wyjaśnić.

– I wyjaśnił – odparł cicho Lagan – w ten czy inny sposób. Potem wręczył Suryakancie Krwawy Kamień.

Na palcach krępego, silnego mężczyzny ów osławiony drapieżny klejnot po raz pierwszy nie pozostawił żadnej rany. Wtulił się w jego szeroką dłoń jak dziecko w łono matki, a Lagan poczuł, że tak właśnie jest dobrze.

Suryakanta poszedł przodem do domu, żeby wysłać służących do spania.

– Tylko osobistemu strażnikowi radzy nie mogę rozkazywać – powiedział z krzywym uśmiechem na szpetnej twarzy.

– Osobistemu strażnikowi?

– Twój pan ma srebrną strzelbę myśliwską w swojej komnacie – powiedział Suryakanta. – Od czasu do czasu cierpi na manię prześladowczą. I powiem ci, że zacznym to rozumieć. Tak czy inaczej, Ahmed Mudhi jest dobrym strzelcem.

Zanim zniknął w jednym z korytarzy, jeszcze raz się odwrócił.

– Co mnie obchodzi ósma żona radży i dokąd idzie. I z kim – powiedział od niechcienia.

– Kim ona jest? – spytał Lagan podejrzliwie.

– Jest księżniczką – odparł Suryakanta i jeszcze raz szpetnie się uśmiechnął. – Oczywiście, jeśli wierzyć pogłoskom. I to nie pierwszą lepszą księżniczką. Nawet jeśli wychowywał ją jakiś biedak z pustynnej wioski. Słyszałem, jak ludzie szepcą potajemnie, że jest jakoby córką Kryszny.

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i oddalił sprężystym krokiem, żeby wypełnić swoje ostatnie zadanie w domu Ahmeda Mudhiego – a może Rawany? – zanim na zawsze go opuści.

Stopy Lagana frunęły korytarzem. Leciały do Raki, pięknookiej bajarki, księżniczki, radosne jak nigdy. Jego dusza śpiewała hymny, a ciało wydawało się nieważkie. Mimo to dyszał, kiedy dotarł wreszcie do drzwi. Przystanął, chciał zapukać. Ułożył sobie krótką mowę: „Przychodzę po ciebie, żeby zwrócić ci wolność – tak chciał powiedzieć. – Pustynia jest znowu twoja”.

Piękne słowa. I tym razem prawdziwe.

Ale drzwi były otwarte na oścież. W sypialni nie było nikogo.

Przez okno, w którym spędził tak wiele długich godzin, przysłuchując się magicznym słowom Raki, ujrzał księżyc. Wielki i okrągły. Siedział dokładnie w koronie palmy dakty-

lowej. Ale Raki, Raki już tutaj nie było. I brakowało również posążków bogów.

Lagan odwrócił się na pięcie i wtedy zobaczył jedną z tych małych, kolorowych figurek. Stała samotnie na miękkim ko- biercu wyściełającym korytarz. Jakby na kogoś czekała. Schylił się, żeby ją podnieść. To był Kryszna. Niewiele dalej znalazł Kali, boginię gniewu. A jeszcze trochę dalej Ganeszę, słoniogłowego boga szczęścia. Figurki tworzyły wyraźny trop i Lalit poszedł za nim bez namysłu. Za tym tropem nadziei – ostatniej ze wszystkich nadziei, że ktoś podaży jednak za właścicielką figurek.

Uśmiechnął się. Nie poddawała się do końca.

Trop prowadził do komnat Ahmeda Mudhiego.

Nie, nie poddała się, to prawda, wiedziała jednak, że nie ma żadnych szans na ucieczkę. Wszystkie dziedzińce były pełne strażników. Poszła dobrowolnie, kiedy księżyc jej to nakazał, zanim pierwszy i najwyższy ze strażników po nią przyszedł. Dobrowolnie, żeby zachować godność.

Zupełnie sama, naprzeciw swojemu losowi.

Lagan parsknął ze złością. Uparta istota! Czy naprawdę nie mogła jeszcze trochę poczekać?

Otworzył drzwi tylko na szerokość dłoni i wtedy zobaczył balet dwojga ciał i ich ruchliwe cienie na ścianie. I poczuł zapach kwiatów, które w komnatach radży zawsze pływały w wielkich misach z wodą: kamal – lotos. Ich delikatny zapach mieszał się z przesiąkniętym potem zapachem pożądania.

Przez chwilę stał jak zdrętwiały, oniemiały, niezdolny się poruszyć.

Zobaczył, jak dwa ciała przed nim splotły się, zwały, jakby to była tylko jedna istota, jedno bóstwo o wielu ramionach i nogach. Ale to silniejsza połowa tej istoty wyznaczała rytm nocnego widowiska.

Miękkie jedwabne poduszki stłumiły wszystkie szmery i odgłosy i Lagan słyszał tylko ciężki oddech Ahmeda Mudhiego. Wypełniał całą tę wielką sypialnię, jak zły smak wypełnia usta. Z ust Raki nie wydobywał się żaden dźwięk.

Lagan wiedział, że oddała się radży tylko dlatego, że nie miała innego wyboru. A mimo to jego serce ścisnęło się boleśnie przeszyte strzałą zazdrości.

Naga wściekłość była jak świeżo oszlifowany nóż. Wściekłość na Ahmeda Mudhiego, który mógł mieć wszystko – wszystko, czego zapragnął. Przywieźć sobie nową zabawkę z pustyni i wyrzucić jedno życie tylko dlatego, że miał taki kaprys, taką zachciankę. Któremu wszyscy kłaniali się w pas. Którego wszyscy słuchali, także on, Lalit, jego piękny eunuch, którego nikt nie traktował poważnie.

Ale on nie był już Lalitem, jak go nazwały kobiety w haremie. Tej nocy zmienił się w kogoś całkiem innego. Nie – to Raka go odmieniła. Był Laganem, ponieważ takie właśnie imię otrzymał w dniu swoich narodzin – Laganem, tym, który wybiera właściwy czas. I ten czas właśnie nadszedł. Ahmed Mudhi jest być może wybornym strzelcem i być może nigdy nie chybia celu, ale tym razem nie zdąży nawet sięgnąć po swoją strzelbę.

Lagan zamknął cicho piękne rzeźbione drzwi, odwrócił się i pobiegł długim korytarzem, a potem schodami w dół – szybciej niż kiedykolwiek. Na dworze gołębie gruchały we śnie, jak to robiły przez całą książkę. Czekały na swojego pana, nie wiedząc o tym.

– Safia – powiedział radża. – Chodź do mnie! Jakie piękne masz imię! Safia, dama cnoty. Nie bój się. Jakże długo na ciebie czekałem, moja piękna! Długo, długo byłem chory, chory z gorączki i chory z tęsknoty. Całe swoje życie!

Raka postanowiła sobie, że radża nie złamie jej milczenia. Nie powie mu, że imię Safia, niewinność, nie pasuje do niej. Że choć jej dusza jest czysta jak kryształ, ciało już nie. I że wcale tego nie żałuje. Nie powie mu, że nie boi się jego bliskości, tylko śmierci. I nawet jeśli Ahmed Mudhi, jej mąż, odkryje tej nocy, że został oszukany i że nie kupił dziewicy, będzie milczeć.

– Chodź, Safia. Usiądź obok mnie. Nic nie jest tak miękkie jak poduszki w mojej sypialni. Tylko moje ramiona są bardziej miękkie...

Ahmed Mudhi nie był szpetnym mężczyzną, ale czarne włosy, które pokrywały jego ramiona i pierś, przypominały Race małpy, które ukradły amulet Farhadowi na początku jego podróży.

Czuła, jak pociągnął ją w dół do tego niepokojąco uległego świata miękkich jedwabnych poduszek, i czuła, wiedziała, że ten świat już zaraz, za chwilę ją udusi. Jakże inaczej było zanurzyć się w chłodnej wodzie lotosowej sadzawki.

Kiedy poczuła na swojej skórze usta radży, próbowała sobie wyobrazić, że to pocałunki Lalita. Nie udało się jej. Wargi radży były władcze i pewne siebie.

„Lalit – pomyślała Raka – Lalit mnie opuścił”.

Trzy noce opowiadała mu tę cudowną baśń, by ocalić swoje życie, by pojął, że może ją uratować. Że musi tylko zdobyć się na odwagę. Wymyśliła bohatera, żeby to on, Lalit, stał się bohaterem.

Ale zawiodła się.

Prócz tego zakochała się w nim i to był drugi zawód. Ponieważ to zdradzało jej sła bość, a ona chciała być przecież tą, która jest silna i ustanawia reguły.

Tą, która sprawia, że to w niej się zakochiwano.

Ona miała być silna i nieugięta.

Teraz potrzebowała już tylko tej ostatniej resztki swoich sił, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku, kiedy Ahmed Mudhi przykryje sobą jej szczupłe ciało i będzie próbował stać się z nią jednością.

Długo potem, kiedy księżyc opuścił już koronę palmy daktylowej, oddalając się pospiesznie ku wschodniej stronie nieba, radża przyglądał się swojej ósmej żonie.

Światło jedynej lampy naftowej po stokroć załamywały lustra, którymi była wyłożona ta wielka komnata. Padało teraz niczym dziwnie połyskujące, tajemniczo rozproszone, drżące srebro na ogromne łoża radży. Łóża pokryte czystym jedwabiem.

Oczy Ahmeda Mudhiego wędrowały ociężale po zmiętej pościeli w poszukiwaniu krwi, dowodu niewinności jego nowej, najpiękniejszej żony. Nie znalazły jej.

Raka otworzyła oczy, które aż do tej chwili trzymała mocno zaciśnięte, i zobaczyła, jak twarz jej męża wykrzywia grymas. Teraz już wiedział. Oszukano go. Jego, najpotężniejszego kupca w Dżajsalmerze, być może najpotężniejszego na całej pustyni Thar.

Ahmed Mudhi otworzył usta do przeciągłego okrzyku wypełnionego bezsilną wściekłością.

Pod palmą daktylową

Raka widziała, jak ręce Ahmeda Mudhiego zbliżają się do niej. Chciały zacisnąć się wokół jej delikatnej szyi; cofnęła się przerażona. Ale Ahmed Mudhi był szybki i silny. Uniosła ręce nad głowę, osłaniając się przed atakiem. Broniła się instynktownie, choć w głębi duszy wiedziała, że wszystko to na nic się nie zda. Usłyszała nad sobą wściekłe dyszenie radży.

Lecz w tym samym momencie usłyszała coś jeszcze – coś dziwnego. Gruchanie i łopot skrzydeł. Coś trzasnęło, jakby otworzyło się raptownie okno przesłonięte delikatną siatką moskitiery, które do tej pory było tylko lekko uchylone, i po chwili łopot był wszędzie.

Raka odjęła ręce od twarzy. Ahmed Mudhi wciąż siedział przed nią nagi na swoim łóżu, lecz teraz odwrócił się i patrzył zdumiony. Cała komnata była pełna gołębi. Fruwały na oślep między ścianami, tłukły się o szklane tafle luster, zataczały i znów przytomniały i wciąż, wciąż jeszcze nadlatywało ich więcej i więcej przez otwarte teraz na oścież okno sypialni.

Raka widziała gołębie i pomyślała: „Lalit. Jest tutaj. Gdzieś musi tu być! Gołębie nie wyfrunęły same z gołębników. Musiał je przywołać!”.

Więc jednak! Jednak tego dokonał. Przeskoczył własny cień. Przewycięzył słabość. Pokonał swoje posłuszeństwo i swój strach. I zaśmiała się.

Ahmed Mudhi zeskoczył z łóżka i wymachiwał jak szalony rękami, żeby przepędzić ptaki. Ale to jeszcze tylko spotęgowało ich panikę i oszołomienie.

– Precz! – krzyknął radża. – Natychmiast się stąd wynoście! Precz, precz!

Gołębie zakłóciły jego wściekłość, zanim mógł dać jej na prawdę upust.

Raka patrzyła, jak miota się po całej sypialni, jak próbuje bezskutecznie skierować gołębie do okna, chroniąc równocześnie twarz przed ich pazurkami, które szukały w popłochu jakiegoś oparcia. Wszystko jedno gdzie, nawet na Ahmedzie Mudhim. Cienie gołębi szybowały po ścianach, i te cienie i odbicia w lustrach, i skrzydła stworzyły taki nieopisany, wirujący, łopoczący, mieniący się srebrzyście, perłowo, kryształowo chaos, że już niebawem nawet Raka poczuła się oszołomiona.

Wstała z łóżka i skradała się przytulona do ściany, próbując sobie przypomnieć, gdzie między wszystkimi tymi komodami, szafkami, stoliczkami i lustrami znajdują się drzwi. Ze strachu i podniecenia kręciło się jej w głowie i jej macające ręce drżały, choć modliła się w duszy, żeby się uspokoiły. Czy uda się jej dotrzeć do drzwi niezauważona przez Ahmeda Mudhiego, który nadal walczył zaciekle z gołębiami? Wymieniła jednego ptaka, potem jeszcze jednego, potknęła się i upadła na marmurową posadzkę, przewracając przy tym mościeżną lampę. Ahmed Mudhi odwrócił się błyskawicznie. Zobaczyła go przez srebrzystą, perłową gmatwaninę skrzydeł, jak zbliża się do niej.

– Czy to twoja sprawka? – krzyknął. – Czy to ty przywołałaś gołębie? Moje gołębie? W jaki sposób udało ci się wypu-

ścić je z klatek? Przecież przez cały czas byłaś tutaj! Kim jesteś? Demonem? Boginią? Kimkolwiek jesteś, nie pozwolę na to, żebyś ze mnie drwiła...

Kiedy rzucił się na nią, Raka ujrzała za nim jakiś cień.

Cień wszedł przez okno, musiał wspiąć się po pnączach klematisu, a potem przejść przez balustradę balkonu.

Ahmed Mudhi schwycił Rakę za nadgarstek i nagłym szarpnięciem poderwał ją do góry. Odzyskał swoją wściekłość, jego oszołomienie minęło.

– Poczekaj tylko – wydyszał i pociągnął ją do siebie. – Nie myśl sobie, że dam się otumanić przez kilka ptaków.

Tym razem jego ręce dosięgnęły jej szyi i zacisnęły się...

Wtedy cień wyłonił się zza jego pleców. A nad nim gromadziły się gołębie. Leciały do niego jak dzieci do matki, lękliwe, bezradne, szukające obrony, i łopotały nad jego głową niczym żywy turban, wielki, perłowosrebrzysty turban. Część gołębi usiadła na ramionach cienia, inna na jego głowie – a cień wcale się nie bronił. Przyciągał gołębie z całej komnaty jak magnes. Ponieważ jednak stał tuż obok radży, również Ahmeda Mudhiego i Rakę otulił srebrzący się zamęt skrzydeł i dziobów.

Kiedy Raka chwyciła z trudem powietrze, wydało się jej naraz, że słyszy, jak cień mówi do swoich gołębi jakieś mrużące, szepczące, tajemne słowa, które w całym tym nieustannym łopotaniu i gruchaniu były ledwie słyszalne. Ale gołębie je usłyszały i pojęły w lot ich znaczenie. Rzuciły się na rękę Ahmeda Mudhiego i zaczęły dziobać je z pasją. Niektóre ciosy ich dziobów trafiły również Rakę. Poczwała, jak ciepła krew spływa jej po szyi, ale nie dbała o to i pozdrawiała ją jak serdeczną przyjaciółkę.

Radża krzyknął przeraźliwie i puścił jej szyję i wtedy Raka poczuła w swojej dłoni dłoń. Dała się ciągnąć przez tę dłoń, coraz dalej i dalej przez łopotający zamęt, przez ciemność,

w której jedyna lampa przewróciła się i zaraz potem zgasła, jak najdalej od sypialni Ahmeda Mudhiego, a towarzyszyła jej chmura szarych skrzydeł, które wyleciały wraz z nimi przez drzwi.

I tu kończy się ta opowieść, tak samo jak się zaczęła:
W chaosie.
W Indiach.

Korytarze, przez które biegli coraz szybciej i szybciej, były puste, a ich kroki rozbrzmiewały w nich głośnym echem.

Radża nie ruszył w pościg za nimi. Pewnie zapalił lampę, by w jej świetle przyjrzeć się tym niezliczonym ranom, jakie pozostawiły na jego rękach ostre dzioby, i zadawał sobie pytanie, czy te rany są na tyle głębokie, że pozostawią blizny na jego pięknej skórze.

Kto wie, może wołał swoich służących, którzy nie mogli go usłyszeć, ponieważ Suryakanta odprawił wszystkich i teraz spali w najlepsze. Być może siedział samotnie na swoim wielkim łożu pomiędzy tuzinami poduszek, zadając sobie pytanie, co się naprawdę wydarzyło.

Gołębie znalazły jakieś okno, a ich pan odesłał je z powrotem do ogrodu. Wydawały się ociążać, ale były posłuszne i już po chwili słychać było tylko daleki łopot wielu skrzydeł. A ich pan pociągnął Rakę dalej. Dopiero gdy dotarli do podnóża ostatnich wąskich schodów, zatrzymali się, żeby zaczerpnąć tchu. Stali, chwytając łąpczywie powietrze, i patrzyli na siebie.

Okrągły księżyc zaglądał przez małe okno i w jego świetle Raka spostrzegła, że twarz Lalita się zmieniała, choć trudno było powiedzieć jak. Jego rysy zatraciły już tę chłopięcą miękkość, którą znała do tej pory. Teraz były to rysy mężczyzny.

Przypatrywał się z niepokojem szyi Raki.

– Nie jest tak źle, jak się może wydawać – powiedziała z uśmiechem. – Już przestała krwawić, Lalicie. To nie ta żyła, którą upatrzył sobie radza.

Odetchnął powoli, z ulgą.

– W tej historii – powiedział – było już zbyt wiele krwi. A ja jestem Laganem.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Powinnam to była wiedzieć.

– Och, ja sam tego nie wiedziałem. Jeszcze do niedawna. Chodź.

– Główna brama jest zamknięta – powiedziała Raka. – Zawsze jest zamknięta.

Lagan roześmiał się.

– Klucz jest w mojej kieszeni – powiedział. – Dobiliśmy targu, Suryakanta i ja.

– Targu?

– Właśnie tak. Dostał wreszcie swój Krwawy Kamień. To on był Francuzem, wyobrazasz to sobie? I Anglikiem, i Polakiem, i Niemcem...

Ściągnęła brwi.

– Naprawdę?

– Naprawdę, mogę przysiąc, na co tylko zechcesz! I znalazłem Farhada. W ogrodzie.

– Tak – powiedziała. – Tak właśnie myślałam. Czy on... czy on...?

Lagan wziął ją mocno w ramiona.

– On nie żyje – wyszeptał. – Ale był bardzo szczęśliwy, kiedy umierał. Opowiedziałem mu o tobie i o tym, jaka jesteś silna i dzielna.

– Jesteś kłamcą – szepnęła Raka.

Koszula Lagana zwilgotniała od jej łez. Raka płakała i płakała i naprawdę nie była w stanie powiedzieć, czy płakała nad

Farhadem, który już nie żył, czy raczej z ulgi, że ona wciąż jest przy życiu. A może dlatego, że Lalit znalazł w sobie odwagę, by stać się wreszcie Laganem. A może z powodu wszystkiego razem.

– Chodźmy! – szepnął Lagan.

– Poczekaj – poprosiła i wyswobodziła się delikatnie z jego uścisku. – Chcę pójść do ogrodu i pożegnać się z nim.

Lagan bez słowa otworzył przed nią drzwi do ogrodu i Raka po raz ostatni weszła do niego. Odurzająca woń nocnych kwiatów splotła się ze światłem księżyca, strojąc jej nagie ciało w leciutką jak mgiełka, niewidoczną tkaninę.

Na ścieżce stała jakaś kobieta, trzymając za cugle białego konia.

– Dobrze, że jesteście – powiedziała z uśmiechem. – Czeakałam na was. Pomyślałam sobie, że będziecie potrzebować wierzchowca.

Raka znała tę kobietę. Była to siódma żona radży, a Raka zawsze myślała, że i ona nią pogardza.

– Skąd wiedziałaś...?

Kobieta położyła palec na ustach.

– Wiem wszystko... wszystko – szepnęła. – Wybaczcie, ale nie mogłam sobie odmówić. Słuchałam twojej opowieści od początku do końca. Dlatego dzisiejszej nocy wstałam po kryjomu, wymknęłam się na dziedziniec i przyprowadziłam konia ze stajni.

Raka położyła jej ręce na ramionach.

– Dziękuję ci – szepnęła. – Dziękuję za wszystko. Ale zanim pojedziemy, muszę jeszcze koniecznie coś zrobić. Bohater, mój bohater leży tutaj, w ogrodzie, w zaroślach róż.

– Widziałam go – odparła kobieta. – Ale nie wyglądał jak bohater. Był chudy i rozczochrany, brudny i cały w ranach.

– On jest bohaterem – powiedziała Raka dobitnie.

– Skoro tak mówisz... W każdym razie już go tutaj nie ma
– wyjaśniła kobieta. – Zarośla są puste.

– Puste?

– Całkowicie. Usłyszałam, jak gołębie wzbiły się w powietrze i pofrunęły w stronę apartamentów radży i wtedy wiedziałam, że nadszedł czas, by wyprowadzić konia ze stajni. Ale kiedy to robiłam, nagle wydało mi się, że słyszę dźwięki fletu pasterskiego, ciche i słodkie. Wyrzałam szybko przez okno stajni i zobaczyłam jakąś postać idącą w stronę różanych zarośli. Mogłam się mylić. Nie jestem hinduistką i nie wyznaję się na takich rzeczach. Ale ta postać była podobna do wizerunków Kryszny. Zostawiłam więc na chwilę konia i poszłam rozejrzeć się w zaroślach, zanim wy przyjdziecie. A tam nie było już nikogo prócz ptaków, róż i cierni.

Wtedy Lagan wdrapał się na konia i podciągnął do góry Rakę, a potem posadził ją przed sobą i szepnął:

– On go zabrał. Kryszna zabrał go ze sobą. Dotrzyma obietnicy. Następne życie Farhada Kamala będzie lepsze.

A Raka mu przytaknęła.

Na krótką chwilę pojawiła się w jego głowie myśl, że byłoby pięknie przesadzić mur jednym skokiem, jak to robił Nitish. Ale to nie była opowieść. I dlatego pocwałowali przez bramę, którą otworzyła dla nich siódma żona Ahmeda Mudhiego.

Pomachała za nimi, a Raka wiedziała, że ta kobieta będzie dalej opowiadać historię Farhada. Farhad umarł, ale był przecież nieśmiertelny. W sercach ludzi z Dżajsalmeru jego przygoda będzie żyć wiecznie.

Nad miastem wschodziło słońce.

Bramy były już otwarte, ale strażnicy jeszcze przysypiali w jego ciepłych promieniach. Żaden z nich nie miał ochoty zatrzymać dwójki jeźdźców na pięknym białym koniu.

Trochę ich dziwiło, że kobieta miała na sobie męską koszulę. Pod nią wydawała się całkowicie naga, naga i doskonała. Strażnicy szybko odwrócili wzrok, po czym zajęli się spletanymi łańcuchami wiszącymi u bramy.

– Spójrz tylko – powiedział Lagan – jak czerwone jest niebo nad pustynią.

– Spójrz tylko – powiedziała Raka – jak czerwona jest pustynia pod niebem. Czerwona jak krew. Ale w tej historii nie powinno być już więcej krwi.

A potem wskazała ręką na skałę, obok której właśnie przejeżdżali.

– Wygląda trochę jak tygrys – powiedziała.

Lagan skinął powoli głową.

– Trochę.

Ostatnia zwrotka

– Dokąd jedziemy? – spytała Raka.

Lagan dmuchnął lekko w jej zmierzwione włosy.

– Czy to nie wszystko jedno? – spytał.

– Tak, wszystko jedno – odparła. – Ale jak najdalej od tych, którzy nas szukają.

– Nie szukają nas – odpowiedział Lagan. – Ahmed Mudhi będzie milczał o tym, co się wydarzyło w jego sypialni. Jest potężnym człowiekiem i strzeże swojego dobrego imienia.

Raka wsparła się mocniej o jego pierś.

– Dziwne – powiedziała – mam uczucie, jakbyśmy zamienili się rolami. Teraz ja jestem tą słabą i niepewną, ty zaś tym, który rozprasza moje wątpliwości i daje mi siłę. Ale tak jest dobrze. Jestem strasznie znużona. Nie mogę być zawsze silna i rozsądna. Opowiedz mi – poprosiła – opowiedz, co się jeszcze wydarzy, po zakończeniu mojej historii.

– Pytasz, co się wydarzy? Chętnie ci to opowiem – odparł Lagan, czując w sercu dziwną radość. – Ta opowieść jest oczywiście nadal indyjską opowieścią, a wszystko w Indiach podlega nieustannej przemianie. Bogowie się zmieniają, ludzie się zmieniają. Ryż wyrasta na polach z małych ziarenek, zamieniając się w zielone źdźbła, i nawet strumienie w porze

monsunowej zmieniają się w rwące rzeki. Tego ranka, kiedy księżniczka dała się unieść na pustynię przez pewnego jeźdźca na białym koniu, miała miejsce jeszcze jedna przemiana.

Dusza tygrysa, która przez całą noc spała niezdecydowana w kamieniu, nagle się obudziła. I kiedy księżniczka przejeżdżała obok tej skały, dusza wydostała się z kamienia, jak bogini Lakszmi z kwiatu lotosu. Potem pomknęła na południe niesiona wiatrem i leciała tak długo, aż dotarła do wielkiej dżungli, w której od niepamiętnych czasów żyło stado tygrysów.

Dusza krążyła, aż odkryła wreszcie ciało młodego, silnego tygrysa, który leżał na boku i wokół którego zaczęły się już gromadzić brzęczące muchy. Brytyjscy myśliwi zastrzelili go wczesnym rankiem i zostawili swoją zdobycz na polanie, żeby później ją zabrać. Dusza młodego tygrysa odeszła już w zaświaty i zastąpiła ją ta druga, która przybyła razem z wiatrem.

Muchy zdziwiły się, kiedy martwy tygrys podniósł się, po czym jednym sprężystym susem zniknął w dżungli. Jeszcze bardziej zdziwili się myśliwi, kiedy powróciwszy na polanę, nie znaleźli swojej zdobyczy.

Wiele lat później tygrys wybrał się pewnego dnia na polowanie i ujrzał naraz małą dziewczynkę, która wydała się mu dziwnie znajoma. Siedziała pod jedynym drzewem neem w całej dżungli i miała dwa długie warkocze. Tygrys usiadł obok dziewczynki, która wcale się nie przestraszyła. Być może przypomniawszy sobie swoje poprzednie życie...

Lagan uśmiechnął się i spojrzał na Rakę, a Raka rzekła: *

– To cudowne. Ale spójrz tylko. Tam przed nami, widzisz? To nasza pierwsza oaza na drodze. Dobrze ją pamiętam, jest taka piękna. Zatrzymajmy się tam i odpocznijmy.

I tak zrobili. Usiedli obok siebie w cieniu palmy daktylowej, gdzie ktoś rozbił barwnie ozdobiony namiot.

Roztrzęsiony młody mężczyzna chodził niespokojnie wokół namiotu, z którego wnętrza co pewien czas dobiegały rozdzierające krzyki kobiety. Kilkoro służących przygotowywało śniadanie, krzątając się koło ogniska. Mężczyzna pomachał do Raki i Lagana, zapraszając ich do ognia. Był tak wzburzony, że nawet nie zauważył dziwnego odzienia Raki.

– Chodźcie i posilcie się razem ze mną – powiedział. – Kto wie, może przyniesiecie mi szczęście. Moja żona rodzi dziecko, nasze pierwsze... Nie zdążyliśmy na czas do miasta.

W tej samej chwili kobieta w namiocie krzyknęła jeszcze raz, a Raka wczepiła się kurczowo w ramię Lagana, jakby to ona musiała znosić te straszliwe bóle.

Chwilę później z namiotu wyszła stara kobieta, niosąc na rękach maleńki tłumoczek, czerwony jak rak i jeszcze bardzo niezadowolony ze świata, na który przyszedł. Dziecko płakało i wyciągało maleńkie rączki, i Raka pochyliła się, żeby móc je lepiej zobaczyć.

Młody mężczyzna wziął niezgrabnie niemowlę i przytulił do siebie.

– Spójrzcie tylko – wyszeptał – mam syna. Naprawdę przynieśliście mi szczęście, tak jak powiedziałem.

– Ma znak na czole, panie – powiedziała stara kobieta. – Dokładnie między brwiami. Znak bogów. Wygląda prawie tak jak blizna po oparzeniu... Na Krysznę, musi to być wyjątkowe dziecko, które trzymacie w ramionach!

– Jak je nazwiemy? – spytał mężczyzna.

– Wasza żona powiedziała – zamruczała stara i pokazała za siebie na naprędce rozbity namiot – że powinien się nazywać Kalki, jak dziesiąta inkarnacja Wisznu. Jeździec na białym koniu, z błyszczącym mieczem. Ten, na którego ciągle czeka świat i który ostatecznie zniszczy zło.

Raka i Lagan spojrzeli na siebie.